

Joanna Trollope

CUDZE DZIECI

Przełożyła Ewa Jurewicz

Prószyński i S-ka

Rozdział pierwszy

- To nie powinno się nazywać ślub - powiedział ktoś za nim.

Rufus poczuł, że płoną mu uszy. Pochylił się i wpatrzył w czubki swoich nowych butów, które za namową matki nałożył zamiast adidasów. Słowa padły z ust kobiety. Jej głos brzmiał znajomo.

- Nie za drugim razem - dodała spokojnie, jakby nie dotyczyło jej to osobiście, ale po prostu stwierdzała fakt. - Na drugi raz powinno być jakieś inne słowo.

Rufus bardzo powoli podniósł głowę i przeniósł spojrzenie z butów na ścianę, którą miał dwadzieścia stóp przed sobą. Na ścianie tej, pokrytej połyskliwą białą tapetą oraz takimiż wstążkami i kwiatami, wisiał portret królowej, która miała na sobie białą suknię i diadem, była przepasana szeroką niebieską wstęgą przyozdobioną broszką. Tuż pod obrazem znajdowała się głowa pani o starannie uczesanych ciemnych włosach. Pani miała na sobie szary kostium i maleńkie złote kolczyki, a matka Rufusa powiedziała o niej, że jest urzędniczką stanu cywilnego. Znaczyło to, że może dawać ludziom śluby. Ta urzędniczka - która uśmiechnęła się do Rufusa i powiedziała „Cześć, kochanie” - miała za chwilę dać ślub matce Rufusa. I Matthew. Rufus nie pozwolił, by jego spojrzenie prześliznęło się z urzędniczki na matkę i Matthew. Matthew był ubrany w szary garnitur, miał w butonierce żółty kwiat i był o pół głowy wyższy od matki Rufusa, a przede wszystkim nie był ojcem Rufusa.

Był jednak - i ten fakt wzmagał jeszcze niepokój chłopca w tym i tak już niespokojnym dniu - ojcem kilku innych osób. Wcześniej był mężem innej kobiety, której imienia Rufus nie pamiętał, i miał troje dzieci. Troje. Wszystkie starsze od Rufusa. I wszystkie - Rufus przełknął ślinę - nieznanome. W tej chwili stała przy nim młodsza córka Matthew, Clare. Wciąż zapinała i odpinała dolny guzik czarnego swetra. Oprócz

swetra nosiła teraz pomiętą pomarańczową spódnicę i czarne buty za kostkę. Miała dziesięć lat. Rufus miał osiem. Matka Rufusa powiedziała, że on i Clare się zaprzyjaźnią, bo mogą razem grać w gry komputerowe, ale Rufusowi Clare wydawała się tak obca, jakby pochodziła z innej planety. Była jak ktoś widziany w autobusie, o kim się wie, że nie spotka się go nigdy więcej. Tak samo jej brat, Rory, który stał po drugiej stronie dziewczynki, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy. Rufusowi matka kazała nałożyć krawat, ale Rory nosił podkoszulek. Miał dwanaście lat i włosy podgolone z boków i z tyłu głowy, przez co sprawiał wrażenie wrażliwego i niezdarne - wydawał się bezbronny jak pisklę. Wcześniej kopał z Rufusem puszkę po coca-coli na dziedzińcu domu, który Rufus miał teraz dzielić z matką i Matthew. A w niektóre weekendy i podczas wakacji szkolnych także z Clare, Rorym i piętnastoletnią Becky, która miała - no, nie była całkiem płaska z przodu pod swetrem. Becky żuje gumę, pomyślał Rufus. Miała na sobie dżinsową kurtkę, którą zdejmowała tylko, gdy szła spać, i co jakiś czas poklepywała się lekko po lewej górnej kieszeni kurtki. Rufus wiedział, dlaczego. Trzymała tam paczkę marlboro lights, a nie wolno jej tego robić. Kiedy klepała kieszeń, miała zadowoloną i wyzywającą minę.

Babcia Rufusa, stojąca po jego lewej stronie, pochyliła się nad nim. Zaraz powie: „Wszystko w porządku, kochanie?”. Czekał.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Skinął głową. Spróbowała go wziąć za rękę. Rufus lubił swoją babcię, ale nie chciał, żeby go brała za rękę, zwłaszcza publicznie, przy Clare, Rorym i Becky, stojących we trójkę, nie samotnie, po jego prawej stronie solidarni w godny pozazdroszczenia sposób. Wsadził rękę do kieszeni spodni. Miał w niej żołądzia, skrawek srebrnej folii po batonie Kit-Kat i gumowy korek od pistoletu na wodę. Wziął w rękę żołądzia. Od leżenia w kieszeni był ciepły, jakby miał swoje własne małe życie. Rufus podniósł go wiele miesięcy temu, podczas spaceru z klasą na boisku, w Bath, gdzie przedtem mieszkał, gdzie teraz mieszka jego ojciec i gdzie pewnie jest w tej chwili, dokładnie w tej chwili, tam, a nie w tym białym pokoju ze szklanymi lampami i matką Rufusa. Gdzie zamiast niego jest Matthew.

W restauracji Matthew wziął Josie za rękę pod obrusem.

- Moja.

Uśmiechnęła się, zachwycona, ale nie śmiała na niego spojrzeć, bo dookoła stołu siedzieli ci wszyscy ludzie i przyglądali się głównie jej.

- Och, Matt...

- Moja - powtórzył, ściskając jej dłoń. - Nie mogę w to uwierzyć.
- No, no - zawołał jowialnie ojciec Matthew z drugiego końca stołu. - No, no, wy tam, wy dwoje.

- To jest całkowicie legalne - powiedział Matthew swobodnie - już od godziny. - Wyciągnął dłoń Josie spod obrusa i na oczach wszystkich ucałował jej palec serdeczny. - Pani Mitchell, zgodnie z prawem.

- Wszystkiego dobrego! - krzyknął jego ojciec. Chwycił stojącą w pobliżu butelkę szampana i z rozmachem nalał do wszystkich kieliszków, do których mógł dosięgnąć. - Wypijmy! Wypijmy za ich zdrowie!

- Wszystkiego dobrego, kochani - powiedziała matka Josie. - Długich lat w zdrowiu i szczęściu. - Szturchnęła lekko Clare, która siedziała koło niej. - Podnieś kieliszek, kochanie.

- Nie lubię tego - powiedziała Clare. - Nie lubię szampana.

- Ale możesz podnieść kieliszek, prawda? - powiedziała matka Josie. - Nie musisz przecież z niego pić. - Spojrzała przez stół na Rufusa. Siedział wciśnięty między Rory'ego i młodszą siostrę Matthew, Karen, która była pielęgniarką. Rory wypił już dwa kieliszki szampana, bardzo szybko, i rozglądał się oszołomiony. Babcia Rufusa pomyślała, że jej wnuk wygląda tak samo, jak wtedy gdy miał zaśpiewać solo w szkolnych jasełkach i był pewien, że coś się nie uda. Pokazała mu, żeby podniósł kieliszek.

- Toast za mamę i Matthew, kochanie. Wypij.

Spojrzała na swoją córkę. Josie wydawała się taka szczęśliwa, wyglądała tak ładnie w kremowym jedwabnym kostiumie, z włosami upiętymi do góry z tyłu głowy, że wydawało się wprost niezyczliwością żywić jakiegokolwiek obawy. Ale jak mogła ich nie mieć? Sama była rozwódką z trzydziestoletnim stażem, a Josie jej jedynym dzieckiem, jak więc mogła nie mieć okropnych obaw, kiedy Josie porzuciła Toma Carvera oraz stateczne, przyjemne i wygodne życie w Bath dla zastępcy dyrektora szkoły średniej z trójką nieokrzęsanych dzieci oraz - z tego, co słyszała - ekscentryczną byłą żoną, która podobno pluje jadem z wściekłości w tej ruderze w Herefordshire, dokąd się wyniosła? Nie chodziło o to, że Matthew nie jest sympatyczny, owszem, był sympatyczny i nawet przystojny, jeżeli ktoś lubi mężczyzn, którzy muszą się golić dwa razy dziennie, ale - to znaczy, prawdę mówiąc, jego pozycja w porównaniu z pozycją Toma wydawała się taka niepewna. I on o tym wiedział. Podczas ich pierwszego, niezręcznego spotkania, gdzie wystąpili w rolach przyszłej teściowej i zięcia w pobliskiej knajpce, przesuważąc po podkładce do piwa kieliszek nijakiego białego wina, powiedział:

- Sądzę, Elaine, że powinienem przeprosić.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Za co? Za to, że zabierasz Josie? Nikt nigdy nie zabrał Josie. Josie nigdy nie zrobiła nic, czego nie chciałyby zrobić. Nie musisz za to przepraszać.

- Nie za to. Ale nie jestem taką partią, jak Tom Carver.

Elaine popatrzyła na swój kieliszek. Pomyślała o domu w Bath, o podłużnych oknach na parterze, o wymuskaney piwnicy, gdzie Tom miał swoją pracownię architektoniczną, o małym, otoczonym murkiem ogrodzie z tyłu, z posągami i urnami. Josie mówiła jej, że Matthew Mitchell zarabia trzydzieści trzy tysiące rocznie. Widziała też dom, w którym mieli mieszkać, zawsze we dwoje, najczęściej we troje, a od czasu do czasu w sześcioro. Miał trzy sypialnie. Napila się wina.

- Nie ma sensu udawać - powiedziała do Matthew. - Ale rzeczywiście. Nie jesteś.

Rozejrzała się teraz po restauracji. Była to włoska knajpka, miała szorstkie białe ściany, krzesła z wyplatnymi siedzeniami i menu, w którym figurowało, poza innymi rzeczami, piętnaście rodzajów pizzy. Dlatego ją wybrano. Ze względu na dzieci. Pizza dla dzieci.

- Masz na to dość sił? - mówiła Elaine do Josie. - Jesteś pewna? Naprawdę chcesz sobie brać na kark te dzieci? To będzie trudniejsze niż wspinaczka na Everest.

- Mamo - odparła Josie - już przez to przechodziłam. Już byłam macochą.

- Ale tam było co innego. Te dzieci są młodsze i... powiedzmy, nie-
zbyt potulne...

- Weźmiemy się za to razem - powiedziała Josie. Szczotkowała włosy, tę zdumiewającą, olśniewającą miedzianą rzekę, która nie pasowała do reszty jej osoby. - Kocham go. On kocha mnie. Razem poradzimy sobie z dziećkami.

Siedząca przy Elaine Clare, młodsza córka Matthew, zapytała:

- Co to jest?

- Co takiego, kochanie?

- To - powiedziała Clare. Dziabnęła widelcem pizzę.

- Oliwka - odparła Elaine.

Clare położyła widelec.

- Fuj. Nie będę tego jadła. Wygląda jak karaluch.

- Więc zostaw oliwkę - powiedziała Elaine. - I zjedz resztę.

- Nie mogę - odparła Clare - po tym, jak leżała na niej oliwka.

Po drugiej stronie stołu siedzący obok siebie Rufus i Rory jedli łącznie. Rory rozrywał pizzę palcami, a Rufus po prostu jadł, żując me-

chanicznie, wpatrzony w swój talerz. Na talerzu Elaine leżała mała kupa makaronu w kształcie kokardek w sosie łososiowo-koperkowym. Nie miała ochoty na jedzenie. Jak jeszcze nigdy w życiu. Odwróciła się do siedzącej obok córki Matthew, Becky. Dziewczyna miała w nosie kolczyk w kształcie malutkiego półksiężyca, a co drugi paznokieć każdej ręki był pomalowany na czarno. Stojąca przed nią pizza była nieknięta.

- Nie jesz? - zagadnęła Elaine. Chciała powiedzieć „kochanie”, ale słowo to jakoś utknęło jej w gardle.

- Nie - odpowiedziała Becky. Jej prawa ręka powędrowała do lewej górnej kieszeni dżinsowej kurtki.

- Nie jesteś głodna?

Becky obróciła się i rzuciła jej krótkie spojrzenie. Niebieskie oczy dziewczyny miały niesamowity odcień bladej ostróżki.

- Jestem na diecie - powiedziała.

Karen, siostra Matthew, unikała spojrzenia ojca. Przesadzał, pił za dużo, wykrzykiwał coś z nieszczerą radością, próbując w ten sposób zatuszować fakt, że matka Matthew powinna być obecna, a nie jest, gdyż kategorycznie odmówiła przyjęcia na ślub. Nie dość, że odmówiła przyjęcia, to jeszcze urządziła długotrwałą i głośną scenę, której kulminacją było zamknięcie się w sypialni w dniu ślubu.

- Nie będę jej stamtąd wyciągał - powiedział ojciec Karen. - Nie będę nawet próbował. Dezaprobata wydobywa się ze szpary pod drzwiami jak czarny dym, niech się nim udusi.

Karen bolała głowa. Właśnie zakończyła ósmy z rzędu nocny dyżur na oddziale geriatrycznym i była tak skonana, że nie obchodziło ją, kto się z kim żeni. Myślała ze znużeniem o siedemnastoletnim małżeństwie Matthew z Nadine i o gradzie wyzwisk, którym matka stale obrzucała Nadine w związku z jej wyglądem, niegospodarnością, zwariowanymi - zdaniem matki - poglądami politycznymi, nieustającym zapalem do zdobywania nowych umiejętności, uczenia się nowych języków, nowych rzeczy.

- Kiedy ona przestanie się zabawiać i zarobi wreszcie jakieś cholerne pieniądze?

Ale kiedy Matthew zakochał się w Josie, matka Karen natychmiast zmieniła śpiewkę. Nadine stała się „żoną Matthew”, „matką moich wnuków”, „moją synową”, jakby jej nagle wyrosła aureola. Trzeba przyznać, że Nadine zważała na tę zmienioną opinię równie mało co na poprzednią, ale Matthew stanął do walki. Odbijał gwałtowne, pło-

mienne, hałaśliwe klótnie z matką, chodził za nią po domu i krzyczał, wrzeszczał i mówił jej, że tak naprawdę chodzi o to, iż jest zazdrosna, zwyczajnie, po prostu, potwornie zazdrosna, bo on miał odwagę, żeby zerwać nieudane małżeństwo dla przyszłego szczęścia, a ona nigdy się na to nie zdobyła, lecz wołała tkwić w miejscu i męczyć się, z zemsty wyładowując swoje rozczarowanie na wszystkich dookoła. I to była prawda. Karen westchnęła i podniosła swój kieliszek szampana, na którym zdołała zostawić już tyle rozmazanych śladów, że stracił swój krótkotrwały odświętny wygląd. Oczywiście, że to była prawda. Czyż to przedstawienie z jej rodzicami w rolach głównych, ich namacalna niezdolność do tego, aby spędzić razem weekend, nie mówiąc już o całym życiu, sprawiło, że w wieku trzydziestu sześciu lat wciąż nie miała męża i nie mieszkała z nikim dłużej niż miesiąc? Napiała się szampana. Stracił gaz, był ciepły i kwaskowaty. Siedzący obok niej synek Josie, Rufus, odłożył sztućce i tkwił nieruchomo, odsunięty, jakby czuł, że jest tu obcy.

- W porządku? - zapytała Karen.

Miły był z niego dzieciak. Powiedział:

- Spadł mi pomidor na krawat.

- Nie przejmuj się. Popatrz na mojego tatę. Jemu chyba spadło na krawat pół obiadu. Chcesz lody?

Rufus potrząsnął głową. Karen pomyślała, że wyglądał jak te kocia-ki i szczeniaki w oknach wystawowych sklepów ze zwierzętami, które błagają, żeby je zabrać ze sobą do domu. Wydawał się taki zagubiony. I pewnie tak się czuł. Karen widywała wiele dzieci w jego sytuacji w szpitalu. Wlokły się korytarzem, idąc odwiedzić rodziców, którzy nie byli ich rodzicami, nigdy nimi nie będą i nie mogą być, pomimo nazwy, jaką dla własnej wygody nadało im społeczeństwo. Dzieci te często wyglądały na oszołomione, tak jak Rufus, jakby proces opłakiwania poprzedniej rodziny - która w wielu wypadkach nie była nawet porządną, solidną rodziną biologiczną - na pierwszy, przerażony rzut oka był tak bolesny, że po prostu się nie odbył. Dlatego dzieci popadły w pełne zdumienia, posłuszne otępienie, jakby mimo swego przygnębienia w głębi duszy wiedziały, że są bezsilne. Karen dotknęła ramienia Rufusa.

- Polubisz go, wiesz, Matthew. Kiedy go lepiej poznasz.

Rufus powoli się zarumienił.

- Jest dobry dla dzieci. Lubi je.

Rufus pochylił lekko głowę, ale się nie odezwał. Karen spojrzała na swojego bratanka, Rory'ego. Zjadł całą pizzę z wyjątkiem brzegów, a teraz szybko pił coca-colę z puszki.

- Powinieneś sobie przelać do szklanki, Rory. To jest ślub.
Przerwał picie duszkiem i powiedział:

- Tak mi podali.

- To nie jest żaden powód - powiedziała Karen. Rory był bystry, zresztą tak jak wszystkie dzieci Matthew, ale miał, tak jak i jego siostry, zuchwałość Nadine. Nadine kwitła, kiedy mogła być zuchwała: rzucić wyzwanie ortodoksyjnemu, tradycyjnemu, ogólnie przyjętemu sposobowi myślenia. Karen była pewna, że Matthew zauroczyła właśnie tą jej zuchwałość, bo Nadine wydawała się taka świeża, żywiolowa i dociekliwa, po pełnym ograniczeń, opartym na sztywnych szacownych zasadach wychowaniu, jakie odebrali on i Karen. Nadine sprawiała wrażenie kogoś, kto z rozmachem otwiera okno, by wpuścić dziki, słony podmuch powietrza do uporządkowanego, zatęchłego życia Matthew, a on uwielbiał jej buntowniczość. Ale z czasem zaczęła go doprowadzać do wściekłości, do takiej wściekłości, że tuż przed poznaniem Josie wyprowadził się na miesiąc do wynajmowanego pokoju, w jakimś pensjonacie, i wszyscy musieli go kryć, żeby rodzice z jego szkoły nie dowiedzieli się o tym i nie pomyśleli, że się wykoleił. A mało brakowało. Zaczęło się, kiedy przed blisko ośmiu laty Nadine dołączyła do obozu kobiet koczujących pod bramą bazy wojskowej w Suffolk, a chociaż wróciła do domu, nie mogła przestać się buntować. Zakochała się w buncie przeciwko wszystkiemu - przeciwko macierzyństwu, przeciwko małżeństwu, przeciwko przedsięwzięciom edukacyjnym w szkole Matthew, przeciwko wszelkiemu porządkowi. Tropiła stereotypy, jakby były szczurami w kanale ściekowym, i przyklejała radykalne slogany na drzwiach lodówki. Życie z nią było niemożliwe, Karen o tym wiedziała, ale mimo wszystko Nadine coś w sobie miała. Ta kipiąca energia, te żarty, posiłki gotowane w środku nocy, nagła wylewność, która człowieka rozbrajała, za każdym razem, chociaż przysięgał sobie powiedzieć jej, i to całkiem serio, że jest samolubną krową.

Karen przechyliła się i położyła rękę na ramieniu Rory'ego.

- Powinieneś się zaopiekować Rufusem.

Rory nawet na nią nie spojrział.

- Dlaczego?

- Bo jest waszym przybranym bratem, a was jest troje.

Rory beknął.

- Nie popisuj się - upomniała Karen.

- Nic się nie zmieniło - odparł Rory, patrząc na drugą stronę stołu.

- C o ?

- Mama tak mówiła. Ten ślub. Nic nie zmieni. Tak powiedziała.

Karen nabrała tchu i oświadczyła:

- Przepraszam, ale zmienił. Dużo się zmieniło. Macie macochę i przybranego brata i będziecie musieli z tym żyć.

Między nimi dał się słyszeć cichy odgłos. Nieproszona łąz staczała się po policzku Rufusa, który, przerażony, podniósł prędko rękę, żeby ją powstrzymać.

- O Boże - powiedziała Karen.

Rory wypił resztkę coli i odepchnął swoje krzesło od stołu.

Nie patrząc na Rufusa, powiedział:

- Idziemy pokopać puszkę?

- W porządku? - szepnął Matthew.

Josie skinęła głową. Mimo całej upojnej radości, jaką odczuwała tego dnia, dlatego, że naprawdę należy do Matthew, nie mogła powstrzymać się przed ciągłym spoglądaniem na Rufusa. Wydawał się jej niewiarygodnie mały, zbyt drobny na swoje osiem lat, tak mały, jak w dniu, kiedy po raz pierwszy zaprowadziła go do szkoły, a on, patrząc na boisko, na którym często się bawił latem, aby się przyzwyczaić do nowego miejsca, powiedział:

- N i e .

- Rufus, to jest szkoła - przekonywała. - Bardzo chciałeś tu chodzić. Spodoba ci się.

Zabrał swoją rękę z jej dłoni i schował za plecami, żeby nie mogła dosięgnąć.

- Nie - powtórzył.

Teraz nie mógł powiedzieć „nie”, tak pewnie i niezależnie, jak wtedy, gdy był pięciolatkiem, ale mógł to wyrazić jego wygląd. Cała jego postać mówiła „nie” - to, jak siedział zgarbiony nad talerzem, jak nie chciał na nikogo patrzeć, jak odpowiadał tylko szeptem i monosylabami. Josie widziała, że Karen próbowała z nim rozmawiać, i raczej wyczuła, niż dostrzegła, ponieważ na wpeł odwrócona Karen zasłaniała jej widok plecami, jakiś drobny incydent, w wyniku którego Rory odszedł człapiąc od stołu, a Rufus za nim. Żaden nie zapytał, czy wolno odejść.

Matthew przysunął się bliżej. Poczula na uchu jego ciepły oddech.

- Nie mogę się doczekać.

- Matt...

- Słucham.

- Chłopcy wyszli...

- Pewnie kotłują się na parkingu. Nic im nie będzie, dobrze się bawią.

- Zdaje mi się, że żadne z dzieci nie bawi się dobrze.
- To prawda - przyznał i ujął ją za rękę. - Nie bawią się dobrze. Ale będzie inaczej. To dopiero początek.
- Może nie powinniśmy wyjeżdżać...
- Skarbie - powiedział Matthew - wyjeżdżamy na trzy noce. Tylko tyle. Należy nam się. Tak jak dzisiejszy dzień. - Ogarnął spojrzeniem stół. - Popatrz. Twoja matka, mój ojciec, nasze dzieci, twoja najlepsza przyjaciółka, moja siostra, są tu dla nas, ze względu na nas, ze względu na przyszłość, którą chcemy stworzyć, ze względu na przeszłość, którą chcemy naprawić. - Potrząsnął dłonią, którą trzymał. - Kocham cię.
- Ja też - odparła. - Ja również. Chociaż muszę ci powiedzieć, że zdaniem mojej przyjaciółki nie zrobiliśmy tego dostatecznie cicho. Ona uważa, że powinniśmy po prostu zniknąć w środku nocy z dwoma świadkami.
- Niech sobie uważa - powiedział Matthew. - Jej sprawa. Nie bierzemy ślubu z nią. Nie bierzemy ślubu z nikim, tylko ze sobą nawzajem.
- Nie lubię, kiedy ktoś nie pochwała tego, co robię. Nawet jeżeli znam tę osobę tak dobrze, jak Beth.
- To wspaniale - rzekł Matthew. - To po prostu wspaniale, że coś takiego w ogóle cię obchodzi. - Popatrzył na nią, zatrzymując spojrzenie na ustach, co zawsze sprawiało, że robiło się jej słabo. - Nadine upajałaby się każdą chwilą.

Siedząca po drugiej stronie stołu Beth Saddler, przyjaciółka Josie z dawno minionych czasów szkolnych w Wimbledon, zapytała ojca Matthew, czy może zapalić.

- Myślę, że tak. Popielniczki są wszędzie, prawda? Dotrzymałbym pani towarzystwa, ale jest to jedyna rzecz, którą rzuciłem i wytrzymuję.

Beth wyjęła z torebki paczkę papierosów oraz zapalniczkę i położyła je koło talerza.

- Strasznie mi się chciało zapalić.
- To przez te uroczystości - powiedział ojciec Matthew. - Człowiek się denerwuje.
- Byłam na pierwszym ślubie Josie. Biała suknia, z całą pompą, w kościele. Mimo że była w ciąży. Matthew też miał taki?
- Nie - odparł ojciec Matthew. Wylał resztkę wina z najbliższej stojącej butelki do swojego kieliszka. - Urząd stanu cywilnego i curry na lunch. - Skrzywił się. - Jeszcze czuję jego smak.
- Jakoś nie mogę pojąć tego gadania o ślubach. Zawieranie drugie-

go małżeństwa nie jest żadnym ślubem. Powinno odbywać się tak cicho, żeby prawie nie było słyhać. Czy pana żona też tak sądzi?

- Od czterdziestu pięciu lat nie mam zielonego pojęcia, co sądzi moja żona.

Beth ciągnęła dalej, jakby się wcale nie odezwał:

- Chodzi mi o tych przybranych rodziców. Wiem, że to jest okropnie powszechne i w ogóle, ale przybrany rodzic musi być dla dziecka kiepskim nabytkiem. Wiem, że to niczyja wina. Wiem, że tak po prostu jest. Ale wszyscy dzisiaj jakby zakładamy, że wszystko będzie dobrze, że ten ślub, to małżeństwo, te dzieci, że to jest naturalne.

Ojciec Matthew popatrzył na Beth.

- Pani ma męża?

- Nie - odrzekła Beth - ale od siedmiu lat z kimś mieszkam.

Ojciec Matthew chrząknął.

- Dzieci?

- Nie.

Podrapał się w ucho.

- Mnie się wydaje - powiedział - że są dobrzy rodzice i źli rodzice, tak samo jak dobrzy przybrani rodzice i źli przybrani rodzice, a w dzisiejszych czasach wszystko jest tak cholernie poplątane, że jak się komuś trafią dobrzy, obojętnie jakiego rodzaju, to ma szczęście.

Beth podniosła swoje papierosy i zapalniczkę, po czym zdecydowanym ruchem odłożyła je na miejsce.

- Och - powiedziała.

- Ona pali - odezwała się Becky.

Ted Holmes, który poznał Matthew dwadzieścia lat wcześniej podczas wakacyjnej wspinaczki we Francji i od tamtego czasu był jego przyjacielem, zapytał: co z tego?

- To, że ja też zapalę - odparła Becky.

Ted zmierzył ją wzrokiem. Była wysoka jak na swój wiek, miała już wyraźnie zarysowane piersi i niesamowite niebieskie oczy swojej matki, jasne i puste jak oczy pięknych i niebezpiecznych kosmitów z powieści Johna Wyndhama.

- A kogo zamierzasz zdenerwować?

Becky wzruszyła ramionami.

- Nikogo.

- Czyli wszystkich.

- Kto zauważy?

- Twój ojciec. Twój dziadek.

- Mama się nie przejmuję - oświadczyła Becky.
- Nie ma jej tu - odrzekł Ted - więc nieważne, czy się przejmuję, czy nie.

Ted zawsze uważał Nadine za absolutny koszmar. Matthew poznał Nadine wkrótce po ich pierwszych wakacjach w górach i Ted był przeżony.

- Chłopie, nie rób tego - przekonywał Matthew. - Nie rób. Ona jest chodzącym chaosem. To wariatka.

Matthew go uderzył. Zaczęli niezdarną bójkę na parkingu pubu, którą właściciel bez trudu przerwał, mówiąc im po prostu, żeby przestali. Matthew zdecydował się na ożenek z Nadine, a potem Ted poznał w swoim klubie squasha dziewczynę i rozpoczął zaloty, tak długie i monotonne, że pewnie trwałyby do tej pory, gdyby ona nie zagroziła odejściem, o ile się z nią nie ożeni. Kiedy już się ożenił, spodobało mu się to. Penny była jeszcze lepszą żoną niż dziewczyną, po pięciu latach bez zbędnego zamieszania urodziła bliźniaki - chłopców, którzy właśnie siedzieli w domu, chorzy na odrę, a Penny się nimi zajmowała, zamiast towarzyszyć Tedowi we włoskiej restauracji w Sedgebury i podtrzymywać na duchu Matthew.

- Myślę, że lepiej będzie, jak poczekaasz z tym papierosem do czasu, kiedy wsiądziesz do pociągu. Wracasz dziś do Hereford, prawda? - odezwał się Ted do Becky.

Becky skinęła głową.

- Mama po ciebie wyjedzie?
- Jeżeli jej stary gruchot ruszy. To złom. Tylko tyle dał jej tata.
- Spokojnie.
- Z tyłu ma w podłodze dziurę. Widać szosę.
- Czy twoja matka ma jakąś pracę? - spytał Ted, przyglądając się obgryzionym doszczętnie paznokciom Becky.

- N i e .

- Gdyby miała pracę, mogłaby kupić lepszy samochód.
- Dlaczego miałyby pracować?
- Wszyscy musimy próbować - odparł Ted. - Każdy ma jakiś przydział.

Becky ściągnęła kosmyk włosów przed oczy i zaczęła mu się przyglądać.

- Ale nie wtedy, kiedy to jest niesprawiedliwe.
 - Niesprawiedliwe?
 - Ona ma nowy dom, nie? - powiedziała Becky, nie patrząc na Josie.
- A ich samochód jest prawie nowy.

- I gdzie tu niesprawiedliwość?
- A mama?
- Becky - powiedział Ted, nagle zniecierpliwiony - twoja matka nie poznałaby się na sprawiedliwości, nawet gdyby ją jej podano na tacy. Puściła kosmyk włosów i spojrzała na niego ze złością.
- Świnia - powiedziała. Wzruszył ramionami.
- Niech będzie - odparł. - Jeżeli to ci poprawia nastrój. Nabrała powietrza.
- Nic mi nie poprawia! - wrzasnęła. - Nic! I nigdy nie poprawi! - a potem wybuchła płaczem i padła twarzą w zimną, nietkniętą pizzę.

- Ted przepraszał - powiedział Matthew.

Josie, która siedziała z zamkniętymi oczami, opierając głowę o zagłówek fotela pasażera, zapytała, czemu czuł się zmuszony do prze-prosin.

- Za to, że wytrącił z równowagi Becky.
- Co jej nagadał?
- Nie chciał mi powiedzieć, ale coś na temat Nadine. Coś oczywiście, bez wątpienia. Nie znoził Nadine.

Josie poczuła ciepły promyk życzliwości dla Teda Holmesa. Rozgrzał ją, prześlizgując się po chłodzie, który mimo całego wcześniejszego radosnego poniecenia ogarnął ją w chwili pożegnania z Rufusem. Miał zostać na trzy dni u Elaine, jej matki. Podniósł twarz do pocałunku, twarz pozbawioną wszelkiego wyrazu, jakby był całowany przez kogoś, kogo prawie nie znał, ponieważ kazano mu się na to zgodzić.

- Pa, kochanie.
- Pa - mruknął.
- Baw się dobrze - powiedziała Elaine. - Nie martw się. Nie myśl o nim.

Josie spojrzała na nią z wdzięcznością. Elaine sama nie znalazłaby się dobrowolnie w podobnej sytuacji, ale starała się, naprawdę się starała ją zaakceptować, dostrzec dobre strony.

- Mama była w porządku - odezwała się teraz do Matthew.
- Sięgnął po jej rękę.
- Zgadza się - odrzekł. - I tata był świetny, i Karen była świetna, a moja matka okropna.

Josie obróciła głowę, aby móc widzieć jego profil i zarys szczęki, którą tak podziwiała i która niespodziewanie tak ją podniecała - ku jej zaskoczeniu, bo nigdy przedtem nie zwracała uwagi na męskie szczęki.

Joanna Trollope

- A dzieci...

- Josie - powiedział Matthew. Zdjął rękę z jej dłoni i położył ją z powrotem na kierownicy. - Josie, mamy dla siebie trzy noce i dwa dni i przez cały ten czas nawet nie wspomnimy o dzieciach. - Zamilkł, po czym dodał o wiele mniej pewnym głosem: - Mamy na to resztę życia.

Rozdział drugi

Elizabeth Brown stała przy oknie na piętrze domu, który właśnie kupiła, i patrzyła w dół na ogród. „W dół” było dobrym określeniem. Ogród opadał ku małej uliczce tak stromo, że któryś z poprzednich właścicieli zrobił w nim tarasy przypominające ogromne schody i wytyczył łagodną, zygzakowatą ścieżkę, żeby można było dojść do drzwi frontowych bez konieczności wspinania się. Gdyby Elizabeth wyszła z tej sypialni i przeszła do małego pokoju za nią, który zamierzała przerobić na łazienkę, zobaczyłaby, że grunt, jakby ignorując postawiony na nim szereg domów, wznosi się z tyłu równie stromo, jak z przodu opada, tworząc wzniesienie na drugiej ulicy, gdzie widać było tylną bramę i garaż. Ojciec Elizabeth, kiedy przyszedł obejrzeć dom, powiedział, że przypomina to mieszkanie w połowie klatki schodowej.

- Wiem - odparła. Kochała ojca i liczyła się z jego zdaniem. - Myślisz, że zwariowałam?

- Nie, jeżeli naprawdę go chcesz.

Chciała. Było to dość niepokojące uczucie, ponieważ dom całkowicie różnił się od tego, co zamierzała kupić. Chciała mieć wiejską chatę, która stanowiłaby zupełną odmianę po funkcjonalnym, ale bezbarwnym mieszkaniu w londyńskim bloku, gdzie z powodu pracy mieszkała w ciągu tygodnia. Kiedy matka Elizabeth zmarła, a jej ojciec postanowił sprzedać antykwariat w Bath i przenieść się do mieszkania na tyle dużego, żeby pomieściło książki, butelki whisky i puszki z zupą, czyli wszystko, co było mu potrzebne do życia, dał Elizabeth trochę pieniędzy. Właściwie sporo pieniędzy, a w każdym razie dość, aby - jeżeli zechce - mogła odmienić swoje pracowite, wygodne, lecz monotonne życie zawodowe. Dość, aby kupić wiejski dom. Domek pośród wzgórz otaczających Bath, z ogrodem.

- Powinnaś się zająć ogrodnictwem - poradził jej ojciec. - To pasu-

je do kobiet. Wymaga troskliwości i kojarzy się z rodzeniem. Poszukaj sobie ogrodu.

Obejrzała dziesiątki ogrodów wraz z domkami. Wyraziła nawet gotowość kupna paru z nich, lecz o dziwo wcale nie była rozczarowana, kiedy jej oferty zostały przebite. Oglądała wiejskie domy i ogrody przez całe lato. Wyjeżdżała do Bath w piątek wieczorem i zatrzymywała się u ojca, gdzie było jej dość niewygodnie wśród tych wszystkich stert książek. Oglądała domy przez całą sobotę, a czasem i w niedzielę rano, po czym w niedzielę po południu wracała do Londynu, żeby się przygotować na nadchodzący tydzień.

- Ideał nie istnieje - powiedział ojciec. - Trzeba go dopiero stworzyć. - Popatrzył na nią. - Zaczynasz popadać w rutynę, Elizo. Musisz wykonać skok. Przejąć piłkę.

- Ty nigdy tego nie zrobiłeś...

- Nie. Co nie znaczy, że uważam to za właściwe. Kup wieżę. Kup wiatrak. Kup cokolwiek.

Więc kupiła. W ciepły wrześniowy poranek zrezygnowała z oglądania posiadłości w Freshford i zaczęła przechadzać się po stromych ulicach i uliczkach powyżej domu ojca. Okolica była bardzo ciekawa i uroczą, w położonych na pagórkach szeregowych domach toczyło się spokojne, porannoniedzielne życie: rodziny, pary, dochodzący przez otwarte okna dźwięk włączonego radia, chaotyczne prace ogrodnicze, psy, jeden czy dwa dziecięce wózki, pranie. Tu i ówdzie na frontowych żywopłotach zatknięto niedbale tabliczki z napisem „Na sprzedaż”, ale Elizabeth nie chciała domu w mieście, więc nie patrzyła na nie, chyba tylko po to, żeby pomyśleć z tęsknotą, z którą tak się oswoiła, że prawie jej nie zauważała, jakie to musi być miłe: musieć kupić dom w mieście, blisko szkół, dla rodziny. Jak miło jest musieć coś zrobić, zamiast zastanawiać się z uczuciem pewnego zagubienia, które przyjaciele głośno, z zazdrością nazywają wolnością, co można by chcieć zrobić.

Zatrzymała się przed furtką. Była to niska, żelazna furtka, a na niej znajdowała się tablica z krzywo wymalowanym napisem: „Uwaga, klematis”. Tabliczka „Na sprzedaż” opierała się ze znużeniem o młodą lipę, jakby tkwiła tam już od dłuższego czasu. Elizabeth rozejrzała się wokół. Ogród był wprawdzie zarośnięty splątą roślinnością, ale sprawiał wrażenie, że ktoś go kiedyś starannie rozplanował. Wznosił się stromo do płaskiej fasady małego, piętrowego domku, który tkwił w szeregu dziesięciu mu podobnych. Miał czarny, żelazny ganek w stylu regencji, ceglany komin, a w sąsiednim ogrodzie mała dziewczynka, ubrana tylko w różowe majtki i spiczasty kapelusik, śpiewała dla ko-

goś znajdującego się w pudełku po butach. Elizabeth otworzyła furtkę i ruszyła krętą ścieżką w górę.

Teraz, gdy minęły trzy miesiące, dom należał do niej. Na lipie nie było liści, a ogród pograżył się w burej nicości, ale lipa należała do Elizabeth, tak jak i dziwne, na wpół uporządkowane tarasy, które zdaniem Toma Carvera stwarzały wiele możliwości. Tom Carver był architektem. Ojciec Elizabeth go znał, ponieważ jego antykwarjat specjalizował się między innymi w książkach z dziedziny architektury, i zaproponował Elizabeth, żeby skorzystała z jego pomocy.

- Sympatyczny człowiek. Dobry architekt.

- Tak, akurat w tym jestem dobry - przyznał Tom Carver, kiedy stał w małym saloniku. - Jestem dobry w tworzeniu przestrzeni.

Z wdzięcznością skinęła głową. Peszyło ją to, że chociaż w swoim życiu zawodowym delikatnie nakłaniała ludzi do podejmowania decyzji albo bez wahania podejmowała je sama, w tym domu czuje się tak bezradna, jakby krył w sobie różne możliwości, a ona wątpiła, czy im sprosta.

- Wie pan, nie jestem pewna, czy w ogóle chcę mieć dom - powiedziała Tomowi Carverowi.

- Ale ten pani chce.

- Tak mi się zdaje...

Był po pięćdziesiątce, dość tęgi, miał gęste, siwiejące włosy, a poruszał się zdumiewająco swobodnie i lekko. Zauważyła też, że ubrania nosił z podobną swobodą, jakby spełniały dokładnie jego wymagania. Elizabeth rzadko się tak czuła. W pracy było łatwo, strój nie stanowił problemu, bo wymagano jedynie, aby był władczy, ale stonowany. Problem stanowiły ciuchy „na luzie”. Nigdy, przez całe swoje życie, nie mogła do końca złapać, jakie powinny być ubrania na czas luzu.

- Sądzę, że powinniśmy to wyburzyć - poradził Tom Carver. - Powstanie wtedy jeden naprawdę przestronny pokój, z oknami wychodzącymi na północ i południe, a do tego będzie dość miejsca, żeby przyhołubić parę kotów. - Przeciągnął knykciami po ścianie działowej między pokojami. - Czym się pani zajmuje?

- Jestem urzędniczką państwową.

- Podatki?

Zarumieniła się, potrząsając głową.

- Kultura. Głównie - biblioteki.

- Dlaczego się pani rumieni? Biblioteki są urocze.

- W tym cały kłopot.

Uśmiechnął się.

- Urządzimy ten dom w stylu awangardowym?
- Byłabym zdruzgotana - odparła ze śmiechem.
- Nie mówię poważnie - powiedział - ale nic nie szkodzi trochę się pośmiać. Jeżeli zrobimy kuchnię po północnej stronie tego pokoju, będzie pani miała południową na wypoczynek.
- Nie wolno mi wypoczywać - powiedziała Elizabeth. - Nie wolno. Muszę uprawiać ogród.

Muszę się nauczyć, pomyślała teraz, patrząc na ogród. W funkcjonalnym mieszkaniu przy Draycott Avenue nie było nawet skrzynki w oknie, a kwiaty doniczkowe, które przynosili jej znajomi - zauważyła, że należy do tego typu kobiet, którym znajomi przynoszą rośliny doniczkowe, a nie bukiety kwiatów, naręcza lili czy bzów - zawsze ginęły, pewnie dlatego, że tak się o nie martwiła. Ale ten ogród to co innego. W ogrodach była Przyroda, nie tylko instrukcje na plastikowych etykietkach. Przyroda zapewniała dopływ cudownej energii i wytchnienia, więc ogrodnictwo różniło się od postępowania według instrukcji. Pewnie jestem w odpowiednim wieku do uprawiania ogrodu, pomyślała. Czyż nie jest tak, że ludzie zaczynają coś nowego, zbliżając się do czterdziestki, kiedy uświadamiają sobie, że mają ostatnią szansę sprawić, aby rosło i istniało coś żywego?

Przed małą branką zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Tom Carver. Pod pachą miał długi rulon papieru - rysunki, które obiecał przynieść, projekty jej nowego salonu, nowej łazienki, nowego pokoju gościnnego, przerobionego sprytnie ze starej łazienki, nowego patio, które miało wrzynać się w zbocze wzgórza oraz zostać wyposażone w krzesła i stół, przy którym, jak obiecywał Tom Carver, będzie jadła śniadania w krótkotrwałym porannym słońcu. Kiedy wspinał się po ścieżce, zastukała w okno, a on spojrzał w górę i pomachał jej ręką. Zeszła do wąskiego holu, który wkrótce miał zostać wchłonięty przez otwarty salon, i wpuściła go do środka.

- Cholernie zimno - powiedział.
- T a k ?
- O wiele zimniej tu na górze niż tam, gdzie ja mieszkam. Jak się pani miewa?
- Doskonale - odrzekła.
- Kiedy przechodziłem przez rozwód, a ludzie mnie pytali, jak się miewam, odpowiadałem „Dziękuję, fatalnie”, a oni się obrażali. Doskonale samopoczucie to społeczny obowiązek, w przeciwnym razie jest się solą w oku innych.
- Ale ja naprawdę czuję się świetnie - rzekła Elizabeth.

Spojrzał na nią przelotnie.

- Skoro pani tak twierdzi.

Przeszedł do saloniku i rozłożył rysunki na podłodze.

- Konstrukcja domu wcale nie jest regularna. Panuje przekonanie, że w czasach króla Jerzego ludzie dbali o symetrię, ale większość domów w Bath jest symetryczna tylko w przybliżeniu. Mnie się to podoba. Ci osiemnastowieczni budowniczowie wydają się bardziej ludzcy, kiedy tak mówią do siebie: „Walnij tę ścianę tutaj, Will, nikt nie zauważy”.

Elizabeth uklękała na podłodze. Rysunki były bardzo ładne, wszystkie te staranne linie i obszary namalowane rozmytym indygo, opisane dyskretnie eleganckim pismem architekta.

- Zawsze chciał pan zostać architektem?

- Nie. Chciałem być lekarzem. Tak jak mój ojciec i dziadek, ale przestałem to brać pod uwagę z zazdrości, kiedy mój starszy brat zdobył stypendium medyczne w Cambridge.

Elizabeth przeciągnęła palcem po zacieniowanym prostokącie, który miał być jej południowym oknem.

- Żałuje pan?

- T a k .

- Czy uważa pan, że przez ten żal jest pan lepszym architektem?

Przykucnął obok niej na podłodze.

- Co za miłe pytanie, panno Brown.

- Elizabeth.

- Dziękuję. Zgodnie z prawdą odpowiem, że dzięki temu odnoszę sukcesy jako architekt.

- A ja odnoszę sukcesy jako urzędniczka państwowa.

- Czy to nagana?

Elizabeth wstała.

- Tylko małe ostrzeżenie. Dlaczego nie umieścił pan zlewu pod północnym oknem?

- Dlatego, że zrobiłem tam drzwi do ogrodu.

- Ale ja nie chcę mieć w tym pokoju dwójga drzwi prowadzących na zewnątrz.

Tom także wstał.

- Wobec tego trzeba pomyśleć od nowa.

- Będzie mi przecież potrzebne miejsce na kalosze i płaszcze, i jakieś schronienie przed deszczem, żeby się rozebrać.

Tom pochylił się i położył palec na planie.

- Tutaj.

- Och, przepraszam.

- A tu są drzwi zewnętrzne. Tamte były przeznaczone na lato. Żeby przez nie nosić tace. Takie rzeczy. W letnią sobotę. Kiedy wpadną przyjaciele na drinka. - Przerwał. Wyprostował się i popatrzył na nią. - Tak naprawdę nie wyobraża sobie pani mieszkania tutaj, prawda? - dodał zmienionym tonem.

- Nie - przyznała. Włożyła ręce do kieszeni płaszcza. - To znaczy - wydawało mi się, że tak, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ten dom. Może dlatego, że zobaczyłam życie, które toczyło się wokół. Ale jestem pewna, że to się spełni. Wyobraźnia nigdy nie była moją mocną stroną.

Tom lekko i wprawnie trącił nogą rysunki leżące na podłodze, które posłusznie zwinęły się w rulon.

- Mam propozycję. Zabiorę panią do mojego domu, gdzie jest przyjemniej ciepło, poczęstuję panią kawą i porozmawiamy...

- Nie zamierzam się wycofać...

- Chciałbym być tego pewien, zanim powiem, ile już panią kosztują moje usługi.

- Ja chcę mieć ten dom - powiedziała Elizabeth z pewnym naciskiem.

Tom schylił się i podniósł rulon. Spojrzał na nią. Uśmiechał się.

- Wierzę w pierwsze dwa słowa tego zdania - powiedział - co najmniej.

Elizabeth siedziała przy stole w kuchni Toma Carvera. Był to długi stół, ze starego poźółkłego drewna, i znajdowało się na nim dużo niepasujących do siebie rzeczy - sterta gazet, miska jabłek, w której oprócz owoców leżało też parę kluczy i otwarte listy, kilka świeczników, zakręcona butelka po winie, kubek do kawy, latarka - ale wszystkie zdawały się być na swoim miejscu, jakby umieszczono je celowo, tak jak ubrania Toma. Jasna kuchnia zajmowała całą szerokość domu, a na końcu miała przeszklone drzwi, za którymi Elizabeth widziała malowaną żelazną poręcz, która przypuszczalnie należała do schodów wiodących do ogrodu. Była to kuchnia, jakie widywało się w sklepach meblowych albo czasopismach, gdzie żadna ilość luksusowych gratów nie mogła przesłonić faktu, że wszystko jest starannie przemyślane, a każdy uchwyt od szafki i każda lampa zostały z rozwagą obejrzone, zanim je wybrano.

Tom Carver postawił przed nią kubek kawy.

- Nie wyglądasz na zachwyconą.

- Nie jestem przyzwyczajona do domów, które są tak zadbane - powiedziała Elizabeth.

- To jednak mój zawód.

- Tak, oczywiście. Nie chciałam być niegrzeczna.

- I nie byłaś. - Usiadł naprzeciwko niej. - Pierwsi mieszkańcy tego domu na pewno bardzo o niego dbali. Prawda? Zwłaszcza o pokoje reprezentacyjne, Bath było przecież takie modne. - Przerwał i podsunął jej cukiernicę z ciemnym cukrem. - A w ogóle dlaczego chcesz mieszkać w Bath?

- Mój ojciec tu mieszka. Znam je. Łatwy dojazd z Londynu.

- Czemu nie kupiłaś domu w Londynie, z ogrodem, wtedy byś mogła po prostu przyjeżdżać do ojca w niektóre weekendy?

Elizabeth wsypała łyżeczkę cukru do kubka i powoli zamieszała.

- Nie wiem. Nie pomyślałam, o tym. Opętał mnie pomysł, żeby mieć większą posiadłość z ogrodem.

- Anglosaska wiejska sielanka.

- Może.

- To bardzo romantyczna sielanka, pobudzająca wyobraźnię. Sasi tańczący wokół umajonych tyczek...

- Tylko że oni wcale nie tańczyli - powiedziała Elizabeth - prawda? Pełzali w błocie, odziani w łachmany, i umierali przed trzydziestką.

- Sielanki nie lubią takich faktów. Sielanki polegają na braku błota i posiadaniu wszystkich własnych zębów. Ty marzysz o sielance?

Elizabeth napiła się kawy.

- Nie - odparła.

- Rozsądna dziewczynka.

- Nie jestem tego taka pewna - powiedziała Elizabeth - ale kiedy umarła moja matka, zapragnęłam zmiany, zrobienia czegoś nowego, dodania czegoś. Nie chciałam zmieniać pracy, bo brakuje mi tylko roku czy dwóch do dość poważnego awansu, ale czułam - czułam, że mogę się zamienić w jedną z tych kobiet, które uczyły nas w szkole i których żalowaliśmy z wyżyn naszych czternastu lat i pewnie niesłusznie, że nie mają w życiu nic oprócz nas.

Tom otulił kubek dłońmi.

- Byłaś kiedyś mężatką?

Zapadła chwila ciszy.

- Nie - odparła Elizabeth.

- A chciałaś być?

Elizabeth wbiła wzrok w swoją kawę. Z jednej strony, chciała mu odpowiedzieć wyniośle, że przecież nie zna jej dość dobrze, żeby pytać

o coś takiego, a z drugiej miała ochotę zwierzyć się na fali ulgi, że zwykle miała ochotę wyjść za mężczyzn, którzy już byli mocno związani małżeństwem, i martwiło ją, iż potrafi pozwolić sobie na miłość tylko wtedy, kiedy nie ma realnego zagrożenia, że będzie musiała się związać na stałe. A jednak - i to sprawiało jej coraz większy ból - samotność spowodowana tym uprzedzeniem stawała się z dnia na dzień trudniejsza do zniesienia. Zaczynała myśleć, jak jej ojciec, że każda w połowie pełna butelka whisky jest tak naprawdę w połowie pusta. Kiedy rano stała w małym domku na Lansbury Crescent, mogła sobie wyobrazić swoją tam samotność, ale nie scenę, o której mówił Tom - letni wieczór, przy otwartych drzwiach do ogrodu, taca drinków na stole na patio i grupa przyjaciół. Miała przyjaciół, oczywiście, że miała, przyjaciół, z którymi chodziła do kina i teatru, przyjaciół, którzy zapraszali ją do siebie na lunch w niedzielę i którym nie udało się jej zwieść, gdy udawali, pośród komicznych jęków i narzekań, że nie czerpią głębokiej satysfakcji z posiadania dzieci. Można też było - miała innych samotnych przyjaciół, którzy tak robili - zamienić przyjaciół w coś w rodzaju rodziny, ale w końcu i tak czekała pustka, nie tyle w pustym mieszkaniu, ile w sercu. Ta myśl poraziła ją zaledwie przed tygodniem, kiedy wypełniała kartę dawcy nerek w swojej przychodni. Kogo należy zawiadomić w razie jej śmierci? Mojego ojca, napisała. I zatrzymała się. Kiedy jej ojciec umrze, kto by to miał być?

- Myślałam, że będziemy rozmawiać o moim domu - powiedziała do Toma Carvera.

- Rozmawiamy.

- Ale...

- Wyciągam z ciebie podstępem, czy naprawdę chcesz wydać jakieś piętnaście tysięcy funtów na coś, co do czego może nie jesteś całkiem przekonana.

- Co to ma dla ciebie za znaczenie? - powiedziała Elizabeth opryskliwie. - Co cię to może obchodzić? Dostaniesz swoją zapłatę niezależnie od tego, czy mi się dom spodoba, czy nie.

Tom Carver wstał i przeszedł do blatu kuchennego, na którym zostawił dzbanek z kawą. Powiedział spokojnie:

- Masz rację. W przypadku większości klientów rzeczywiście mnie to nie obchodzi. W końcu to oni dokonują wyborów i konsekwencje tych wyborów sami ponoszą. Ale... - urwał.

- Ale co?

- Ty jesteś miłą kobietą - powiedział po prostu. Ręka z dzbankiem zawisała nad jej kubkiem. - Jeszcze kawy?

Potrząsnęła głową. Napełnił swój kubek.

- Czy mogę ci coś pokazać? - zapytał.

- Oczywiście.

Postawił dzbanek z kawą i przeszedł na drugi koniec kuchni, który był urządzone trochę jak salonik, były tam fotele, kanapa i telewizor. Wrócił, niosąc oprawioną w ramki fotografię, i ustawił ją przed Elizabeth.

- Proszę.

Było to zdjęcie małego chłopca, mniej więcej - Elizabeth miała zawsze kłopot z określeniem wieku dzieci - siedmioletniego. Był bardzo ładny, miał gęste włosy, przejrzyste oczy i kilka piegów. Nosił kraciatą koszulę, dżinsy i siedział okrakiem na bramce czy płocie, patrząc wprost w obiektyw, jakby nie miał nic do ukrycia.

- Mój synek - powiedział Tom. - Rufus. Ma osiem lat.

- Wygląda jak aniołek.

- Ja sądzę, że nim jest - odparł Tom. - Przynajmniej pod jego nieobecność.

Elizabeth odsunęła zdjęcie o kilka cali od siebie.

- A co, wyjechał do szkoły?

- Nie. Mieszka z matką.

- Och - westchnęła Elizabeth.

- Jego matka odeszła ode mnie - ciągnął Tom. - Prawie rok temu. Porzuciła mnie dla zastępcy dyrektora szkoły średniej w miejscowości Sedgebury, w Midlands.

Elizabeth ponownie popatrzyła na zdjęcie.

- Bardzo mi przykro.

- Ona też jest nauczycielką - powiedział Tom. - Spotkali się na konferencji poświęconej zadaniom wychowawczym w szkolnictwie państwowym. On ma troje dzieci. Pobrali się w zeszłym tygodniu.

- Bardzo mi przykro - powiedziała znowu Elizabeth.

- Może powinienem był się tego spodziewać. Wiele osób mi to mówiło. Ona jest o piętnaście lat młodsza ode mnie.

Elizabeth pomyślała, że ta nieobecna żona jest pewnie jej rówieśnicą.

- A może chodziło o różnicę usposobienia, nie wieku? - spytała ostrożnie. - Między moimi rodzicami była różnica dwunastu lat, a byli bardzo szczęśliwi...

Uśmiechnął się do niej.

- W naszym przypadku było i jedno, i drugie.

Zadzwoił telefon.

- Przepraszam - powiedział.

Przeszedł przez kuchnię do telefonu wiszącego na ścianie i stanął tyłem do Elizabeth.

- Halo? Cześć, kochanie. Nie. Nie, jest u mnie ktoś. Nie, klient. Tak, oczywiście, że możesz. W niedzielę rano. U ciebie wszystko w porządku? Dobrze ci minął tydzień? Mogliby ci dać telefon komórkowy, tyle podróżujesz. Dobrze, kochanie, świetnie. Do jutra.

Odłożył słuchawkę.

- Moja córka.

Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona.

- Twoja córka?!

Wrócił do stołu, uśmiechając się.

- Moja córka, Dale. Robi się z tego prawdziwa spowiedź. Musisz mieć coś takiego w twarzy. Mam dwudziestopięcioletnią córkę i jeszcze jednego syna w wieku dwudziestu ośmiu lat.

- Jakim sposobem?

- Metodą konwencjonalną. Moja pierwsza żona zmarła dwadzieścia lat temu, przez jakiegoś wirusa, którego złapała podczas urlopu na wyspach greckich. Po dziesięciu dniach nie żyła.

Elizabeth wstała.

- Wyrażenie „co za pech” wydaje się co najmniej nieodpowiednie.

Spojrzał na nią.

- Ale tak właśnie było. Myślałem, że umrę z rozpaczy, ale nawet w najgorszych chwilach wiedziałem, że to niczyja wina. To był los, fatum, ten przypadkowy cios, dla którego świat starożytny miał taki respekt.

- Sam wychowywałeś dzieci?

- Tak. Dopiero gdy dziewięć lat temu Rufus był w drodze, ożeniłem się z Josie.

- Ale twoje starsze dzieci były wtedy już prawie dorosłe...

- Prawie. Nie było to łatwe. Prawdę mówiąc, bywało okropnie. Dale i Lucas - zwłaszcza Dale - byli przyzwyczajeni, że mają mnie dla siebie.

Elizabeth odwróciła się, żeby poszukać płaszcza.

- Ja nigdy nie musiałam rywalizować o względy mojego ojca. Może mam szczęście...

- Słuchaj, przepraszam. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Nie chciałem cię tym wszystkim obarczać, nie miałem zamiaru zrobić nic poza delikatnym wybadaniem, co naprawdę chcesz zrobić z tym domem - powiedział Tom.

Wzięła płaszcz z oparcia stojącego w pobliżu krzesła. Tom wstał i pomógł jej się ubrać.

- Teraz nie wiem.

- Teraz?

- Po rozmowie z tobą zaczęłam się zastanawiać. Albo po tym poranku.

Pomógł jej nałożyć płaszcz i przez chwilę zatrzymał ręce na jej ramionach.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak - powiedziała.

- Mimo że się przed tobą wywnętrzałem?

- Nic nie szkodzi. Czasami... - przerwała. - Czasami ludzie tego nie robią, bo myślą, że nie zrozumie.

Podszedł bliżej i popatrzył na nią.

- Tak bym chciał zaprosić cię na lunch.

- Teraz?

- Natychmiast - powiedział.

- No i co, wszystko ustalone? - zapytał ojciec Elizabeth.

- Nie - powiedziała Elizabeth. - To znaczy nie w sprawie domu. Mówiłeś, że znalazłeś kogoś do sprzątnia?

- Tak. Na dwa przedpołudnia w tygodniu - odparł Duncan Brown.

- Była już?

- To jest on. Pracuje jako barman na pół etatu „Pod Lisem i Winogronami”. Nie, nie był.

- Tu jest okropnie, tato. Po prostu brudno.

- Naprawdę?

- T a k .

- Ja tego jakoś nie zauważam.

- Ani ci to nie przeszkadza.

- Wcale.

- Myślę, że muszę coś zrobić przynajmniej z łazienką - powiedziała Elizabeth.

- Lepiej opowiedz, jak ci minął dzień.

- Trochę mi głupio...

- Dlaczego?

- Bo dowiedziałam się dużo o Tomie Carverze w krótkim czasie.

- Czemu miałyby ci być z tego powodu głupio? - spytał Duncan, zdejmując okulary do czytania.

Elizabeth oparła się o framugę drzwi wiodących do małego przedpoкою.

- Bo powiedział mi tak dużo. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Nie jestem przyzwyczajona, że ktoś mi o sobie opowiada, chyba że chce się popisać. A on się nie popisywał. Zdawało mi się, że... że chce, żebym wiedziała.

- A h a .

- Nie mów takim wszechwiedzącym tonem.

- Nie tyle wszechwiedzącym, ile zaświtało mi światelko.

- Nie ma ci co świtać. Poszliśmy na lunch do baru i on mówił o wiele więcej niż ja.

- To mnie nie dziwi. Nigdy nie byłaś specjalną gadułą.

- Tato, zaczynam się zastanawiać, czy powinnam była kupować ten dom - powiedziała Elizabeth.

Duncan nałożył z powrotem okulary i spojrzał na nią ponad nimi.

- Tom mnie zapytał, czy wyobrażam sobie mieszkanie tam, a ja chyba nie potrafię.

- Kochana, kiedy miałaś pięć lat i jechaliśmy pod namiot do Bretanii, bardzo grzecznie powiedziałaś matce i mnie, że chyba nie pojedziesz, bo nie możesz sobie wyobrazić, jak tam będzie.

- A czy mi się podobało, kiedy tam pojechaliśmy?

- Sprawiałaś wrażenie zadowolonej. Nauczyłem cię prosić o chleb, a ty codziennie rano dreptałaś do piekarni z niezwykle poważną miną i za każdym razem wracałaś z właściwym pieczywem.

- Ale to jest co innego.

- Tak sądzisz?

- To jest większe.

- Tylko pod względem proporcji. Ty też jesteś większa.

- Nie chcę kupować kolejnego kawałka samotności. Nie chcę się ludzić, że coś zmieniam, podczas gdy w rzeczywistości robię znowu to samo, tylko gdzie indziej.

Duncan wstał. Okruchy z białych sucharków, którymi zawsze zagryzał zupę z kubka, jak łupież opadły kaskadą z fałd jego swetra. Miał wygląd - swój zwykły, krzepiący wygląd - podstarzałej czapli - głowa wysunięta w przód na długiej, chudej szyi, długie, chude ciało.

- Ależ z ciebie stara niezguła - powiedziała czule Elizabeth.

- A ty jesteś miłą kobietą - odparł z uśmiechem.

- Tom Carver powiedział to samo.

- Bo jest dość stary, żeby się na tym poznać.

Po powrocie do domu Tom Carver otworzył dla kota puszkę z mięsem królika w galaretkę. Nie przepadał za kotami, ale ten kot należał do Josie,

która odchodząc zostawiła go, więc stał się dla Toma swego rodzaju sprzymierzeńcem, współnikiem w porzuceniu. Był to w każdym razie przyjazny kot, ogromny, spasiony, wykastrowany kocur imieniem Basil, który wykladał się jak poducha w plamach słońca, przenosząc się dostojnie po całym domu za jego wędrującymi promieniami. Ostatnio miał chore ucho, a kiedy Tom zabrał go do weterynarza, lekarz stwierdził, że kot ma potworną nadwagę i jego serce jest przeciążone. Zaordynował dietę, na którą składały się te puszkki z wybornym chudym mięsem w smakowitej galaretkce. Basil uważał, że są pyszne, ale żałośnie małe, więc zaczął dokarmiać się wszystkim, co Tom zostawił na wierzchu - masłem, bekonem albo paczką krakersów. Był teraz, myślał Tom, drapiąc miękkie futerko między jego uszami, pewnie grubszy niż kiedykolwiek.

Po nakarmieniu Basila Tom zszedł do piwnicy. Skoro Elizabeth Brown uznała jego kuchnię za wymuskaną, pomyślał, piwnica pewnie w ogóle by jej się nie spodobała. Była to jakby artystyczna maszynownia, tyle że nie hałaśliwa. Jasne, ciche pomieszczenie zastawił Tom ogromnymi deskami kreślarskimi i długimi niskimi szafkami, przypominającymi skrzynie na mapy, do których wsuwał swoje plany i rysunki. Oświetlenie było perfekcyjne. Jedyne brzydka rzecz w pracowni, gigantyczna kserokopiarka, stała za japońskim parawanem z drewna wiśniowego i przezroczystego papieru. Pokój był surowy, spokojny i wydał się Tomowi w tę sobotę, po lunchu z Elizabeth Brown, odrobinę za sztywny.

Podszedł do najbliższej deski kreślarskiej i zapalił przemysłnie rozmieszczone nad nią lampy. Na desce leżały plany stodoły, którą należało przerobić na dom. Była to ładna, duża, solidna, dziewiętnastowieczna stodoła i Tom miał trudności z przekonaniem właścicieli, aby nie wypełniali szkłem ogromnych wschodnich i zachodnich szczytów, pod którymi niegdyś przejeżdżały wozy. Przysiadł na taborecie przed deską i przyjrzał się swoim rysunkom. Były dobre, ale nie wspaniałe. Brakowało im oryginalności. Pomyślał o Elizabeth, klęczącej na podłodze saloniku na Lansbury Crescent i patrzącej na tamte rysunki. Przypomniał sobie, jak siedzi naprzeciwko niego w barze, słuchając go i z wdziękiem jedząc sałatkę niemiecką. Przyszło mu do głowy, że byłoby przyjemnie, gdyby wieczorem znowu się wybrali razem coś zjeść, może po jakimś koncercie albo po kinie. Mógłby zadzwonić do niej, do mieszkania jej ojca, i zaproponować lunch jutro, w niedzielę, przed jej odjazdem do Londynu. I wtedy przypomniał sobie, że nie może. Wstał z taboretu i zaczął chodzić po piwnicy. Jutro przyjeżdża Dale. Dale miała ostatnio ciężki okres, porzucił ją chłopak i w ogóle. Tom podszedł do okna na końcu piwnicy i popatrzył na ogród tonący w zmierzchu. Postanowił, że nie powie Dale o Elizabeth.

Rozdział trzeci

Becky zastanawiała się, czy w wieku piętnastu lat można umrzeć z zimna. Wiedziała, że zdarza się to starym ludziom, którzy są nieruchawii i boją się włączać ogrzewanie, skoro potem nie starcza im na rachunki. Becky trudno było wyobrazić sobie takie uczucie. Jej zdaniem należało robić tylko to, co się chce czy musi, o ile oczywiście można uniknąć kary, płacenie za to zostawiając innym. To znaczy, przeważnie tak uważała. Ale, o dziwo, nie teraz, kiedy leżała sztywna z zimna, ubrana we wszystkie swoje rzeczy, w łóżku w domu matki, które było tak zimne, że sprawiało wrażenie wilgotnego. Gdyby w pokoju znajdował się grzejnik - którego nie było - nawet Becky zawahałaby się przed włączeniem go. Nie dlatego, że jej zabroniono - w końcu robienie zabronionych rzeczy było jedną z jej życiowych specjalności - ale z powodu tej okropnej sceny, jaka rozegrała się na dole przed dwoma godzinami, kiedy Rory powiedział, że jest jeszcze głodny. Nadine, która śmiała się do rozpuku z jakiejś bzdury, wyczytanej w miejscowej gazecie, nagle wpadła we wściekłość, znalazła w kuchennym bałaganie swoją torebkę i wysypała wszystko, co było w portmonetce, na głowę i ramiona Rory'ego, przez cały czas wrzeszcząc, że może sobie to zjeść, do cholery, bo jest tylko to i nie będzie nic więcej, dopóki jego pieprzony ojciec nie przypomni sobie o swoich obowiązkach.

Rory siedział poblady, a pensy i dwudziestopensówki ześlizgiwały się w dół po jego skórzanej kurtce i džinsach na podłogę. Trafiła się też jedna moneta funtowa. Leżąc na macie u jego stóp, złociła się wręcz nieprzyzwoicie bogato wśród drobniaków. Nie próbował zbierać pieniędzy. Żadne z nich nie próbowało. Zostali po prostu na swoich miejscach, zeszytniali, nie patrząc na siebie ani na Nadine.

- Dwieście funtów na tydzień! - darła się Nadine. - Gówniane dwieście funtów! Jak ja mam z tego wyżyć? Jak ja mam się wami opiekować?

Dzieci nic nie odpowiedziały. Clare powolutku podkurczyła nogi w butach pod zwiewne fałdy pomarańczowej spódniczki i mocno objęła kolana. Tata jej mówił - i Becky, i Rory'emu - że pieniędzy jest dość, żeby opłacić czynsz za dom mamy, a on będzie kupował im ubrania i rzeczy potrzebne do szkoły. Ale mama powiedziała, że to nieprawda, że nic z tego, co mówił tata, nie jest prawdą, nic. Powiedziała, że tata kłamie. Mówiła też o tacie różne inne rzeczy, z których Clare nie wszystko dokładnie rozumiała. Ale drżąc w zimnej, zagraconej kuchni, przy wrzeszczącej Nadine i Rorym, który wyglądał, jakby lada chwila miał się porzygać na pieniądze leżące na podłodze, Clare zrozumiała, że niezależnie od tego, czy ojciec kłamie, czy nie, jego nieobecność oznacza cierpienie. Prawdziwe cierpienie, dla nich wszystkich.

Zdawało się, że Nadine nie może przestać wrzeszczeć. Wykrzykiwała coś o Josie, o Matthew, a potem o Josie i Matthew, wrzeszczała, że oni - jej dzieci - nie powinni być tak nielojalni, żeby iść na ślub, krzyczała, w jakim stanie jest jej samochód, w jakim stanie jest jej dom, że jej życie się skończyło. Potem wzięła w obroty Rufusa.

Widziała chłopca tylko raz, ale wyzywała go i oskarżała, że zabrał różne rzeczy - wygodę, pieniądze, miłość - które w rzeczywistości należały się jej dzieciom. Kiedy zaczęła o Rufusie, Becky podniosła głowę i popatrzyła na Rory'ego, a jego spojrzenie ostrzegło ją, żeby nic nie mówiła, nie odzywała się; nie ruszała. Zdawało się, że trwa to wiele godzin, te krzyki i oskarżenia, a potem skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Nadine przytulała ich, całowała i mówiła, że są dla niej całym światem, a poszperawszy w kredensie, wyciągnęła triumfalnie paczkę torebek czekolady w proszku, do której potrzebny był tylko wrzątek, a nie mleko, które zresztą i tak się skończyło.

Kiedy wypili czekoladę, Nadine powiedziała, że powinni pójść spać. Becky zaprotestowała, mówiąc, że jest dopiero wpół do dziesiątej, na co Nadine zapytała - znowu z tą niebezpieczną ostrą nutką w głosie - co Becky zamierza robić o wpół do dziesiątej w ruderze na zadupiu, gdzie nawet cholerny telewizor wyzionął ducha i nie można mu mieć tego za złe. Becky bez słowa powlokła się więc ciężko na górę, za Clare. Miała ochotę poprosić Clare, żeby weszła do jej łóżka, byłoby im cieplej, ale patrząc na skulone pod swetrem ramiona Clare, odgadła, że siostra by odmówiła, żeby ją ukarać, ponieważ po takim incydencie jak ten na dole trzeba było kogoś ukarać za to, że wszystko jest takie okropne.

Rozeszli się w milczeniu do swoich sypialni, Clare i Becky do wspólnego pokoju, a Rory do śmiesznego kącika utworzonego przez

pochyłość dachu, który sobie wybrał na miejsce do spania, gdyż wolał to od trzeciej sypialni, gdzie Nadine urządziła coś w rodzaju pracowni i gdzie trzymała pełno pędzli w słoikach, małą ramę tkacką, plastikowe torby wypchane motkami wełny i bawełny, niedokończone rzeźby z siatki drucianej i papier mache. Rory zrobił sobie na poddaszu coś w rodzaju namiotu, a w nim legowisko ze starych kołder i śpiworów. Można było tam wejść tylko na czworakach. Becky patrzyła, jak Rory wpelza do swego barłogu, i wiedziała, że podobnie jak ona pójdzie spać tak jak stoi, w ubraniu, nawet w butach.

Leżała w ciemności, zastanawiając się, czy chociaż jej narządy wewnętrzne są ciepłe. Zdawało się jej, że jeszcze nigdy nie było jej tak zimno, nigdy nie czuła się przez to tak sparaliżowana, bezradna. Po drugiej stronie pokoju ciemny zarys ciała Clare odcinał się na tle ściany. Teraz leżała nieruchomo. Przedtem płakała, ale kiedy Becky odezwała się: - Clare? - odpowiedziała: - Zamknij się! - Jej pomarańczowa spódnica i czarny sweter leżały w nieładzie na podłodze, ponieważ Clare się rozebrała i nałożyła stary dres. Był to dres ozdobiony postaciami z filmu Disneya „Księga dżungli”, który dawno temu dał jej tata. Clare teraz zawsze w nim spała i czasami - Becky zarezerwowała tę wiedzę dla siebie, żeby wykorzystać ją przy jakiejś poważniejszej kłótni - ssała kciuk.

Dom był bardzo cichy. Becky nie słyszała, żeby Nadine już weszła na górę. Pół godziny wcześniej słychać było jakieś walenie, jakby odbywało się układanie domu do snu w wersji Nadine, ale od tamtej pory panowała cisza. Nie była to cisza pełna spokoju. Becky pomyślała, że po scenie takiej jak ta, której byli świadkami, w powietrzu coś drżało jak po uderzeniu pioruna. Przewróciła się na drugi bok, wpychając ręce między uda i czując na boku i ramionach ucisk twardych szwów dzinsowej kurtki. Może powinna wstać i poszukać jakichś rękawiczek, tych peruwiańskich, które nosiła Nadine, ręcznie robionych na drutach z różnobarwnych kawałków wełny. W zeszłym roku Nadine miała odjazd na punkcie Peru: korupcji w rządzie, nędzy i dziecięcej prostytucji w stolicy, Limie. Była to jedna z ostatnich rzeczy, na temat których, jak pamiętała Becky, odbyła się między Nadine a Matthew naprawdę wielka awantura, kiedy Matthew odkrył, że oddała sto funtów organizacji dobroczynnej, która zbierała fundusze na pomoc dla mieszkańców slumsów w Limie. Nadine rzuciła się na niego z zębami i pazurami i przez moment Becky myślała, że Matthew jej przywali. Ale nie zrobił tego. Przestał krzyczeć i wyszedł z domu. Clare próbowała iść za nim. Zawsze tak robiła. Wszystkie te kłótnie, okropne, głośne, pełne

krzyków kłótnie, kiedy Matthew mówił Nadine, że jest wariatką, a Nadine Matthew, że jest do niczego, kończyły się zawsze tak, że Matthew wychodził, a Clare próbowała iść z nim.

Aż do teraz. Becky podniosła zmarznięte ręce i zaczęła na nie chuchać. Aż do teraz, kiedy Matthew wreszcie ożenił się z Josie i wiedzieli, że nie będzie więcej kłótni, z tego prostego powodu, iż Matthew i Nadine już nigdy, przenigdy nie będą mieszkać razem. Becky nie mogła tego znieść. Myśl o tym sprawiała jej ból, ból tak dotkliwy, że starała się wcale o tym nie myśleć, a zamiast tego mówiła sobie, że nie ma nic ostatecznego, nic. Nic nie jest niezmiennie, jeżeli się dość mocno pragnie zmiany.

Usiadła. To było beznadziejne. Było jej jeszcze zimniej, niż kiedy przyszła na górę.

- Clare?

Nie było odpowiedzi. Może spała albo tylko udawała, że śpi, ale w każdym razie Becky nie mogła liczyć na odpowiedź. Odsunęła koldrę i postawiła stopy na podłodze. Były takie zmarznięte, nawet mimo butów, że czuła, jakby na podszewkach miała pełno odcisków. Wstała. Pójdzie na dół i poszuka gdzieś czegoś na rozpałkę. Nadine nie pozwalała im rozpałać ognia w saloniku, bo mówiła, że komin kopci, ale Becky nie obchodził dym. Dym się nie liczył w porównaniu z nadzieją na gorące płomienie.

Otworzyła drzwi. Podest i wąskie schody były pogrążone w ciemności, ale kiedy się uważnie popatrzyło w dół, pod drzwiami kuchni widoczny był prążek światła. Zeszła sztywno po schodach i zatrzymała się na dole. Z Nadine - zawsze tak było, ale w tym ostatnim roku szczególnie - nigdy nie było do końca wiadomo, czego się spodziewać. Becky położyła rękę na gałce od drzwi kuchennych i ostrożnie ją przekręciła.

- Mamo?

Nadine siedziała przy kuchennym stole, owinięta w stary koc. Nie sprzątnęła naczyń po kolacji ani kubków po czekoladzie. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że się w ogóle nie ruszała, oprócz tego, że wstała poszukać koca. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, jej długie ciemne włosy opadały na nie i na ramiona. Płakała. Płakała tak, że Becky pomyślała, iż musi to trwać bardzo długo.

- Mamo?

Nadine powoli podniosła wzrok. Jej twarz była nieszczęśliwa, mokra od łez.

- Myślałam, że śpisz.

- Nie mogę. Tak mi zimno...

- Straszne to zimno. Ja też nigdy w życiu tak nie zmarzłam - przyznała Nadine. Podniosła róg koca i otarła nim oczy.

Becky weszła do kuchni.

- Chcesz herbaty?

- Nie ma mleka - odparła Nadine. Znalazła chusteczkę higieniczną w rękawie i wydmuchała nos.

- Możesz wypić bez mleka.

- Dziękuję ci - powiedziała Nadine. Drżała od długotrwałego płaczu.

Becky przeszła obok niej i puściła wodę do czajnika. Był to ohydny czajnik, w środku oblepiony kamieniem, a na zewnątrz zmatowiały. Bóg jeden wie, skąd się wziął. Nie wydawał się Becky znajomy.

- Przepraszam - odezwała się Nadine.

Becky nic nie odpowiedziała. Oparła się o zlew i patrzyła uporczywie w wodę lejącą się do czajnika.

- Bo widzisz...

Becky czekała.

- Bo widzisz, to wszystko jest takie straszne i zdenerwowałam się, bo jestem bezsilna. Ten koszmarny dom...

Becky zakręciła kurek.

- Sama go wybrałaś - powiedziała.

- Nieprawda! - krzyknęła piskliwie Nadine. - Nieprawda! Tylko na to było nas stać!

Becky zamknęła na chwilę oczy i przełknęła ślinę. Potem wetknęła wtyczkę do czajnika, włączyła go i stała przy nim, tyłem do Nadine, podczas gdy gruchot ożywał bulgocząc. Niepotrzebnie to powiedziała, niepotrzebnie pyskowała. Teraz wszystko się zacznie od nowa. Nie ważne, że miała rację, nieważne, że ona, Nadine, Rory i Clare przez wiele tygodni jeździli w kółko po całym Herefordshire, oglądając domy do wynajęcia, i Nadine przy każdym mówiła „Nie, nie, nie”, nawet przy tych przyzwoitych, z porządnymi łazienkami i blisko przystanków autobusowych, aż w końcu, kiedy niezadowoleni zatrzymali się przed tym przeklętym domiszczem, które wyglądało jak dom czarownicy - na dachu rosły nawet grzyby - skąd wszędzie daleko, powiedziała „Tak”. Wszyscy wtedy jęknęli i zaczęli marudzić, zdezorientowani, przerażeni. „Tak”, powtórzyła Nadine.

- Słyszysz? - zapytała Nadine. Jej głos był spokojniejszy.

- Tak - odparła Becky.

- To prawda. Jest najtańszy, a my musieliśmy wziąć właśnie najtańszy. Wiesz dlaczego.

Becky nic nie powiedziała. Pomyślała o samochodzie z plamami rdzy i dziurawą podłogą, zaparkowanym pod próchniejącą przybudówką z belek i blachy falistej, którego znalezienie także zabrało Nadine dużo czasu. Strasznie było pomyśleć, że coś tak niepewnego jest jej jedynym połączeniem ze światem zewnętrznym, światem, w którym obecnie nawet szkoła wydawała się nie lada atrakcją. Pomyślała o samochodzie ojca, po czym szybko wyłączyła tę myśl, trzask.

- Wiem, że jest wam tutaj okropnie - powiedziała Nadine. - Czuję się przez to strasznie. Dla mnie to też jest okropne. Nigdy tak nie mieszkalam, nawet jako studentka.

Becky wrzuciła do kubka torebkę z herbatą, naląła na nią wrzątku, wycisnęła torebkę o bok kubka i wyłowiła ją. Odwróciła się i postawiła kubek przed Nadine.

- Mogłabyś iść do pracy.

- Jak? - zapytała Nadine. - Jak? Skoro nie ma nikogo, kto by was woził do szkoły i z powrotem, tylko ja?

Becky starała się nie pamiętać wszystkich domów na trasie autobusów, które widzieli.

- Może mogłabyś znaleźć pracę na pół etatu, w Ross czy gdzie indziej, w czasie, kiedy my jesteście w szkole?

- Jako sprzedawczyni? - zapytała słodko Nadine.

- Może. Nie wiem. Ja mogłabym pracować w soboty w sklepie.

- Jesteś za młoda. A poza tym, jak byś dojeżdżała?

- Może na rowerze.

- A skąd weźmiesz rower?

Becky otworzyła usta, chcąc powiedzieć „Poproszę tatę”, i zamknęła je, za późno.

- Zapewne od ojca - powiedziała Nadine. - Od twojego ojca, który po miesiącu miodowym wróci do swojego ślicznego, nowego domu.

- Nie jest taki nowy - wtrąciła Becky.

- Ale jednak - ciągnęła Nadine z niebezpieczną nutką w głosie - o wiele nowszy od tego.

Becky poczuła się nagle bardzo zmęczona. Położyła dłonie na stoję między brudnymi talerzami i zwiesiła głowę, czując, jak opadają jej włosy, ciężkie i ciemne, podobne do włosów Nadine.

- Chciałabym...

- Co byś chciała?

- Chciałabym, żebyś go tak nie nienawidziła.

Nadine napiła się herbaty i skrzywiła się.

- A co byś ty zrobiła na moim miejscu?

Becky nic nie powiedziała. Zauważyła, że jej czarny lakier odpłynął z paznokcia i postanowiła, że poczeka, aż cały zejdzie sam, po kawałku. Potem pomaluje sobie paznokcie na zielono.

- Gdyby ktoś, kogo kochasz i kto był twoim mężem przez siedemnaście lat - siedemnaście - nagle ci powiedział, że żeni się z kim innym, a ty musisz zamieszkać gdzie indziej i żyć za jakieś marne grosze, jak byś się czuła?

W głowie Becky uformowało się i zawisło zdanie: To nie było tak. Powiedziała jednak:

- Ale my musimy się z nim spotykać. Musimy się nadal z nim spotykać.

Nadine popatrzyła na nią. Jej jasnoniebieskie oczy były rozszerzone z emocji.

- Właśnie. A posiadasz chyba odrobinę wyobraźni i możesz zrozumieć, jaka to dla mnie udręka?

Rano Nadine zawiozła ich wszystkich do szkoły, Clare do najbliższej podstawówki, a Rory'ego i Becky do gimnazjum, gdzie Clare miała do nich dołączyć, kiedy skończy jedenaście lat. Byli w nowych szkołach od dwóch semestrów, od czasu, kiedy stało się jasne, że Matthew naprawdę zamierza się ożenić z Josie i Nadine doszła do wniosku, że pozostanie w Sedgebury byłoby dla niej, a także dla dzieci, nieznośne. Matthew chciał, żeby została, żeby dzieci zachowały przynajmniej ciągłość szkoły, kontaktów z przyjaciółmi i dziadkami, ale odmówiła. Cierpiała tak gwałtownie, że wierzyła głęboko, iż jedynym sposobem na ukojenie bólu jest wyjazd, zerwanie ze wszystkim, co jest znajome, a teraz zostało jej odebrane. Rozgoryczone dzieci narzekały - zauważyła, że o wiele bardziej niż teraz - ale powiedziała im, że tak musi być. Nikt nie chciał tego nowego życia, ale musieli żyć dalej.

- Musicie się z tym pogodzić - powiedziała. - Musicie się nauczyć.

Nie polubili swoich nowych szkół, ale znosili je jakoś. Były oczywiście bardziej wiejskie niż szkoły w Sedgebury, a chociaż reguły gry nie były w nich surowsze, surowość przybierała tu inną postać i Nadine martwiła się, że jej dzieci nie do końca rozumieją niepisane prawa tej bardziej skrytej, wieśniaczej społeczności i obowiązujące w niej twarde zasady. Zdawało się jej, że dzieci stały się spokojniejsze. Kiedy z nimi rozmawiała albo była zła, winiła za ten nowy spokój Matthew i Josie, ale czasami kiedy była sama w domu, pomimo przeraźliwego zamętu uczuciowego, przyznawała, że nie jest to takie proste. Kiedy zostawiała dzieci w szkole, zawsze mówiła: „Trzecia trzydzieści!”, jakby zachę-

cając je, aby sobie uświadomiły, że to tylko siedem godzin. Becky proponowała, żeby nie odwoziła ich do samej szkoły, ale wysadzała w punkcie zbiórki, w połowie drogi, gdzie mogliby się dosiadać do szkolnego autobusu. Ale ona się na to nie zgodziła.

- Jestem wam potrzebna - powiedziała do Becky. - Przynajmniej na razie. Moja obecność jest wam potrzebna.

A mnie, myślała, wycofując niezdarnie samochód na podjeździe do szkoły Becky i Rory'ego, potrzebna jest ich obecność. Bez nich chyba bym zginęła.

Postanowiła, że kiedy wróci do domu, posprząta, zrobi pranie i nałoży czyste powłóczki przynajmniej na poduszki - jeżeli jakieś są - oraz poszuka czegoś, czym można napalić w kominku. Może nawet zadzwoni po kominarza. Poza tym, za pogniecionego piątaka, którego znalazła w kieszeni grubego, robionego na drutach wdzianka, którego nie nosiła od zeszłej zimy - kupi coś na kolację. Może makaron i ser albo ziemniaki i jajka. Kiedy była studentką, żywiła się samymi ziemniakami i jajkami. Za pół korony można było nakupić ich tyle, że jajeczniczy i frytek starczało na trzy dni. Zrobiła się jej wtedy okropna cera. Pamiętała dokładnie, bo wcześniej miała dobrą cerę, o którą nie trzeba było dbać, bo zdawało się, że sama dba o siebie, a potem pojawiły się na niej pryszcze i szorstkie, suche plamy, zrobiła się jakby martwa, na znak protestu przeciwko tym ciąglým jajkom i kartoflom. Nadine przerzuciła się więc z przesadnym entuzjazmem, na łasce którego zawsze pozostawała, na dietę makrobiotyczną i zaczęła jeść fasolę i ciemny ryż. Wtedy jej skóra też kiepsko wyglądała. Nadine podniosła rękę w szorstkiej, kolorowej rękawiczce i dotknęła twarzy. Jej cera już nigdy się nie poprawiła. Matthew powiedział, kiedy mu się żaliła z tego powodu, że posuwała się za daleko, przeciągała strunę. Zawsze jej to zarzucał, zawsze mówił, że przeciąga strunę, jeśli chodzi o ludzi, różne sprawy, poglądy i niego. Matthew... Na myśl o nim Nadine wydała lekki okrzyk i uderzyła bezsilnie w kierownicę.

Podjechała powoli pod dom - po raz pierwszy widzieli go, kiedy żywo płoty były kolorowe od jeżyn i owoców dzikiej róży, ale teraz były tylko czarne i mokre, zimowe - i zaparkowała samochód w przybudówce. W dachu z blachy falistej było tyle dziur, że samochód równie dobrze mógłby stać pod chmurką. Ale Nadine z jakiegoś powodu parkowała go tutaj, fanatycznie i bezcelowo, za każdym razem, kiedy wracała do chaty. Zmuszała wszystkich do przedzierania się przez zaniedbany ogród z torbami szkolnymi, zakupami oraz rzeczami, które kupowała, ponieważ widząc je, nabierała na moment niezłomnego przekonania,

że zmieniają jej życie na lepsze - kłatkę dla ptaków, używaną maszynkę do robienia makaronu, meksykańskie malowidło na korze.

Kuchnia uraziła ją swoim wyglądem, niezmienionym od chwili, kiedy przed ponad godziną wychodzili z domu. Zaproponowała dzieciom na śniadanie płatki zbożowe zmiękczone sokiem pomarańczowym z kartonu, ponieważ nie było chleba ani mleka, ale nie chciały tego jeść. Clare wypila jeszcze jeden kubek gorącej czekolady w proszku, a Becky znalazła gdzieś puszkę dietetycznej coca- Coli, o którą pożarli się z Rorym jak walczące psy, ale żadne z nich nie chciało nic jeść. Nadine przypomniała sobie dzieci z młodszych klas w szkole Matthew, które znaleźli grzebiące w śmietnikach Sedgbury w porze lunchu: nie jadły śniadania, a nie miały pieniędzy na obiad.

- Przynajmniej próbowałam - powiedziała Nadine do kuchni. - Proponowałam.

Przeszła przez pomieszczenie i napełniła czajnik. Oszczędniej będzie zmyć naczynia i umyć podłogę wodą zagrzaną w czajniku, niż używać wody z elektrycznego bojlera. Wręcz pożerał pieniądze. W wilgotnym holu był licznik, który tykał głośno przez cały dzień, niezależnie od tego, czy światła, kuchenka czy bojler były włączone, czy też nie, złowróżbnie przypominając Nadine, że pożera pieniądze przez cały czas. Wyjrzała przez okno nad zlewem, zobaczyła pogrążony w beznadziei ogród i poczuła w gardle nową falę dławiącej rozpaczki na myśl o tym, że będzie tu tkwić przez cztery czy pięć godzin, sama ze swoimi myślami, dopóki błogosławiona konieczność pojechania po dzieci nie uwolni jej z tej klatki. Nigdy przedtem nie miała nic przeciwko samotności, a nawet jej szukała, żądała jej, mówiła Matthew, że zwariuje z braku samotności, ale teraz się jej bała; bała się tak bardzo, jak nigdy niczego. Łzy strachu i żalu (użalania się nad sobą, powiedziałby Matthew) wezbrały jej w oczach, podniosła dłonie w rękawiczkach i wcisnęła je w oczodoły.

- O Boże - powiedziała Nadine. - O Boże, pomóż, pomóż, błagam, pomóż. - Zadzwonił telefon. Nadine odjęła ręce od oczu i mocno pociągnęła nosem. Potem sięgnęła w bok i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Nadine?

- Tak...

- Tu Peggy - powiedziała matka Matthew. - Nie poznałaś mnie po głosie?

- Nie - odrzekła Nadine. Oparła się o blat kuchenny. Gdy była żoną Matthew, Peggy nigdy do niej nie dzwoniła. Dopiero gdy na scenie pojawiła się Josie, Peggy zaczęła wydzwaniać do Nadine, jakby dając

jej do zrozumienia, że razem należą do jakiegoś spisku. Może by i chętnie weszła w jakiś spisek przeciwko Josie, ale nie z Peggy.

- Jak tam dzieci, moja droga?
- Doskonale.
- Na pewno? Starcza ci pieniędzy?

Nadine nic nie odpowiedziała.

- Posłuchaj. Dzwonię z pewną propozycją. Derek i ja chcemy ci pomóc. Nie mamy zbyt wiele, ale oczywiście ci pomożemy. Ze względu na dzieci.

- Nie, dziękuję - powiedziała Nadine.
- Jesteś chora, kochanie?
- Jestem zmęczona - odparła Nadine. - Źle spałam.
- Biedaczko. A tyle masz na głowie.

Nadine odsunęła troszeczkę słuchawkę od ucha.

- Peggy, muszę kończyć...
- Tak. Tak, oczywiście. Jesteś pewnie bardzo zajęta, borykasz się ze wszystkim w pojedynkę. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że możesz na nas zawsze liczyć, na Dereka i na mnie. Pieniądze, cokolwiek. Wystarczy, że poprosisz.

- Dobrze.
- Ucałuj ode mnie dzieci. I od dziadka.

- Do widzenia - powiedziała Nadine. Odłożyła słuchawkę i spuściła nad nią głowę. Dlaczego, dlaczego musiało tak być, że kiedy tęskniła za towarzystwem, za rozmową, za jakimś znakiem, że nie jest tak opuszczona, jak się czuje, zadzwoniła właśnie jedna z osób, których zawsze szczerze nie znosiła, osoba, która stale niweczyła wszelkie szanse, jakie miało jej małżeństwo z Matthew?

Woda w czajniku zaczęła się gotować, a niedopasowana pokrywka podskakiwała pod ciśnieniem pary. Nadine przechyliła się i wyłączyła czajnik. Podeszła do stołu, zgarnęła porzucone na nim miski, talerze i kubki, zaniosiła je do zlewu i wrzuciła do plastikowej miski do mycia naczyń. Potem wzięła butelkę z płynem do zmywania. Nazywał się „Ecoclear” i kosztował prawie dwa razy tyle co mniej przyjazny dla środowiska płyn stojący obok niego na półce w supermarkecie. Poza tym, jak twierdził Rory, był do niczego, tworzył blade szumowiny na powierzchni wody i nie rozpuszczał tłustego brudu na talerzach pozostałych z poprzedniego wieczoru. Nadine ścisnęła plastikową butelkę, która wydała z siebie rzężące westchnienie. Była prawie pusta.

Nadine podeszła do kredensu po drugiej stronie kuchni i zdjęła z haczyka ostatni czysty kubek. Nasypała do niego łyżeczkę kawy i zalała wodą z czajnika. Następnie odszukała stwardniałe celofanowe opakowanie

wanie cukru trzcinowego i odłupała kawałek trzonkiem łyżeczki, po czym mieszała kawę z zajadłą koncentracją, dopóki cukier wreszcie się nie rozpuścił. Wypiła łyk kawy. Miała dziwny smak, była słodka, ale lekko zateęła, jak prawie wszystko podczas tych pełnych niewygód, lecz wspaniałych miesięcy w obozie protestacyjnym kobiet w Suffolku.

Nadine wróciła z kubkiem do czajnika i lewą ręką niezręcznie wylała wrzątek na stos naczyń w zlewie. Potem, obejmując kubek dłońmi, wyszła z kuchni, minęła tykający licznik w holu i ruszyła schodami na górę. Na pięterku wszystkie drzwi były pootwierane, więc widać było sterty ciuchów na podłodze, skotłowane łóżka i plastikowe torby pełne różności, które dzieci targają ze sobą. W łazience deska sedesowa była podniesiona, wokół wanny wałały się wilgotne ręczniki, a rozerwana i poplamiona zasłonka od prysznica opadała sztywnymi, plastikowymi fałdami.

Nadine obeszła piętro i pozamykała wszystkie drzwi. Czego nie widziała, o tym mogła nie myśleć. Następnie schyliła się i mocno trzymając kubek, żeby nie rozlać kawy, wpełzła do wymoszczonego przez Rory'ego tunelu z kołder i zagrzebała się tam.

- Czekaliśmy prawie godzinę - powiedziała Becky i wsiadła z przodu. We wstecznym lusterku Nadine zobaczyła, że Rory wślizguje się na miejsce obok Clare; miał odpychający wyraz twarzy, jak zawsze, kiedy nie chciał, żeby ktoś się do niego wtrącał, wypytywał.

- Przepraszam - powiedziała Nadine. - Zasnęłam. Prawie nie spałam w nocy i przez pomyłkę zdrzemnęłam się rano. Spałam za długo.

Spojrzała w lusterko. Clare ziewała. Jej włosy, które niedawno skróciła, brudne i rozczochrane, sprawiały, że wyglądała niechlujnie.

- Przepraszam - powtórzyła Nadine. - Naprawdę. Byłam taka zmęczona. - Wrzuciła wsteczny. - Jak wam minął dzień?

Nie odpowiedziały. Zawracając, Nadine zerknęła na dzieci. Nie boczyły się na nią, po prostu nie wiedziały, jak jej odpowiedzieć, żeby nie skłamać i jednocześnie jej nie zdenerwować. Jechali teraz do przodu. Nadine szybko uściśnęła udo Becky.

- Głodni?

- Pewnie - odparła Becky.

- Zatrzymamy się w sklepie we wsi - powiedziała Nadine. - Znalazłam piąta. Kupimy kartofle i jajka i usmażymy je sobie. Jajka z frytkami. Co wy na to? Jajka z frytkami.

Zapadła cisza. Rory gapił się w okno, a Becky wpatrywała w swoje paznokcie z oblażącym lakierem.

- Jajka z frytkami jedliśmy na lunch. W szkole - odezwała się Clare.

Rozdział czwarty

Dale Carver umiejętnie zaparkowała samochód na przestrzeni niewiele większej niż sam pojazd, prawie tuż pod oknami mieszkania swego brata na pierwszym piętrze. Założyła blokadę na kierownicę, wysiadła, zaciągnęła zasłonkę na tylnej szybie, żeby zakryć rzeczy, które zawsze ze sobą wozila jako przedstawiciel firmy wydawniczej, i zamknęła samochód. Spojrzała w górę. W oknach saloniku Lucasa zasłony były zaciągnięte, a w środku paliło się światło. Dobrze, że był w domu. Mówił, że postara się wrócić o siódmej, ale w lokalnej stacji radiowej, gdzie pracował, tyle osób zapadło na gripę, że nie wiedział, czy nie będzie musiał zostać dłużej, żeby kogoś zastąpić. A może światła znaczyły, że Amy jest w domu. Amy była narzeczoną Lucasa. Pracowała jako główna makijażystka w lokalnej stacji telewizyjnej i poznała się przez pracę. Dale wiedziała, że ojciec, chociaż lubił Amy - Uroczą, mówił. Przemiała. Uroczą - czuł, że Lucas w wyborze przyszłej żony nie wykazał się, delikatnie mówiąc, polotem.

Trzymając butelkę nowozelandzkiego Sauvignon Blanc i przygotowany do druku egzemplarz nowej amerykańskiej powieści - Dale odkryła, że uwielbia dawać Lucasowi takie odrobinę intelektualne prezenty w obecności Amy - Dale weszła na frontowe schodki przed domem i nacisnęła środkowy dzwonek. Dał się słyszeć trzask, a zaraz potem odezwał się głos Lucasa:

- Dale?
- Cześć.
- Wchodź na górę.
- Dziesięć sekund - powiedziała Dale.

Była to ich gra, jak szybko Dale potrafi przebiec przez hol - zależnie od tego, co niosła - i schody, nad którymi wisiały stare ryciny Bath i Bristolu (za strącenie ryciny była kara) do drzwi Lucasa, gdzie on stał i liczył.

- Jedenaście - powiedział.
- Nigdy w życiu!
- Prawie dwanaście.
- Kłamczuch - powiedziała Dale.

Ucałował ją. Był ubrany w czarną koszulę, czarne spodnie i rozpinałą, „etniczną” kamizelkę, w nierówne szare i czarne paski. Dale wskazała ją palcem.

- Fajna.

Puścił oko.

- Prezent od fanki.
- No no. Amy wie?
- Tak, wiem - powiedziała Amy. Pojawiła się za Lucasem. Jej jasne, kręcone włosy otaczały twarz niby piana i Dale czasem zastanawiała się, jak Lucas może ich w ogóle dotykać. Były wełniste, jak u pudła.

Lucas mrugnął do Amy.

- Lepsze to niż majtki. Albo prezerwatywy.

Amy się skrzywiła.

- Zamknij się.
 - Mam tu coś - Dale zwróciła się do Lucasa, wręczając mu książkę i butelkę.
 - Ojej. Super - powiedział, gdy spojrział na tytuł książki.
 - Jest świetna - zapewniła Dale. - Człowiekowi się zdaje, że nie chce już przeczytać ani słowa o Wietnamie, ale ta jest inna.
 - Dzięki - powiedział Lucas, ciągle patrząc na książkę. - Dzięki.
- Amy wyjęła mu z ręki butelkę wina.

- Schłodzę je.

Miała na sobie legginsy, buty do kostki i duży podkoszulek.

- To niesamowity facet. Miał okropne dzieciństwo, prawie żadnego wykształcenia, ale jest znakomitym, urodzonym pisarzem - mówiła Dale o autorze książki.

Lucas uśmiechnął się do niej.

- Przeczytam od razu.
- Chcesz kawy? - zawołała Amy z kuchni przy saloniku.
- Wolę drinka - odparła Dale. Weszła do pokoju i stanęła między dwoma bliźniaczymi kanapkami pokrytymi grubym jasnym płótnem. - Porządnego drinka. Musiałam pojechać dzisiaj do Plymouth. Ruch był koszmar.

Lucas wziął butelkę wódki z tacy wciśniętej na półkę z książkami i pokazał jej, patrząc pytająco.

- Doskonale - powiedziała Dale. - Właśnie tego mi trzeba.

- Dlaczego - spytał Lucas, nalewając wódkę - nie chcesz sobie poszukać innej pracy? Może zajęłabyś się czymś, co nie wymaga ciągłych podróży? Jeżeli chcesz zostać w biznesie wydawniczym, mogłabyś się przecież zająć stroną edytorską czy czymś takim.

- To by się wiązało z koniecznością wyjazdu do Londynu - powiedziała Dale. - A ja nie chcę tam jechać.

Amy wyszła z kuchni, trzymając kubek.

- Zdawało mi się, że lubisz Londyn.

- Lubię. Wpadać tam na krótko. Mieszkać nie.

- Zabawne, jak wy dwoje zawsze chcecie się trzymać w pobliżu waszego taty - powiedziała Amy.

Lucas podał Dale szklaneczkę wódki z tonikiem i z lodem.

- Nieprawda - zaprotestował. - To nie zostało zaplanowane. Tak się po prostu złożyło, bo mamy pracę na tym terenie.

- Ja się nie mogłam doczekać, kiedy się wyrwę z Hartlepool - rzekła Amy. Usiadła na najbliższej kanapie, trzymając swój kubek i patrząc na Dale, taksując jej garnitur, dyskretną biżuterię, włosy gładko zaczesane i związane z tyłu czarnym aksamitnym ściągaczem. - I od mojego ojca. Nic nie zmusiłoby mnie do zamieszkania blisko niego.

- Nie będziemy cię zmuszać - powiedział Lucas. Popatrzył na siostrę. - Jesteś za chuda.

Dale wykrzywiła się. Usiadła na kanapie naprzeciwko Amy i pociągnęła duży łyk ze swojej szklaneczki.

- Nie układa mi się ostatnio najlepiej. Najpierw Neil odszedł... - Przerwała, pociągnęła następny łyk i po chwili powiedziała: - A teraz tata.

- Co tata?

- Ma kobietę - powiedziała Dale.

Amy spojrzała zdumiona.

- Niemożliwe!

- Niemożliwe - powtórzył Lucas. - Widziałem się z nim niedawno i nie wspomniał o tym ani słowem.

- Mnie też nie wspomniał - odrzekła Dale. - Ale ja wiem.

- Daj spokój - powiedział Lucas na wpół ze śmiechem. - Daj spokój. Jeszcze nie minął rok, jak Josie odeszła...

- Mężczyźni tak robią - odezwała się Amy. - Wiadomo. Nie mogą znieść samotności, więc kiedy żony im umierają albo zwiewają, łapią pierwszą, która się nawinie. Mój ojciec też tak zrobił. Mama wyjechała do Kanady, a po niecałym miesiącu on sobie sprowadził tę sukę.

- Dale, coś wymyślasz - powiedział Lucas, nie zwracając uwagi na

Amy. - Jesteś wytrącona z równowagi po odejściu Neila, to zrozumiałe, i wyobrażasz sobie Bóg wie co. Nie ma żadnych dowodów. Zresztą i tak byśmy ich nie potrzebowali. Tata by nam powiedział. Na pewno.

Dale wepchnęła kostkę lodu pod powierzchnię drinka.

- Nie powiedziałby, gdyby nie chciał, żebyśmy wiedzieli.

- Ale dlaczego miałby nie chcieć?

- Bo wie, że nam by się to nie spodobało.

Lucas wyszczerzył zęby w uśmiechu i objął Amy.

- Mów za siebie. Ja nie miałbym nic przeciwko temu.

- Poważnie?

- T a k .

- Nie wierzę ci.

Amy pochyliła się do przodu i postawiła kubek na niskim czarnym stoliku.

- Wiesz, ona ma rację. Naprawdę. Oboje nie chcecie, żeby jakies kobiety się wprowadzały i zabierały, co wasze. I tak mieliście już Josie.

- Ona zbyt wiele nie zabrała - powiedział Lucas.

- Ale Rufus zabrał - zauważyła Dale, wciąż patrząc w swojego drinka.

- No nie! - zaprotestował Lucas. - Powoli! Pocziwy Rufus. Jest twoim przyrodnim bratem, pamiętaj!

- Nie byłby, gdyby nie Josie - odparła Dale.

- Słuchaj - powiedział Lucas. Cofnął ramię, którym otaczał Amy, i pochylił się w przód, opierając się łokciami o kolana. - Słuchaj. Josie odeszła. Josie już nie ma. Tata nie musi płacić jej ani grosza więcej. Dał trochę pieniędzy, żeby pomóc w kupnie domu, ale nie utrzymuje jej, bo wyszła za tego całego Matthew. Ma tylko płacić za utrzymanie i wykształcenie Rufusa, tak jak płacił za nas, a potem Rufus znajdzie sobie pracę i stanie się samodzielny, tak jak my.

- Dobra - powiedziała Dale. - Dobra, dobra. Mniejsza o Rufusa. To ta nowa kobieta mnie niepokoi.

- Jaka nowa kobieta...

- Nazywa się Elizabeth Brown. Jest klientką taty. Jej ojciec prowadził kiedyś antykwariat przy Queen's Square. Rysunki jej domu wala ją się po całej pracowni taty. To małe domki. Niewielkie zlecenie.

- Więc po co się tak wkurzasz? Tata ma nieważne zlecenie, tak się składa, że od kobiety...

- Słyszałam, jak rozmawiał z nią przez telefon - rzekła Dale. - Zapraszał ją na lunch. A może na kolację.

- Nie wolno mu? Nie wolno mu się czasem wybrać z kimś do restauracji? - spytał Lucas.

- Oczywiście. Tylko że miał coś takiego w głosie. Wiesz. Tego się nie da ukryć, brzmienia głosu, kiedy rozmawia się z kimś, na kim człowiekowi zależy.

- Da się, on to potrafi - powiedziała Amy, patrząc na Lucasa.

Lucas znów ją zignorował.

- Wyciągasz pochopne wnioski - powiedział do siostry.

- Nie. Wygląda na szczęśliwego.

- To już taki typ. Zazwyczaj wygląda na szczęśliwego...

- Nie - powiedziała Dale. - Nie. Nie wygląda na zadowolonego, że wszystko jest w zupełnym porządku, ale na szczęśliwego, że wszystko jest wspaniałe i ekscytujące.

- N o i?

Dale z hukiem odstawiała szklankę na stolik.

- Przestań, do cholery, udawać, że cię to nie obchodzi!

Lucas wstał z kanapy. Podszedł do tacy z alkoholami i przelał do szklanki butelkę dietetycznego toniku, do którego chlapnął trochę wódki, a potem wrzucił ósemkę cytryny i dwie kostki lodu. Ostatnio starał się chodzić regularnie na siłownię, a jakoś nie szło to w parze z ilością alkoholu, który pijał. Dale nadal piła, jeżeli tylko ktoś proponował. Podniósł szklaneczkę i skosztował drinka. Wódki się prawie nie czuło. Równie dobrze mógł jej wcale nie dodawać.

- Zaraz powiesz, że nie miałeś nic przeciwko Josie! - ciągnęła Dale oskarżycielskim tonem.

Lucas wciąż stał do niej tyłem. Patrzył na swoje półki, na zbiór książek podróźniczych, powieści współczesnych pisarzy, tomików młodych poetów. Rzeczywiście nie miał nic przeciwko Josie. Prawdę mówiąc, kiedy jako osiemnastolatek otrząsnął się już z szoku, że ojciec mógł obdarzyć miłością kogoś poza nim i Dale, zaczął czuć, że dzięki obecności Josie w domu jest lepiej. Było w nim więcej harmonii, życia. I od samego początku lubił Rufusa. Nieprzyjemnie było myśleć o jego poczęciu, ponieważ Lucas, w tym czasie głęboko przejęty swoim własnym burzliwym nastoletnim popędem seksualnym, czuł młodości na myśl, że jego ojcem powodują - chociażby chwilowo - te same namiętności. Ale kiedy już Rufus się pojawił, zdawał się nie mieć specjalnych wymagań, a trzeba przyznać, że ani Tom, ani Josie nie wymagali okazywania mu specjalnych względów. Był malutkim dzieckiem, tak jak Basil był kotem, a w stosunku ojca do Rufusa - z początku niemal pokornym - Lucas wyczuwał element, którego nigdy przedtem nie zauważał. Zaczął dostrzegać albo wydawało mu się, że dostrzega, iż ojciec czuje się winny; przede wszystkim z tego powodu, że Josie zaszła

w ciążę, winny, że postąpił lekkomyślnie w obliczu jedynej rzeczy, wobec której człowiek nigdy, przenigdy nie powinien być lekkomyślny - życia ludzkiego. Może ożenił się z Josie z powodu poczucia winy, a na tę winę nałożyła się druga, czyli odpowiedzialność za wprowadzenie do stabilnego domu Carverów tak radykalnego elementu, jakim jest macocha. Wszystkie te myśli krążyły Lucasowi po głowie od kilku lat, dość spokojnie, ponieważ nie mógł uczciwie powiedzieć, że jego życie - coraz bardziej samodzielne - zostało zakłócone przez ponowny ożenek Toma i narodziny Rufusa. Raz czy dwa próbował rozmawiać o tym z Dale, dać jej do zrozumienia, że ojciec, którego pozornie znali na wyłot, może mieć skomplikowane życie uczuciowe. Ale do Dale to nie docierało. Jakby ogłuchła przez to, co czuła do ojca, przez to, że go potrzebowała.

Lucas odwrócił się powoli od biblioteczki. Amy zarzuciła nogi na kanapę i leżała z na wpół przymkniętymi oczami. Dale siedziała wyprostowana, z rękami ciasno splecionymi na wysokości piersi, jakby utrzymywała w sobie coś niebezpiecznego albo bolesnego. Dziewczyny poświęcały sobie nawzajem tak mało uwagi, że równie dobrze mogłyby się znajdować w oddzielnych pokojach. Lucas pomyślał, nie po raz pierwszy, że chciałby, aby jego narzeczona i jego siostra uświadomiły sobie, że jest go dość dla wszystkich.

- Dale - odezwał się Lucas.

Nie spojrzała na niego.

- Dale, tata się nie ożeni.

Amy otworzyła oczy.

- Pomyśl - mówił Lucas. - Tylko pomyśl. Gdy stracił mamę, był sam przez ponad dziesięć lat. Przecież przez cały ten czas nie próbował się z nikim żenić. Wiemy, że nie. Byliśmy przy nim i wiemy. Wydaje mi się, że miał powody, aby ożenić się z Josie, i nie chodziło wcale o to, że dla niej oszalał. Bardzo ją lubił, a ona była w ciąży. Wiesz o tym, Dale. Widziałas. A potem ona go zostawiła i był zdruzgotany. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś, komu zaufał, dla kogo zrobił tak wiele, mógł go w ten sposób potraktować. To go wprost powaliło. Martwiliśmy się o niego w czasie rozwodu. Pamiętasz? Chciałaś, żeby poszedł do lekarza, prawda? Więc...

Lucas urwał i nabrał tchu. Dale wciąż siedziała bez ruchu.

- Więc - ciągnął Lucas z naciskiem, przechodząc przez pokój i stając nad siostrą - więc czy człowiek taki jak tata, człowiek z osobowością taty, który dwukrotnie tak gorzko doświadczył zakończenia małżeństwa, zaryzykuje jeszcze raz?

Dale rozplotła ręce i sięgnęła po drinka.

- Ale on jest samotny. Teraz, kiedy my mieszkamy poza domem, a... Josie odeszła, jest samotny.

- Pewnie. Ale rozwiązaniem nie jest małżeństwo, na litość boską. Rozwiązaniem dla taty jest dostatecznie dużo pracy, a to ma, i przyjaźń z Elizabeth Brown. Wszystkie zalety i żadnych zobowiązań.

- Chciałbyś tak, Luke? - dobiegł głos Amy z kanapy.

Nie zwrócił na nią uwagi.

- Dale - powiedział - Dale. Tata nie ożeni się ponownie. Słyszysz?

Dale przez długą chwilę patrzyła na swojego drinka, a potem podniosła spojrzenie na brata.

- Obiecujesz? - zapytała.

Po wyjściu Dale, która wyraźnie miała nadzieję, że zostanie zaproszona na kolację, ale Lucasowi jakoś nie przyszło do głowy, żeby jej to zaproponować, a Amy nie zamierzała tego zrobić, Amy ugotowała makaron i dodała do niego sos pesto z supermarketu, po czym położyła na blacie w ich małej kuchence maty, dwa widelce i świecę, chcąc uniemożliwić Lucasowi jedzenie przed telewizorem. Amy lubiła telewizję, ale nie lubiła być na drugim planie jako towarzystwo dla Lucasa. Sama nie piła alkoholu - nie smakował jej - ale postawiła kieliszek do wina dla Lucasa, jako małe zadośćuczynienie za brak telewizji.

I wtedy zadzwonił telefon. Był to producent nocnego programu słowno-muzycznego z telefonicznym udziałem słuchaczy, który powiedział, że trzyletnie dziecko prezentera zostało nagle zabrane do szpitala z podejrzeniem zapalenia opon mózgowych, i zapytał, czy Lucas może go zastąpić.

- Nie idź - powiedziała Amy.

Ten nocny program był dziwnie nieprzyjemny. Przyciągał najróżniejszych zбочeńców i sadystów, osobników, którzy nie umieją nawiązywać kontaktów z ludźmi, więc w zastępstwie wykorzystują radiowe audycje telefoniczne i Internet. Byli to także ludzie lubiący noc oraz to, że nie widać twarzy osoby, z którą się rozmawia. Amy uważała, że Lucas nie powinien zadawać się z ludźmi, którzy są trochę stuknięci, zakręceny.

- Muszę - powiedział Lucas, patrząc na nią. - Przykro mi. Naprawdę. Pomyśl o dodatkowej forsie.

- Wolałabym, żebyś został...

- Nie mogę. Pomyśl o tym biednym dzieciaku, jak się czują jego rodzice.

Amy pomyślała, że byłoby przyjemnie móc wierzyć, iż Lucas czasami bierze pod uwagę, jak ona się czuje. Kiedy się poznali, jego troskliwość była jedną z pierwszych rzeczy, które jej się spodobały, ale od czasu, kiedy jej się oświadczył, a ona z nim zamieszkała, uważał chyba, że nie trzeba liczyć się zbytnio z jej uczuciami. Tak jakby teraz je znał, a jego początkowa troska była tylko procesem odkrywania, który sam w sobie sprawiał mu przyjemność. Ale odkrył też takie rzeczy, jak na przykład skomplikowane uczucia Amy wobec Dale, których wolałyby nigdy nie wydobywać na światło dzienne. Gdyby mu teraz powiedziała: „Nie chcę, żebyś wracał do pracy, częściowo dlatego, że nie lubię tego programu, ale głównie dlatego, że chcę, żebyśmy zjedli razem kolację i że bym mogła ci powiedzieć, co mnie drażni w Dale, a także w Dale i tobie”, spojrzalby na nią, jakby nic nie słyszał, i zmieniłby temat.

- Dobra - powiedziała Amy. - Idź.

Pochylił się i pocałował ją.

- Pójdziemy gdzieś jutro, obiecuję. Albo w piątek.

Skinęła głową. Wziął swoją skórzaną kurtkę, pęk kluczy i torbę na aparaty fotograficzne, w której nosił taśmy i kompaktki.

- Śpij dobrze - powiedział Lucas, uśmiechając się do niej. - Wykorzystaj najbliższe pięć godzin bez chrapania.

Amy wróciła do kuchni i zgarnęła makaron z dwóch talerzy do kosa. Potem włożyła dwie kromki chleba do tosterka i włączyła czajnik. Na suszarce stał kubek, z którego wcześniej piła, i szklanki po drinkach Lucasa i Dale. Na szklance Dale był ślad po czerwonej szmince, bardzo precyzyjny, jakby przy każdym łyku przykładła usta dokładnie w tym samym miejscu. Amy obróciła szklankę, żeby nie widzieć śladu po szmince.

Lucas opowiadał Amy, że Dale była zdruzgotana po śmierci matki. Miała wtedy dopiero pięć lat, a przy tym nie odstępowała mamy na krok. Zaczęła właśnie, niechętnie, chodzić do szkoły, z której codziennie wyłaniała się przygięta ciężarem rozłęki, jaką musiała znieść. Kiedy Tom powiedział dzieciom, że ich matka umarła w szpitalu i już nigdy nie będzie mogła przyjść do domu, Dale popędziła na górę, zakopała się w pościel w podwójnym łóżku po stronie matki i nie chciała stamtąd wyjść. Potem wpadła w histerię. Lucas mówił, że nigdy tego nie zapomni: zaciemniona sypialnia z tylko jedną zapaloną lampą, jego zrozpaczony ojciec pochyla się nad wrzeszczącym, wijącym się dzieckiem, a on, Lucas, stoi w cieniu, czując w sobie miazdzący ciężar.

Później Dale przeniosła swoje gwałtowne uczucia na ojca. Krzyczała, kiedy jej nie pozwalał spać ze sobą. W nocy skradała się na dół i pró-

bową go przechytryć, włącząc do łóżka, kiedy spał i nie zauważał jej. Amy zastanawiała się na głos, dlaczego Tom nie załatwił jej jakiejś pomocy.

- Ależ tak. Była taka jedna Doris, która przychodziła do niej po szkole, jeżeli ojca nie było.

- Chodzi mi o psychoanalitka - sprostowała Amy.

- On wiedział, na czym polega problem - zachnął się Lucas. - Problem polegał na tym, że mama umarła. Czuli...

- C o ?

- Chyba czuli, że powinien to naprawić. Na ile potrafi.

Ale mu się nie udało, pomyślała Amy. Ojcowie nie potrafią. Ojcowie nie wiedzą, jak sobie radzić z córkami, ponieważ są mężczyznami, a mężczyźni nigdy naprawdę nie dorastają, podczas gdy większość kobiet - większość córek - rodzi się dorosła. Z wyjątkiem Dale. Gdy patrzyło się na Dale teraz - taką odszykowaną, w tych garniturach i z teczką, z każdym włoskiem na swoim miejscu, wciąż widziało się to krzyczące i wierzgające dziecko na łóżku, napędzające śmiertelnego stracha ojcu i bratu.

Amy wyjęła grzanki z tosterka i przerzuciła je szybko na deskę do krojenia chleba. Lubiła Toma Carvera; uważała, że jest sympatyczny, rozmawiał z nią, jakby ją naprawdę dostrzegał, ale nie przejmowała się, kiedy Dale robiła mu scenę. Jednak z Lucasem było inaczej. Kiedy Amy widziała, że jakaś sprawa Dale obchodzi Lucasa, obchodzi tak głęboko, że odrywa go od wszystkiego oprócz pracy, wtedy dotykało ją to dokładnie tam, gdzie boli najmocniej.

Dale wyciągnęła się w wannie. Woda pachniała olejkiem lawendowym - polecili jej to w ośrodku medycyny niekonwencjonalnej w Bath, na stres - nie paliło się żadne światło oprócz świecy i nie rozlegało się żaden dźwięk oprócz muzyki w stylu New Age, dobiegającej z odtwarzacza kompaktowego w pokoju obok. Dale miała zamknięte oczy, a omywając równym, falującym ruchem rąk, piersi i brzuch ciepłą wodą, próbowała wzbudzić ten kojący, powtarzający się ruch w swym umyśle.

Po wyjściu od Lucasa Dale pojechała do siebie, zahaczając po drodze o mieszkanie przyjaciółki, którą poznała podczas jednej ze swoich wizyt w księgarniach. Przyjaciółka była osobą gościnną, samotnie wychowującą dwójkę dzieci. Prowadziła coś w rodzaju domu otwartego, gdzie oczekiwała od gości, że sami sobie znajdą koszyk z chlebem i stoik z kawą. Dale spędzała tu sporo czasu po tym, jak Neil, aktor i piosen-

karz, z którym, jak sądziła, budowała swój pierwszy, głęboki, interesujący, lojalny, dorosły związek, oznajmił dość nagle, że rzuca to miasto dla Londynu, a przy okazji, że rzuca też Dale. Dale wylała z tego powodu morze łez przy gościnnym stole Ruth, a chociaż teraz mogła myśleć o Neilu i nie rozplływać się natychmiast we łzach, utrzymała zwyczaj odwiedzania Ruth kilka razy w tygodniu.

Jednak tego wieczoru w domu Ruth panował ruch. Czwooro przyjaciół dzieci Ruth nocowało u nich, a było też dwoje ludzi z ośrodka dziennego samotnych rodziców, gdzie Ruth pracowała na pół etatu, którzy przyszli podyskutować - czyli pobiadolić, pomyślała Dale - o tym, jak ośrodek jest prowadzony. Skutek był taki, że Dale nie mogła porozmawiać z Ruth o Tomie i Elizabeth Brown. Ruth poczęstowała ją kolacją - pieczonymi kartoflami i sałatką - i powiedziała jej, że jest za chuda i ma podkrążone oczy.

- Do łóżka - powiedziała. - Najlepiej ci zrobi, jak pójdziesz wcześniej do łóżka. Mówisz, że ile mil dzisiaj zrobiłaś?

Więc Dale, z ciężkim sercem, pojechała dalej, do swojego mieszkania na obrzeżach Bristolu. Kupiła je z Neilem, bo twierdził, że ma lepsze szanse na karierę w Bristolu, gdzie jest teatr i wiele stacji radiowych i telewizyjnych, a ona się zgodziła, częściowo dlatego, że lubiła się zgadzać z Neilem, a częściowo dlatego, że z radością stwierdziła, iż dopuszcza możliwość wyjazdu z Bath. Nawet jeśli ma się oddalić tylko o dwanaście mil. Jednak kiedy Neil odszedł, było tak, jakby zabrał ze sobą cały urok z ich mieszkania w Bristolu. Wziął bardzo mało rzeczy, ale zdołał zabrać wiele z atmosfery. Mieszkanie, które zdawało się stymulować, zapewniać zadowolenie, schronienie i samowystarczalność, z dnia na dzień stało się zwykłym miejscem do spania.

Dale pomyślała o Lucasie. Doceniała to, jak cierpliwy był Lucas wobec niej i jak bardzo, przez całe jej życie, szczerze starał się być dla niej oparciem. Nawet sam wybór Amy był krzepiący, ponieważ Amy nie stanowiła zagrożenia ani wyzwania dla Dale, ani też dla związku między Dale a Lucasem. Nawet kiedy bywała zazdrosna - A ja, powiedziała kiedyś Neilowi, śmiejąc się, że jest zdolna przyznać się do czegoś takiego, „jestem chodzącą zazdrością” - zdawała sobie sprawę, że przyczyną nie jest zachowanie Amy ani jej obecność. Przyczyną było to, że ona, Dale, była akurat w zazdrosnym nastroju, który nadchodził jak kolejna faza księżycy. Czasem myślała, że jej zazdrość wyrasta ze strachu, strachu, który dręczył ją przez całe życie, że wszyscy, których kocha i potrzebuje, w końcu ją opuszczą. Bywały chwile, kiedy się zastanawiała, czy fakt, że ich potrzebuje, sam w sobie powoduje samot-

ność. W gruncie rzeczy nikt oprócz Neila nie porzucił jej z rozmysłem - nie można przecież oskarżać biednej mamy o to, że przez pomyłkę umarła, nawet jeżeli samotność przywodziła takie myśli - ale ta prawda jakoś nie miała wpływu na jej odczucia. Żyła w lęku, że zostanie porzucona, i lęk ten był rzeczywisty, silny, zupełnie niezależny od tego, co się naprawdę działo.

Odczuła nawet lekki skurcz paniki, kiedy odeszła Josie. Chciała, żeby odeszła, dążyła do tego, ale kiedy zobaczyła, jakie spustoszenie odejście Josie poczyniło w ojcu, poczuła nie tyle triumf, ile krótki nawrót uczuć z tych pierwszych dzieciennych lat bez matki. A potem jej na nowo obudzony strach wywołał kolejną obawę - teraz wiedziała, że Tom ją opuści i Lucas też, i że pójdą za Josie. Neila bardzo to irytowało. Patrząc wstecz, dochodziła do wniosku, że był to prawdopodobnie początek końca ich związku. Neil powiedział, że nie można żyć z kimś, kto jest tak rozmyślnie, uporczywie nieracjonalny.

- Dla mnie to jest rzeczywiste! - płakała wtedy Dale.

Kąpiel robiła się zimna. Dale przestała falować dłońmi i w ciemności próbowała wymacać mydło. Ruth powiedziała jej kiedyś, w tych czarnych tygodniach po odejściu Neila, że musi sobie uświadomić, iż miłość nie polega na posiadaniu ludzi, na trzymaniu ich przy sobie, na wypadek gdyby okazali się potrzebni; polega raczej na dawaniu im wolności, zgadzaniu się na ich odejście.

- I jeszcze coś. Nie istnieje określona ilość miłości, nie grozi ci to, że ktoś podwędzi twój przydział. Niektórzy ludzie potrafią kochać tylko jedną osobę, inni kochają setki, ale to nie znaczy, że w każdym przypadku jest ta sama ilość miłości. Ja przecież mogę się znów zakochać. Ty też. Ale kiedy do tego dojdzie, nie będę mniej kochać moich dzieci, tak samo jak ty nie przestaniesz kochać ojca i brata.

Dale stanęła w wannie i sięgnęła po ręcznik. Owinęła się nim jak sarongiem, pod pachami, i wyszła z wanny. Następnie poczłapała gołymi, mokrymi stopami po drapiącej sizalowej wykładzinie saloniku, którą wraz z Neilem tak troskliwie wybierali, do miejsca, gdzie na niskim stoliku stał telefon z wbudowaną automatyczną sekretarką i faksem. Podniosła słuchawkę i wybrała numer Toma. Rozległ się sygnał, jeden, drugi, trzeci, po czym włączyła się jego automatyczna sekretarka.

- Tu firma Toma Carvera. Nie możemy odebrać...

Dale odłożyła słuchawkę i stała, patrząc na nią. Tom wyszedł. Lekko zacisnęła zęby. Z kim?

Rozdział piąty

- Nie chcesz wejść? - zapytał łagodnie Matthew Rufusa.

Rufus siedział na niskim murku ogrodowym, tyłem do domu, i kopał w niego rytmicznie piętami. Elaine właśnie go przywiozła. Zaparkowała samochód przed domem, a Rufus powoli wysiadł i poddał się uściskowi Josie, po czym milcząco odmówił wejścia do środka. Wysunął się z objęć matki, siadł na murku i zaczął kopać w niego piętami.

- Ja bym go zostawiła - powiedziała Elaine. Podniosła odrobinę głos, tak żeby Rufus ją usłyszał. - Może wejść, jak zmarznie.

Josie popatrzyła z niepokojem na ulicę. Była to przeciętna ulica, po której obu stronach stały bliźniaki, wszystkie zbudowane pod koniec lat siedemdziesiątych, tak jak i ich dom. Niektóre ogrody były schludne i puste, niektóre gęsto porośnięte bujną roślinnością, ale w większości z nich rozrzucone zabawki, sznury do bielizny, kosze na śmieci oraz samochody na kołkach czekające na naprawę świadczyły o chaotycznym życiu rodzinnym. Josie nie знаła jeszcze nikogo na tej ulicy, nie wiedziała, czy jest bezpieczna dla ośmiolatka i czy rzeka samochodów, które pędziły tędy od czasu do czasu do centrum Sedgebury i z powrotem, nie popłynie znowu za chwilę.

- Wejdz - powiedziała zachęcająco do Rufusa. - Wejdz. Przywieźliśmy ci prezent.

Nie spojrział na nią. Gapił się na dom naprzeciwko, gdzie w ogródku stała ozdobna studzienka z plastikowym kotem skradającym się po daszku.

- Nie, dziękuję - odparł Rufus.

Po chwili Josie i Elaine weszły do domu. Rufus nie odwrócił się, ale wyczuł, że stoją przy oknie saloniku i patrzą na niego. Korciło go, żeby wstać i odejść, ale nie mógł jakoś wprawić się w wystarczająco buntowniczy nastrój. Nie chciał też przestraszyć Josie. Chciał tylko, żeby

wiedziała z całą pewnością, że 17 Barrat Road może być miejscem, gdzie kazała mu teraz mieszkać, ale nie jest jego domem. Dom to co innego. Dom budzi skojarzenia emocjonalne, zgromadzone przez większą część życia, które sprawiają, że był naturalnym miejscem przebywania. Dom nr 17 na Barrat Road nie wywoływał takich skojarzeń - przynajmniej u Rufusa - i nie był on dla niego naturalnym miejscem przebywania. Był nieznośnym miejscem i Rufus chciał, żeby to się stało zupełnie jasne. Dla Josie, dla babci, dla - Matthew.

Upłynęło chyba sporo czasu, zanim ktoś do niego wyszedł, gdyż zdążył porządnie zmarznąć i zauważył, że robi się ciemno. W niektórych domach przy tej ulicy stały już choinki i Rufus widział ich światełka. Były to przeważnie kolorowe lampki, które, jak wiedział, z jakiegoś powodu są gorsze od białych. Przypuszczał, że pod numerem 17 też będą mieć choinkę. Nie miał na to zbytnej ochoty, ale na Boże Narodzenie chyba trzeba ją mieć. Mimo rozświetlonych drzewek na ulicy Rufus nie mógł uwierzyć, że zbliża się Boże Narodzenie. Wcale nie czuł świątecznego nastroju, będąc z dala od Bath i mając w perspektywie przyjazd dzieci Matthew. Rufus kopnął mocniej. Dzieci Matthew stanowiły dla niego problem, którego Josie zdawała się w ogóle nie rozumieć. Usłyszał kroki na betonowych pasach podjazdu - nie były to kroki Josie - a potem zauważył kątem oka, że Matthew siada na niskim murku o jakieś osiem stóp od niego. Matthew się nie odzywał. Siedział zwrócony twarzą w przeciwną stronę niż Rufus i trzymał ręce w kieszeniach. Rufus przygarbił się.

- Nie chcesz wejść? - zapytał Matthew po chwili.

Rufus nic nie powiedział. Nie chciał wejść, ale zaczynał czuć, że na zewnątrz też już nie chce zostać.

- Nie pójde z tobą - powiedział Matthew. - Mam coś do zrobienia w garażu. Jeżeli wejdiesz, będziesz tylko z mamą i babcią.

Rufus spuścił głowę. Mruknął coś.

- C o ?

- Nie chodzi o to...

- Nie - powiedział Matthew - sądzę, że nie. Ale tylko to mi w tej chwili przychodzi do głowy, żeby ci pomóc.

Popatrzył na dom. Kupili go dwa miesiące temu, po ośmiu miesiącach spędzonych w ciasnym mieszkaniu, gdzie ciągle zapewniali się nawzajem, że wszystko się zmieni, kiedy będą mieli prawdziwy dom. W saloniku paliły się światła, a Josie i Elaine usadowiły się na kanapie i na fotelu z kubkami herbaty. Fotel pochodził z domu, który Matthew dzielił z Nadine, a kanapę znalazła Josie na wystawce na sąsiedniej ulicy.

Połowę mebli zdobyli w ten sposób, tę połowę, która nie była własnością Matthew ani nie należała do Josie w latach, kiedy mieszkała w Bath. Po drugiej stronie Sedgebury, zmagazynowane w garażu przyjaciela Matthew, który go nie używał, stały te z ich wspólnych mebli, które przypadły Nadine. Odmówiła zabrania ich do Herefordshire z tą samą gwałtownością, z jaką odmówiła wykorzystania swojej części pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży poprzedniego domu na zakup mieszkania w Sedgebury. Matthew wiedział, że kupiła samochód, ale nie miał pojęcia, co zrobiła z resztą pieniędzy. Nie było tego wiele po spłaceniu hipoteki, ale wystarczająco dużo, żeby Nadine je roztrwonila albo nawet zgubiła. Gubiła pieniądze tak, jak inni ludzie gubią skarpetki w praniu. Doprowadzało go to do szału.

Zerknął na Rufusa. Było już dość ciemno, ale jeszcze słabo widział jego twarz i to, że wpatruje się w swoje nieustannie kopiące nogi. Rufus wszedł w życie Matthew z własnymi pieniędzmi, pieniędzmi Toma Carvera, które go nakarmią, ubiorą, przewiozą i wyślą na szkolne wycieczki. Było to oczywiście słuszne, słuszne, aby Tom Carver utrzymywał swojego syna, ale w obecności pieniędzy Toma Carvera w domu Matthew było coś trudnego do zniesienia. Matthew martwił się o pieniądze - bez pomocy Josie nie mógłby wpłacić zaliczki za ten dom - ale to nie zmieniało faktu, że wołał niezależność zmartwienia od konieczności uznania, iż pieniądze innego mężczyzny pomagają mu związać koniec z końcem. Josie powiedziała, że prawie wszystkie pieniądze, które wyłożyła na dom, są jej własnością, bo to pieniądze, które zaoszczędziła pracując jako nauczycielka w Bath, ale patrząc na niektóre jej drobiazgi i ubrania, Matthew zastanawiał się, czy nie mówi tak dlatego, że jest taktowna. Może nawet zbyt taktowna, niemal pobłażliwa, jakby uważała, że nie można oczekiwać, aby uporał się z prawdą o jej pieniądzach. I Matthew to odczuwał, odczuwał dotkliwie. Josie tak otwarcie podziwiała Matthew za wiele rzeczy, szczególnie za talent do nauczania, zdolność do lubienia młodzieży, do pracy z młodymi ludźmi, dodawania im otuchy i radości, gdy obierali swoją drogę życiową. Czynisz dobro, mówiła mu kilkakrotnie. Czynisz dobro, które się liczy. Ale w kwestii obchodzenia się z pieniędzmi albo stosunku do nich nie miała już tej pewności, i on to zauważał.

Na Barrat Road zaczynały się pojawiać samochody, po reflektorach widać było, jak podskakują przejeżdżając przez garby, które zbudowano na polecenie rady miasta, żeby zwolnić ruch. Niektóre światła chwyciły Rufusa i Matthew w przelotny żółty blask i Matthew dostrzegł, że Rufus drży.

- Musisz wejść...

Rufus nie patrzył na niego.

- Dlaczego mama nie przyszła?

- Żeby cię zabrać do środka? Bo zaproponowałem, że ja to zrobię. Wyglądałeś na trochę osamotnionego.

- Lubię to - odparł Rufus.

- Tak - powiedział Matthew. Wstał i podszedł bliżej, chcąc położyć rękę na ramieniu Rufusa. - Chodź.

Rufus odskoczył od niego na chodnik, przecisnął się przez bramę wjazdową i pognał po betonowych płytach do domu. Matthew usłyszał otwieranie drzwi, a potem trzaśnięcie. Przypomniał sobie, że kiedy był w wieku Rufusa, przez długie miesiące fantazjował, że jest sierotą, obiektem litości i podziwu w świecie, w którym z całą pewnością nie było miejsca dla jego matki, ojca ani malej siostrzyczki, Karen. Mimo upływu trzydziestu pięciu lat pamiętał, jak wspaniale było to wymagowane opuszczenie, odwaga samotności. Następnie podniósł wzrok i ujrzał w oświetlonym pokoju przed sobą Josie wstającą na powitanie Rufusa, który bardzo powoli wchodził do pokoju, jak uosobienie głębokiej niechęci. Moja Josie, pomyślał Matthew poruszony jej widokiem, moja. Zobaczył, jak próbowała objąć Rufusa, a chłopiec zręcznie się przed nią uchylił i usiadł na kanapie obok babci. Matthew odwrócił się i zaczął iść w stronę garażu. Moja - ale i kogoś innego, kto miał ją na długo przede mną.

Clare stanęła w drzwiach sypialni.

- To tutaj będę spać?

- Tak - powiedziała Josie z uśmiechem. Przygotowanie pokoju dziewczynek zajęło jej kilka dni. Wyciągnęła nawet z garażu powłoczki na kołdry i poduszki, które należały do dzieci Matthew. Wyprała je, zašlała nimi łóżka, kupiła lampki nocne oraz korkową tablicę i położyła biały grecki wełniany dywanik, który kiedyś leżał na podłodze dzieciennego pokoju Rufusa w Bath, kiedy Rufus był malutki. Efekt końcowy był bardzo przyjemny. Matthew, który pomalował ściany i zawiesił ciemnoniebieskie zasłony ze wzorem w gwiazdki, znalezione przez Josie w sklepie z używanymi rzeczami, stwierdził, że dziewczynki będą zachwycone. Powiedział, że nigdy nie miały pokoju, który chociaż w połowie byłby tak ładny. Wziął Josie w ramiona i pocałował, i powiedział, że jest hojna.

- Nasze pierwsze święta razem. A ty wkładasz w nie tyle wysiłku.

- Sprawia mi to przyjemność - odparła, zgodnie z prawdą. Sprawia-

ło jej to przyjemność, rozkoszowała się uczuciem, że robi coś, by ustabilizować życie dzieci Matthew, życie, w którym najwyraźniej brakowało poczucia bezpieczeństwa i regularności. Josie przeżyła tylko jedno spotkanie z Nadine, które było krótkie i wytrąciło ją z równowagi, ale pozostawiło jej nadzieję - bardzo rzeczywistą nadzieję - że nietrudno być lepszą od Nadine.

- One się jej boją - powiedziała.

Popatrzył z powątpiewaniem.

- Tak, boją się - powtórzyła, a potem dodała z naciskiem: - Boją się jej nastrojów.

- Myślę, że ją kochają - odparł Matthew nieszczęśliwym głosem.

Nawet jeżeli ją kochają, mówiła sobie Josie, rozczesując frędzle greckiego dywanika, nie przeszkodzi im to dostrzec, jak dobrze, jak kojąco jest mieć posiłki o stałych porach i czysty, wesoły dom bez kłótni. Kłótni z pewnością nie będzie. Matthew opowiadał, że kłótnie urozmaicały jego życie z Nadine z nieubłaganą regularnością, porcelana fruwała, a dzieci uciekały. Josie była zaszokowana, słysząc to. Ona i Tom sprzeczekali się, oczywiście - głównie na temat Dale - ale żadne z nich nigdy nie cisnęło żadnym przedmiotem. Nie przyszłoby im to do głowy, i o ile uda jej się postępować według własnej woli, dzieci Matthew wkrótce dojdą do wniosku, że nie jest to sposób na porozumiewanie się. Będzie bardzo cierpliwa, mówiła sobie, bardzo, i nie będzie o nic prosić ani oczekiwać niczego w zamian przez kilka miesięcy. Czując, że prowadząc dom, będzie miała nieograniczone zasoby cierpliwości dla jej członków, bo zrekompensuje jej to władza, której nigdy tak naprawdę nie miała w domu w Bath, ponieważ weszła do niego, kiedy stanowił już pewną całość, z rodziną Carverów, ich wszystkimi zwyczajami i tradycjami oraz - co było najtrudniejsze - z duchem zmarłej żony Toma, Pauline. Pauline, kanonizowana przez to, że tak młodo i niesprawiedliwie umarła, przenikała dom z subtelną mocą, którą Josie mogłaby szanować, gdyby nie czuła się przez nią tak zagrożona. Upłynęły lata, zanim Dale wpuściła Josie do swojego pokoju, nie mówiąc już o pomocy w wyborze umeblowania i pościeli, a kiedy ją w końcu wpuściła, Josie stanęła jak wryta na widok ogromnej ilości zdjęć Pauline. Nadine, w porównaniu z Pauline, była przeciwniczką, z którą łatwo można sobie poradzić; była najwyraźniej kiepską matką, fatalną gospodynią, nigdy nie zarobiła grosza do wspólnej kasy, a poza tym jeszcze żyła.

Clare upuściła trzy czy cztery wypchane plastikowe torby koło najbliższego łóżka. Przechyliły się na bok i powypadały z nich różne brudne ciuchy.

- Podoba ci się? - zapytała Josie.

Clare nic nie powiedziała.

- To są wasze powłoczki na kołdry i poduszki...

- Tak? - Clare spojrzała obojętnie na łóżka.

- Tak. Pewnie miło ci je znowu zobaczyć?

Clare zaczęła nerwowo szarpać dolny guzik swetra.

- Nie pamiętam ich.

- Mam nadzieję - ciągnęła wytrwale Josie - że położyłam je na właściwych łóżkach. Twoje tutaj, a Becky na łóżku koło okna.

- Becky nie będzie spała koło okna - powiedziała Clare. - Ona używa okna tylko do wyrzucania petów.

Josie uśmiechnęła się.

- Niestety, nie chcę, żeby tutaj paliła.

Clare westchnęła. Powlokła się przez pokój, potykając się na greckim dywaniku i fałdując go. Popatrzyła na korkową tablicę.

- A to do czego?

- Na plakaty. Wasze plakaty, pocztówki, a może obrazki, które malujecie w szkole.

- W mojej klasie zajmujemy się ceramiką - powiedziała Clare.

- No, ale na pewno masz jakieś plakaty, prawda? Zespoły, modelki i tak dalej?

Clare gapiała się na nią.

- Modelki?

Josie schyliła się, żeby wygładzić dywanik.

- To tylko propozycja.

- Becky lubi Oasis - oznajmiła Clare. - Nie zmieszczą się na tym.

- Clare, zostawię cię, żebyś się mogła rozejrzeć. Pootwieraj szafki i w ogóle. Wiesz, gdzie jest łazienka.

Clare rzuciła na nią szybkie spojrzenie.

- Nie będę używać jej łazienki - mówiła Becky rano na dworcu w Hereford. - Na pewno. Nie będę siadać tam, gdzie ona siedziała.

- To co zrobisz? - zapytał Rory.

- Będę srać w ogrodzie - odparła Becky, wydmuchując obłok dymu.

Rory i Clare zignorowali uwagę. Becky już dawno utraciła umiejętność szokowania ich. Ale Nadine, czekająca z nimi na przyjazd pociągu, wybuchła gdaczącym śmiechem. Clare pragnęła, żeby Nadine tego nie robiła, żeby nie utrudniała zawsze czegoś, co i tak było dostatecznie trudne. Na przykład przebywanie w tym pokoju z osobą, której nie chciała mieć w swoim życiu, a która wyraźnie czegoś od niej oczeki-

wała, jakiegoś znaku, że pokój jest ładny, że okazała się dobra. Clare odwróciła głowę i popatrzyła w okno. Jeżeli położy papier toaletowy na sedesie, może nie zaszkodzi, że usiądzie na miejscu, gdzie siedziała Josie. Żeby tylko Becky tego nie zauważyła.

- Nie ubraliśmy choinki, prawda, Rufus? - powiedziała Josie. - Poczekaliście, żebyście mogli ubrać ją z Rorym.

Czuła, że jej głos brzmi fałszywie, jest wesoły i głupiotki, jak parodia głosu przedszkolanki w grupie nieposłusznych czterolatków.

- Ubraliście choinkę dla waszej mamy w Herefordshire? - spytała Rory'ego.

- Nie - odparł. Był ubrany, tak jak wszystkie dzieci, w te same rzeczy, które miał na sobie podczas ślubu. Stał przy pudłach z ozdobami choinkowymi i torbach ze srebrnym włosiem anielskim, obgryzając skórkę kciuka. Josie zauważyła, że ma pryszcz na boku nosa i wygląda niechlujnie, jakby jego ubrania nie były prane ani on sam nie mył się od tygodni.

- Do roboty - powiedziała Josie do Rufusa.

Rufus pochylił się i podniósł pudełko z lampkami choinkowymi.

- Są nowe...

- Wiem.

Popatrzył na nią. Zmierzył ją długim, przeciągłym spojrzeniem pełnym wyrzutu za lampki, które były inne od niesamowicie długiego sznura małych białych lampek kupionych przez Toma, które co roku ozdabiały drzewko w Bath.

- Nie mogłam dostać białych - powiedziała Josie. Powinna była powiedzieć zgodnie z prawdą, że te kolorowe, kupione od sikhijskiego handlarza na rynku w Sedgebury, były najtańsze, ale stwierdziła, że jeszcze nie jest gotowa przyznać się Rufusowi do konieczności oszczędzania.

- Są pospolite - orzekł Rufus wzgardliwie.

Rory na chwilę przestał obgryzać i spojrzął na Rufusa.

- Powinny być białe - dodał Rufus.

Josie uniosła ręce do włosów i poprawiła opaskę, która je przytrzymywała.

- Mamy tylko takie.

- Gdzie jest telewizor? - zapytał Rory.

- Tam - pokazała Josie.

Rory zrobił ruch, jakby chciał podejść w jego stronę.

- Jak ubierzecie choinkę - powiedziała Josie. - No chodźcie, to takie przyjemne.

Rzeczywiście, kiedyś było, Tom dyrygował, malutki Rufus wieszał ozdoby na najniższych gałęziach, a w końcu nawet Dale się przyłączyła. Była to jedna z coraz rzadszych chwil w roku, kiedy Josie czuła, że postąpiła słusznie, wychodząc za Toma, że mają wspólne dobre życie, że nie jest ważne, iż nie może go kochać tak, jak zawsze miała nadzieję kochać męża - tą radosną, triumfalną miłością, którą próbowała wywołać, wyzywająco idąc główną nawą, w czwartym miesiącu ciąży, w jedwabnej prążkowanej sukni koloru kości słoniowej, odciętej wysoko pod biustem, jak suknia średniowieczna, żeby ukryć rosnący brzuch. Teraz oczywiście taka miłość była łatwa. Wystarczyło tylko pomyśleć o Matthew, a co dopiero go zobaczyć, żeby poczuła w środku skurcz, który był jak płomień albo prąd wody. Myślała na początku, że to może tylko seks, ale uniesienie wciąż trwało, prawie osiemnaście miesięcy po ich pierwszym spotkaniu na konferencji w Cheltenham, i było coraz silniejsze. Kochała Matthew, kochała go. Sprawiał, że czuła się szczęśliwa, dumna, zadowolona i, w najlepszym znaczeniu tego słowa, prowokująca. Tymczasem dziecko Matthew, stojąc w jej saloniku, było tak odporne wobec zajęcia, które zawsze, przez długie lata uczuciowego zawodu, napełniało serce Josie otuchą.

- Dobra. Rzucam wam wyzwanie - powiedziała do chłopców. - Macie wziąć te byle jakie lampki i inne tandetne ozdoby, którymi wyraźnie pogardzacie, i zrobić coś z tej choinki. Ja idę przygotować lunch. Może być spaghetti bolognese?

Żaden z chłopców nie dał znaku, że w ogóle ją usłyszał.

- Zajmie mi to dwadzieścia minut - rzekła Josie. - A potem wrócę tutaj i oczekuję, że będę olśniona. W porządku?

Spojrzała na nich. Rufus z westchnieniem zdjął pokrywkę z pudełka z lampkami, a Rory, wciąż obgryzając kciuk, schylił się, żeby wyciągnąć z najbliższej torby pasmo srebrnego włosa anielskiego. Josie wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Rufus spojrzał na Rory'ego. Rory nie odwzajemnił spojrzenia. Zamiast tego porzucił pasmo włosa anielskiego i leniwie podszedł do telewizora.

- Gdzie jest pilot? - zapytał.

Becky paliła. Kiedy wreszcie raczyła przyjść do kuchni na lunch, przyniosła z sobą silną falę dymu papierosowego. Miała na sobie swoją dzinsową kurtkę i długą czarną spódnicę z rozcięciem, a jej palce wystawały z udzierganych z czarnej, ciemnoróżowej i szmaragdowozielonej wełny mitenek. Miała ze sobą jakieś zawiniątko w starej, białej plastikowej torbie i kiedy usiadła, rzuciła je na słomianą matę stołową.

Josie, stojąca przy kuchence z chochelką do wylawiania makaronu, postanowiła poczekać i nic nie mówić. Nie było to łatwe. Tego ranka nic nie było łatwe, więc łzy oraz złość tworzyły coraz większy supeł w jej piersi i gardle. Ostatni raz czuła coś takiego, gdy została żoną Toma, a szesnastoletnia Dale mówiła nieustannie do ojca o swojej zmarłej matce. Kłopoty tego poranka były innego rodzaju, ale nie mniej denerwujące. Dzieci Matthew nie zrobiły żadnego wysiłku, aby się rozpakować, i nie wykazały żadnego zainteresowania domem ani możliwością życia w nim, nawet kiedy im podsunęto, że wróciłyby do swoich dawnych kolegów szkolnych z Sedgebury. Becky zostawiła swoje torby na dworze, pod tylnymi drzwiami, nie chciała nawet obejrzeć pokoju, po czym znikła. Kiedy Josie poszła na górę, żeby zobaczyć, czy u Clare wszystko w porządku, znalazła sypialnię w takim samym stanie, w jakim ją zostawiła, a podłoga w łazience była z tajemniczych powodów zarzucona kawałkami nieużytego, ale pogniecionego papieru toaletowego. Mydło i ręcznik pozostały nietknięte. Rory miał zamieszkać w pokoju Rufusa. Czarno-biały, pokryty krzywo poprzylepianymi naklejkami z nazwiskami piłkarzy Newcastle United plecak stał dokładnie w drzwiach, jakby szykując się do odlotu.

W tej samej chwili Josie wydało się, że słyszy telewizor. Zeszła na dół i otworzyła drzwi do saloniku. Na podłodze, rozwaleni na poduszkach ściągniętych z kanapy i krzeseł, leżeli Rory i Clare. Rory trzymał pilota od telewizora i skakał po kanałach. Clare ssała kciuk. Strapiony Rufus zawieszał pasma folii i szklane bombki na choince, wszystko po jednej stronie i tak daleko od tamtych, jak się dało. Rzucił Josie szybkie spojrzenie. Rory i Clare nie podnieśli wzroku.

Josie wzięła głęboki oddech. Potem postarała się, żeby jej głos zabrzmiał możliwie przyjaźnie.

- Wyłączcie to, proszę.

Rory nie zwrócił na nią uwagi. Clare wyjęła kciuk z buzi i owinęła go spódnicą. Josie zrobiła krok do przodu i wyjęła pilota z ręki Rory'ego.

- Jezu...

- Co powiedziałaś?

- Jezu - powiedział Rory ze znużeniem. Przetoczył się po poduszkach dalej od niej.

Josie wyłączyła telewizor i włożyła pilota do tylnej kieszeni dzinsów.

- Może pomożesz Rufusowi? - zwróciła się do Clare.

Clare spojrzała na choinkę.

- On już skończył.

- Nie, nie skończył. Ubrał tylko z jednej strony.

Clare wstała, bardzo wolno. Rufus przesunął się za drzewko, które zasłaniało mu teraz dziewczynkę. Clare wzięła czerwoną bombkę i powiesiła na gałązce, która była już gęsto ozdobiona.

- Proszę.

- To nie wystarczy - powiedziała Josie. Starła się mówić beztrojskim tonem. - Widzisz? W trzech czwartych choinka jest ciągle całkiem goła.

Z podłogi odezwał się Rory, głosem stłumionym przez poduszkę, w którą była wciśnięta jego twarz:

- Kto w ogóle będzie na to patrzył?

- My - odparła Josie. - Wasza czwórka, dzieci, i wasz ojciec, i ja. To jest choinka dla... dla rodziny.

Natychmiast pożałowała, że wymówiła to słowo. Wszystkie dzieci nagle znieruchomiały, a pokój wypełnił się namacalną zimną urazą. Przygryzła wargę. Czy powinna powiedzieć „przepraszam”? A może: „ojej, przepraszam, nie powinnam wypowiadać tego słowa tak szybko”? Popatrzyła na nich. Pomyślała o pokojach na górze, o dogotowującym się makaronie z sałatką, o kuchni z nakrytym stołem, i o czerwonej świecy, z okazji przedświątecznego tygodnia. Nagle wezbrało w niej uczucie, które usunęło skrucę, potrzebę przyznania się do pierwszej porażki po nieudanej próbie zachowania anielskiej, nadludzkiej cierpliwości.

- Jest takie słowo: rodzina - powiedziała Josie do znieruchomiałych dzieci. - Istnieje też określenie przybrana rodzina. Jest w słowniku, czy się wam to podoba, czy nie. Przybrana rodzina jest również faktem, który nas wszystkich teraz dotyczy, także czy wam się to podoba, czy nie. - Urwała, po czym powiedziała do Rory'ego. - Wstań.

Nie ruszył się.

- Wstań - powiedziała Josie. - Wstań i połóż te poduszki na miejsce.

Niezwykle powoli zwlókł się, stanął na nogi i zaczął rzucać poduszki na kanapę i krzesła, nie kładąc ich na właściwe miejsca.

- Porządnie - upomniała Josie. Kątem oka widziała, że Rufus milcząc ją błaga, aby nie drażniła Rory'ego. - No już.

Rory westchnął.

- Słyszysz, co mówię.

Clare ruszyła się ze swojego miejsca przy choince i zaczęła układać poduszki. Głowę trzymała spuszczoną, więc Josie nie widziała jej twarzy.

- Gdyby był tu wasz ojciec, zachowywalibyście się tak samo? - zapytała Josie. - Czy przykrości rezerwujecie specjalnie dla mnie?

Clare położyła ostatnią poduszkę na kanapę, do góry nogami, tak że było widać zamek.

- Gdzie jest tata? - spytała, a jej głos brzmiał niepewnie, jakby miała się zaraz rozplakać.

- W szkole - odparła Josie. - Załatwia korespondencję na koniec semestru.

- Chcę, żeby tu był - powiedziała Clare. Jej oczy wypełniały się łzami.

Ja też, pomyślała Josie. Boże, ja też, i to jak. Ja też. Spróbowała dotknąć Clare, ale dziewczynka wywinęła się i schowała za brata.

- Niedługo wróci. Zaraz po lunchu. - Zdławiła chęć krzyku i powiedziała oschłym, opanowanym głosem: - Pora coś zjeść.

- Ja nie chcę - oznajmiła Becky.

- Może zdejmiesz rękawiczki? - zaproponowała Josie.

Becky położyła ręce na stole.

- Zimno mi.

- Ale nie możesz jeść w rękawiczkach...

- Nie będę tego jadła - powiedziała Becky, patrząc wymownie na Josie i parujące garnki na kuchence.

- Przecież wszyscy lubią makaron. Spaghetti - rzekła Josie.

Becky obrzuciła ją krótkim, jasnoniebieskim spojrzeniem.

- Ja nie lubię.

Josie wzięła głęboki oddech.

- Jedliście śniadanie?

- Nie - odpowiedziała Becky.

- Jedliście coś dzisiaj w ogóle?

Becky nic nie powiedziała.

- Słuchaj - rzekła Josie - skoro wyjechaliście z Hereford po ósmej, teraz jest wpół do drugiej, a wy od rana nic nie jedliście, musicie być potwornie głodni. - Nałożyła makaron z sosem na talerz i postawiła przed Rufusem. - Proszę. Prawda, że wygląda smakowicie?

Becky zaczęła gmerać przy suple, który zawiązała, żeby zabezpieczyć plastikowy worek.

- Gdzie jest jakiś talerz? - zapytała Clare.

- Nie wiem...

Clare popatrzyła na Rufusa.

- Gdzie jest jakiś talerz?

Rufus odwrócił się do matki. Josie podała mu talerz ze stojącego przed nią stosu.

- Chcesz samą sałatkę? - zwróciła się do Becky.

- Nie.

Rufus podał talerz Clare, a Clare, nie patrząc na niego, przekazała go siostrze. Becky postawiła talerz na swojej macie, a na nim położyła plastikową torbę. Ponownie zaczęła majstrować przy suple. Josie nałożyła jeszcze dwa talerze makaronu i postawiła je przed Clare i Rorym. Żadne z nich nie zareagowało. Przyglądali się Becky. Rufus też. Wszyscy koncentrowali się na tym, co się w końcu ukaże, kiedy Becky rozwiąże supel.

- Przestańcie się gapić - powiedziała Becky.

Josie nałożyła sobie małą porcję spaghetti i podeszła do miejsca, które specjalnie sobie wybrała, między Becky a Rorym. Usiadła.

- Możecie mi podać pieprz?

Zdawało się, że nikt jej nie usłyszał. Wszystkie oczy były zwrócone na urękawicznione palce Becky, rozplątujące ostatni węzeł. Wreszcie powolutku zsunęła boki torby i z niezwykłą ostrożnością wywaliła na talerz bryłę szarawego ryżu przetykanego pomarańczowoczerwonymi grudkami i czymś miękkim, czarnym.

Josie wlepiła w to wzrok.

- Co to jest?

- Risotto - odparła Becky. W jej głosie brzmiała duma. - Mama ugotowała.

Spojrzała na Rory'ego i Clare, niechby śmieli się sprzeciwić, niechby śmieli powiedzieć, że kiedy zeszłego wieczoru Nadine ugotowała risotto, wszyscy zdecydowanie odmówili zjedzenia go, potem była z tego powodu awantura, a potem kolejna, kiedy Nadine znalazła Clare i Rory'ego na poddaszu z plastikowym workiem krojonej bułki, którą żarłocznie wpychali sobie w usta.

- Myślałam, że nie jesteś głodna - powiedziała Josie, patrząc na rozbabrany talerz Becky.

- Powiedziałam, że nie lubię spaghetti.

- Ach tak. Więc kiedy my będziemy jeść to gorące, świeże jedzenie, ty będziesz jadła zimne risotto?

- Tak - odrzekła Becky. Spojrzała przez stół na Rufusa. - Mam tego więcej - powiedziała do niego tonem towarzyskiej pogawędki, niemal uprzejmie. - Mam tyle, że mi wystarczy do powrotu do domu. Nie muszę tutaj nic jeść.

Rozdział szósty

Shane, barman pracujący na pół etatu w miejscowym pubie, orzekł, że sprzątanie mieszkania Duncana Browna, po doświadczeniach z wychodkiem „Pod Lisem i Winogronami”, to jak przebywanie w buduarze damy.

- Chciałbym, żeby to usłyszała moja córka Elizabeth - powiedział Duncan.

Shane zmrużył oko.

- Kobiety narzucają sobie straszliwe standardy. Nie ustalają priorytetów. Moim zdaniem kurz nie jest najważniejszy. Wysprzątam kuchnię i łazienkę tak, że można tam będzie położyć nowo narodzone dziecko, ale nie będę sobie zwracał głowy kurzem. Nikt jeszcze nie umarł od odrobiny kurzu.

Duncan popatrzył na dywan. Nawet on zauważył, że przyjemnie asymetryczny afgański wzór był miejscami niewidoczny pod warstwą okruszków, kłaków kurzu i kawałków nitek. Skąd, u licha, wzięły się te nitki? Nigdy w życiu nie trzymał w ręce igły.

- Mówiła jednak coś o odkurzaniu...

Shane także spojrział na dywan.

- Czyżby?

- Zawsze zapominam wziąć talerz, kiedy jem sucharki...

- Powiem panu coś... Bo przecież nie chcemy marnować mojego czasu ani pana pieniędzy, no nie? Przejadę odkurzaczem tę ścieżkę tutaj i z grubsza przelecę tam, popryskam trochę tym fantastycznym płynem przeciwko osiadaniu kurzu, i gotowe.

- Mówiła też coś o myszach...

- Ja tam lubię myszy - powiedział Shane. - Moim zdaniem w prawdziwym domu powinno być parę myszy.

Duncana zaczynała nużyć ta rozmowa. Zawsze uważał, że o prowadzeniu domu nie ma sensu długo rozmawiać, wymaga ono czynów, nie

słów. Nie miał nic przeciwko rozmowom z Shane'em, ale wolałby z nim rozmawiać o rzeczach, które Shane'owi były bliskie, jak na przykład wyścigi konne czy wpływ alkoholu na stan ducha, a przy tym interesujące dla Duncana.

- Słuchaj - powiedział. - Po prostu zrób, co możesz. Chodzi o to, że ona przyjeżdża za dwa dni na Boże Narodzenie i nie chcę, żeby miała do mnie pretensje.

- Umyję okna - zaproponował Shane. - Czyste okno najlepiej odwraca uwagę od kurzu.

Duncan spojrział na niego. Był to dziwny, mały człowieczek, około czterdziestki, którego oczy i skóra zdradzały, że często przebywa w oparach piwa i tytoniu.

- Dlaczego nie chcesz zajmować się kurzem?

Shane wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ujął dwulitrową butlę wybielacza, którą przyniósł ze sobą.

- Nie chcę zajmować się odkurzaniem - powiedział. - To babska robota.

- Tato - odezwała się Dale - musimy mieć choinkę.

Tom Carver zdjął okulary do czytania.

- Wolałbym nie.

- Dlaczego?

- Niepotrzebna nam choinka. Dorośli nie potrzebują choinki na święta.

- Ależ tak - powiedziała Dale. - Dorośli czy nie, jesteśmy rodziną. To znaczy, oprócz Amy.

- A ona wkrótce też będzie. Dale...

- T a k ?

Tom z powrotem nałożył okulary.

- Może ci się nie spodoba to, co powiem, ale nie chcę choinki z powodu Rufusa.

- Przecież Rufusa tu nie ma.

- Właśnie. Ale w zeszłym roku był. Rufus i ja pojechaliśmy w takie miejsce w pobliżu Freshford, wybraliśmy choinkę, przywieźliśmy ją i ustawiliśmy przy drzwiach do ogrodu, i razem ubraliśmy. To było zaledwie, i prawie dokładnie, rok temu.

Dale przestała majstrować przy malakserze. Robiła wielkie przedstawienie z przygotowywania przecieranej zupy, upierając się, że ojciec takiej potrzebuje, jakby była nianią wmuszającą mu lekarstwo. Podeszła i usiadła przy stole naprzeciwko Toma.

- Tato.

- Słucham.

- Czy mogę ci przypomnieć, że wciąż jeszcze masz nas? Lucasa i mnie? Twoje pierwotne dzieci?

- Wiem. I nic i nikt was nigdy nie zastąpi. Ale Rufus też jest moim dzieckiem, a od jego narodzin nigdy nie przeżyłem świąt bez niego, i...

- urwał.

- C o ?

- Nie cieszę się na nie.

- Stokrotne dzięki - powiedziała Dale.

Tom sięgnął przez stół do jej ręki. Odsunęła ją, żeby nie mógł dotknąć.

- On ma osiem lat - powiedział Tom. - Jest jeszcze małym chłopcem. Mali chłopcy - tak samo jak dziewczynki - nadają Bożemu Narodzeniu inny wymiar. Wiesz, że tak. I jeszcze coś. Za wcześniej dla mnie, żebym czuł, że święta są tym samym, czym były kiedyś.

- Były ?

- Kiedy Rufus tu był.

- No cóż - powiedziała Dale. Czują, jak głos jej twardnieje, i jakoś nie mogła tego powstrzymać. - Może i jest za wcześniej na zabawę w święta, ale zdaje się, że nie jest za wcześniej na zabawę w przyjaciółki.

Tom podniósł obie ręce do twarzy, znowu zdjął okulary i położył je na stole przed sobą.

- Chodzi ci zapewne o Elizabeth Brown.

- T a k .

- To znajoma, nie przyjaciółka.

Dale nic nie powiedziała. Wstała, nabrała łyżką posiekanych porów i innych warzyw, i wrzuciła je do malaksera.

- Skąd o niej wiesz?

- Widziałam plany w twojej pracowni. Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon. I nie było cię w domu przez trzy wieczory, kiedy dzwoniłam. Zawsze jesteś w domu, zawsze. Zawsze wiem, że kiedy dzwonię, ty i Basil słuchacie opery albo drzemiecie przed telewizorem.

- Dale, czy kiedykolwiek kwestionowałem twoje prawo do związku z Neilem? - spytał Tom.

Dale przestawiła włącznik malaksera. Przekrzykując warkot urządzenia, zawołała:

- Nie. Prawdę mówiąc, czasem się zastanawiałam, na ile cię to obchodzi.

- Bardzo mnie obchodziło. Wyłącz to - odparł Tom pewnie i głośno. Usłuchała go.

- Byłem z Elizabeth Brown dwa razy w restauracji - powiedział Tom. - I trzy razy przyjechała wieczorem z Londynu w tygodniu, raz na koncert, raz do kina, a raz do znajomego malarza jej ojca na prywatny pokaz, który nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia.

Dale zakoiysa lekko malakserem i gęsty, zielonkawy plyn zafalował na ściankach naczynia.

- Ale nigdy dotąd tego nie robiłeś.

- Nie. Bo byłem żonaty. Chodziłem na koncerty i do kina z Josie i to też niezbyt ci się podobało.

- Josie była w porządku - powiedziała Dale.

- Teraz możesz tak mówić, bo jest w bezpiecznej odległości. Ale ja muszę mieć życie, Dale, muszę robić coś, co nie polega tylko na pracy i karmieniu starego Basa. Jestem człowiekiem, oprócz tego, że jestem twoim ojcem.

Spojrzała prosto na niego, uśmiechając się.

- Ale najpierw jesteś moim ojcem.

Odpowiedział uśmiechem.

- Oczywiście. Zawsze będę.

Obeszła stół i oparła się o niego. Objął ją ramieniem.

- Pamiętasz tę piosenkę, którą dla mnie wymyśliłeś? Tę świąteczną? Po tym, jak umarła mama?

- Przypomnij mi...

- Zaczynało się tak: „Bombki są na choince na Gwiazdkę, ale tata jest dla dzieci na zawsze, tak jak od kominów są kominiarze, a śmieciarze są od śmieci”. Pamiętasz?

- Tak - odparł Tom. - Zmuszałeś mnie, żebym ci ją śpiewał, omal nie umarłem z nudów.

Dale pochyliła się i przytuliła swój policzek do jego twarzy. Policzek był gładki, chłodny i jędrny, jak zawsze u Pauline.

- Tato.

- T a k ?

- Będziemy mieli choinkę, prawda?

- Tak mi przykro, że nie mogę się z tobą zobaczyć w święta - mówił wcześniej Tom do Elizabeth.

- Nie ma sprawy - odparła. Naprawdę tak myślała. Nie było sprawy, oczywiście, że nie. Znała go w końcu zaledwie od miesiąca czy dwóch i dopiero ostatnie parę tygodni z tych miesięcy znaczyło odrobinę wię-

cej niż zwykła przyjaźń. Kilka razy spędzili przyjemnie czas, a przy dwóch ostatnich okazjach, odprowadzając ją na późny pociąg z Bath do Londynu, pocałował ją w policzek i kazał obiecać, że weźmie taksówkę. Ale nie zrobił nic poza tym. Nie dawał jej kwiatów, nie trzymał za rękę w kinie ani nie zostawiał znaczących wiadomości na jej automatycznej sekretarce. Wydawał się po prostu bardzo zadowolony za każdym razem, kiedy ją widział, a przed pożegnaniem zawsze umawiał się na następne spotkanie. Gdyby nagle oświadczył, że chce się z nią spotkać w święta, Elizabeth byłaby zdziwiona, nawet lekko stropiona. Miał przecież dzieci. I wiedział, że ona ma ojca. Utarło się, że Boże Narodzenie jest zarezerwowane dla rodziny, więc zaproszenie od Toma Carvera odczułaby jako zbyt znaczący gest.

- Zostaniesz tu na Nowy Rok?

- Tak - odparła. - Prawdopodobnie. Czasami jeżdżę do przyjaciół do Szkocji, ale w tym roku nie.

- Co ty i twój ojciec robicie w święta?

- Och, idziemy na nabożeństwo do opactwa, często na pasterkę, spacerujemy, gotuję mu coś innego niż zupa z puszki, pijemy o wiele za dużo przy jedzeniu oraz po jedzeniu i dość wcześnie chodzimy spać.

- Bardzo nobliwie.

- Bardzo. A ty?

Tom zamilkł. Potem powiedział:

- My niestety odgrzewamy takie święta, jakie były zawsze. Kapi-szony, choinka, wszystko. Dale chce, żebyśmy znów powiesili skarpe-ty na prezenty. To wszystko miało sens, kiedy był Rufus, ale bez niego czuję się trochę głupio, trochę tak, jakbyśmy się upierali, że nic się nie zmieniło, chociaż się zmieniło.

- Ale Dale jest jednak twoim dzieckiem...

- I ma dwadzieścia pięć lat.

Wracając myślą do tej rozmowy, Elizabeth czuła, że Tom niejako prosił o współczucie. Subtelnie dał do zrozumienia, że nie radzi sobie z Dale, bo jest zbyt silna, zbyt wymagająca i bezwzględna. Elizabeth widziała zdjęcia Dale u Toma w domu, a także zdjęcia jej starszego brata Lucasa. Byli bardzo ładni. Nie atrakcyjni ani przystojni, ale zwyczajnie ładni, mieli wyraziste rysy, równe zęby i lśniące włosy, jak pokazowe egzemplarze godnej podziwu i pożądania ludzkości. Tom opowiedział Elizabeth o Dale i o tym, jak dramatycznie dotknęła ją śmierć matki. Elizabeth uprzejmie słuchała. Kiedy jej matka zmarła, odczuła należyty smutek, adekwatny do niewielkiego uczucia i ogromnej potrzeby wzajemnej tolerancji, jakie między nimi istniały, ale z pewnością nie głębo-

ką rozpacz. Wiedziała, że kiedy umrze ojciec, będzie inaczej i że z całą intensywnością dozna straty nadzwyczajnego sprzymierzeńca, jednocześnie po raz pierwszy w życiu nie mając nikogo, kto stanąłby między nią a gwiazdami. Przyglądała się zdjęciom Dale Carver bardzo uważnie i zastanawiała nad ukrytą pod maską opanowania jej nieokielznaną potrzebą rządzenia, która przejawiała się w upartym żądaniu skarpet na prezenty w świąteczny poranek. Zastanawiała się też, czy w uwadze „Bardzo nobliwie” dotyczącej sposobu spędzania świąt przez nią i ojca nie kryła się szczypta zazdrości. Bez wątplenia w świątach Brownów nie było żadnego przepychu, ale cechowała je wolność dorosłości i brak pretensjonalności - oraz udawania. Myśl, że mężczyzna taki jak Tom Carver patrzy na cokolwiek, co ona, Elizabeth, posiada czy robi, z podziwem czy zazdrością, przeszła ją, ku jej zdumieniu, nagłym dreszczem, dreszczem małej, ale znaczącej mocy. Ten dreszcz sprawił, że postanowiła po drodze do domu zatrzymać się w hali spożywczej Harrodsa, kupić bażanta, słoik stiltona oraz pudełko kandyzowanych moreli i zabrać to wszystko do ojca do Bath.

- Nic na to nie poradzę - powiedział Lucas, wbijając się w ubranie. Amy, w podkoszulku z nadrukowanymi na przodzie misiami, siedziała w łóżku i obserwowała go.

- Nie musiałeś się zgadzać.

- Ale się zgodziłem - odparł. - Mnóstwo ludzi leży z grypą, a córeczka Mike'a ciągle jest w szpitalu. Nie ma nikogo innego.

- A Chris?

- On obstawiał ostatnie Boże Narodzenie.

- Albo Mandy - powiedziała Amy jadownicie. Mandy upatrzyła sobie Lucasa i zostawiała mu liściki na przyklepanych karteczkach na jego studyjnym magnetofonie, a te czasem niechcący trafiały do torby fotograficznej Lucasa, gdzie później odkrywała je Amy.

- Musi wracać do Sheffield. Jej matka jest chora.

- Biedulka - rzuciła Amy sarkastycznie.

Lucas zasznurował lewy but.

- To ja biedulek.

- Ty?

- Tak - powiedział Lucas. Wstał, przekuśtykał wokół łóżka, trzymając prawy but, i usiadł koło Amy. - Nie chcę pracować w Boże Narodzenie. Nie chcę przez cztery godziny puszczać Binga Crosby'ego i Spice Girls dla samotnych. Chcę być u taty z tobą, z nim i z Dale.

Amy składała między palcami poszwę koldry w fałdki.

- Zawsze się zgadzasz. Kiedy tylko cię o coś poproszą, zgadzasz się bez dyskusji.

- Zgadzam się, jeżeli to coś ważnego. Święta są ważne. Gdyby do telewizji w jakiś nieodpowiedni dzień przyjechała Joan Collins, nie rzucilibyś wszystkiego, żeby ją umalować?

- Ona ma własnych makijażystów - odparła Amy. - Wszędzie ich zabiera.

Lucas schylił się, żeby nałożyć prawy but.

- Wrócę na podwieczorek. Najpóźniej o piątej.

- Nie mogę iść bez ciebie - jęknęła Amy.

- J a k t o?

- Nie mogę iść do domu twojego ojca, dopóki nie przyjdiesz.

Lucas przerwał sznurowanie i spojrzał na nią.

- Przecież byłaś tam już wiele razy.

- Nie sama.

- To jakaś głupota - orzekł Lucas.

Amy wychyliła się spod kołdry i zacisnęła dłonie wokół ramienia Lucasa.

- Nieprawda. Teraz jest inaczej. W zeszłym roku była jeszcze Josie i Rufus, a Josie też była jakby z zewnątrz, więc nie robiło mi to różnicy. Ale w tym roku będzie tylko twój tata i Dale.

Lucas popatrzył na nią.

- Lubisz moją tatę.

- Tak, ale on jest twoją rodziną i Dale też. Tylko ja nie jestem.

Lucas wyrwał się z jej uścisku i wstał.

- Poddaję się.

Amy położyła się z powrotem i podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Poczekam tutaj. W dzień Bożego Narodzenia poczekam tutaj, dopóki nie skończysz, wtedy zajdziesz i zabierzesz mnie po drodze do taty.

Lucas stał, patrząc na nią.

- Amy, jesteś moją narzeczoną. Pobierzemy się. Będziesz należała do naszej rodziny. Już myślę o tobie jako o rodzinie, tak jak i mój ojciec. Jesteś jedną z nas.

Amy kurzowo chwyciła kołdrę.

- Powiedz to Dale - powiedziała i zamknęła oczy.

W wigilię Bożego Narodzenia Tom Carver oświadczył, że chciałby pójść na pasterkę.

- Po co? - zapytała Dale.

- Czuję, że mam ochotę.

- Ale ty nigdy nie chodzisz do kościoła. Nie wierzysz w te wszystkie historie. Założę się, że ostatni raz byłeś w kościele, kiedy żeniłeś się z Josie, i to tylko dlatego, żeby zrobić jej przyjemność, bo tak nalegała.

Tom zdjął Basila z kuchennego stołu, na którym ten leżał czekając, aż ktoś zapomni nakryć maselniczkę, i podszedł z kocurem na rękach do okna wychodzącego na ogród, na końcu kuchni. Od kilku tygodni nie wychodził do ogrodu, który był mokry, ciemny, tchnął zimowym smutkiem. Nawet uroczy kamienny posąg dziewczyny trzymającej gołębia, który tak go zachwycał, wyglądał, jakby miał dość. On i Josie znaleźli ją na wysypisku odpadów architektonicznych tuż przed ślubem i rzucili się na nią z ulgą, jakby była symbolem dla nich obojga, symbolem nadziei i harmonii. Być może nadzieja właśnie przywiodła Toma do kościoła, gdy brał drugi ślub, nadzieja i oczekiwanie, że dzięki poślubieniu Josie w takim miejscu - cokolwiek ono znaczyło dla niego - związek z Josie będzie równie głęboki jak związek z Pauline. A przynajmniej żarliwie wierzył, że taki był. Josie zarzucała mu, że nadawał swojemu pierwszemu małżeństwu piętno romantyzmu, że uniemożliwiał - przez nadmierną idealizację - jakiegokolwiek żywej kobiecie choćby próbę zastąpienia zmarłej świętej. Schylił głowę i powoli potarł brodą o życzliwie poddającą się pieśczości głowę Basila. Nie uważał Pauline za idealną, ale wolał małżeństwo z nią od małżeństwa z Josie. Z wyjątkiem Rufusa. Mniejsza o utraconą doskonałość Pauline, to Josie dała mu Rufusa. I właśnie coś, co w niejasny sposób dotyczyło Rufusa, sprawiło, że pomysł spędzenia godziny w Opactwie Bath stał się nagle niezwykle kuszący. Odwrócił się.

- Dale.

- T a k ?

- Masz swoją choinkę?

- T a k .

- I skarpetę na prezenty?

- T a k .

- I indyka, chociaż Lucas i ja wolelibyśmy poeksperymentować z gęsią?

- T a k .

- Wobec tego ja idę na pasterkę. Nie musisz iść ze mną. Z przyjemnością pójde sam. Ale idę.

Dale podeszła do niego z drugiego końca kuchni. Miała na sobie czarne dzinsy, obcisły jasnoszary sweterek z golfem i trzymała miskę z masłem o smaku brandy. Wyciągnęła drewnianą łyżkę.

- Spróbuj.

Tom liźnął. Basil z zainteresowaniem wygiął się w górę, mrużąc jak traktor.

- Doskonałe.

- Więcej cukru?

- Nie. Zdecydowanie nie. Myślę, że powinnaś przestać odgrywać idealną gospodynię i spotkać się z kimś znajomym albo pójść na spacer czy coś.

Dale spojrzała na niego z głową lekko przechyloną na bok.

- Pewnie pójde do opactwa. Nie chcę wywoływać kłótni...

- To dobrze.

- Zastanawiam się tylko, skąd to nagłe pragnienie, żeby tam iść.

Tom wzruszył ramionami. Schylił się i pozwolił Basilowi wytoczyć się ciężko z jego ramion na podłogę. Czekał, z rezygnacją i pewną obawą, aż Dale doda: „Jak przypuszczam, chodzi o to, że masz nadzieję zobaczyć ją w kościele”, ale nie powiedziała tego. Usłyszał, że ostry stukot jej obcasów oddała się na drugi koniec kuchni, i wtedy się wyprostował.

- Schodzę do piwnicy.

- Lunch? - zapytała Dale. - Zupa? Nadziewany rogalik?

Potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Miło z twojej strony, ale nie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Żaden kłopot - powiedziała. Zaczęła szybko przekładać masło o smaku brandy z miski miksera do naczynia z zielonego szkła. - Po prostu kiedy jestem tutaj, lubię o ciebie dbać. To wszystko.

Elizabeth nie widziała Toma w kościele. Były tłumy, oczywiście, setki ludzi, a on nawet nie napomknął, że tam będzie. Ponieważ jednak odniosła wrażenie, że z zazdrością słuchał, w jaki sposób ona spędza święta, czuła, że istnieje cień szansy na spotkanie. Miała nową fryzurę - krótko ostrzyżone włosy - i nowy płaszcz, z kołnierzem i mankietami ze sztucznego futra, a obie te zdumiewające zmiany przeprowadziła pod wpływem impulsu, zaledwie na kilka dni przed świętami, zaskakując samą siebie. Jej ojciec wyraził podziw.

- Bardzo twarzowo - powiedział o jej włosach. - Bardzo. Wyglądasz o wiele młodziej i znacznie mniej odpowiedzialnie. I ten czerwony płaszcz. Czerwony! Sądziłem, że nie istnieje dla ciebie żaden inny kolor poza granatowym.

Stał teraz przy niej w swoim obszernym, starym tweedowym płaszczu, który miał, od kiedy sięgała pamięcią, na ławce obok niego leżał

tweedowy kapelusz, w którym wciąż - od dawna - tkwiło kilka węgderskich muszek, i wpatrywał się w śpiewnik przez okulary do czytania, które po południu naprawiła za pomocą drutu. Był bardzo dumny z mieszkania.

- Mam nadzieję, że dostrzegasz brylantowy blask okien.
- Owszem.
- I lśniącą od czystości ubikację.
- Olśniewająca.
- Zażądał czterech funtów za godzinę. To o dwadzieścia pensów więcej, niż mu płać „Pod Lisem i Winogronami”.

- Musiałeś się poczuć jak krezus.
- Nigdy dotąd nie zatrudniałem nikogo do pracy fizycznej, a nie umysłowej.

- Wobec tego żyłeś w bardzo zamkniętym świecie.
- Wiem - powiedział. W jego głosie pobrzmiwał żal. - Wiem, że tak.

Elizabeth, stojąc tak obok niego w kościele, myślała o tym, jak bardzo go lubi. Czowała, że lubi także wszystkich dookoła, i ten kościół pełen osiemnastowiecznych posągów, i swoją nową fryzurę, i lśniące nowe mankiety swojego płaszcza, i Boże Narodzenie, i Anglię, i życie. Czowała, że ma ochotę śpiewać pełną piersią i z całego serca, zadowolona, że należy do tej wspólnoty, że wkrótce odbędzie się Boże Narodzenie, intymne i wspaniałe jednocześnie. Zwróciła się do Duncana i uśmiechnęła do niego. Puścił oko. Potem się nachylił, aż róg okularów dotknął jej włosów.

- Co za wandalizm panował w tych czasach wiktoriańskich. Nie oszczędzili nawet kołęd.

- Gdybyś był wtedy kmieciem, co byś odpowiedział dobremu królowi Wenceslasowi? - odszepnęła.

Duncan znów puścił oko i wrócił do śpiewania. Stojący w pewnej odległości Tom Carver uświadomił sobie, że osoba w czerwonym płaszczu, ze znacznie krótszymi włosami to jednak Elizabeth. Zerknął na Dale. Trzymała śpiewnik wysoko, niemal ostentacyjnie, przed twarzą i śpiewała na pozór w wielkim skupieniu. Tom zepchnął trochę niżej okulary do czytania, aby móc bez przeszkód, wciąż śpiewając, wpatrywać się w Elizabeth.

- Cześć - powiedziała Elizabeth.

Rufus zmierzył ją wzrokiem. Trzymał w ramionach Basila i obecność tej ogromnej futrzanej poduszki zdawała się dostateczną wymówką, żeby nic nie mówić.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Jestem znajomą twojego taty. Pomaga mi przy moim nowym domu.

Rufus potarł twarzą o Basila. Ta znajoma ojca wyglądała miło, normalnie i miło, nie budziła niepokoju. Była ubrana w spódnicę podobną do tych, jakie zwykły nosić nauczycielki w jego dawnej szkole w Bath, plisowaną, bardzo schludną. Nauczycielki w Sedgebury nie nosiły plisowanych spódniczek, nie miały też przyjemnych głosów. Najczęściej w ich głosach brzmiało zmęczenie, a kiedy w klasie był za duży hałas, co zdarzało się często, wysyłały dziecko po inną nauczycielkę do pomocy, żeby zmusić dzieciaki do zamilknięcia.

- Dopiero przyjechałeś? - zapytała Elizabeth. Przysiadła na poręczu jednego z krzeseł koło telewizora, więc była teraz mniej więcej na tej samej wysokości co Rufus.

Skinął głową.

- Tata po mnie wyjechał.

Przymknął oczy. Odczuł taką ulgę, kiedy zobaczył ojca i jego samochód w ostatniej zatoczce przy drodze, gdzie się umówili na spotkanie, że ku swojemu zawstydzeniu miał ochotę się rozplakać. Ale nie płakał, ponieważ czuł się winny wobec Josie. Wiedział, że Josie wygląda okropnie, z twarzą w plamach i bladą przez kontrast ze swoimi ognistorudymi włosami, i wiedział, że ojciec musiał to zauważyć, a także to, jak mocno Josie go przytuliła przed przekazaniem ojcu. Nie mówili do siebie dużo, koncentrując się głównie na przenoszeniu jego torby, kaloszy i innych rzeczy z jednego samochodu do drugiego, a kiedy Rufus znalazł się w aucie ojca, na długą chwilę pochylił głowę, zapinając pas, żeby matka nie zobaczyła jego twarzy, żeby nie widziała, co czuje, wreszcie siedząc znów w samochodzie ojca, z tymi samymi gumowymi wycieraczkami na podłodze, z tymi samymi mapami, ołówkami i mocnymi miętowymi cukierkami w skrytce.

Elizabeth wyciągnęła rękę i dotknęła jednej z nonszalancko dyndających łap Basila.

- Miło spędziłeś święta?

Basil robił się ciężki. Rufus spróbował ułożyć go sobie wygodniej w objęciach, ale mu się nie udało i musiał pozwolić kocurowi wysunąć się na kanapę.

- Nie wiem...

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Elizabeth. - Kiedy się na coś tak bardzo czeka, trudno uwierzyć, kiedy to się wreszcie dzieje. A potem nie można się zdecydować, czy jest tak dobrze, jak się oczekiwało.

Rufus zaczął lekko kopać w nogę kanapy.

- Było dziwnie, kiedy wyjechali - powiedział niepewnie.

Elizabeth odczekała chwilę w milczeniu. Uważała, że pozostawienie jej sam na sam z Rufusem było ze strony Toma niepotrzebnie znaczącym gestem, ale mimo to porozmawia z nim, jeżeli się da.

- Kto wyjechał? - zapytała łagodnie.

- Tamci - odparł Rufus. Przestał kopać, oparł ręce na tylnym oparciu kanapy i zaczął podskakiwać, a jego miedzianobrzowe włosy wraz z nim. - Zadzwoń na ich mamę. I pojechali.

- Och - powiedziała Elizabeth. - Mówisz o dzieciach twojego ojczyma?

Rufus skinął głową. Telefon zadzwonił dość późno w wigilię, gdy był już w łóżku i czekał w napięciu, kiedy każą do niego dołączyć Rorry'emu. Usłyszał, jak matka woła „Becky, to do ciebie”, tonem, którego używała, kiedy była zła i chciała to ukryć. Potem słychać było szmer rozmowy, a po chwili usłyszał, że ktoś rzuca słuchawkę i rozpętało się piekło. Becky wrzeszczała, Clare płakała, Matthew krzyczał, Rory podkreślił telewizor tak głośno, że sąsiedzi zaczęli walić w ścianę działową i krzyczeć, żeby się przymknęli. Po chwili Rory wpadł do pokoju i zaczął wpychać swoje rzeczy do plecaka. Rufus podniósł się w łóżku.

- Gdzie idziesz?

- Wracamy do mamy...

- Ale przecież są święta...

- Co za różnica? - powiedział Rory, z twarzą odwróconą od Rufusa.

- Co za różnica, do cholery, co jest?

Rufus przyglądał mu się, słysząc, jak Becky i Clare kotłują się w sąsiednim pokoju. Clare wciąż płakała, a Becky kilka razy bardzo wyraźnie powiedziała „Kurwa”. Potem usłyszał, że ktoś wyprowadza tyłem samochód z podjazdu do bramki, wszystkie dzieci przemknęły z tupotem po schodach i zatrzasnęły drzwi domu, po czym samochód ruszył z rykiem, jak wyścigówka na torze Brand's Hatch. Potem zapadła cisza. Cisza była gorsza od tego hałasu. Po chwili Rufus wstał z łóżka i wyszedł do holu. Jego matka siedziała na schodach z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Płaczesz? - zapytał Rufus.

Podniosła na niego wzrok. Jej oczy były suche.

- N i e .

- Dlaczego wyjechali?

- Nadine im kazała.

- A h a .

Josie wyciągnęła rękę.

- Chciałabym, żebyś mnie uścisnął...

Rufus zszedł na dół i usiadł obok, przytulił się do niej.

- Jesteś zadowolony, że wyjechali?

- Nie wiem... - odpowiedział wolno.

- Ja też. Mam ochotę zabić Nadine. Dlaczego Matthew ustąpił?

Rufus nie wiedział. Nie wiedział i teraz. Przez cały dzień Bożego Narodzenia Matthew był bardzo mało mówny i miał ciemne kręgi pod oczami. Josie i Rufus też prawie się nie odzywali. Josie powiedziała, że Matthew jest zawiedziony. Co dziwne, w uczuciach Rufusa także przebiła coś jakby zawód, i już samo to było denerwujące.

- Ciężko ci z tym - odezwała się teraz Elizabeth. - Na pewno.

Rufus przestał skakać. Trochę się zadyszał. Przewiesił się przez oparcie kanapy, tak że twarzą niemal dotykał Basila, który leżał spokojnie dokładnie tam, gdzie został porzucony. Ciężko ci z tym, powiedziała. Powiedziała to całkiem zwyczajnie, nie ckliwym, pełnym ubolewania tonem, ale jakby to była prawda, fakt, jakby nikt nie powinien udawać, że jest inaczej. Rufus poczuł, że wypada jakoś podziękować, jakoś skwitować to pozbawione afektacji współczucie.

Spytał, nie patrząc na nią, ale wciąż gapiąc się na Basila:

- Chcesz obejrzeć mój pokój?

Rozdział siódmy

Nadine spojrzała na kawałek zimnej wieprzowiny w spiżarni. Nie wiedziała, jak długo gotowane mięso nadaje się do jedzenia, a gotowała je prawie przed tygodniem, w dzień Bożego Narodzenia. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej gotowała wieprzowinę - znajdowała się bowiem na liście produktów, których nie tykała - ale nie mogła uniknąć ugotowania tego kawałka. Był to prezent, który otrzymała w świąteczny poranek od farmera mieszkającego o pół mili dalej, wraz z papierowym workiem ziemniaków i torebką brukselki. Gdyby nie przyszedł, nie wiadomo, co by jedli. Nie zaprzętała sobie głowy jedzeniem - uważała, że to zupełnie naturalne - kiedy dzwoniła do domu Matthew i błagała Becky, żeby jej nie zostawiali samej, całkiem samej, w święta.

Zgodziła się spotkać z Matthew w połowie drogi i odebrać dzieci. Chciała wprawdzie, żeby Matthew przejechał całą drogę do domu i zobaczył, jak ona teraz mieszka, jak nisko upadła. Ale on odmówił. Powiedział, że jeżeli ma jechać dalej niż do połowy, wcale ich nie przywiezie, a w tle Nadine słyszała błagania Becky i płacz Clare. Nie mogła uwierzyć, że Matthew jest taki nieugięty wobec własnych dzieci. Wyobrażała sobie w pobliżu Josie i jej syna uśmiechających się szyderczo i z satysfakcją, przy włączonym centralnym ogrzewaniu i wyładowanej po brzegi lodówce. Potem Matthew odłożył słuchawkę, kiedy próbowała zadzwonić ponownie, włączyła się automatyczna sekretarka, a ona tak się bała, żeby się nie spóźnić na spotkanie z dziećmi, że wskoczyła w samochód i wyjechała w noc, zgarbiona nad kierownicą, jakby to mogło przyspieszyć jazdę.

Dzieci wyglądały na wyczerpane. Wcześniej postanowiła, że nawet nie spojrzy na Matthew ani się do niego nie odezwie, ale zobaczyła dość, żeby stwierdzić, że też wyglądał na wyczerpanego. I był chudszy.

Zawsze był szczupły, ale teraz wydawał się zabiedzony, a przy tym o wiele starszy. Prawie się nie pożegnał, nawet z dziećmi, tylko pocze-kał, aż w milczeniu przesiadły się z jednego samochodu do drugiego, i pomógł Clare przenieść torby. Spódnica Clare zahaczyła o drzwiczki samochodu, kiedy ta gramoliła się na zewnątrz, rozdarła się i Clare znów zaczęła płakać. Wyglądała, jakby płakała od tygodni.

A potem, milę od domu, samochód Nadine stanął. Po prostu stanął na środku drogi i wydawał z siebie tylko cichy jęk, kiedy Nadine prze-kręcała kluczyk. Było bardzo ciemno i nie mieli latarek. Nadine powie-działa tak wesoło, jak umiała, że będą musieli pójść pieszo.

- Nie - powiedziała Becky.

- Ale...

- Nie będę nosła wszystkich swoich rzeczy, a w samochodzie też ich nie zostawię. On nie ma zamka.

- Wobec tego, co zrobisz, jeżeli wolno spytać? - rzuciła sarkastycz-nie Nadine.

- Pójdę na farmę.

- Jaką farmę?

- Tam na górze. Tę, z której są krowy.

- Ale nie znamy tych ludzi...

- Jeszcze nie - powiedziała Becky.

Zmusił Rory'ego, żeby poszedł razem z nią, wyruszyli w ciemną noc i niespodziewanie szybko wrócili land roverem z farmerem Ti-mem Huntleyem. Był dość młody, często się uśmiechał, miał potężne ramiona i ręce. Mrugnął do Nadine i powiedział, że skończyła się jej benzyna.

- Niemożliwe...

- To prawda...

- To prawda! - krzyknęła Becky.

Tim Huntley napełnił bak z kanistra, który miał z tyłu land rovera.

- Dobrze się wam żyje w tej chacie?

- Nie. Tam nikomu by nie było dobrze.

Uśmiechnął się.

- Nie sądziliśmy, że znowu ją wynajmą.

- Tylko na to było nas stać - powiedziała Nadine. Zobaczyła, że dzieci kulą się, słysząc te słowa. W świetle reflektorów land rovera Tim Huntley popatrzył na nich z zadumą.

- Niech pani teraz zapali - powiedział.

Nadine spróbowała.

- Dużo ssania.

Nadine spróbowała znowu.

Położył rękę na drzwiczkach od strony kierowcy.

- Niech pani wyskakuje - powiedział. - Ja to zrobię.

Usiadł na miejscu kierowcy i nacisnął gaz. Potem przekręcił kluczyk. Silnik zakrzusił się raz czy dwa i zaskoczył.

- Proszę.

Wysiadł z samochodu i przytrzymał drzwi dla Nadine.

- Przyjdę rano zobaczyć, czy nadal zapala - powiedział.

- Dziękuję...

- Żaden kłopot. I tak wstaję o piątej do krów.

Przyszedł o dziewiątej rano, w Boże Narodzenie, rzucając mięso i jarzyny na kuchenny stół. Poklepał wieprzowinę.

- To z naszych własnych. Powinna się dobrze upiec.

Nadine była w szlafroku, z rozpuszczonymi włosami, robiła herbatę i z niepokojem liczyła kromki chleba, bojąc się, czy wystarczy dla wszystkich. Uśmiechnęła się do niego.

- Jest pan naprawdę bardzo miły.

- Nic takiego.

- Naprawdę. Dziękuję.

Leciutko się zaczerwienił i znów klepnął wieprzowinę.

- Trzydzieści pięć minut na funt. Gorący piekarnik. Proszę nie solić pieczeni.

Nagle poczuła się nad wyraz szczęśliwa, stojąc w swojej kuchni z taką pocieszającą ilością jedzenia na stole. Rzuciła mu pełne namysłu, szybkie spojrzenie.

- Nawet mi się nie śniło...

Potem usłyszała, że zapala jej samochód w przybudówce, a jeszcze później znalazła stos drewna na opał za drzwiami.

- Widzicie? Widzicie? Po prostu mieliście być w domu na święta - powiedziała dzieciom.

Clare coś burknęła.

- Co? - zapytała Nadine. - Co? Co powiedziałaś?

Ale Clare, która powiedziała z pewną desperacją: „Nie wiem, gdzie mamy być”, nie chciała powtórzyć.

Jedli wieprzowinę w Boże Narodzenie i w drugi dzień świąt, i jeszcze następnego dnia, a potem dzieci nie chciały jej już jeść. Nadine schowała resztę pieczeni - była ogromna, prawdziwa wiejska pieczeń - do wilgotnej spizarni, gdzie pod półkami kwitła zielona i niebieska pleśń, i na wszystkie posiłki piekła kartofle. Między posiłkami dzieci robiły to, o co je prosiła - zmywały, przynosiły drewno albo opróżniały

kubel - ale bez zapału, i przy każdej okazji uciekały na górę, żeby się bawić prezentami, choć właściwie udawały, że ich nie dostały. Nadine wmawiała sobie, że jest zbyt dumna, żeby pytać, co to za prezenty, ale słyszała zawrodozenie i przypominający werble odgłos gier elektronicznych na baterie, a Becky pod rękawiczką nosiła srebrny pierścionek w kształcie ryby owijającej się wokół siebie. Na pewno pochodził ze sklepu z indyjskimi wyrobami rzemieślniczymi w Sedgbury. Był to prawdopodobnie ten sam pierścionek, który Becky chciała dostać na urodziny, ale Matthew, w jednym ze swoich napadów drobnomieszczańskiej oszczędności, odmówił. Jednak okazuje się, że teraz mogła go dostać, tak? Teraz Becky musiała być przekupywana, żeby go kochać, żeby mieszkać z nim i z Rudą Kocicą w ich uroczym domku.

- Mamo - odezwała się stojąca za nią Becky.

- Jak myślisz, może by to włożyć do sosu curry? - zapytała Nadine. Wskazała na wieprzowinę. Różowawy płyn wysączył się z niej i zastępnął cienką warstwą galaretki.

- Nie - powiedziała Becky. - Możemy pojechać do Ross?

Nadine spojrzała na nią.

- Nie. Po co?

Becky przesunęła na palcu swój ukryty pod rękawiczką pierścionek.

- Po prostu... chciałam gdzieś iść. Tkwimy tu już tyle dni...

- Co byś chciała robić w Ross?

Becky wzruszyła ramionami.

- Pochodzić po sklepach...

- Z czym?

Becky mruknęła coś pod nosem. Spuściła głowę, tak że włosy jej opadły na twarz. Josie dała jej na Gwiazdkę czarny nylonowy portfel z banknotem dziesięciofuntowym w środku. Portfel był oczywiście koszmarny, ale dziesięć funtów całkiem w porządku.

- Dała ci pieniądze? - zapytała Nadine.

- Trochę...

- Nie umiesz poznać, kiedy ktoś cię kupuje, kiedy ktoś ci daje ła-pówkę? - zapytała z naciskiem Nadine.

Becky pomyślała o wszystkich tych posiłkach, których zjedzenia odmawiała, o łózkach, których nie słała, o naczyniach, które zostawiała niezmyte, stając wyzywająco przed ojcem, żeby śmiało pchnąć ją do zlewu, żeby śmiało jej dotknąć. niesprawiedliwość Nadine w obliczu stałego sprzeciwu wobec nowego małżeństwa ojca sprawiła, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Jak możesz być tak nieojalna i brać od niej cokolwiek? - krzyknęła nagle Nadine.

Becky odsunęła się od drzwi spizarni i ciężko usiadła na krześle przy stole kuchennym.

- To jedyne pieniądze, jakie mam - jęknęła.

- Aha! - powiedziała Nadine. Przemaszzerowała obok Becky z kartoflami w rękach i wrzuciła je z hukiem do zlewu. - Witaj w klubie.

Becky oparła łokcie na stole i włożyła poduszcзки dłoni w oczodoły. Kiedy naciskała, w czerni wybuchały kolorowe rozbłyski, gwiazdy i kręgi, i na krótką, błogosławioną chwilę wypierały z głowy myśli. Myśli, które prześladowały ją przez cały ranek, od których próbowała uciec, proponując wyprawę do Ross, myśli o ojcu i o tym, że chciała, aby był z nimi, i że ciągle wspominała czasy, kiedy z nimi był, przez swoją obecność dając im poczucie, że w życiu nie tylko są rzeczy, na których można polegać, lecz także takie, do których należy dążyć, których należy pragnąć, które przynoszą tajemniczą, ale wspaniałą nagrodę. Bez ojca Becky straciła wiarę w przyszłość, poczucie, że za następnym rogiem może być coś innego niż dalej to samo. Podniosła głowę i popatrzyła na wąskie plecy Nadine pochylonej nad zlewem.

- Mamo...

- C o ?

- Kiedy ty i tata sprzedaliście nasz dom... - urwała.

- N o ?

- Gdzie się podziały pieniądze?

- Są w banku - odparła krótko Nadine.

- Nie moglibyśmy - nie moglibyśmy wykorzystać chociaż odrobiny?

Nadine odwróciła się. W rękach trzymała kartofla i starą szczoteczkę do rąk.

- N i e .

- Dlaczego?

- Ponieważ to jedyne pieniądze, jakie mam. Jakie kiedykolwiek będzie miała.

Becky nie patrzyła na nią. Rozłożyła dłonie płasko na stole i powiedziała gwałtownie, zanim opuściła ją odwaga:

- Dlaczego nie pracujesz?

Zapadła złowieszcza cisza. Becky usłyszała, że kartofel i szczoteczka wpadają do zlewu.

- Słucham? - powiedziała Nadine. Jej głos był zimny.

- Słyszałaś... - wymamrotała Becky.

- Tak, słyszałam - powiedziała Nadine. Odeszła od zlewu i oparła się o przeciwny brzeg stołu, wpatrując się w Becky. - Słyszałam. Słyszałam cię także wtedy wieczorem, kiedy mówiłaś to samo. Pamiętasz, co ci odpowiedziałam?

- Tak...

- No więc. Teraz powód jest ten sam. Nie mogę pracować ze względu na was i na to, gdzie jesteśmy zmuszeni mieszkać. I nie masz prawa mnie pytać, żadnego prawa. - Pochyliła się w przód. - Dlaczego mnie pytasz?

Becky powiedziała do stołu:

- Inne matki pracują...

- Aha! - krzyknęła znowu Nadine. Walnęła pięścią w stół. - Więc o to chodzi, tak? Do tego zmierzasz! Ona pracuje, prawda? Ona ma wszystko, co powinno być moje, i do tego jeszcze, cholera, pracuje, tak?

- Nie. Jeszcze nie. Ale będzie...

- Becky...

Becky zamknęła oczy

- Becky, jak śmiesz mówić mi o niej? Jak śmiesz w ogóle porównywać, jeżeli pomyślisz, co ja dla was zrobiłam, a ona zniszczyła? Jak śmiesz?

- Nie porównywałam...

- Czyżby?

- Tylko ci mówiłam. Zapytałaś, czy ona pracuje, a ja ci odpowiedziałam...

- Powinnaś się wstydzić, że w ogóle wspomniałaś o niej w mojej obecności.

- Nie wspomniałam. Nigdy nie wspominam...

- Zamknij się! - wrzasnęła Nadine.

Becky odepchnęła się z krzesłem od stołu, przechylając je na tylne nogi, żeby uciec od rozwścieczonej twarzy Nadine.

- Chodzi mi o ciebie... - powiedziała z uporem.

- C o ?

- Powinnaś się stąd wy dostać. Powinnaś widywać innych ludzi oprócz nas. Powinnaś... - urwała.

- Co powinnam?

- Powinnaś spożytkować energię na coś innego, nie tylko na nienawiść do taty! - zawołała Becky dziko.

- No - powiedziała Nadine. - No. Tego już za wiele.

Przemaszerowała wokół stołu i wymierzyła bujającemu się krzesłu Becky zręcznego kopniaka. Krzesło kiwnęło się i przewróciło, a Becky

poleciała na kolana na kuchenną podłogę. Podparła się rękami, żeby złapać równowagę, i czekała na czworakach, co się dalej wydarzy.

- Nie masz pojęcia o bólu - powiedziała Nadine. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby powstrzymywała krzyk. - Nie masz pojęcia o cierpieniu, o odrzuceniu, o końcu miłości. Masz przed sobą całe życie, a co ja mam? Siedemnaście lat zainwestowanych w związek, i co z tego mam na koniec? Nic.

Bardzo powoli Becky przysiadła na piętach. Popatrzyła w górę na Nadine. Nie miała pojęcia, dlaczego nie ustępuje, dlaczego nie wycofuje się w milczenie, które zawsze było jej jedyną, ostateczną obroną. Ale nie ustąpiła. Było jej niedobrze ze strachu, ale musiała to powiedzieć, musiała.

- Mogłabyś coś mieć - powiedziała drżącym głosem. - Mogłabyś coś mieć, nawet teraz, gdybyś chciała. Przez cały czas mogłaś coś mieć. Ale ty nie chciałaś.

Na chwilę zapanowała pełna zdumienia cisza, a potem Nadine pochyliła się i uderzyła ją mocno w policzek. Becky wydała lekki okrzyk. Nadine nigdy dotąd jej nie biła. Wrzeszczała, krzyczała, zrzędziła, waliła rękami albo całą sobą o ściany czy meble, ale nigdy dotąd nie uderzyła Becky. Przytulania, tak, gwałtowne uściski i pocałunki, a kiedy była w dobrym nastroju, łaskotki i pieszczoty, ale nie ciosy. Nigdy ciosy. Becky przyłożyła rękę do policzka. Piekl.

- O Boże - jęknęła Nadine. Szarpnięciem postawiła krzesło i opadła na nie, ukrywając twarz w dłoniach. - O Boże. Przepraszam...

Becky powolutku wstała. Oparła się o stół. Było jej trochę niedobrze.

- W porządku...

- Nie - powiedziała Nadine. Wyciągnęła jedną rękę do Becky. - Nie. Nie w porządku. Chodź tutaj. Przytulę cię...

- Nie mogę - odparła Becky zachrypniętym głosem.

- Proszę...

Becky potrząsnęła głową. Nadine spojrzała prosto na Becky.

- Przepraszam, naprawdę przepraszam. Nie rozumiesz? Nie powinnam była tego zrobić, nie powinnam była cię uderzyć. Tylko że tak się podnieciłam, wkurzyłam...

- Wiem.

- Nie rozumiesz? - mówiła Nadine. - Nie możesz pojąć, jak to jest, kiedy człowiek wszystko tak spieprzył, a potem odkrywa, że nie ma się jak wyrwać?

Becky westchnęła. Twarz zaczynała ją teraz palić i słabo pulsować, jakby zbierając siły i szykując się do utworzenia siniaka.

- Wszystko jedno... - urwała.

- Mów.

- Nieważne, jak jest - powiedziała Becky, patrząc w dół wzdłuż swojego ciała na czubki butów - nie powinnaś się odgrywać na nas.

Drzwi kuchni otworzyły się. Clare, ubrana w swój dres z obrazkami Disneya i w stary wełniany sweter Matthew, weszła, trzymając w ręku słuchawki swojego nowego walkmana.

- Rory zniknął.

Nadine obróciła się na krześle.

- J a k to?

- Nie ma go na górze ani na dole.

- Pewnie wyszedł na dwór...

- Pada deszcz - powiedziała Clare.

- Może jest w samochodzie, sprawdza, czy pali...

- Sprawdzałam - powiedziała Clare. Poczula wewnętrzny przymus, żeby go poszukać, ponieważ w jego norze na poddaszu zapanowała nagła cisza. Był w swoim milkiwym nastroju, ale Clare widziała go dwie godziny temu, jak wczolgiwał się na swoje leże z nowym scyzorykiem i małym drewnianym klocek ze stosu, który przyniósł Tim Huntley. Przez jakiś czas Clare słyszała odgłosy odcinania i odłupywania drzazg, a potem nałożyła słuchawki i przestała słyszeć cokolwiek poza ścieżką dźwiękową z „Dźwięku muzyki”, którą puszczała tylko wtedy, kiedy była sama, żeby nie zostać wyśmianą za słuchanie czegoś tak głupiego, tak sentymentalnego, tak żalosego. Ale ona to uwielbiała, uwielbiała ten sentymentalizm i portret rodziny jako bezpiecznej przystani, szczęśliwej całości, kochającej, niezagrożonej w jedności. Kiedy przesłuchiwała do końca, zdjęła słuchawki i zauważyła, że odgłosy dębienia w drewnie ustały. Wystawiła głowę do holu i zobaczyła, że skórzana kurtka Rory'ego - tania, z rynku w Sedgbury, zaczynała już puszczać w szwach - znikła z miejsca, gdzie ją rzucił na podłogę. Poszła do jego nory.

- Rory? - odezwała się.

Nie było odpowiedzi. Wpełzła do środka. Pościel była zasypana małymi odłamekami drewna i zimna. Na poduszce leżał klocek. Nie rzeźbił go, tylko dźgał. Było na nim pełno dziur i cięć, jakby próbował go zabić nożem. Clare wycofała się do holu i obeszła piętro, a następnie parter. Potem, mimo mżawki zajrzała do przybudówki oraz okropnej szopy, gdzie w kącie jak ropucha przykucnął poplamiony stary sedes. Potem wróciła do domu i odszukała matkę w kuchni.

Nadine wyglądała, jakby się miała rozplakać.

- Nie dam rady...
- Wszystko w porządku, mamó - powiedziała Becky. - Bez paniki.

Nie może być daleko.

- Muszę iść go szukać...
- Jeżeli nie wróci na lunch...
- C o ?
- Zaczniemy go szukać, jeżeli nie wróci na lunch.
- Ale...

- Ma dwanaście lat - uspokajała Becky. - Nie jest małym dzieckiem. Zresztą co mu się może tu stać, w pobliżu nie ma nic oprócz krów.

Nadine zerknęła na nią. Następnie popatrzyła na Clare. Potem wzięta głęboki oddech i odgarnęła włosy z twarzy.

- Mam nadzieję, że wiecie - powiedziała, a głos jej trochę drżał. - Mam nadzieję, że wiecie, że bardzo was kocham? Wszystkich?

- Hej - powiedział Tim Huntley. Właśnie wyjechał spod wiaty traktorem naciąć więcej kukurydzy na paszę, gdy jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Był to szybki ruch, ktoś siedział na szczycie stogu kukurydzy, ktoś niezbyt duży. I wtedy ten ktoś poruszył się ponownie i okazał się być dzieckiem z domu, który Tim i jego matka nazywali „Beznadziejną Chałupą”. Chłopak. Siedział tam skulony i patrzył na Tima, jakby oczekiwał, że zostanie skrzyuczany.

- Hej - powiedział Tim. - Co tam robisz na górze?

- Nic - odpowiedział Rory. Był ubrany w dżinsy, skórzaną kurtkę, która swoje najlepsze dni miała już za sobą, oraz podkoszulek, i był siny z zimna. Tim otworzył drzwi kabiny traktora i wyskoczył. Popatrzył w górę na Rory'ego, który siedział dwadzieścia stóp wyżej.

- Jak długo tam siedzisz?

- Nie wiem...

- Lepiej złaź.

Rory zawahał się. Wspiął się pod wpływem impulsu, żeby się przekonać, czy da radę, po drodze robiąc w ścianie kukurydzy dziury na zaczepienie palców rąk i nóg. Ale zejście na dół to było co innego. Tim podszedł blisko do kukurydzy.

- Złapię cię.

Rory skulił się.

- Nie wleję ci - powiedział Tim. - Chcę tylko, żebyś zszedł. - Przesunął się i stanął dokładnie pod Rorym. - Połóż się na brzuchu i zsuń do krawędzi, nogami naprzód. Puścisz się, a wtedy ja cię złapię.

Głowa Rory'ego znikła, po czym na krawędzi ukazały się jego nogi w adidasach.

- Powoli - powiedział Tim.

Rory przesuwał się, aż w końcu trzymał się tylko na rękach.

- Puść!

Rory spadł. Tim złapał go niezręcznie w pasie i obaj potoczyli się na ziemię.

- Jasna cholera...

- Przepraszam - powiedział Rory. Wygramolił się spod ciężaru Tima i wstał. - Przepraszam.

Tim wstał powoli, otrzepując roboczy kombinezon.

- I słusznie. A w ogóle skąd się tu wziąłeś?

Rory milczał. Nie wiedział, w odruchu nagłej desperacji po prostu wyniósł się z domu, a farma wydawała się naturalnym celem.

- Wiesz, co to jest wtargnięcie?

Rory potrząsnął głową.

- Bezprawne przebywanie na czyimś terenie. Naruszenie rzeczy, które są czyjąś własnością.

- Ja nic nie naruszałem...

- A gdybyś zrzucił tę kukurydzę?

- Nie zrzuciłem.

- Ale mogłeś. - Tim spojrzał na niego. Chłopak drżał. Nie miał na sobie nawet tyle ciała, żeby ogrzać wróbla. Tim zadzwonił kluczykami w kieszeni. - Zawiozę cię do domu.

- Nie - powiedział Rory.

- Dlaczego?

Rory nic nie odpowiedział, tylko kopnął miękki piach pod wiatą.

- Masz kłopoty?

- Nie - odparł Rory.

- Więc...

- Pójdę - powiedział Rory. - Pójdę. Nie musi mnie pan odwozić.

Dzięki.

- Dokąd pójdziesz?

- Pochodzę sobie.

- Nie jesteś odpowiednio ubrany.

- Nic mi nie będzie.

Tim odczekał chwilę, po czym spytał:

- Gdzie jest twój tata?

- Nie ma go tutaj...

- Pracuje?

- Nie - odparł Rory. Jego głowa była pochylona, jakby w skupieniu obserwował poplątane wzory, które rysował nogami. - Mieszka w Sedgebury.

- To mama jest tutaj sama, z waszą gromadą?

Rory skinął głową.

- Lepiej do niej zadzwoń - powiedział Tim. - Powiedz jej, gdzie jesteś.

- Nie...

- Dlaczego?

Rory nie mógł wytłumaczyć. Nie mógł powiedzieć temu człowiekowi, którego ledwo znał, że gdyby zadzwonił do Nadine, odbyłaby się dramatyczna scena i Nadine upierałaby się, żeby przyjść po Rory'ego i dziękować Timowi Huntleyowi, jakby go wyratował z topieli. Zamiast tego powiedział pospiesznie:

- Znudziło mi się. Ja... Pójdę już...

- Do domu?

- Tak...

- Tylko na pewno - powiedział Tim. Przypomnił sobie roztrzęsioną Nadine na ciemnej drodze w wigilię Bożego Narodzenia, a potem następnego ranka u niej w kuchni, swobodną i opanowaną w szlafroku, jakby go znała całe życie. Musiała być po czterdzieście, przy tych dzieciach, musiała. Ale nie wyglądała na tyle. Wyglądała młodziej od siostry Tima, która miała dopiero trzydzieści dwa lata, ale urodziła trójkę dzieci, zaniedbała się i teraz wyglądała na pięćdziesiąt. Gruba, zapuszczona pięćdziesięciolatka. Z matki tego chłopca, chociaż siał chaos, ciągle była niezła sztuka. Tim rozmawiał o niej i jej dzieciach ze swoją matką.

- Miej ich na oku - mówiła pani Huntley. - Pamiętasz te dzieciaki w przyczepie? Niech to się więcej nie zdarzy, niech nas nie oskarżają o znieczulicę. Pilnuj tej gromadki, żeby sprawy nie zaszły za daleko.

Tim wsadził rękę do kieszeni i znalazł paczkę gumy do żucia. Podał ją Rory'emu.

- Trzymaj.

- Dzięki...

- Zadzwonię do ciebie do domu w porze obiadu. Jeżeli cię nie będzie, wpadniesz po uszy.

- Dlaczego wyszedłeś? - zapytała Nadine.

Rory wzruszył ramionami.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałeś?

- Nie pomyślałem...

Na talerzu przed nim była fasola, którą przesuwał ostrzem noża, rozgrzebując, nie jedząc. Miał ochotę powiedzieć, że się tu nudzi, ma dość tkwienia w domu z siostrami i telewizorem tak starym, że nawet po naprawie nie łapał sygnału, ale wiedział, że nie warto ryzykować. Wystarczyłoby zacząć, a wszystko by się rozpełtało od nowa, na to zaś był zbyt zmęczony. Zdawało mu się, że ciągle jest zmęczony, zmęczony tym, że nie ma co robić, nie ma gdzie pójść, zmęczony napięciem, zmęczony koniecznością zważania na każde słowo, zmęczony jedzeniem pieczonych kartofli. W przeszłości czuł takie zmęczenie, kiedy Matthew i Nadine kłócili się albo kiedy Nadine gdzieś wychodziła i zostawiała Matthew ze wszystkim na głowie. Rory przełknął ślinę. Nie wolno mu myśleć o Matthew. Jeżeli jest zmęczony, zdecydowanie mu nie wolno, ponieważ zaraz zacznie pragnąć, żeby Matthew był z nimi, pragnąć, żeby był, jak kiedyś, po prostu tatą, a nie tak jak teraz, tylko częściowo tatą, z powodu tego, co się zdarzyło, z powodu Josie i Rufusa. Rory nie nienawidził Josie i Rufusa, jak chciała tego Nadine, ale nienawidził tego, co ich pojawienie się zrobiło z jego życiem. Przedtem było to pod wieloma względami ciężkie życie, ale jednak był w nim tata, w centrum, była niezbędna obecność kogoś, kto robi herbatę, ziewa rano w kuchni, nosi stary kraciasty szlafrok przesiąknięty swym zapachem. Łzy zakłuły Rory'ego w powieki. Odłożył nóż i potarł nos grzbietem dłoni.

- Nie jesteś głodny?

- Właściwie...

Nadine popatrzyła wokół stołu. Clare zjadła połowę fasoli, ale porcja Becky i jej własna były praktycznie nietknięte. Żałosne z nas towarzystwo, pomyślała, smutna grupka ludzkich śmieci, szczątków wyrzucanych na śmietnik wówczas, kiedy życie innych ludzi się zmienia i wyrzucają to, czego już nie potrzebują. Biedne dzieci, biedne, znużone dzieci, ze swoim powywracanym życiem, zależnością i szczerym pragnieniem, żeby nie zadawać bólu. Nie powinnam była uderzyć Becky, nie powinnam. I nie powinnam na nich krzyczeć z powodu rzeczy, na które nie mogą nic poradzić, za to, że robią miny czy gesty, które mi przypominają ich ojca, to, co się stało, to, co nas tutaj przywiodło. To dobre dzieci, dobre, kochające dzieci, i są wszystkim, co mam, a w każdym razie całą moją przyszłością". Uśmiechnęła się do nich.

- Zjadajcie.

Becky wolno potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję.

- Posłuchajcie - powiedziała Nadine.

Czekali. Pochyliła się do przodu, oparła przedramiona po obu stronach talerza i rozłożyła dłonie płasko na stole.

- Musimy sobie z tym poradzić... - zawiesiła głos, po czym dodała:

- Prawda?

Nie patrzyli na nią.

- Musimy sobie poradzić z tym, że tu mieszkamy, tu są wasze szkoły, i poradzić z własnym towarzystwem. Nie poddamy się. Prawda? Nie pozwolimy, żeby nasze życie zrujnowały wybory innych ludzi. Coś wam powiem...

Clare i Becky uniosły głowy.

- Może pojedziemy po południu do Ross?

- Mówiłaś, że nie ma pieniędzy... - powiedziała Becky.

Nadine uśmiechnęła się.

- Mogłabym wziąć trochę z banku. Troszeczkę. Może byśmy poszli do kina? Co wy na to? - Wyciągnęła jedną rękę i ucisnęła ramię Rorry'ego. - Dobrze?

Skinął głową.

- Dobrze, Clare?

Clare też skinęła. Nadine zwróciła twarz wprost ku Becky.

- No, Becky. Dobrze?

Becky popatrzyła na nią. Uśmiechnęła się blado.

- Dobrze.

Rozdział ósmy

List przyszedł pocztą, razem z trzema rachunkami, pewną ilością reklamówek i katalogiem odzieży dziecięcej. Matthew zabrał rachunki bardzo szybko, porwał je, jakby nie chciał, żeby Josie zauważyła, jaki niepokój budził w nim sam widok brązowej koperty, po czym wręczył jej list.

- To chyba jego pismo?

Josie popatrzyła na list. Rzeczywiście było to pismo Toma, jego elegancki charakter pisma architekta, o którym zawsze mówiła, że jest zbyt kobiecy jak na takiego potężnego mężczyznę.

- T a k .

- Wobec tego weź go.

Schowała ręce za plecami.

- Nie chcę od niego żadnych wiadomości, Matthew.

Zerknął na nią, a potem na jego ustach ukazał się szybki, pełen ulgi uśmiech.

- Powinnaś go otworzyć. To może być coś w związku z Rufusem.

- W sprawie Rufusa dzwoni do mnie. Listy... - urwała.

- C o ?

- Listy mają jakby większą wagę. Listy zawsze oznaczają, że ktoś uchyla się przed powiedzeniem czegoś wprost.

- Mam otworzyć?

- Nie - powiedziała Josie. - Zostawię go. Zostawię go na później, po rozmowie.

Przechylił się i pocałował ją w usta. Podobało jej się to, że zawsze całuje ją w usta, nawet przy krótkich pocałunkach na dzień dobry czy do widzenia. Dzięki temu czuła, że nie traktuje ich zdawkowo.

- Powodzenia, kochanie. Powodzenia na rozmowie.

- Denerwuję się. Nie byłam na rozmowie w sprawie pracy od czasu, kiedy Rufus miał dwa latka.

- Pójdzie ci świetnie. Ja bym cię zaangażował...
- Ty jesteś stronniczy...
- Tak - przyznał. - Beznadziejnie.

Josie spojrzała na list.

- Tom tak naprawdę nie chciał, żebym pracowała.
- Ja chcę. Jeżeli ty chcesz.
- Chcę.

Popatrzył na rachunki trzymane w ręce, niemal zawstydzony.

- To pomoże...
- Wiem.

- Przykro mi - powiedział nagle Matthew. - Przykro mi, że tak dużo musi iść na...

- Nie mów o niej.

- Nie chcę, żebyś myślała, że tego chcę.

- Przecież - powiedziała, a w jej głosie pojawiła się nieunikniona ostrość, która okazywała się nieodłączna od każdej wzmianki o Nadine i jej dzieciach - chcesz utrzymywać własne dzieci?

Jego ramiona lekko się przygarbiły.

- Oczywiście.

Pochylił się i położył list Toma na stole kuchennym, przyciskając go stojącym obok słoikiem masła orzechowego.

- Pójdę już.

- T a k .

Spojrzał na nią.

- Powodzenia. Szczerze.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dzięki. Zadzwoń do ciebie.

Rozmowa poszła gładko. Większa z dwóch szkół podstawowych w Sedgebury potrzebowała nauczycielki na zastępstwo z angielskiego i przyrody, na dwa semestry, ponieważ stała nauczycielka odchodziła na urlop macierzyński. Bliźnięta, wyjaśniła dyrektorka, dlatego chodziło o przedłużony urlop. Była to pulchna kobieta w dzianinowej garsonce, której główną troską, jak zwierzyła się w rozmowie z Josie, były problemy wychowawcze. Dlatego spodobało jej się curriculum vitae Josie ze wzmianką o konferencji w Cheltenham.

- Nie możemy tych dzieci niczego nauczyć - powiedziała - dopóki nie nauczymy ich odrobiny szacunku dla siebie samych.

Josie kiwnęła głową. W szkole, gdzie uczyła w Bath - i gdzie nigdy nie zamierzała posyłać Rufusa - dzieci, choć nie były obdarte czy niedożywione, pochodziły z rejonu miasta, w którym porozumiewanie się

polegało prawie wyłącznie na aktach przemocy. Wszystkie dorastały w takich warunkach, były przyzwyczajone do kłótni i wyrażania frustracji przez krzyki i ciosy, wszystkie uznawały brutalność fizyczną za chleb codzienny. W Sedgebury będzie podobnie. Jedyna różnica będzie polegała na tym, że ona, Josie, żona Matthew, a nie Toma, znajdzie się pod każdym względem bliżej dzieci, którym postara się pomóc, i w myśli tej kryła się odrobina dumy.

Odprowadzając ją do głównych drzwi szkoły, dyrektorka powiedziała:

- Oczywiście pani pasierbica tu chodziła. Clare Mitchell.

Josie drgnęła.

- Tak...

- A jej starsza siostra chodziła tu przed nią. Chłopiec był w Wickhams, o ile pamiętam. Jak im się wiedzie?

Josie poczuła, że się czerwieni.

- Niestety nie znamy się jeszcze zbyt dobrze. Zdaje się, że już się zadowolili w nowych szkołach.

- Sympatyczne dzieci - powiedziała dyrektorka. - Bystre. - Spojrzała na Josie z ukosa. - Przekona się pani, że wiele osób w Sedgebury znało rodzinę Mitchellów.

Josie patrzyła prosto przed siebie.

- Już zaczynam się o tym przekonywać.

- To dobrze, że będzie pani pracować...

- T a k ?

Dyrektorka włożyła ręce do kieszeni swojego dzianinowego żakietu.

- Dzięki temu nie będzie pani musiała za dużo przeproszać, będzie pani miała własną pozycję.

- Przeproszać?

- Ludzie nie lubią zmian.

- To znaczy przeproszać, że jestem drugą żoną Matthew Mitchella?

- Chodzi raczej o to, że jest pani macochą, pani Mitchell.

Josie odwróciła się gwałtownie.

- Wie pani, nie miałam żadnego wyboru, jeżeli chodzi o nich. To ja je wybrałam! - rzuciła ostro.

Dyrektorka wyjęła jedną rękę z kieszeni i położyła ją na chwilę na ramieniu Josie.

- Wiem. Ostrzegam panią tylko, że nie wszyscy to widzą w ten sposób. Porozumiem się z moimi przełożonymi, pani Mitchell, i damy pani znać możliwie najszybciej.

Josie popatrzyła na nią.

- Naprawdę zależy mi na tej pracy.

Później, jadąc rowerem do domu - Matthew wziął samochód - wiedziała, że nie powinna była okazać się bezbronna, w potrzebie, podobnie jak nie powinna była wcale zareagować na życzliwą przecież sugestię, że w miejscowej społeczności przechodzi coś w rodzaju okresu próbnego jako nowa żona Matthew. W szkole Rufusa wszystko było w porządku, występowała tam w roli jego matki, jego biologicznej matki, ale zaczynała jej świtać, że wszędzie indziej w miasteczku nie jest tak jednoznacznie postrzegana. Przyszła z zewnątrz i zajęła miejsce kogoś, kto został wywłaszczony. Bez względu na to, co ludzie myśleli o Nadine, z powodu typowo denerwującej i kapryśnej zdolności adaptacji, przywykli do swojej opinii na jej temat, chociaż dominowała tam dezaprobata, a odejście Nadine spowodowało zmianę, na którą patrzyli z niechęcią.

- Nie chodzi o ciebie - powiedział Matthew, gdy Josie zdarzyło się drobne spięcie w warsztacie, do którego zawsze oddawał swoje samochody. - Nie chodzi o ciebie, o osobę, o Josie. Chodzi o to, że jesteś inna i muszą się wysilić, a tego nie lubią.

- Ja też muszę - odparła Josie. Jej głos był bardziej podniesiony, niż by chciała. - Ja też muszę! Jedyna różnica polega na tym, że ja muszę się wysilić sto razy bardziej, bo to ja jestem nowa!

Nigdy nie sądziła, że bycie nową może być takie trudne. Mówiła sobie, że zamiana sławnego i starego miasta Bath na nieciekawe miasteczko Sedgbury będzie trudna tylko pozornie, ponieważ korzenie jej życia z Matthew będą dobrze odżywiane, a nie były w małżeństwie z Tomem. Widziała siebie nie tylko budującą nowe życie, ale kierującą nim, czego nie mogła robić przedtem, ponieważ tak wiele elementów z jej poprzedniego życia wyznaczała przeszłość Toma. Wyobrażała sobie energię, jaką włoży w życie z Matthew, z jaką wynagrodzi mu to, czego pozbawiły go lata z Nadine. Wyobrażała sobie powolny, taktowny postęp, z jakim zapanuje nad wszystkimi wirującymi wokół niej związkami - ona i jego dzieci, jej syn i on, jej syn i jego dzieci, ona i jego siostra, ona i jego rodzice, ona i tutejsi ludzie, których znał od lat, przez te wszystkie lata życia, o których myśl często była bolesna w obliczu krótkiego czasu, jaki dotychczas spędzili razem.

Ale rzeczywistość była inna. Wyglądało na to, że nikt jej nie daje szansy wprowadzenia zmian na lepsze. Istniało mnóstwo elementów, których nie brała pod uwagę z czystej niewiedzy, z braku doświadczenia, a które zdawały się spiskować przeciwko jej sukcesowi, planowanemu z takim zapałem. Sedgbury okazało się miasteczkiem nie tylko

nieciekawym, ale także dość ponurym; Rufus bardzo tęsknił za ojcem i reagował biernym zdumieniem na jakąkolwiek propozycję, żeby spróbować się zaprzyjaźnić z Matthew albo z jego dziećmi. Dzieci Matthew postanowiły nie ustąpić jej ani na krok, a Matthew sprawiał wrażenie bezradnego w obliczu ich uporu; no i była jeszcze Nadine. Josie ścisnęła kurczowo kierownicę roweru i wzięła szybki oddech, żeby się opanować. Jak mogła się ludzić, że uda się utrzymać Nadine z dala od swego życia, ich życia, a właściwie czyjegokolwiek życia? To z powodu Nadine Karen bała się spotykać z Josie, a matka Matthew wręcz odmówiła nawiązania z nią kontaktów. Przez Nadine dzieci Matthew prawie nie przyjeżdżały do Sedgbury, a Matthew bardzo to przeżywał i nie umiał rozmawiać o tym z Josie. Przez nią duża część rachunków, które przychodziły do domu, wymagała ukradkowej, wstydlivej analizy Matthew, i Josie nie raz myślała o tym, że kiedy wreszcie dostanie pracę, będzie zarabiała na ich życie, żeby Matthew mógł zarobić na Nadine.

Skręciła na prawy betonowy pas podjazdu przed Barrat Road nr 17 i wjechała na rowerze do garażu. Nie będzie myśleć o Nadine. To się stawało refrenem, jak fragment piosenki, który utkwił jej w głowie, „Nie myśleć o Nadine”. Zsiadła z roweru i przypięła go do warsztatu Matthew. Poprzedniego wieczoru Matthew zapytał Rufusa, czy chciałby się nauczyć, jak porządnie ześrubować dwa kawałki drewna.

- Nie, dziękuję - odparł Rufus.

Josie otworzyła usta, żeby go zganić, ale Matthew potrząsnął w milczeniu głową, chcąc ją uciszyć.

- W porządku. Bez łaski - zachnął się Matthew.

Rufus się zaczerwienił. Josie przygryzła wargę.

- Przepraszam - powiedział Matthew później.

- Nie musiałaś.

- Wiem.

- On jest grzecznym chłopcem.

- Wiem. Przepraszam. Mówiłem już. Naprawdę.

Josie włożyła klucz do tylnych drzwi i przekręciła go. Kuchnia była cicha i pusta, taka jaką zostawiła, posprzątana po śniadaniu, z pustym stołem, gdzie stał tylko dzbanek wczesnych, pędzonych żonkili, które Matthew kupił jej na rynku, i leżał list pod słoikiem masła orzechowego. Musi się postarać o kota albo papużkę, albo chociaż złotą rybkę. Chciała mieć coś żywego, co by ją witało po powrocie do tego domu, który nie był jeszcze domem, tylko miejscem, gdzie mieszkali, dopasowując się do siebie i próbując przyzwycząić do nowego życia. Pies byłby dobry, pies byłby idealny, ośrodek uwagi, coś, na czym mogliby się

uczyć swoich nowych, bolesnych uczuć rodzinnych, ale kto by się opiekował psem, kiedy ich przez cały dzień nie ma w domu?

Josie zdjęła płaszcz, rękawiczki, szalik i zostawiła to wszystko na krześle. Następnie napełniła wody do czajnika i włączyła go. List ją obserwował. Nawet kiedy stała do niego tyłem, wiedziała, że ją obserwuje. Położyła rękę na pokrywce czajnika. Kiedy woda się zagotuje i kiedy zrobi sobie kawę, otworzy go.

Przed szkołą Rufusa - Wickham Junior - czekały inne matki. Kilka miało wózki i spacerówki, te, które trzymały dzieci w nosidełkach na piersi, miały na twarzach wyraz wystudiowanej obojętności, jakby chciały zniechęcić do drwin czy nawet uwag. Josie znała już sporo matek z widzenia. „Cześć”, mówiły do siebie. „Okropnie zimno, prawda?” Dzieci wybiegały z wrzaskiem na boisko o trzeciej piętnaście i na ich widok matki wydawały zbiorowy jęk, jakby przypominając sobie chóralnie i stanowczo, na czym polegają ich rzeczywiste obowiązki.

Rufus prawie zawsze wychodził ostatni. W pierwszym semestrze był też zawsze sam, siedł bardzo ostrożnie ku Josie, ze spuszczoną głową. Ale wyglądało na to, że w tym semestrze znalazł sobie kolegę, drugiego rudzielca, niezgrabnego chłopca w okularach i z ogromnymi uszami. Rufus odczuwał chyba ulgę, że ma kolegę, chociaż może nie dumę, że akurat tego, i bez wątplenia było lepiej widzieć go idącego z kimś niż samego. Kolega miał na imię Colin i zdaje się, że to było wszystko, co Rufus o nim wiedział czy uważał, że powinien wiedzieć.

- Dobrze poszło? - zapytała Josie. Pochyliła się i pocałowała go. Nie mówił, żeby tego nie robiła, jeszcze nie, więc pomyślała, że będzie go całować, dopóki jej nie zabroni. Kiwnął głową. Często kiwał głową, bo odkrył, że dzięki temu unika się pytań.

- To dobrze - powiedziała Josie. - Tak się cieszę. Byłam na rozmowie. Szkoła jest sympatyczna, tak jak i dyrektorka. Mam nadzieję, że się uda.

Rufus przypomniał sobie, jak Josie chodziła do pracy w Bath.

- Będiesz chodzić z tą samą torbą?

- Chyba tak. Jeszcze się nie rozleciała. Jesteś głodny?

- T a k .

- Co było na lunch?

Rufus pomyślał.

- Zapiekanka i spaghetti.

- Nie było warzyw...

- Marchewka, ale nie zjadłem.

- Nic zielonego?

Rufus potrząsnął głową. Całe szczęście. Jego zdaniem warzywa dzieliły się na groszek, który był smaczny, i wszystkie pozostałe, które były okropne.

- Chciałbyś pójść teraz na hamburgera? - zapytała Josie.

Podniósł wzrok. Rozpromienił się.

- T a k .

W barze wybrał sobie cheeseburgera z frytkami i bananowy koktajl mleczny. Josie zamówiła filiżankę kawy. Przyglądała się, jak Rufus starym usuwa z bułki sałatę i pomidora. Zdumiewało ją, że ktoś, kogo od niemowlęstwa trzeba było przekupywać, namawiać i zmuszać do jedzenia czegoś zdrowego, mógł mieć taką atlasową skórę, takie przejrzyste oczy i lśniące włosy.

- Rufus...

Spojrzał na nią ponad bułką, z wypchaną buzią.

- Muszę ci coś powiedzieć. Może będzie łatwiej powiedzieć to tutaj niż w domu.

Przestał jeść.

- Dostałam rano list od taty...

Wpatrywał się w nią, czekał, znad hamburgera widać mu było tylko oczy i nos.

- Kochanie, tatuś chce się znowu ożenić.

Teraz przyszła jej kolej na czekanie. Patrzył na nią przez chwilę, a potem nagle się rozluźnił. Odgryzł następny kęs.

- Wiem - powiedział z pełnymi ustami.

- Wiesz?

Kiwnął głową. Przelknął i sięgnął po koktajl.

- Mówił ci?

- Nie - powiedział Rufus, pijąc koktajl przez słomkę. - Ale ona była w domu.

- Po świętach?

- T a k

- A ty - po prostu zgadłeś?

Rufus znów przez dłuższą chwilę sączył koktajl.

- Śmiali się.

Josie wbiła wzrok w kawę. Zdławiło ją na moment uczucie, którego nie potrafiłaby nazwać.

- Ona - ona ci się spodobała?

Rufus kiwnął głową.

- Nie robiła zamieszania.

- Jak to? Z tobą? Z tatusiem?

Rufus ujął frytkę w palce.

- Po prostu była. Ma na imię Elizabeth.

Elizabeth, pomyślała Josie. Elizabeth Carver.

- Jak wygląda?

Rufus zastanowił się. Zjadł następną frytkę. Elizabeth nie była ładna, ale była w porządku. Spokojna. Trochę jak babcia.

- Trochę jak babcia - powiedział.

- Babcia?!

- Nie taka stara - sprostował Rufus - ale nie popisuje się. - Pomyślał o Becky i Clare. - Nie nosi wysokich butów, kolczyków w nosie i innych takich.

Josie przyjrzała mu się uważnie. Wydawał się całkowicie spokojny, naprawdę spokojny, prawie, pomyślała z niezadowoleniem, jakby ta nowa sytuacja życiowa raczej mu się podobała.

- Nie przeszkadza ci to?

- C o ?

- Nie przeszkadza ci, że tatuś się żeni z kim innym?

- Nie chciałbym, żeby się ożenił z jakąś grubą babą - powiedział Rufus, zlizując roztopiony ser z palca wskazującego. - Albo z jakimś starym pudłem.

- Ale Elizabeth ci nie przeszkadza...

- Nie - powiedział Rufus. Obrzucił Josie nagłym, przenikliwym spojrzeniem. - A tobie?

- Po prostu to się wydaje trochę pospieszne... - powiedziała zmieszana Josie.

- Pewnie czuł się samotny. Sam z Basem.

- T a k .

Rufus znów wziął bułkę.

- Pokazałem jej mój pokój.

- Och...

- Tatuś wstawi mi tam biurko, z prawdziwą lampą.

Josie uniosła swoją filiżankę i napiła się kawy.

- Chcą się pobrać niedługo. Chcą, żebyś pojechał.

Rufus skinął głową. Josie znalazła chusteczkę higieniczną w torebce i mocno wydmuchała nos.

- Wobec tego odpiszę i powiem, że chcesz pojechać?

- Tak - odparł Rufus. Odgryzł następny wielki kęs cheeseburgera i powiedział z pełnymi ustami: - Elizabeth umie jeździć na łyżwach. Powiedziała, że mnie nauczy.

- Nie może ci to przeszkadzać - powiedział Matthew.
- Co mi nie może przeszkadzać?
- To, że Tom się żeni.

Josie ustawiała talerze w zlewie.

- Nie chodzi o to, że on się żeni...
- Ach tak?
- Chodzi o tę całą Elizabeth.
- Nie wiesz o niej nic oprócz tego, co mówił ci Rufus, a to było miłe. Wydaje się sympatyczna.

Josie obróciła się powoli i oparła o zlew, odgarniając włosy z twarzy.

- Ale będę się musiała z nią dzielić Rufusem.
- Tylko od czasu do czasu.
- Był mój i tylko mój przez całe moje życie.

Matthew odsunął od siebie kubek z kawą.

- Nie wiesz, czy Elizabeth chce to zmienić. Nie wiesz nawet, czy chce, żeby ją... - Urwał gwałtownie. Wyłoniły się strefy zagrożenia. Dlaczego, pytała zapłakana Josie po katastrofalnych świętach, ja mam kochać twoje dzieci, podczas kiedy od nich nikt nie wymaga, żeby przynajmniej spróbowały pokochać mnie?

- Powiedziała, że nauczy go jeździć na łyżwach...

- To mogła być zwykła uprzejmość - rzekł Matthew. - Rufus jest sympatycznym chłopcem, a ona jest zakochana w jego ojcu.

- Tak - odparła Josie. Denerwowała ją myśl, że inna kobieta jest zakochana w Tomie. Sama mogła nie chcieć Toma, ale myśl o przejęciu Toma i jego domu przez kogoś innego budziła w niej niepokój. Była taka chwila w barze, kiedy spodziewała się, że Rufus przypomni jej z żelazną logiką, iż skoro ona ma Matthew i sama go wybrała, to jak może się sprzeciwiać, aby Tom miał Elizabeth? Jednak nic nie powiedział, tylko zamilkł wymownie, po czym dojadł wszystko, co miał na talerzu, oprócz kawałków zieleniny, i poprosił, słusznie podejrzewając, że tego dnia nic nie zostanie mu odmówione, o jeszcze jeden koktajl mleczny i ciasteczko czekoladowe. W drodze do domu trzymał ją nawet za rękę.

- Tak będzie lepiej dla wszystkich - powiedział Matthew. Wstał, porbrzękując monetami w kieszeniach spodni. - Rufus nie musi się martwić, że Tom jest samotny, a ty nie musisz czuć się winna, że od niego odeszłaś. - Przeszedł dookoła stołu i pocałował ją. - To dobra wiadomość.

Podniosła na niego oczy.

- Bo wiesz - miłość macierzyńska jest taka zabójcza.

- Miłość ojcowska to też nie sam miód.
- Przepraszam...
- Rufus przynajmniej mieszka z tobą.
- Matt, przepraszam, nie powinnam tak mówić...
- Na drugi raz pomyśl - Matthew lekko dotknął jej twarzy grzbietem dłoni. - Czasem po prostu pomyśl, zanim coś powiesz.

Skinęła głową. Miała ochotę powiedzieć, że chociaż jest mu ciężko bez dzieci, nie mozoli się przez cały czas, żeby sprostać niemożliwym oczekiwaniom wszystkich wokół. Jeżeli coś mu się udawało, wszyscy bili brawo; jeżeli pokpił sprawę, wzruszali ramionami i mówili: „Nieszczęśnik przynajmniej się stara!“. Podczas gdy ona, gdy kobiety...

- Muszę trochę popracować - powiedział Matthew łagodnie. - Przepraszam.

- Oczywiście...
- Jakąś godzinkę. Zbliżają się te inspekcje rządowe...
- Wiem.

Pocałował ją jeszcze raz.

- Dzięki za kolację.

Wyszedł z kuchni, zabierając płócienną teczkę, w której trzymał swoje papiery, i udał się na pierwsze piętro. W korytarzu na górze paliło się światło, a drzwi do pokoju Rufusa były lekko uchylone. Matthew ostrożnie wetknął głowę. Pokój był pogrążony w ciemności, a w świetle dochodzącym z korytarza Matthew odróżniał tylko sylwetkę Rufusa skulonego pod kołdrą, i zarys poduszki, jak zwykle leżącej na podłodze. Drugie łóżko, po drugiej stronie pokoju - dla Matthew łóżko Rory'ego - było puste.

Odwrócił się i za pomocą pręta z haczykiem ściągnął składaną drabinę, która wiodła na strych. Na górze Matthew urządził sobie pracownię. Była mała i oczywiście prowizoryczna, ale stanowiła jedyne odosobnione miejsce w domu przy Barrat Road, gdzie mógł pomieścić swoje kartonowe teuczki i segregatory. Josie chciała mu ją ozdobić, upiększyć za pomocą farby i materiałów, ale nie skorzystał z tej propozycji. Było to miejsce do pracy, do myślenia i brak domowych wygód oraz naturalnego światła czynił z niego schronienie, które sobie cenił. Stawało się także - i chwilami czuł z tego powodu ukłucie winy, obiecawszy sobie otwartość wobec Josie we wszystkich sprawach - miejscem, gdzie mógł swobodnie rozmyślać o swoich dzieciach.

Oczywiście, mógł o nich myśleć wszędzie. W końcu jego myśli należały do niego. Ale w myśleniu o nich był jakiś przymus, ponieważ - i nie było sensu łudzić się, że jest inaczej - ona nie widziała w żadnym

z nich nic godnego polubienia, a co dopiero pokochania. Co prawda dawali jej mocno w kość od chwili, kiedy weszła w życie ich ojca, ale Matthew wątpił, czy Josie ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, do jakiego stopnia Nadine wymaga od nich lojalności. Boże Narodzenie było obrzydliwe, wiedział o tym. Zachowanie jego dzieci wobec Josie, zwłaszcza zachowanie Becky, było równie obrzydliwe. A on czuł się tak rozdarty między nimi, że w końcu był bierny, bezradny i gardził sobą za swoją słabość.

- Sprzeciw się jej! - wołała Josie w świąteczny wieczór. - Dlaczego nie chcesz się jej sprzeciwić!

Pamiętał, że był wtedy tak zrozpaczony i znużony, iż pytał sam siebie, po co to wszystko zaczynał, dlaczego kiedykolwiek miał nadzieję, że może się uwolnić od przeszłości.

- Ponieważ ona odegra się na dzieciach - odpowiedział, nie patrząc na nią. - Wciąż muszę uważać, żeby nie pogorszyć życia dzieciom.

Usiadł teraz przy biurku i zapalił obie lampy. Płyta pilśniowa, którą wyłożył ściany, służyła też jako tablica. Miał przed sobą mozaikę zdjęć dzieci w różnym wieku, w kąpeli, na rowerach, nad morzem, w ogrodzie, w Tower of London, śpiących, w kostiumach maskaradowych, w poważnych grupach szkolnych. Położył łokcie na stole i oparł podbródek na dłoniach. Wśród zdjęć było jedno z Rorym, które szczególnie lubił, z Rorym w piżamie i kowbojskim kapeluszu, trzymającym kociaka, który wkrótce potem złapał kocią grypę. Rory miał pewnie około sześciu lat, przybrał surowy wyraz twarzy, pełen opiekuńczej odpowiedzialności. Nadine dzwoniła ostatnio do Matthew kilka razy - i to zawsze do szkoły - żeby powiedzieć, że Rory wagaruje. Niezbyt często i nie z innymi chłopcami, ale miejscowy farmer znalazł go kilka razy na swoim podwórzu, a w szkole zauważono, że chociaż był podczas porannego i popołudniowego sprawdzania obecności, często znikał w ciągu dnia. Nie omieszkała głośno wyjaśnić przyczyn zachowania Rory'ego, ale zabraniała Matthew interweniować.

- Więc po co dzwonisz?
- Bo jesteś jego ojcem.
- Kiedy mi na to pozwalasz.

Potem pospiesznie odłożył słuchawkę, w obawie, że sekretarka szkolna usłyszy obelgi Nadine przez cienką ściankę, która dzieliła jej pokój od jego gabinetu. Rory sprawiał kłopoty, oczywiście, ale Nadine wciąż nie pozwalała chłopakowi ani jego siostrze przyjeżdżać do Sedgebury. Przyzwyczajają się, twierdziła, wreszcie się przyzwyczajają do życia w nowej, małej rodzinie i nie chce ich niepokoić kontaktami z ma-

cochą, której tak nie znosili. Adwokat Matthew powiedział, że muszą być cierpliwi.

- Proszę odczekać miesiąc albo dwa. Niech jej pan nie daje satysfakcji z walki. Jeżeli do Wielkanocy nie zobaczy się pan z dziećmi, podejmiemy odpowiednie kroki.

Matthew zamknął oczy. Zastanawiał się, czy idealizuje swoje dzieci, ponieważ za nimi tęskni? Czy wybaczają im złość, fochy, jęczenie, które, jak wiedział, posiadały w pełnym wymiarze, dlatego, że ich nieobecność sprawiała mu ciągły ból? Czy to tęsknota za nimi sprawiała, że czasem był oschły wobec Rufusa, który rzadko zasługiwał na oschłość? Rufus był taki mały. Niekiedy, patrząc na kark Rufusa pochylonego nad miseczką płatków śniadaniowych albo nad biurkiem, Matthew dostrzegał w nim niemowlę, a kiedy to widział, myślał o nim jako o niemowlęciu i w konsekwencji o sposobie jego poczęcia, na co fala seksualnej zazdrości - głębokiej, dzikiej, beznadziejnie nieracjonalnej - o Toma Carvera prawie pozbawiała go tchu.

- Matt?

Odwrócił się. W otworze wejściowym pojawiła się głowa i ramiona Josie.

- Och, nie słyszałem cię...

- Zdjęłam buty. Wszystko w porządku?

- Tak sobie.

- Nie powinnam była mówić tego o miłości macierzyńskiej. Nie powinnam sugerować...

- Nie szkodzi.

- Pomyślałam sobie...

- C o ?

- Jeżeli oni nie chcą tu przyjechać, może ty chcesz pojechać i spotkać się z nimi u... u niej?

Uśmiechnął się do niej.

- Raczej nie. Jaskinia lwa...

- Albo gdzieś w miejscu neutralnym. Przecież ja nie muszę z tobą jechać.

- Nie chciałybyś...

- Chciałabym chcieć - powiedziała Josie. - Ale trudno jest chcieć, kiedy tak wyraźnie cię nie chcą.

- Wiem.

- Matt...

- Tak?

- To jest trudne, prawda?

- Tak. Ale do wytrzymania.
- Co będzie, kiedy stanie się niemożliwe do wytrzymania? - zapytała Josie.
- Nie wiem - powiedział. Wychylił się z krzesła i dotknął jej dłoni, opartej na drewnianym obramowaniu otworu. - Musimy poczekać i przekonać się.

Rozdział dziewiąty

- Sprzedam go - powiedziała Elizabeth. Stała pod ramię z Tomem i patrzyła na dom, który kupiła zaledwie parę miesięcy wcześniej.

- Dopiero co go kupiłaś.

- Wiem.

- Mogłabyś go zatrzymać i sprzedać z zyskiem.

- Nie chce mi się. Poza tym, on już mnie nie obchodzi. Jestem mu wdzięczna, ale nie będzie już moim życiem.

Przycisnął do siebie jej ramię.

- To dobrze.

- Pytałam ojca, czy go chce. Powiedział, że na samą myśl o nim kręci mu się w głowie.

- A co powiedział na to, że za mnie wychodzisz? - zapytał Tom.

- Uważa, że jesteś bezpieczną inwestycją.

- W jakim sensie?

- Po męskiej menopauzie i dość stary, żeby wiedzieć, czego chcesz.

- To wiem na pewno.

Elizabeth brodziła w zwiędłych liściach leżących u jej stóp.

- Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że on jest mniej zdziwiony ode mnie. To znaczy, że wychodzę za mąż. Ja jestem zdumiona.

- Że ktoś się uzałił nad twoim staropanieństwem?

Podniosła na niego oczy bez uśmiechu.

- Tak - powiedziała. Potem ponownie popatrzyła na dom. - Dale by go pewnie nie zechciała?

- Dale...

Dale była niezmiernie wylewna wobec Elizabeth. Spotkały się kilka razy, zawsze w towarzystwie Toma, i Dale z zapałem odgrywała rolę gospodyni, nadskakiwała Elizabeth z filiżankami herbaty, poduszkami i rozmową. Opowiadała Elizabeth, jak bardzo kocha swój dom rodzinny.

- Widzisz, znam go od początku życia. Kiedy się urodziłam, prosto ze szpitala przyjechałam tutaj i właściwie nigdy nie wyjeżdżałam, chyba że do szkoły. Nienawidziłam szkoły. A ty? I nienawidzę mieszkania, w którym mieszkam teraz. Jest takie bezosobowe.

- Dlaczego wspominasz o Dale? - zapytał teraz Tom.

- Bo mówiła, że nienawidzi swojego mieszkania. I nie lubi Bristolu - dom rodzinny jest tutaj. Więc może...

- Nie sądzę.

- Za duży?

- Za blisko - odparł Tom.

- Na s ?

- Tak.

- Daj spokój - powiedziała Elizabeth. - Jesteśmy wszyscy dorośli i Dale ma swoje własne życie, a poza tym nie okazała mi cienia niechęci.

Tom uśmiechnął się. Zawrócił Elizabeth i zaczął z nią powoli schodzić ze wzgórza.

- Więc niech będzie, że za blisko mnie.

- Ale kochasz ją.

- Bardzo.

- Wobec tego?

- Ma potrzebę dominacji, jak się wkrótce przekonasz. Koniecznie musi wszystko wiedzieć, we wszystkim brać udział...

- Właśnie została porzucona.

- Niewątpliwie z tego powodu - powiedział Tom.

- Myślę, że mimo wszystko ją zapytam.

- O dom?

- T a k .

- Nie rób tego.

Elizabeth przystanąła.

- Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

Zawahał się, a potem rzekł:

- Że nie chcę, żeby przy naszym małżeństwie kręcili się bez przerwy statysci.

- Ona by... ?

- T a k .

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. Ale myślę, że to trochę zbyt surowe.

Otoczył ją ramieniem.

- Kochanie, myślę o tobie.

- O mnie?

- Pamiętam, jak Josie kiedyś powiedziała - a prawdę mówiąc, wykrzyczała - że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie chce być macochą. Od ciebie też nie oczekuję, że zechcesz.

- Nie mam nic przeciwko temu...

- Bo nie wiesz, jak to jest. Jeszcze nie wiesz. Ale ja wiem, bo widziałem. Musimy zacząć od razu tak, jak chcemy żyć, czyli bez Dale mieszkającej o piętnaście minut drogi piechotą. Rufus to co innego.

- Rufus jest kochany - powiedziała Elizabeth ciepło.

- No i jest dzieckiem, a nie skomplikowanym dorosłym. Lucas, jako mężczyzna, jest po trosze i jednym, i drugim, ale przy tym jest niezależny.

- Mój ojciec mówił... - urwała.

- C o ?

- Że powinny być kursy szkoleniowe dla macoch. Macierzyństwo przychodzi po dziewięciu miesiącach przygotowań, z całym zestawem pomocnych uczuć, ale rola macochy jest jak niewypał w teczce mężczyzny, za którego się wychodzi.

- Skąd wie o tym tak dużo? - zapytał Tom.

Elizabeth naciągnęła wyżej kołnierz płaszcza.

- Czyta ostatnio bajki, ze względu na mnie. Mówi, że dają mu do myślenia.

Tom się roześmiał.

- On jest cudowny...

- Wiem.

Tom objął ją ciasniej.

- Ale czy ty się martwisz?

Spojrzała na niego. Jego twarz była bardzo blisko.

- Że będę macochą?

- Tak.

- Ani trochę. Nie żyjemy przecież w krainie Królowy Śnieżki, prawda? - odparła z uśmiechem.

Pocałował ją.

- Wiesz, za co cię kocham?

- Nie, oczywiście, że nie.

- No, jest sto powodów, ale sto pierwszym jest to, że tak trzeźwo myślisz.

*

Trochę później tego samego dnia oznajmił przepaszająco, że musi się spotkać z klientami.

- Zajmie mi to tylko dwie godziny. Ale oni przyjeżdżają tylko na weekendy, więc trudno się z nimi umówić na oglądanie domu.

- Oczywiście.

- A ty rozejrzyj się porządnie po domu. Beze mnie - powiedział.

- Wielkie nieba...

- Powinnaś. Przecież w końcu to będzie twój dom.

- Miałaś tutaj już tyle żon... - skrzywiła się.

- Wobec tego pora na wprowadzenie zmian - powiedział. - Pora, żeby go zmienić dla ciebie i mnie.

- Och - powiedziała, zaskoczona i zadowolona.

Pocałował ją.

- Pomyśl o tym. Przejdź się po domu i pomyśl, co byś chciała zmienić. Wszystko, co chcesz.

Kiedy poszedł, siedziała przez chwilę na miejscu, przy stole kuchennym, obejmując w dłoniach kubek z pozostałą połową herbaty. Przepelniała ją błogie zadowolenie, które jakby wypełniało całą kuchnię, przepływało spokojnie nad sofą i krzesłami w odległym końcu, nad stołem i blatami, nad butelkami i słoikami, nad Basilem rozciągniętym na kanapce pod oknem i wystawiającym swój ogromny, nakrapiany brzuch do zimowego słońca. Trudno było uwierzyć w ostatnie kilka miesięcy, trudno przyjąć, że kupno domu, którego tak naprawdę nie chciała, okazało się manifestacją utajonego pragnienia zmiany, której z kolei pragnęła i która pojawiła się w formie, na jaką przestała już mieć nadzieję, w jaką przestała wierzyć. Dom przyciągnął Toma Carvera, a wraz z pojawieniem się Toma na scenę wtaczał się powoli nowy, niezwykły świat, który okazywał się być nie tylko czymś kuszącym, ale także czymś, za czym na jakimś poziomie świadomości tęskniła od lat.

Siedząc w kuchni Toma, która wkrótce miała być jej kuchnią - Elizabeth zdołała wreszcie przyznać się przed samą sobą, z ulgą podobną do tej, jaka towarzyszy wyznaniu grzechów, że nie tylko chęć posiadania Toma owładnęła nią tak mocno. Było coś jeszcze, a mianowicie pragnienie tej szczególnej domowej władzy, jaką posiada kobieta zamężna: pragnienie przewodniczenia, organizowania, cichej, niezauważalnej dyktatury prania, świątecznych indyków i częstotliwości zapraszania gości, świadomości, że własne decyzje - oparte w dużej mierze na tym, co się lubi, a czego nie - są najistotniejsze. Elizabeth rozejrzała się po kuchni, a jej oczy rozjaśniały się na widok tego i owego - gdy patrzyła na miedziany sagan, butelkę oliwy, dzbanek z drewnianymi łyżkami, stos gazet, okulary do czytania, pęczek kluczy, lichtarz, i pomyślała, czując nagły przypływ szczęścia: „Chciałabym tu mieć prawdziwy ogień”.

Wstała, wylała resztkę zimnej już herbaty i włożyła kubek do zmywarki. Basil, mając nadzieję, że poruszenie wiąże się z otwieraniem lodówki albo jakiejś obiecującej szafki, przetoczył się na grzbiet z podkulonymi wielkimi łapami i zwrócił zwodniczo zaspane spojrzenie na kuchnię. Elizabeth przechyliła się, żeby położyć rękę na jego brzuchu. Zamruczał, nie poruszając nawet wąsem.

- Będiesz moim przybrany kotem...

Wyprostowała się.

Rozejrzyj się po domu, powiedział Tom. Pomyśl, co byś chciała zmienić.

Otworzyła drzwi kuchni i wyszła do wąskiego holu o eleganckiej podłodze z czarno- Białych płytek. Schody prowadziły na pierwsze piętro, gdzie znajdował się salon z oknami na ulicę, a za nim sypialnia, dokąd zaprowadził ją Tom, pierwszy raz tuż po świętach i wielokrotnie od tamtej pory. Na półpiętrze była łazienka należąca do tej sypialni, wystająca z tyłu domu nad znajdującym się na parterze schowkiem, a dalej schody wiodły do pokoi, które Tom nazywał dziecinnymi - do pokoju Rufusa, pokoju Dale, pokoju, który niegdyś należał do Lucasa, a w którym teraz pełno było walizek, metalowych stelaży zawierających archiwa architektoniczne Toma oraz porzuconych dziecinnych zabawek Rufusa.

Elizabeth zaczęła wchodzić po schodach. To Josie pomalowała ściany na żółto. Elizabeth nie wybrałaby tak odważnego odcienia chińskiej żółci, ale kolor całkiem jej się podobał. Josie nie pozostawiła po sobie groźnych śladów obecności - odeszła, bo chciała, bo wołała co innego i pod jej nieobecność żółte ściany wyglądały wesoło i bezosobowo. Elizabeth wyciągnęła rękę i poklepała najbliższą ścianę.

- Możecie zostać.

Salon był zupełnie inny. Tom mówił, że Pauline go lubiła i często tam przebywała. Wybrała do niego ozdobne, miejskie, kobiece firanki i delikatne meble. Josie go nie lubiła, prawie nigdy tam nie wchodziła i urządziła zastępczy salonik w końcu kuchni. W tym pokoju nie było śladu po Josie, pozostało jedynie wrażenie, że wchodziła tu niechętnie, by samodzielnie stawić czoło wszystkim tym fotografiom Pauline; samej, z Tomem, z dziećmi oraz portretowi nad kominkiem. Pauline została uwieczniona w cygańskiej sukni w stylu lat siedemdziesiątych i z grzywką. Ładna, pomyślała Elizabeth, patrząc na nią, ładna jak Dale, tak samo dopracowana i wykończona, tak samo swobodna w swojej fizyczności. Pewnie nie uda mi się usunąć portretu, ale może parę zdjęć mogłoby zniknąć, i firanki, i te falbaniaste poduszki? Może uda się tak-

townie dać Tomowi do zrozumienia, że pokój jest czymś w rodzaju świątyni, trochę skamieniały, trochę już przestarzały? Popatrzyła na stojącą najbliżej fotografię Pauline. Miała na niej suknię czy bluzkę o długich, teatralnych, opadających mankietach, i obejmowała Dale, która siedziała na jej kolanach w letniej sukieneczce. Dale wyglądała na bardzo małą, prawie na niemowlę, z tymi pulchnymi, obnażonymi nóżkami. Pauline spokojnie patrzyła w obiektyw, jej ciemne włosy były gładko zaczesane, a ciemne brwi wygięte. Elizabeth ukradkiem wyciągnęła rękę i odwróciła zdjęcie do ściany. Następnie wydała mimowolne lekkie westchnienie ulgi.

Sypialnię Toma mogła pominąć. Była wygodna i niczym się nie wyróżniała. Josie zawiesiła tu zasłony z rdzawego płótna, po czym straciła zainteresowanie dla dalszych zmian. Podczas samotnie spędzonego roku Tom pozwolił, aby pokojem zawładnęły jego rzeczy, ubrania, buty, książki i płyty kompaktowe, nadając mu tym samym przyjemny, męski charakter. Na komodzie stały zdjęcia jego dzieci - w tym trzy Rufusa - a za nimi, na wół przesłonięte pocztówką z reprodukcją Madonny Rafaela, zdjęcie Pauline. Nie było żadnych fotografii Josie. Elizabeth czasami korciło, by poprosić o pokazanie zdjęcia drugiej żony, ale nigdy się nie odważyła. Tomowi ciężko przychodziło mówienie o Josie z życzliwością, ale Elizabeth podskórnie czuła, że była ona kimś w rodzaju sprzymierzeńca, cichym poplecznikiem w subtelnej wojnie o niezależność od niedościgłej doskonałości ducha Pauline.

Elizabeth była na drugim piętrze tylko raz, na zaproszenie Rufusa, żeby obejrzeć jego pokój. Był z niego bardzo dumny. Pokazał jej mobil z samolotów, który sam zrobił, model niszczyciela, którego postanowił nie zaczynać, dopóki nie skończy dziewięciu lat, specjalną lampkę nocną przypiętą do wezglowia łóżka, poduszkę wypełnioną nasionami fasoli, szafkę, gdzie trzymał wszystkie swoje zbiory - muszle, nalepki i zdjęcia zegarków powycinane z czasopism. Teraz, gdy go nie było, mogła także otworzyć jego szafę i szuflady. Ujrzała wiszące i złożone ubrania, skarpetki pozwijane parami w kłębki, gumowy pasek w prążki oraz krótki krawat na pętelce z gumki. Szuflady były bardzo smutne, wiało z nich niewinnym oczekiwaniem, że będą używane codziennie, przez tygodnie i lata niezakłóconego dzieciństwa. Elizabeth przysięgła sobie, że nic tutaj nie zostanie zmienione, nie stanie się nic, czego nie zainicjuje Rufus, aby pozostałe resztki poczucia ciągłości nie zostały przez przypadek unicestwione. Poklepała poskładane koszulki i dzinsy, po czym zamknęła szufladę, niemal z szacunkiem.

Lucas nie mieszkał w swoim pokoju od sześciu czy siedmiu lat. Wyprowadził się, kiedy poszedł na uniwersytet, i od tej pory traktował pokój jako magazyn na odpady swojego życia - poduszki, sprzęt grający, buty narciarskie, lampy, raketę tenisową, plakaty w tekturowych tubach - pomiędzy semestrami akademickimi i długimi zagranicznymi wyprawami, na które wybierał się każdego lata. Z pierwszą pracą przyszło pierwsze mieszkanie i wtedy zabrał prawie wszystkie swoje rzeczy z wyjątkiem poduszek i plakatów, ponieważ tymczasem jego gust przeszedł ewolucję od kolorów podstawowych oraz polityki do czerni z bielą oraz kultury. Pokój robił wrażenie nagiego, a nad oknem, które wychodziło na uroczy mały ogródek oraz równie urocze sąsiednie ogrody po obu jego stronach, widniała plama wilgoci. Ale był to przyjemny pokój, przyjazny pokój. Był to pokój, który mógłby z czasem stać się pokojem dziecięcym.

Elizabeth wyszła na korytarz. Odniosła wrażenie, że słycać jakiś cichy odgłos, więc przechyliła się przez barierkę i popatrzyła z uwagą w dół.

- Tom?

Cisza. Na zewnątrz, na ulicy, ktoś uruchomił kopnięciem jazgotliwy motor, a okna, w odpowiedzi na nagły i prostacki dźwięk, zadygotały wytwornie. Elizabeth przeszła przez hol i obróciła gałkę w drzwiach pokoju Dale. Były zamknięte na klucz.

- Nonsens - powiedziała Elizabeth na głos.

Obróciła gałkę jeszcze raz i potrząsnęła nią mocno. Obróciła w drugą stronę. Były zamknięte na klucz, bez wątplenia. Elizabeth spojrzała na nie. Drzwi pokoju Rufusa były ozdobione nalepkami, Lucasa, nie wiedzieć czemu, małą brązową kołatką w kształcie głowy barana. Ale na drzwiach Dale nie było nic. Gładka biała farba odpierała spojrzenie Elizabeth, jakby wyzywając ją, żeby spróbowała zgadnąć, co się za nią kryje. Kucnęła i przyłożyła oko do dziurki od klucza. Była czarna, jakby zalepiona od środka. Bez wątplenia, Dale uważała ten pokój za swoje terytorium, za miejsce, które zawsze było jej własnością, przez całe jej życie, i zamierzała zachować je na własność wbrew wszystkiemu.

Elizabeth wstała. Tom opowiadał jej o Dale, o wpływie, jaki śmierć matki wywarła na już i tak kapryśną i zaborczą osobowość dziewczynki, o scenie w zacienionej sypialni, gdzie Dale wpadła w histerię, a oszołomiony Lucas, pobladły ze strachu i smutku, patrzył w oszołomionym milczeniu. Elizabeth było żal Dale, Toma i Lucasa, pogrążonych w otchłani, po brutalnym wyrwaniu filaru ich życia rodzinnego.

W jej życiu nigdy nie było takich dramatycznych wydarzeń: bywały okresy ciszy - zwłaszcza między nią a matką - ale nigdy sceny. Nigdy nie odczuwała, tak jak zaczynała odczuwać teraz, wchodząc w świat przeszłości i terażniejszości Toma, nagich emocji, gwałtowności, atawistycznej ludzkiej pasji, jaką uprzednio wiązała tylko z tragedią grecką, z Szekspirem. Popatrzyła na zamknięte drzwi Dale i po raz pierwszy poczuła małe ukłucie niepokoju, że niektóre sprawy - sprawy emocjonalne - nie dadzą się załatwić tylko za pomocą spokoju i zdrowego rozsądku. Otrząsnęła się lekko. Nie dramatyzuj, powiedziała sobie głosem, jakiego niegdyś używała wobec niej matka. Drzwi są zamknięte, ponieważ Dale nie zgadzała się z pierwszą macochą. Dla ciebie była bardzo miła.

Odwróciła się tyłem do korytarza i zaczęła wolno schodzić po schodach. Musi bardzo uważać, poradziła jej w zeszłym tygodniu koleżanka z pracy, musi być bardzo cierpliwa. Ale, pomyślała teraz Elizabeth, muszę też pozostać sobą, muszę mieć szansę być żoną Toma na ustalonych przez siebie warunkach, czuć się w tym domu jak u siebie. Zatrzymała się przed salonem. Ten pokój musi stać się mój, nie Pauline. Nawet jeżeli pamięta się o zmarłych, i to z miłością, nie powinno się z nimi mieszkać, jakby wcale nie byli zmarłymi.

Wyprostowała się. Zejdzie do kuchni i znacznie planować swój kominek, może wymyśli mniej agresywnie nowoczesne krzesła niż te, które wybrała Josie, pójdzie również do ogrodu i pogrzebie w niezmięcionych liściach z zeszłej jesieni, żeby zobaczyć, co się tam kryje i zaczyna pulsować życiem. Zeszła ze schodów do holu i udała się do kuchni. Dale w granatowej bluzie i starannie wyprasowanych dżinsach stała przy stole, czytając pocztę Toma.

- Dale!

Dale podniosła spojrzenie, uśmiechając się. Nie odłożyła listu, który trzymała w ręce. Wyglądało na to, że czuje się całkowicie swobodnie.

- Cześć!

- Jak otworzyłaś drzwi? Nie słyszałam dzwonka. Może Tom nie zamknął na zatrask...

- Kluczem, oczywiście - powiedziała Dale. Zapuściła rękę do kieszeni bluzy i wyciągnęła pęczek kluczy na czerwonej wstążeczce. - Mam swoje klucze.

Elizabeth przełknęła ślinę.

- Często - to znaczy, często to robisz?

Dale wciąż się uśmiechała.

- Co ?

- Otwierasz sobie sama?

- Kiedy potrzebuję. Przecież to mój dom - odpowiedziała Dale ze śmiechem.

Elizabeth podeszła do czajnika, odwracając się plecami do Dale.

- Masz ochotę na herbatę?

- Nie ma. Sprawdzalam.

- Dziś rano kupiłam Lapsang - powiedziała spokojnie Elizabeth.

Dale wyglądała na zdziwioną.

- Gdzie jest?

- Tutaj.

- Och, ale my nie trzymamy herbaty tam. Trzymamy ją tutaj, w tej szafce, koło kawy.

- To dość daleko od czajnika...

- Zawsze tak było - powiedziała Dale. Odłożyła list. - Widzę, że tata znów zadął z chłopcami od planowania.

Elizabeth już miała powiedzieć: „Chyba nie powinnaś czytać korespondencji ojca?“, ale zrezygnowała. Nalała wody do czajnika.

- Tata wyszedł?

- Ma spotkanie z klientami...

- Cholera. Samochód mi nawala.

- Chcesz, żeby go obejrzał?

- Nie - odparła Dale z uśmiechem. - Chcę, żeby za niego zapłacił.

- Ale... - powiedziała Elizabeth i przerwała. Włączyła czajnik i wzięła paczkę z herbatą.

- Zaczął, kiedy byłam studentką, a potem tak jakoś zostało. Ja zrobię herbatę. Ty usiądź.

- Żaden kłopot...

- Nie powinnaś się tym zajmować - powiedziała Dale. Przeszła obok Elizabeth, otworzyła szafkę, wyjęła imbryk, którego Elizabeth nigdy przedtem nie widziała, i znów przeszła obok Elizabeth, wyjmując paczkę herbaty z jej dłoni. - Oglądałaś dom?

- Tak...

- Salon jest śliczny, prawda? To właściwie jedyny pokój, który mamusia zdążyła wykończyć, zanim umarła. Portret namalował jej przyjaciel, który właśnie zdobywał sławę, członek Akademii Królewskiej i tak dalej, zaraz po skończeniu go zginął podczas wyprawy w góry w Szwajcarii. Zawsze mi się zdawało, że to było poniekąd wróżbą, szczególnie że on się w niej kochał.

- Naprawdę?

- O tak - potwierdziła Dale beztrząsco. - Jak wszyscy.

Elizabeth podeszła do kanapki pod oknem i dała kuksańca Basilowi, żeby zrobił jej miejsce.

- Jak ci minął tydzień?

Dale westchnęła. Zaczęła stawiać z hukiem kubki, trzaskać drzwiczkami szafek i hałaśliwie grzebać w lodówce w poszukiwaniu mleka.

- Tak sobie. Przez całą drogę denerwowałam się trochę o samochód. W środę musiałam jechać na Jersey i Guernsey - to zawsze gratka, ale reszta to była Południowa Walia. Nie wiem, co ludzie czytają w Południowej Walii, ale na pewno nie to, co ja próbuję sprzedawać.

Elizabeth zaczęła głaskać ciepły, pluszowy bok Basila.

- Ale pewnie firma naprawi ci samochód?

Dale skrzywiła się.

- Już przekroczyłam swój budżet na naprawy i używałam samochodu prywatnie trochę więcej, niż powinnam. To chyba nic poważnego, ale coś stuka, a na autostradzie można się czymś takim zdenerwować. Dzięki Bogu tata dopiero co, w zeszłym tygodniu, dał mi telefon komórkowy, i to mi naprawdę pomogło. - Wypała łyżeczką herbatę do imbryka - za dużo, jak zauważyła Elizabeth, ale nic nie powiedziała. - Wiesz, kiedy tata wróci?

- Myślę, że za jakąś godzinę.

- Bo widzisz, chcę go właściwie zapytać o coś innego niż samochód... - powiedziała Dale tonem konfidencjonalnym.

- T a k ?

- Chcę się przeprowadzić - ciągnęła Dale. - Chcę mieć inne mieszkanie. - Naląła wrzątku do imbryka, po czym odsunęła krzesło od stołu, siadając blisko Elizabeth. - Prawdę mówiąc, już je widziałam.

Elizabeth zerknęła na nią.

- Naprawdę?

- Tak. Trzeba w nim zrobić wszystko. Dosłownie wszystko.

- Twój ojciec jest architektem...

- Dobrze się składa, prawda? Ale w gruncie rzeczy chodzi znowu o pieniądze.

Elizabeth pomyślała o swoim domu, za który, chociaż już go nie chciała, czuła absurdalną odpowiedzialność, za to, co jej dal. Zebrała się w sobie.

- J e s t mój dom...

Dale uśmiechnęła się i poklepała Elizabeth po ramieniu, po czym wstała, żeby nalać herbatę.

- Dziękuję. To naprawdę miło z twojej strony. Prawdę mówiąc, po-

szłam się tam trochę rozejrzeć. Ale dom oznacza dla mnie zbyt dużą stabilizację. Jest jak deklaracja. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie chcesz stabilizacji?

- Nie, dopóki nie będę miała kogoś, kto zechce stabilizacji ze mną. Widzisz, myślałam...

- Wiem. Tak mi przykro.

Dale zaniósła dwa kubki do kanapki pod oknem i podała jeden Elizabeth.

- Tata tak mnie wspierał. I Lucas. Poznałaś już Lucasa?

- Jeszcze nie. Jutro jemy lunch z nim i z Amy.

Twarz Dale zmieniła się.

- Ach tak? Nie wiedziałam...

Elizabeth łyknęła herbaty. Czas na kolejny mały pokaz świadomej wspaniałomyślności. Nie podnosząc oczu, zaproponowała:

- Może pójdziesz z nami?

- Dlaczego tata nic mi nie mówił?

- Nie wiem.

- Rozmawiałam z nim wczoraj. Dlaczego nic nie powiedział?

Elizabeth podniosła na nią oczy. Opanowanie i uśmiech znikły z twarzy Dale.

- Moja droga, nie wiem. Ale chodź, chodź z nami.

Dale zapatrzyła się w herbatę z pociemniałą twarzą. Potem przywołała uśmiech.

- Tak. Tak, oczywiście, przyjdę. A teraz, jeżeli pozwolisz, pójdę na górę i wygrzebię parę rzeczy, które są mi potrzebne.

- Oczywiście.

Dale podeszła do drzwi, gdzie zatrzymała się i rzuciła przez ramię miłym głosem:

- Czuj się jak u siebie.

Na górze nic się chyba nie zmieniło. Tom i Elizabeth przypuszczalnie sypiali ze sobą - była to myśl, którą należało odsunąć - ale wyglądało na to, że Elizabeth nie zostawiła po sobie nawet szczoteczki do zębów. Kiedy Josie zaczęła sypiać z Tomem, przypomniała sobie Dale, pojawiła się z całym majdanem: jej ubrania w jego szafie, jej słóczki i buteleczki w jego łazience, jej buty zrzucone na podłodze przed telewizorem. Raz Dale znalazła długi rudy włos przyklejony do zlewu w kuchni. Chciało jej się wymiotować.

Ale Elizabeth była inna. Wchodząc po schodach na drugie piętro i wyjmując klucze z kieszeni, Dale powiedziała sobie stanowczo, że

musi pamiętać - i postarać się zapamiętać - jak inna jest Elizabeth. Zmusiła się nawet do powiedzenia tego, na dowód swoich dobrych intencji, przy Lucasie i Amy.

- Mogę jej nie chcieć - powiedziała Dale - mogę nie chcieć, żeby tata się znowu żenił, ale jeżeli postanowi to zrobić, ona jest w porządku. Ona jest inna.

- Jak to inna? - spytała Amy. Lubiła Josie, która była dla niej dobra i pozwalała wypróbować na sobie nowe sposoby makijażu. Często się razem zaśmiewały w łazience.

- Spokojna profesjonalistka - odrzekła Dale. - Bardzo porządna. I nie czepia się. Nie wisi bez przerwy na tacie.

- Nie starczyłoby miejsca dla was dwóch - zażartował Lucas.

Dale zignorowała tę uwagę.

- Poczułam się lepiej, kiedy ją poznałam. Naprawdę.

- Wydaje się strasznie nudna - powiedziała Amy.

- Bo jest. Ale to nie przeszkadza. Mnie to nie przeszkadza.

Lucas zmierzył ją długim, twardym spojrzeniem.

- Jednak ona będzie jego żoną, Dale.

- Co masz na myśli?

- Żony są na pierwszym miejscu.

- Nie...

- Ależ tak.

- Nie zawsze. Niekoniecznie. Tylko wtedy, jeżeli się tego domagają.

Włożyła klucz do zamka w drzwiach i przekręciła go. Nie potrafiła patrzeć na swój pokój obojętnie, gdy tylko tam wchodziła i zalewała ją fala wspomnień, z tych intensywnych lat, kiedy to zmagiła się ze smutkiem, z tęsknotą, ze świadomością, że któregoś dnia będzie musiała opuścić dom, oraz z lękiem przed tym. Kiedy poznała Neila, spał w połowie pokoju w niezwykłym poczuciu wyzwolenia, zabierając tylko jedno zdjęcie matki i żadnej pamiątki z wczesnej młodości. Była radosna, dumna z siebie, gratulowała sobie zabrania tylko tego, co będzie wkładem w przyszłość, nie zatrzyma jej niszczycielsko w przeszłości. Ale nawet wówczas, nawet kiedy wyprowadziła się i zamieszkała z Neilem, zalepiła taśmą dziurkę od klucza i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Josie nie była wścibska, ale nie była też po stronie Dale. W każdym razie Pauline należało chronić przed Josie, która była jawnie zazdrosna, jak opowiadała Dale Neilowi, o ile można uwierzyć, że to możliwe - i właściwe - żeby być zazdrosną o kobietę zmarłą w wieku trzydziestu dwóch lat. A pokój Dale był pełny Pauline.

Podeszła do toaletki, swojej toaletki z lat młodszych, ozdobionej na życzenie trzynastoletniej Dale biało-różowymi falbanami, i położyła klucz na przykrytym szkłem blacie. Rozejrzała się wokół. Z wielu miejsc pod różnymi kątami odpowiedziała skupionym spojrzeniem jej matka. Elizabeth Brown była sympatyczna, porządna oraz odrobinę nudna, ale wychodziła za ojca Dale i w związku z tym pokój Dale będzie musiał pozostać zamknięty. Nie tylko po to, by zachować prywatność teraz, ale by uchronić przeszłość Dale, jej dzieciństwo.

Rozdział dziesiąty

- Ale to już trzeci raz - przypomniała wychowawczyni Clare. - Trzeci raz w tym tygodniu mówisz, że nie mogłaś odrobić lekcji.

- Bo nie mogłam - powiedziała Clare. Była ubrana w strój podobny do szkolnych mundurków, jakie nosiła większość dzieci, a rąbek jej spódnicy odpruł się z jednej strony. Chyba tego nie zauważyła.

- Czy jest w domu jakieś miejsce, gdzie możesz odrabiać lekcje? - zapytała nauczycielka.

Clare pomyślała o kuchni.

- Jest stół.

- Czy tam jest cicho?

Było cicho, pomyślała Clare, kiedy matka zaszywała się na górze w swojej pracowni i lepiła gliniane naczynia, co było jej nową pasją. Gлина była wszędzie. Zgrzytała na dnie wanny.

- T a k .

- Wobec tego naprawdę nie masz usprawiedliwienia. Twój brat i siostra odrabiają lekcje, prawda?

- T a k .

- Gdzie?

Clare zastanawia się przez chwilę. Becky spędzała gniewne pół godziny na podłodze ich pokoju przy muzyce tak głośnej, że doprowadzała Nadine do krzyku, po czym wyłaniała się stamtąd, oznajmiając, że odwalila tę gównianą robotę. Rory chyba nigdy nie odrabiał lekcji. Zabierał torbę do swojej nory, ale Clare sądziła, że wcale jej nie otwierał. Oboje dawali do zrozumienia swym zachowaniem, że nieodrabianie lekcji jest nie tylko w dobrym stylu, ale też kompletnie bezcelowe. Lekcje były po nic, miały na celu wprowadzenie bezsensownej dyscypliny wymyślonej przez nauczycieli z jakichś tajemniczych powodów. Clare nie była pewna, czy w to wierzy. Nie miała nic przeciwko odrabianiu lekcji, bo

Cudze dzieci

właściwie nie miała także nic przeciwko szkołę. Przyjemnie było czuć jakąś przynależność, bywać codziennie w miejscu, które pozostawało takie samo, i gdzie traktowano ją tak samo jak innych. To nie bunt uniemożliwił Clare odrabianie lekcji, tylko poczucie beznadziejności. Każdego wieczoru wyciągała książki, rozkładała je na przestrzeni, którą oczyściła z prawie zawsze nieuprzątniętych resztek ostatniego posiłku, i zasiadała do lekcji. I siedziała. Siedziała, patrzyła i nie mogła nic zrobić. Nie mogła patrzeć na słowa, nie mogła wziąć ołówka.

- Gdzie twój brat i siostra odrabiają lekcje? - pytała cierpliwie wychowawczyni.

Clare spojrzała na nią. Była młoda, miała okrągłą twarz i kręcone brązowe włosy. Clare za nic w świecie nie chciałaby mieć kręconych włosów.

- Gdzieś tam...

- Clare, musisz odrabiać lekcje. Rozumiesz? Musisz, nie dlatego, że ja ci każę, ale żebyś mogła się przekonać, czy rozumiesz to, czego cię nauczyłam w szkole.

Clare kiwnęła głową. W obliczu tak rozsądnego wyjaśnienia czuła, że musi powiedzieć prawdę.

- Ale ja nie mogę.

- J a k to?

- Nie mogę odrabiać lekcji.

- Chcesz powiedzieć, że nie rozumiesz?

- Nie - odparła Clare. - Ale kiedy przychodzę do domu, nie mogę nic zrobić.

Nauczycielka przyjrzała jej się uważnie. Wyglądała na zmęczoną, ale tak wiele dzieci wyglądało na zmęczone, skoro oglądały bez nadzoru telewizję w swoich pokojach, a rodzice byli zbyt znużeni, żeby powtarzać nakazy i zakazy.

- Czy twoja mama jest w domu, kiedy wracasz?

Clare kiwnęła głową.

- Może powinnam z nią porozmawiać...

- Nie - powiedziała Clare.

- Dlaczego?

- Musimy sobie z tym poradzić - odpowiedziała Clare, cytując Nadine.

- Ponieważ jesteście sami? - spytała nauczycielka delikatnie.

Clare znów kiwnęła głową. W jej oczach zbierały łzy. Nie widziała Matthew od sześciu tygodni i trzech dni, a dziś rano odbyła się wojna, kiedy Nadine chciała wyprać disneyowski dres.

- Zbiegnie ci się w praniu!

- Nie...

- Na pewno tak, nie dotykaj go. Nie chcę, żebyś go prała...

Nadine wyrwała jej dres, a kiedy była w ubikacji, Clare wygrzebała go ze sterty brudnej bielizny i ukryła w powłoce kołdry Rory'ego. Będą kłopoty, kiedy Nadine przyjedzie ją odebrać i poruszy tę sprawę.

- Możesz spróbować jeszcze raz dziś wieczorem? - zapytała nauczycielka.

Clare westchnęła. To się na nic nie zda. Powiedziała żałośnie:

- Nie mogę myśleć.

- Rozumiem - odrzekła nauczycielka. Wstała. - Jesteś pewna, że nie mogę porozmawiać z twoją mamą?

- Tak.

- Więc będę musiała porozmawiać z kim innym.

Clare podniosła na nią oczy z błyskiem nadziei.

- Z moim tatą? - spytała.

Becky rozłożyła się na kanapie. Miała oczywiście połamane sprężyny, więc Becky wymościła sobie miejsca poduszką i starym kocem, gdzie wcale nie było sprężyn albo gdzie sterczały przez wytarte kretonowe pokrycie jak dzidy. Telewizor był nastawiony na jakiś program dla dzieci, który prowadził jeden z tych żalonych, przesadnie wygłupiających się prezenterów w dużych okularach i z włosami na jeża, ale odbiór był taki zły, że Becky prawie nic nie widziała z powodu śnieżącego ekranu. Nie przeszkadzało jej to. I tak nie chciała oglądać tego programu; pragnęła tylko towarzystwa telewizora, złudzenia, że wokół są ludzie, że coś się dzieje.

W bawialni było zimno. Becky nauczyła się już dość sprawnie rozpałać w kominku, ale wiatr wiał i ogień nie chciał porządnie zapłonąć. Owinęła się w kołdrę ze swojego łóżka, ale nawet tak opatulona czuła zimno w środku, jak wtedy, kiedy człowiek się czegoś boi. Poruszyła się lekko, żeby paczka papierosów w kieszeni kurtki nie uwierała ją niewygodnie w pierś, i pomyślała o tej drugiej rzeczy, znajdującej się w kieszeni. Biała tabletki, opakowana w folię, która miała na jednej stronie odcisniętego ptaszka, a na drugiej uśmiechniętą buzię. Dostała ją od pewnego chłopaka ze szkoły. Powiedział, że mógłby dostać za nią piątaka, ale da ją jej, jeżeli umówi się z nim na weekend. Do klubu, powiedział. Był to duży, długonogi i długoreki, mocno zbudowany chłopak z wyższej klasy. Kiedy z nią rozmawiał, nonszalancko przerzucając małą foliową paczuszkę z ręki do ręki, patrzył głównie na jej piersi.

Becky właściwie nie wiedziała, dlaczego przyjęła foliową paczuszkę. Pochlebiali jej, że została zaproszona na randkę, że otrzymała, jako łapówkę za randkę, propozycję przyłączenia się do grupy, a chłopiec, który ją zaprosił, był jednym z kilku w szkole, którzy uchodzili za doskonałą zdobycz. Miał oczywiście określoną opinię, znany był z tego, że chce iść na całość, odmawia używania prezerwatyw i zna się na rzeczy, a to czyniło go niebezpiecznym, a więc godnym pożądania. Gdyby poszła z nim na randkę w weekend, nie mogłaby udawać, że nie wie, w co się pakuje, a zresztą poniekąd bardzo chciała się w to wpakować, chciała czuć się radosna, szalona i seksowna. I wolna. Jednak niedawno odkryła też w sobie pewną dorosłość, której hamującego działania bardzo nie lubiła. Nie potrafiła już sobie wmawiać, że jako osoba niespełna szesnastoletnia nie ma żadnych obowiązków czy obciążeń i nie powinno się od niej nic wymagać. Obciążenia pojawiły się, czy tego chciała, czy nie, wraz z rozwodem rodziców, najgorszym z brzemion okazała się Nadine. Nadine była wprawdzie matką trojga dzieci, ale nie kojarzyła się ze słowem „matka”. Była raczej, uświadamiała sobie stopniowo Becky, kimś, kto sam potrzebuje matki, autorytetu, który pomógłby jej się wziąć w garść. Becky widziała - a przypuszczała, że inni też widzą, sądząc ze sposobu, w jaki się zachowywali - że sprawy wymykają się spod kontroli. Nie chodziło tylko o sprawy gospodarczo-domowe, lecz raczej o wrażenie, że Nadine nie wie, dokąd zmierza ani po co są następne dni czy tygodnie, a jej strach spowodowany tą niewiedzą unosił się wokół niej, niemal jak zapach. Gdyby Becky poszła w sobotę wieczorem do klubu ze Stu Baileyem, wzięła swoją tabletkę ecstasy i w końcu się z nim przespała - pierwszy raz - w wielopoziomowym parkingu o czwartej nad ranem, mogłaby poczuć, że dopięła swego, że wyrwała się z jakiejś klatki, ale ostatecznie i tak musiałaby potem wrócić do domu i do Nadine. Może jednak warto, za cenę czegokolwiek, co powie lub zrobi Nadine, wyrwać się na jedną noc z tego kłębowiska kłopotów i naprawdę „odlecieć”. Ale z drugiej strony, może i nie warto. Nie można oddzielać od siebie pewnych spraw, dochodziła do wniosku nieszczęśliwa Becky, nie można robić czegoś, a potem oczekiwać, że konsekwencje nie odskoczą kiedyś jak na gumie, żeby chlasnąć człowieka w twarz. Randka ze Stu Baileyem stanowiła ryzyko, ale nawet jeżeli Becky chciała tego ryzyka, nie była pewna, czy odważy się ponieść konsekwencje.

Usiadła, wyjęła papierosy z kieszeni i zapaliła. Następnie wyjęła tabletkę ecstasy i odwinęła ją. Wyglądała niewinnie jak glukoza. Becky powąchała ją, a potem, z lekkim skurczem podniecenia, polizała. Nie miała smaku. Nie miała zapachu. Leżała w jej dłoni, uśmiechając się.

Becky pomyślała, że musiałyby zapłacić pięć funtów - swoje ostatnie pięć funtów - żeby ją zatrzymać i jednocześnie uwolnić się od Stu Bailey'a i jego wzroku utkwionego w jej piersiach. To znaczy, o ile chciała być wolna. O ile chciała być niechciana, mniejsza z tym, dlaczego jej pragnął. A zresztą pragnąłby jej jeszcze bardziej, gdyby go odrzuciła.

Starannie owinęła tabletkę z powrotem w folię i włożyła do kieszeni. Papieros miał smak kwaśno-zatęchły. Zamknęła na chwilę oczy. Powinna pójść na to, powinna skorzystać z krótkotrwałej władzy w dowolny sposób. Ale... Otworzyła oczy i wrzuciła papierosa w niechętny ogień. A gdyby Nadine się dowiedziała? Gdyby Stu Bailey naprawdę ją skrzywdził? Gdyby... Becky pochyliła się w przód, podkręciła głośność telewizora, aż pokój zdawał się dygotać, rzuciła się z powrotem na kanapę i naciągnęła kołdrę na głowę.

- To już piąty raz - oświadczył Tim Huntley. Stał na rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, w kuchni Nadine, patrząc na nią z góry. Ona siedziała przy stole. Za nią, z dziurą w czarnej szkolnej bluzie, stał Rory, opierając się o lodówkę i bawiąc się plastikowymi magnesikami na jej drzwiach.

- Przepraszam - powiedziała cicho Nadine.

- Farma to nie miejsce do zabawy - ciągnął Tom. Przeniósł spojrzenie z Nadine na Rory'ego. - Farma jest niebezpieczna. Nie chodzi o same maszyny, ale o trucizny. Mam tyle środków na chwasty, że mógłbym wykończyć połowę Hereford. I strzelbę. Masz szczęście, że nie mierzyłem do ciebie ze strzelby.

Rory zamamrotał.

- Co? - spytała Nadine.

- Nic nie robiłem...

- Byłeś tam - powiedział Tim. - Byłeś tam, bez mojej wiedzy i pozwolenia. Jeżeli tam jesteś, ty, obcy, możesz sobie zrobić krzywdę albo spowodować jakieś szkody. Krowa może poronić, możesz przywlec zakazanie...

Rory schylił się nad drzwiami lodówki.

- Przepraszam...

- Mam nadzieję. A w ogóle to dlaczego nie byłeś w szkole? - Spojrzał na Nadine. - Dlaczego nie był w szkole?

Drżała lekko.

- Myślałam, że był.

- Nie lubię jej - odparł Rory, a potem dodał pod nosem: - Tam jest nudno.

Tim podszedł bliżej i oparł się o stół.

- To nie jest żadna wymówka. Zgodnie z prawem masz chodzić do szkoły.

Nadine popatrzyła na Rory'ego.

- Ktoś ci dokucza?

Potrząsnął głową.

- Więc o co chodzi?

Zawahał się. Potem zamaszystym ruchem ręki zsunął wszystkie magnesiki z drzwi i rozsypał po podłodze.

- Nie mogę tam być - powiedział. - Nie mogę tu być, nie mogę... - Jego głos załamał się trochę.

- Masz jakieś lekcje? - spytał Tim.

Rory skinął głową.

- Więc może idź je odrobić? A ja w tym czasie pogadam z twoją mamą?

Rory kopnął lodówkę.

- Jestem głodny...

- Chyba wiesz, gdzie jest koszyk z chlebem.

Nadine wstała.

- Ja to zrobię...

Tim ją obserwował. Zauważył, podczas gdy kroić chleb i smarowała go niezdarne masłem orzechowym, że trzęsą jej się ręce. Rory nie zaproponował, że jej pomoże. Tim już chciał mu powiedzieć, żeby ruszył swój leniwy tyłek, ale zrezygnował. Już i tak dość na Rory'ego narzeczył, jak na jeden dzień, wywłócił go siłą z szopy, gdzie stały traktory, i podarł mu bluzę. Rory w milczeniu znosił krzyki. Nie wydawał się przestraszony ani naburmuszony. Zdawał się po prostu przyjmować wrzaski Tima jako kolejną porcję tego samego, kolejną nużącą porcję tego, do czego był już przyzwyczajony. Tim własnoręcznie wrzucił go do land rovera, jak worek albo zwierzęcy zewłok, po czym złagodniał i dał mu batonik znaleziony w pełnym rupieci schowku. Rory połknął go niemal w całości.

- Proszę - powiedziała Nadine. Podążyła Rory'emu kanapki na talerzu, a następnie pochylała się i pocałowała go. - Nie martw się.

Nawet na nią nie spojrzał. Wziął talerz i powłócząc nogami zaczął iść ku drzwiom.

- Dziękuję - powiedział Tim Huntley głośno, rozkazująco.

Rory zatrzymał się na moment.

- Dzięki.

- Nie ma za co - odrzekła Nadine.

Rory wyszedł z kuchni, trzasnęły za nim drzwi. Słyszeli, jak tupie po płytkach w holu, po czym zaczyna wchodzić na schody, wolnym i niepewnym krokiem, jakby miał znacznie więcej niż dwanaście lat.

- Pewnie zje w łóżku - odezwała się Nadine.

- W łóżku...

- Urządził sobie coś w rodzaju sypialni na poddaszu. To bardzo odosobnione miejsce. Nie wpuszcza tam nikogo z nas. - Spojrzała na Tima. - Kawy?

- Chętnie - powiedział. Wyciągnął krzesło spod stołu i usiadł na nim, opierając przedramiona o blat stołu. Popatrzył na Nadine. - Rozmawialiśmy o was z mamą.

- O c h .

- Nie radzi sobie pani, prawda?

Nadine napełniła czajnik, włączyła go i bardzo precyzyjnie ustawiła dwa kubki obok siebie na blacie kuchennym.

- Nie wiem, czy to pana sprawa.

- Jesteśmy sąsiadami. Tu jest wieś, nie jakieś cholerne miasto, gdzie można paść trupem i nikt tego nie zauważy. - Przerwał, po czym ciągnął dalej. - Cztery czy pięć lat temu były tu dzieci. Mieszkały z ojcem w przyczepie. On był do niczego, przeważnie zalany albo zaćpany. Najmniejsza dziewczynka została zabita na drodze do Ross, przejechała przez ciężarówkę, kiedy wałęsała się sama, osłabiona z głodu. Pozostałe dzieci zabrano do domu dziecka, a ich ojciec zniknął. Wiedzieliśmy, że tu są, mama i ja. Ale nie wiedzieliśmy, że jest aż tak źle. Nie wiedzieliśmy połowy rzeczy, zanim ta dziewczuszka nie zginęła.

Nadine nic nie powiedziała. Wsypała łyżeczką kawę do kubków i bardzo starannie zakręciła stoik.

- Pani wie, co się dzieje, prawda? - powiedział Tim.

- Z czym...

- Z pani dziećmi.

Pochyliła głowę.

- Nie chodzi tylko o to, że chłopak co chwila zwiewa z lekcji, prawda? Chodzi też o dziewczynki. Mała wygląda, jakby była na wpół zagłodzona, a duża włóczy się z jednym z chłopaków Baileya.

- Kim oni są - spytała z trudnością Nadine - te chłopaki Baileya? Tim chrząknął.

- Lepiej nie wiedzieć. To same łobuzy. Czterech chłopców, takie same nicponie jak ich ojciec. Lepiej niech pani córka nie zadaje się z Baileyami.

Czajnik hałaśliwie wypuścił strumień pary i wyłączył się. Nadine, przytrzymując nadgarstek drugą ręką, żeby nie drżał, nalała wody do obu kubków.

- Mleko?
- Proszę.
- Cukier?

- Dwie kostki - powiedział Tim Huntley. - Na zdrowie. - Przyglądał się, jak stawia przed nim kubek. Potem sama usiadła naprzeciw niego.

- Becky jest w bawialni - rzekła Nadine - i odrabia lekcje. Codziennie zawożę ją do szkoły i codziennie ją odbieram, i wiem, gdzie jest przez cały czas.

- Nie wie pani, co ona robi w szkole. I nie może jej pani tu ciągle trzymać w zamknięciu. - Pomyślał przelotnie o nad wiek rozwiniętej figurze Becky. - Wkrótce się stąd wyrwie. Jeden wyjazd do Hereford czy Gloucester i straci ją pani.

Nadine spuściła głowę nad kawą.

- Proszę odejść.
- Niech pani posłucha...
- Proszę odejść!

Tim Huntley pochylił się w przód.

- Niech pani nie krzyczy dlatego, że nie idę. Nie przyszedłem, żeby się wtrącać, przyszedłem, żeby pani pomóc powstrzymać coś, zanim się zacznie, zanim pani dzieci rzeczywiście stracą hamulce.

Nadine podniosła obie ręce i zakryła nimi twarz.

- Radzimy sobie przecież...
- Nie, paniusiu - powiedział Tim. - Nie radzicie sobie. A jeżeli znów znajdę chłopca w moim obejściu, bez mojego pozwolenia, wzywam gliny.

Nadine odjęła ręce od twarzy i patrzyła na niego, wstrząśnięta.

- Nie zrobi pan tego!
- Zrobię. Dla niego, dla pani. Nikomu nie służy ganieanie bez dozoru.
- Ja na to nie pozwalam.
- Ale nie może pani temu zapobiec. A wkrótce będzie więcej takich rzeczy, którym nie da pani rady zapobiec.

Nadine powiedziała niepewnie:

- Mamy za sobą ciężki okres. Zostaliśmy - no, zostaliśmy wyrzuceni, a przynajmniej do tego się to sprowadza.

- Przykro mi - rzekł Tim. - To nie mój interes, dlaczego tu przyjechaliście. Liczy się to, co się teraz stanie.

- Ja... ja nie wiem, co się stanie.
- Nie powinna pani mieszkać sama - powiedział Tim. - Wygląda mi na to, że przeszła pani małe załamanie. Powinna pani mieszkać z innymi ludźmi. Może w tej komunie w okolicach Hay. - Popatrzył na glinę wokół paznokci Nadine. - Sztuka i tak dalej. Ogrodnictwo.

Nadine zamknęła oczy. Przemówiła najbardziej stanowczym głosem, jakiego dotychczas użyła w tej rozmowie:

- Kocham moje dzieci.

Tim zawahał się przez moment, po czym powiedział:

- Jest jeszcze coś.

- C o ?

- Ich tata jest dyrektorem szkoły, prawda? Chłopak mówił...

- Zastępcą - powiedziała Nadine z pogardą.

- Może...

- C o ?

- Może powinna pani pozwolić ich ojcu zająć się nimi przez jakiś czas? - powiedział Tim, obejmując dłońmi kubek z kawą.

Matthew siedział przy telefonie w salonie. Siedział bardzo spokojnie, jakby chciał, by Josie w kuchni obok myślała, że jeszcze rozmawia. Potrzebował czasu do namysłu.

Dzwoniła Nadine. Rzadko telefonowała do niego do domu - a zresztą wcale do niego nie dzwoniła, z wyjątkiem dwóch razy w sprawie Rory'ego, już od ponad miesiąca. Telefon odebrała Josie.

- Halo - powiedziała, a potem z jej twarzy znikł wszelki wyraz. Matthew wziął głęboki oddech.

- Już go daję - powiedziała Josie i podała mu słuchawkę.

- Do ciebie.

Wziął ją. Josie patrzyła na niego, jakby czegoś bardzo chciała, a on powinien zgadnąć, czego. Powoli odwrócił się plecami, przykładając słuchawkę do ucha.

- Halo.

Josie przemknęła obok niego do kuchni i z hukiem trzasnęła drzwiami. Nadine płakała. Płakała i płakała po drugiej stronie przewodu, a poprzez istry próbowała go oskarżać o wszystko to, o co zawsze go oskarżała.

- To nie ma sensu - powiedział Matthew z niesmakiem.

- Ma! Ma!

- Więc powiedz mi, o co chodzi - rzekł. - Przestań mnie wyzywać i powiedz.

Usłyszał, jak gwałtownie wydmuchuje nos.

- Są w łózkach - powiedziała. - Nie słyszają mnie.

Matthew czekał. Znów wydmuchwała nos. Potem powiedziała:

- Przyjeżdżają do ciebie.

- Co ?

- Mają kłopoty - Nadine mówiła teraz gniewnym, ochrypłym szep-tem. - Chodzą na wagary, nie odrabiają lekcji i wdają się w złe towa-rzystwo. To ty im to zrobiłeś, to wszystko się dzieje, bo ty...

- Zamknij się - powiedział Matthew. Ścisnął słuchawkę telefonu.

- Ty stworzyłeś problem - rzekła Nadine. - Ty ich w to włądowałeś.

Teraz ich z tego wydostań.

- Jaki jest powód...

- Wiesz, ty dwulicowy łajdaku, jaki jest powód!

Matthew odetchnął głęboko.

- Chcesz, żeby dzieci tu przyjechały...

- Nie chcę!

- Dobra, dobra, dzieci mają tu przyjechać. Na stałe? Szkoła i tak da-lej?

Nadine powiedziała słabo:

- T a k .

- Pytałaś ich?

- N i e .

- Zanim zaczniesz ich wyprawiać z całym inwentarzem, może byś ich jednak zapytała?

Nadine powiedziała, wypluwając oddzielnie słowa:

- To zupełnie bezcelowe.

- Bo chcesz, żeby nie miały wyboru?

- Bo go nie ma! - krzyknęła. - Jeżeli nie pomożesz, jeżeli dalej bę-dą tak żyć i coś się stanie, wtedy żadne z nas nie będzie ich miało!

- C o ?

- Ktoś mnie obserwuje - powiedziała niepewnie Nadine - ktoś, kto widział, jak inne dzieci zeszyły na złą drogę, ktoś, kto... - Urwała.

- Może na ciebie złożyć skargę? - spytał Matthew.

Nadine nie odpowiedziała. Słyszał jej szybki i urywany oddech. Coś zbliżonego do litości drgnęło w nim na sekundę, a potem zamarło.

- Rozumiem - powiedział. Rzucił okiem na zamknięte drzwi kuch-ni. Serce w nim rosnęło, napępniało się nagłym szczęściem. Starając się mówić bez potencjalnie prowokacyjnej emocji, spytał: - Chcesz ustalić szczegóły teraz?

- N i e .

- Jutro? Zadzwońię do ciebie ze szkoły...
- Dobrze - powiedziała. Znowu zaczynała płakać.

Już miał powiedzieć: „Pozdrów ich ode mnie”, ale zrezygnował, by nie zdradzić się ze swoją radością. Zamiast tego powiedział: - Więc do jutra. Cześć - i odłożył słuchawkę.

Potem siedział przy milczącym telefonie z zamkniętymi oczami i żarliwie komuś dziękował. Dzieci wracają, dzieci z powrotem w domu, gdzie mógł je wspierać, ochraniać, nadzorować, widywać, jak nie widywał od prawie osiemnastu miesięcy w tych cennych, choć banalnych sytuacjach zwykłego, codziennego, nudnego życia rodzinnego. Czuł niemal zawrót głowy, łzy. Przez ostatnie kilka tygodni zbierał się do przewlekłej, brzydkiej, wyczerpującej szarpaniny z Nadine o dzieci, o rozsądny dostęp do nich, o możliwość dzwonienia do nich jako tako swobodnie - i nie marzył nawet o tym, że może być to drugie wyjście, że dzieci zostaną mu przekazane i to tak nagle, że go to prawie zwali z nóg. Powtarzał sobie ich imiona. Wyobraził je sobie.

Dziękuję, powtarzał w milczeniu. Dziękuję, dziękuję.

Otworzył oczy i spojrzał na drzwi kuchenne, wciąż mocno zamknięte. Za nimi słyszał Josie hałasującą naczyniami i dźwięki płynące ze stacji radiowej z muzyką poważną, której słuchała przez cały dzień, zabierając przenośny odbiornik z sobą z pokoju do pokoju. Wstał. Blask ulgi i szczęścia lekko przygasał. Nie ma sensu liczyć na to, że Josie podzieli jego uczucia. Nie ma sensu oczekiwać, że Josie z radością powita nowinę o przyjeździe dzieci. Może będzie przerażona. Może zła. Może nawet się nie zgodzić. Matthew przeszedł przez salon i otworzył drzwi kuchni.

- H e j .

Josie myła rondle pozostałe po gotowaniu kolacji. Nie odwróciła się.

- Dlaczego ona musi być tak cholernie dramatyczna? - powiedziała.

- Ona jest dramatyczna - odparł Matthew. Wszedł do kuchni i stanął za Josie. - A dzisiaj była roztrzęsiona.

- Nic nowego.

- Josie - powiedział Matthew.

Odwróciła się, trzymając patelnię i druciany drapak. Jej ręce ociekały pianą.

- Co się stało?

- Jakiś kryzys. Nie wiem dokładnie, co, bo nie pytałem. Jak pytam, słyszę kolejną porcję wyzwisk i że to wszystko moja wina...

- Dzieci?

- T a k .

Josie odłożyła patelnię z druciakiem i wytarła ręce w ścierkę.

- Mają kłopoty?

- T a k .

- Poważne?

- Nie wiem.

Spojrzała na Matthew, oczy mu błyszczały. W jej żołądku zaczął się nagle mały, zimny strach.

- Chce, żebyś tam pojechał?

- Nie...

Josie przygryzła wargę. Otoczył ją ramionami, ale nie dała mu się przyciągnąć.

- Skarbie, ona sobie nie radzi. Przysyła je tutaj.

- Tutaj! - zawołała Josie. - Mają tu mieszkać?

- Tak. - Pochylił się i pocałował ją w niechętną szyję. - Tak, będą tu mieszkać, chodzić tu do szkoły. Z nami.

Josie nic nie powiedziała. Dotknął czubka jej nosa swoim. Nie mógł powściągnąć uśmiechu.

- Zgadzasz się?

Zamknęła na chwilę oczy, po czym powiedziała wymuszonym, wesołym głosem, który w uszach obojga zabrzmiał obco:

- Oczywiście.

Rozdział jedenasty

Rufus leżał w łóżku i patrzył na zasłony, które wybrał, kiedy miał cztery lata. Były w kwiatki. Niebieskie kwiatki na bladeżółtym tle. Przez rok czy dwa był do nich tak przyzwyczajony, że przestał je widzieć, ale teraz zauważył je na nowo i naprawdę się ich wstydził. Przecież nawet jeżeli zdawało mu się, że chce mieć kwiatki, kiedy miał cztery lata, Josie powinna była mieć dość rozsądku, żeby go od tego odwieść. Popatrzył na swoje biurko. Było nowe. Stało tu i czekało na niego, kiedy przyjechał do Bath, miało dwie szuflady i lampę kreślarską na ramieniu, podobną do tych, jakich używał Tom w swojej pracowni. Jak dotąd Rufus nie robił przy biurku nic, tylko siedział na krześle, które należało do kompletu, wysuwając i wsuwając szuflady. Chodziły bardzo dobrze. Rufus podziwiał to. Elizabeth dała mu pudło kredek, olbrzymie pudło z siedemdziesięcioma dwoma kredkami, w kolorach przechodzących łagodnie jeden w drugi, jak tęcza. Były to kredki artystyczne, twierdziła Elizabeth. Dodała, że kiedy była mniej więcej w wieku Rufusa, miała dokładnie takie samo pudełko. Rufus postanowił, że nie zabierze pudła kredek do Sedgbury, ale będzie je trzymać tutaj, w szufladzie nowego biurka. Teraz, kiedy Rory mieszkał z nim w tym samym pokoju, Rufusowi brakowało prywatności, a już o reakcji Rory'ego na pudełko artystycznych kredek wolał nie myśleć.

Usiadł w łóżku. Przyjemnie było w tym łóżku, w tym pokoju, przyjemnie być samemu i mieć spokój. Obok znajdowała się wprawdzie Dale, która postanowiła nagle zostać na noc, ale ściany tutaj były grubsze niż ściany domu, który Rufus w myślach nazywał domem Matthew, więc czuł się, jakby był sam. Kiedy wyjdzie z łóżka i odsunie zasłony - a zrobi to zaraz, bo kiedy materiał jest pomarszczony, nie widać tak wyraźnie kwiatków - wiedział, jaki zobaczy widok, tył domu naprzeciwko oddzielony dwoma ogrodami, z drzewem, które latem wypuszczało ja-

snozielone przylistki i rozsiewało je wokół jak małe, prymitywne samolociki. Zimą można było obserwować mieszkających w domu naprzeciwko ludzi: jak myją zęby, czytają gazetę, odkurzają dywan, ale latem drzewo zasłaniało widok. Kiedyś jakiś mężczyzna zauważył, że Rufus mu się przygląda, i pomachał mu ręką, na co Rufus się spłoszył i dał nura na dywan pod oknem.

Wyszedł z łóżka i poczłapał do okna, szarpnięciem rozsuwając zasłony tak daleko na boki, jak się dało, żeby zgnieść kwiatki. Drzewo jeszcze było nagie, ale przesłonięte lekką mgiełką świeżych pączków na gałęziach, gdzieś tam zaczynały już wyrastać miniaturowe listki. Wszystkie zasłony i żaluzje w domu naprzeciw pozostawały zaciągnięte - ostatecznie była sobota - a na dole w ogrodzie Rufus zobaczył Basila, który siedział koło kamiennej dziewczynki z gołębiem na ręku i mył niezwykle powoli i dokładnie jedną łapę. Mycie bardzo małych fragmentów swego futra było jedynym ćwiczeniem, jakiego zażywał.

Rufus poszedł do łazienki mieszczącej się obok pokoju Dale i zrobił siusiu. Josie zawsze kazała mu spuszczać wodę, ale ponieważ jej tu nie było i nie mogła tego powiedzieć, nie spuścił. Zajrzał szybko do kosmetyczki Dale. W środku był porządek i pachniało perfumowanym mydłem, a obok leżała obszyta aksamitem gumka, którą związywała włosy. Rufus wziął ją i rozciągnął na próbę. Następnie udał się na dół, zeskakując z trzech ostatnich stopni na każdym podeście schodów, jak zawsze od czasu, kiedy jakieś dwa lata temu odkrył, że jeśli się skakało pod kątem, można było doskoczyć kawałek dalej na każdym półpiętrze. Drzwi sypialni ojca były otwarte, ale łóżko nie było zasłane, a zza drzwi łazienki dochodziło buczenie elektrycznej golarki. Rufus po przyjacielsku walnął w drzwi i niespiesznie, pewnym krokiem wszedł do kuchni.

- Cześć - powiedziała Elizabeth. Była już ubrana i rozkładała miseczki i talerze na stole.

Uśmiechnął się, nie patrząc na nią, nagle zawstydzony.

- Dobrze spałeś?

Kiwnął głową.

- Podoba ci się nowe biurko?

- Świetne.

Otwierała szafki. Stojąc tyłem do niego, spytała:

- Lubisz jajka?

- Tak - odparł.

- W jakiej postaci?

Pomyślał przez chwilę.

- Przyrządzone...

- No tak - powiedziała, śmiejąc się. - Ale czy jajecznicę, smażone... Podciągnął się na krzesło.

- Jajecznicę.

- Nie zmarzniesz w samej piżamie?

Potrząsnął głową. Popatrzył na paczki płatków śniadaniowych. Były tylko muesli, które jadał Tom, nie porządnego.

- Ja też nie lubię muesli - powiedziała Elizabeth, obserwując jego wyraz twarzy. - Włazi mi w zęby.

Rufus pomyślał o rządku paczek płatków w Sedgebury, sześciu czy siedmiu, każdej innej, którą kupiła Josie, próbując trafić na coś odpowiedniego, coś, co dzieci Matthew chciałyby jeść. Owszem, jadły je, ale nie podczas posiłków. Czasami nawet nie przychodziły na posiłki, ale po całym domu wałały się miseczki po płatkach i resztki płatków na podłodze i schodach. Rufus czuł się jak mały lizus, przychodząc do stołu, kiedy Josie go wołała, ale jeszcze silniej czuł, że nie ma wyboru. Wystarczyło, że spojrzał na jej twarz - nie tyle zagniewaną, ile jakby zrozpaczoną, o dużych oczach - by zyskać pewność, że chce coś zrobić, aby jej poprawić nastrój, a skoro siadanie do stołu w kuchni poprawiało jej nastrój, będzie to robił.

W zeszłym tygodniu Clare zapytała Rory'ego:

- Może powinniśmy iść z Rufusem?

- Z Rufusem? - prychnął Rory. - Z Rufuskiem-Dziubuśkiem? Kto by tam chciał mieć coś wspólnego z takim pieprzonym dzieciakiem?

- Możemy wyjść trochę później i kupić te płatki, które lubisz. Nie wiedziałam, jakie - powiedziała teraz Elizabeth.

Rufus przyciągnął krzesło bliżej do stołu.

- Lubię takie bardzo słodkie, ale nie wolno mi ich jeść.

- Więc ich nie kupimy - powiedziała Elizabeth.

Rufus zmierzył ją spojrzeniem. Rzuciła mu szybki uśmiech i powiedziała stanowczym, miłym głosem, jakiego używały nauczycielki w jego szkole w Bath:

- Nie będziemy oszukiwać twojej mamy.

Zastanowił się przez chwilę.

- Chyba jej powiem o zasłonach... - powiedział.

- O jakich zasłonach?

- W moim pokoju. Są w kwiatki. Nie cierpię ich.

- To co innego. Twój pokój tutaj jest dla ciebie, możesz sam wybrać. Jego twarz się rozjaśniła.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Twój pokój to zupełnie co innego niż twoje wychowanie. Nie będę łamać żadnych zasad twojej mamy związanych z twoim wychowaniem, ale z pewnością możesz dostać nowe zasłony.

Rufus podniósł łyżkę i spojrzał na odbitą w niej swoją wykrzywioną twarz.

- Ojej.

- Jakie byś chciał zamiast tych?

- Chyba czarne...

- Czarne...

- Albo zielone. Ładne zielone. Nie w takim smutnym zielonym kolorze.

- Albo niebieskie?

- Nie - powiedział Rufus. - Wszystko jest zawsze niebieskie.

Elizabeth wbiła jajka na patelnię.

- Więc jajecznicą?

- Tak - powiedział Rufus, a potem dodał z naciskiem, ponieważ na chwilę zapomniał: - Proszę.

- Zastanawiałam się - rzekła Elizabeth, mieszając zawartość patelni - czy miałbyś ochotę gdzieś pójść dzisiaj ze mną.

Rufus zawahał się. Uczucie zawstydy, które ustąpiło, znów ściśnęło go za gardło i sprawiło, że spuścił wzrok na stół.

- Odwiedzić mojego ojca. Mieszka w Bath. Zawsze go odwiedzam w weekendy. To będzie chyba twój przybrany dziadek.

Rufus chuchnął na łyżkę, którą ciągle trzymał, a następnie palcem wskazującym narysował w mgiełce robaka. Nie miał żadnego dziadka. Ojciec Josie ulotnił się, a ojciec Toma nie żył. Jego matka również. Oboje umarli w roku, kiedy urodził się Rufus, co, jak mówił Tom, usiłując z tego żartować, było z ich strony okropnym niedopatrzaniem. Więc Rufus miał tylko babcię. Koledzy mieli dziadków, którzy walczyli na wojnie, prawdziwych żołnierzy, którzy się bili z Niemcami i Japończykami.

- Czy on był na wojnie? - spytał Rufus.

Elizabeth podniosła patelnię z kuchenki.

- Był jeńcem we Włoszech przez sporą część wojny. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy zaczęła się wojna. Został ranny, nie mógł uciekać i wtedy go złapali. Chcesz jajko na grzance czy samo?

Rufus patrzył na nią. Pomyślał nagle, że czuje się tu bezpiecznie, w tej kuchni, z Elizabeth trzymającą patelnię z jajkami i opowiadającą zupełnie zwyczajnym głosem o tym, jak jej ojciec był jeńcem. Słońce zaczynało wpadać przez okna i ujawniać na szybach małe piegi, za-

schnięte brudne krople deszczu. Rufus uśmiechnął się szybciućko i podwinął gołe palce stóp na poprzeczce krzesła, na którym siedział.

- Poproszę na grzance - powiedział.

- Więc przyprowadza ze sobą chłopca? - spytał Shane. Nakłonił Duncana do kupna gąbkowej myjki na długim trzonku, żeby móc umyć sufit w kuchni. Kurz nadal spoczywał miękką, nienaruszoną warstwą na książkach i meblach, ale kuchnia i łazienka były wyszorowane na wysoki połysk i cuchnęły wybielaczem.

- Tak - powiedział Duncan. - Przedziwne. Coś jakby gotowy wnuk.

- Czy to miłe dziecko, o ile pan wie?

Duncan zamieszał kawę, którą właśnie zrobił dla nich obu. Shane zawsze sypał do swojej cztery łyżeczki cukru.

- Tak. Wszyscy są mili. Tom jest miły, jego syn jest miły, jego córka jest miła, jego przyszłej synowej nic nie brakuje... - Zamilkł.

Shane przerwał wycieranie i wycisnął mętną wodę z gąbki do wiadra.

- I co?

- Chyba nie powinienem ci tego mówić - rzekł Duncan. - Chyba nie powinienem tego mówić nikomu, ale coś mnie niepokoi, coś naprawdę dziwnego.

Shane wziął się z powrotem za sufit, robiąc szerokie białawe ślady w tłustym osadzie.

- Lepiej to z siebie wyrzucić, niż dusić w środku...

- Chodzi o to... - zaczął Duncan i upił łyk kawy. - Nie mam pojęcia, czy to dobrze, czy źle, ale przez większość życia grałem w małej, trzyosobowej trupie - ja, moja zmarła żona i moja córka. A teraz, kiedy Elizabeth zamierza wyjść za mąż, czuję się, jakbym nagle dostał rolę w zwariowanym musicalu z bardzo kiepskim reżyserem i tysiącami aktorów. To dziecko, które dzisiaj przychodzi, ma gdzieś matkę. Ona wyszła za kogoś z trójką dzieci, a one z kolei mają matkę, ciotkę i dziadków. To oszałamiające, naprawdę. I ciągle myślę, jak się to wszystko skończy?

Shane cmoknął.

- Ja winię za to papieża.

- T a k ?

- Logiczne. Jeżeli człowiek nie potrafi opanować swej chuci, trzeba ją opanować za niego.

- Mówisz o antykoncepcji?

- A niby o czym?

- Aha - powiedział Duncan. Podniósł swój kubek i ujął w obie ręce.
- Ale myślę, że ten chłopczyk, którego mam dziś poznać, był chciany. I jest bardzo kochany. Zdaje się, że nawet moja córka, która nie ma powodu go kochać, już go bardzo polubiła.

Shane wepchnął gąbkę w kąt. Powiedział pobożnym tonem:

- Moja matka, świeć Panie nad jej duszą, mówiła, że każde z nas było chciane, nawet mój brat bez podniebienia i z oczami, które nie chciały patrzeć równocześnie w jedną stronę. Było nas dziewięcioro.

- Aha - powiedział znów Duncan. Rzekome pochodzenie rodziny Shane'a zawsze wydawało mu się podejrzanym, zaczynał mieć wątpliwości co do County Kerry, pasowali mu raczej do Liverpoolu. Wyszedł powoli z kuchni i udał się do saloniku. Na niskim stoliku przy ścianie z elektrycznym kominkiem, wśród stosów książek i papierów, stały dwie puszki coca-Coli i leżała paczka chipsów, zakupione za radą Elizabeth, a także jego chłopięcy album ze znaczkami i mały mikroskop; kupił go pod wpływem impulsu w sklepie z używanymi rzeczami, sądząc, że może spodobać się temu dziecku, które Elizabeth brała sobie na kark, ponieważ wychodziła za Toma Carvera.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Dziwił się, jak często teraz to robi, staje w oknie i przygląda się codziennemu przychodzeniu i odchodzeniu, starszej pani z mieszkania na górze naprzeciw, która spędza całą zimę w płaszczu i chustce na głowie, nawet w mieszkaniu; rodzinie Chińczyków, którzy prowadzili pralnię o dwie ulice dalej i pracowali całą dobę, cały tydzień; grupie objających się studentów, którzy mieszkali w piwnicy poniżej i nigdy nie rozsuwali zasłon, prawie wcale nie wychodząc za dnia. Duncan zauważył, że chłopcy mieli włosy dłuższe od dziewczyn i nosili tyle samo biżuterii, z gatunku, który Duncanowi kojarzył się z rytuałami przesilenia letniego na starożytnych grobowcach i wzgórzach. Popatrzył teraz w głąb ulicy, gdyż kątem oka złowił jakiś ruch. Nadchodziła Elizabeth, ubrana w granatowy płaszcz, który miała od niepamiętnych czasów, i niosła torbę, którą zawsze przynosiła, pełną rzeczy, które według niej powinien jeść zamiast tego, co chciał jadać. Obok niej szedł chłopiec, nie żeby zaraz bardzo mały chłopiec, po prostu chłopiec, w dżinsach i budrysówce, o starannie uczesanych, gęstych, rudawobrązowych włosach. Szedł całkiem blisko Elizabeth, ale nie dotykając jej, i mówił. Nawet z tej odległości Duncan widział z jego gestów, że Rufus mówi z ożywieniem, a Elizabeth słucha. Pomyślał o wszystkim, co ostatnio przeczytał, o tych wszystkich bajkach mówiących o macoszej złośliwości i okrucieństwie, o zdradzie dziecięcego zaufania, o nieustannym wypaczaniu wszelkich

przyjętych norm macierzyństwa. Nałożył okulary i znów je zdjął. Bajki go zaszokowały bezlitosnym obstawaniem przy wersji złej kobiety zmuszonej do opieki nad cudzymi dziećmi, wyraźną sugestią, że druga żona posiada czarnoksięską seksualną moc, dzięki której panuje nad swoim mężem, i z bezradnego serca biednego człowieka wypiera wszelkie ojcowskie uczucia. Duncan spojrział na ulicę. Rufus podskończył i podniósł oczy na Elizabeth. Wyglądali razem zupełnie normalnie, całkiem swojsko, tak dalecy od czarnego świata zaklęć, uroków i nienaturalnych oczarowań, jak to tylko możliwe. Pewnie naczytał się za dużo baśni, więc miał spaczony pogląd. Elizabeth tak twierdziła i, jak w wielu innych przypadkach, miała rację. Duncan pochylił się i zastukał w szybę, żeby zwrócić ich uwagę.

- Jest sympatyczna - powiedział Lucas.

Siedział z Dale w winiarni, urządzonej w stylu hiszpańskiej bodegi, o chropowatych, niskich białych łukach i ciemnych wiejskich belkach. Na stole między nimi stało kilka talerzy tapas, a Dale zamówiła dużą lampkę czerwonego wina. Lucas zamówił piwo, potem sobie przypomniał, że nie może, i zdecydował się na wodę mineralną.

- Wiem - odparła Dale.

Lucas zmierzył ją długim spojrzeniem. Okropnie się szarogęsiła, kiedy jedli razem lunch w tej restauracji, manifestowała, że jest córką Toma, i grała rolę gospodyni. Amy się to nie podobało. Lucas zauważył, że Amy, która kiedyś zносиła wszystko w milczeniu, teraz zaczynała dawać głośno wyraz swojemu niezadowoleniu. W drodze do domu powiedziała, że patrząc na zachowanie Dale, można by uznać, iż jest żoną Toma.

- Tata nie zwraca na to uwagi - powiedział Lucas.

- To znaczy nie protestuje, chyba to chciałeś powiedzieć. Mężczyźni zawsze tak robią, kiedy nie wiedzą, jak się zachować, przewracają się na wznak i udają martwych.

Udając martwego czy też nie, ojciec wydawał się Lucasowi naprawdę szczęśliwy. Nie szczęśliwy ekstatycznie, zawrotnie, szaleńczo, ale szczęśliwy głęboko, mocno, spokojnie. Często spoglądał na Elizabeth, a czasami zdawał się nie słyszeć, co się mówiło, ponieważ patrzył na Elizabeth i myślał o niej. To trochę wytrąciło Lucasa z równowagi. Nie dlatego, by miał coś przeciwko szczęściu ojca, ale dlatego, iż uświadomił sobie, że nie czuje tego samego, kiedy spogląda na Amy. To znaczy, już nie. Kiedyś patrzył na nią i dziwił się, że ją ma, ale zmieniła się. Kiedyś była taka wesoła, figlarna. Lucas czuł lekkie ukłucie zazdrości,

patrząc na ojca i Elizabeth, myśląc, że dojrzałość daje im ten rodzaj emocjonalnej wolności, jakiego jego młodość jakoś nie posiada. A ocze-kuje.

- Luke - odezwała się Dale. Zwinęła kawałek szynki w cienką kieł-
baszkę i trzymała go w palcach.

- Słucham?

- A jeśli ona będzie miała dziecko?

Lucas zamknął oczy.

- Dlaczego to robisz?

- Co robię?

- Stawiasz sobie przeszkody, których może nigdy nie będziesz mu-
siała pokonywać, żeby wzbudzić w sobie strach przed teoretycznym
ich pokonywaniem?

Dale odgryzła kawałek szynki.

- Ona ma trzydzieści osiem lat.

- No więc?

- Teraz się rodzi dzieci bez końca. A ona nigdy nie była mężatką,
więc może chcieć tego całego interesu, dziecka i tak dalej. Nie są-
dzisz?

Lucas wziął faszerowaną oliwkę i zębem widelca usunął z niej ma-
łą zatyczkę z papryki.

- Czy to ma znaczenie?

- Tak - odparła Dale. Odłożyła szynkę, wytarła palce i wzięła kieli-
szek. - J u ż raz przez to przechodziliśmy, przy Josie i Rufusie, widzie-
liśmy, jak to, co jest nasze, zostaje rozdzielone pomiędzy nich i nas.

- Mówisz o pieniądzach?

Dale napiła się wina.

- Poniekąd.

Lucas zjadł oliwkę i zapytał:

- Ile jest wart ten dom?

- Taty? Och, nie wiem. Jakieś dwieście tysięcy...

- Myślisz, że zapisze dom na nich oboje?

- Możliwe.

- Ale ona dobrze zarabia, prawda? I ma własny dom, w którym ni-
gdy nie mieszkała, chce go sprzedać.

- Może zachowa go, ponieważ jest od niego o tyle młodsza. Może
on jej każe. Może - jej twarz wykrzywiła się na moment - będzie chciał
się nią zaopiekować.

Lucas spojrział bez entuzjazmu w swoją wodę mineralną.

- Ona nie jest pazerna.

- Nie - zgodziła się Dale.
 - Nie jesteś przekonana...
 - Jestem, co do tego. Naprawdę wierzę, że nie chodzi jej o jego majątek. Nie tego się boję.

- Więc czego?

Dale odgryzła kolejny kęs szynki.

- Taty.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tata może chcieć ją obdarowywać, dzielić się z nią, nawet jeżeli ona o nic nie poprosi. Rzeczami, które w rzeczywistości są nasze.

Lucas czekał. Od lat mówił sobie, że nie chce, żeby Tom mu coś dawał, że chce sam się wybić, zbudować sobie życie i zdobyć majątek tak jak Tom, ale w miarę upływu czasu, gdy przekonał się, jak ciężko tego dopiąć, zaczął czuć, że nie miałby nic przeciwko jakiejś pomocy, przeciwko otrzymaniu czegoś, na co zasłużył nie wysiłkiem, ale przez prawo dziedziczenia.

- Wiesz - powiedziała Dale. - Widziałeś.

Wolno skinął głową.

- Widziałeś, jak się wobec niej zachowuje. Nie trzeba go znać ani w połowie tak dobrze, jak my, żeby dostrzec, co czuje. Zwłaszcza że Rufus ją lubi, a ona lubi Rufusa. Tego się boję.

Lucas podniósł głowę i popatrzył wprost na nią.

- Że ją kocha?

Dale skinęła głową. Kieliszek z winem w jej prawej ręce zadrzał leciutko, a kiedy znów przemówiła, jej głos pogrubiał od nagłych łez.

- Och, Luke, kocha ją. Tym razem naprawdę, naprawdę kocha.

- Nie płacz...

- Nie mogę się powstrzymać - powiedziała Dale. Odstawiła kieliszek, po czym przyłożyła obie ręce do twarzy. Lucas wyciągnął nogi pod stołem i uwięził jej stopy między swoimi.

- Wciąż jestem przy tobie, cukiereczku...

Gwałtownie pokiwała głową za rękami. Przyglądał się jej. Pod pewnymi względami strasznie go denerwowała, jak zawsze, ale również budziła litość, jak nikt inny w jego życiu, litość nad lękiem przed stratą, który ją prześladował od dzieciństwa i pewnie zawsze będzie prześladować, powodując, że mimo woli rujnowała właśnie te związki, których najbardziej potrzebowała. A przy tym przecież walczyła, na swój sposób starała się być inna, normalna. Oczywiście przesadziła podczas lunchu, rozstawiając kelnerów po kątach, cackając się z Elizabeth, ale to była nierealna próba odczuwania zadowolenia z powodu Toma, sym-

patii do Elizabeth, ulgi ze względu na Rufusa. Biedna Dale, pomyślał Lucas, biedna, opętana Dale. Wyciągnął obie ręce przez stół i ujął jej przeguby.

- Wypij swoje wino, mała - powiedział.

Elizabeth uznała, że jej londyńskie mieszkanie jest za duże. Były w nim dwie sypialnie, długi salon, który kiedyś wyobrażała sobie jako pełen ludzi - lecz nigdy do tego nie doszło - i kuchnia oraz dwie łazienki. Skoro miała zamiar, jak teraz planowała, przyjeżdżać z Bath w poniedziałek rano, a potem wracać tam w każdy weekend, potrzebowała zaledwie połowy tej przestrzeni, ćwierci, tylko sypialni, łazienki i czajnika. Nie musi to być dom, co zresztą temu mieszkaniu nigdy się do końca nie udało, ale miejsce, gdzie mogłaby zjeść podgrzaną w mikrofalówce kolację, skąd mogłaby dzwonić do Toma, gdzie mogłaby się kąpać i spać. Powinien tam być portier i pralnia oraz szafa, żeby pomieścić wszystkie te poważne kostiumy do pracy, w których Tom jej nigdy nie widział, reprezentujące tę część jej życia, która kiedyś zdawała się być całością, ponieważ nie miała prawie żadnej konkurencji, ale która teraz, o dziwo, usunęła się w cień. Lubiła to życie, umiała nim żyć, ale nie zaprzętało jej już teraz jako coś, co przesłania sobą widok. Widok nie tylko był zupełnie inny, ale znajdował się też o wiele bliżej niż kiedyś, był pełen barw i ludzi. Zdumiewało ją to, napełniało zachwytem, że życie, zamiast być czymś, co według jej wyobrażenia przytrafia się tylko innym ludziom, nagle przybyło i otuliło ją. Nie była już tą, która zagląda do środka z zewnątrz, znalazła się po drugiej stronie szyby, uczestniczyła. Znaczyła. Jeżeli pociąg z Londynu do Bath się spóźniał, Tom bezustannie wydzwaniał na jej telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Dzwonił do niej od razu z rana, do pracy, dzwonił wieczorem. W ciągu kilku krótkich miesięcy z kropki w tle pejzażu zmieniła się w postać pierwszoplanową, postać, która mogła sobie pozwolić na zamianę sporego mieszkania na szafę do spania i nawet się nie obejrzyć za siebie.

Wybór mieszkania w Londynie należał wyłącznie do niej. Tom mógł jej pomóc w znalezieniu zastępczego lokalu, ale tylko jako kochający doradca, nie jako ktoś zainteresowany mieszkaniem w nim. Pomimo zachwyty i wdzięczności z powodu zmiany swego statusu Elizabeth odczuła ulgę, kiedy uświadomiła sobie, że w sprawie londyńskiego życia nie musi się z nikim konsultować, ponieważ jej decyzje nikogo nie dotyczą. Nikt jej nie powie, jak powiedział Tom w czasie weekendu, bardzo uprzejmie, ale zdecydowanie: „Przykro mi, najdroższa, ale nie”.

Prawdopodobnie nie powinna była go prosić. Albo nie tak od razu, a już na pewno nie zaraz po tym koszmarnym lunchu z Lucasem, Amy i Dale. Dale zdominowała spotkanie i traktowała Elizabeth jak pocztówkę, starą, z sympatią tolerowaną krewną, dotkniętą starczym zdziecinieniem. Elizabeth postanowiła, że nie będzie tego komentować. Widziała, że Tom niczego nie zauważa, a przynajmniej udaje, i przysięgła sobie nie tylko wytrwać podczas posiłku, ale też trzymać język za zębami potem. Prawie jej się powiodło. Udało jej się mówić ze szczerym ciepłem o Lucasie, wspomnieć o podobieństwie, jakie dostrzegła między nim a Rufusem, i nagle, zaskakując samą siebie, zapytała, czy nie mogliby się przeprowadzić.

Zagapił się na nią.

- C o ?

Stała w holu w domu Toma, w płaszczu i z walizką u stóp, ponieważ właśnie miał ją odprowadzić na sobotni nocny pociąg do Londynu.

- Pytałeś, czy chcę jakichś zmian. Mówiłeś, że możemy wprowadzić zmiany, rozpoczynając wspólne życie. Więc zastanawiałam się nad tym i rzeczywiście chcę zmiany. Zmiany domu.

- Myślałem, że ci się podoba ten dom - powiedział opanowanym głosem.

- Podoba. Podobał.

- Może to jest tak, jak z domem, który kupiłaś. Domy podobają ci się przez chwilę, a potem, bez powodu, przestają ci się podobać.

- To było co innego...

- Mam nadzieję, że ta zmienność uczuć nie dotyczy ludzi.

Poczuła nagły przypływ gniewu.

- Wiesz, że nie. To śmieszne i niesprawiedliwe.

- A może ja czuję, że propozycja opuszczenia tego domu też jest śmieszna i niesprawiedliwa. Dlaczego ni stąd, ni zowąd tego chcesz?

Zaczerpnęła tchu.

- Wspomnienia związane z Pauline. Zamknięty pokój Dale...

Spojrzał na nią.

- Zawsze tak było. Przewyciżemy to. Zobaczysz. - Podeszedł bliżej. - Przepraszam. Przepraszam, że tak się do ciebie odezwałem.

- W porządku...

- Dale zachowywała się dzisiaj niemądrze. Bardzo niemądrze. Ale ona cię lubi. Josie nie lubiła nigdy. Uspokoi się, przestanie się popisywać. Zobaczysz. I jeszcze jedno.

- C o ?

- Rufus - powiedział Tom.

Elizabeth włożyła ręce do kieszeni płaszcza.

- Co z Rufusem?

- To jest dla niego dom - powiedział Tom. - Teraz ten dom daje mu prawdopodobnie największe poczucie stabilizacji, jest największą kotwicą. Nie mógłbym... - Urwał. Potem popatrzył na nią. - Prawda?

Wolno potrząsnęła głową.

- Widziałas, jak się tu zachowywał - rzekł Tom. - Jak się zachowywał przy tobie. Rozluźnił się, prawda?

Elizabeth wydała długie westchnienie. Podczas ostatniego pobytu Rufusa Tom zastał ich razem, kiedy Elizabeth uczyła Rufusa podstaw gry w szachy, i poczuła, że niemal zalewają ją fala aprobaty, ciepłej, gęstej i pełnej miłości. Spojrzała na Toma. Uśmiechał się. Przynęła się i objął ją ramieniem, i stali tak, okutani w płaszcz.

- Uwierz mi, wiem - powiedział. - Naprawdę rozumiem, jak się czasami musisz czuć. Ale również, na razie, ze względu na Rufusa, musisz powiedzieć - nie. Przykro mi, najdroższa, ale nie.

Potem w pociągu odczuwała silną złość, złość i wstyd za siebie samą, że czuje złość, ponieważ argument Toma związany z Rufusem nie tylko uznawała za słuszny, ale też powinna go z całej duszy popierać. Kłopot w tym, uświadomiła sobie, patrząc na swoją twarz odbitą w ciemnej szybie wagonu, że wyczuwała, iż Tom chowa się za Rufusem, że Tom, mimo całej swojej prawdziwej miłości do niej, mimo szczerego entuzjazmu i zaangażowania w planowanie ich wspólnej przyszłości, wciąż jest spętany pajęczymi nićmi przeszłości, jak bańkowy olbrzym unieruchomiony czarami.

W nocy źle spała, ale obudziła się, ku swojemu zdziwieniu, zadowolona, że ogląda londyński poranek, swoją teczkę i czarny wełniany kostium do pracy, który kupiła, kiedy małżeństwo wydawało się jej równie nieprawdopodobne, jak spotkanie anioła w kuchni. Przed nią był tydzień pracy, tydzień spotkań, decyzji i szczególnego rodzaju dyplomatycznych manewrów, których, jak się okazało, nie potrafiła przełożyć z życia zawodowego na prywatne. A pod koniec tygodnia ponownie spakuje walizkę i pojedzie do Bath i do Toma, i omówi z nim, z rozsądkiem, który tak uwielbiał, zmiany, jakie mogą przeprowadzić w domu, ich domu małżeńskim. Biorąc pod uwagę dobro Rufusa.

Rozdział dwunasty

Nadine dzwoniła codziennie. W niektóre dni nawet dwukrotnie. Wypytała dzieci, jak w przybliżeniu wygląda plan dnia na Barrat Road, i dzwoniła akurat wtedy, kiedy wszyscy gorączkowo szykowali się do wyjścia do szkoły, albo w dziesięć minut po tym, jak Josie zdołała, ze zmiennym powodzeniem, zgromadzić całą szóstkę na kolacji. Jeżeli dzwoniła podczas kolacji, rozmawiała ze wszystkimi dziećmi po kolei, każde z nich zniknęło w saloniku, a po długiej pogawędce pojawiał się z wyzywającym wyrazem twarzy, by nikt nawet nie śmiał zapytać, o czym była mowa. Rory na ogół wracał zamknięty w sobie, a Clare wyglądała na bliską łez, siadała na swoim miejscu przy stole kuchennym i wpatrywała się w talerz. Tylko Becky wyfruwała z saloniku rozpalona sekretami i z beczelną miną, a często w ogóle odmawiała powrotu do stołu, ale z rumorem biegła z kuchni na górę albo wręcz wybiegała z domu. Josie patrzyła wtedy na talerz Becky, rozgrzebanej, ale prawie nietkniętej, i chciała, żeby Matthew poszedł za nią i przyprowadził ją z powrotem.

- N i e .

- Ale pozwalasz, żeby jej to uszło na sucho!

- Czy sądzisz, że pokazowa awantura, i to co najmniej dwa razy dziennie, jest lepszym rozwiązaniem? - pytał Matthew.

- A co ze mną?

- A co z tobą?

- Matthew, poświęcam wiele godzin na zakupy i gotowanie dla tych dzieciaków, a potem dzwoni telefon i przestają jeść. Albo nie chcą jeść, na wypadek gdyby zadzwonił telefon. Albo w ogóle nie przychodzą do stołu, albo, jeżeli przychodzą, mówią, że nie lubią tego, co ugotowałam, a później odkrywam, że w całym domu nie ma ani jednego herbatnika czy chrupki...

- Wiem - powiedział Matthew.
 - Więc zrób coś!
- Spojrzał na nią.
- Co proponujesz?
 - Porozmawiaj z nimi! Stań po mojej stronie! Powiedz, że nie pozwalasz, żeby mnie tak traktowali!
 - W rezultacie to właśnie robię. Nie lecę za nimi. Nie reaguję, zostaję i jem z tobą i Rufusem. Wyraźnie okazuję, że jestem znudzony ich zachowaniem.
 - Znudzony?
 - Tak. Znudzony.
 - Matthew - powiedziała Josie z zaciśniętymi pięściami - w tym domu panuje otwarta wrogość, skierowana przeciwko mnie, a ty mówisz, że jesteś znudzony?

Kiedy Josie dowiedziała się, że dostała pracę, okazało się, że jest lepiej, niż się spodziewała. Nauczycielka będąca na urlopie macierzyńskim, którą miała częściowo zastąpić, postanowiła zostać w domu z dziećmi, a jej etat zaproponowano Josie. Chcąc to uczcić, Josie kupiła butelkę australijskiego Chardonnay i postawiła ją na stole do kolacji.

- Po co to? - spytał Rufus.
 - Żeby coś uczcić.
 - C o ?
 - Moją pracę. Dostałam pracę.
- Matthew uśmiechnął się i obrzucił spojrzeniem wszystkich siedzących wokół stołu.
- Świetnie, prawda? I to za pierwszym podejściem. Zdolna z ciebie dziewczyna.

Becky wstała. Trąciła swój talerz.

- Nie chcę tego.

Josie, z ręką wciąż na szyjce butelki, powiedziała spokojnie:

- To zapiekanka z kurczaka.
- I co z tego?
- Lubisz zapiekankę z kurczaka.
- Nie lubię.

Clare odłożyła widelec. Powiedziała szeptem:

- Ja też nie.

Spojrzała na Matthew.

- Siadaj - powiedział Matthew do Becky.
- Nie możesz mnie zmusić.

- Nie zamierzam próbować - powiedział Matthew - chcę zaproponować ci kieliszek wina, żeby wznieść toast za Josie.

- Alkohol to narkotyk - oświadczyła z pogardą Becky.

Matthew spojrzał na Rory'ego. Rory nadal jadł, wsuwał jedzenie, chociaż nikt oprócz Rufusa jeszcze nie zaczął.

- Napijesz się?

Rory potrząsnął głową.

- Rufus?

Rufus zaczerwienił się lekko. Tom i Elizabeth dali mu pół kieliszka białego wina, kiedy zabrali go na kolację. Smakowało mu, miał ochotę napić się również teraz. Miał ochotę powiedzieć Josie, że dobrze się spisała. Zerknął na Matthew i też potrząsnął głową.

- Wobec tego zostanie więcej dla ciebie i dla mnie - powiedział Matthew. Wziął od Josie korkociąg i wstał, żeby wyciągnąć korek z butelki.

- Nie będę jadła - odezwała się Becky. - I nie zostanę tu.

- Zostań, proszę - powiedziała Josie wcale nie proszącym tonem.

- Dlaczego?

- Żebyśmy mogli zjeść razem kolację.

- Nie chcę kolacji. I nie chcę być razem.

- Więc wynoś się - powiedziała Josie.

Matthew przestał wyciągać korek.

- Josie...

- Wynoś się - powiedziała znowu Josie do Becky. - Idź sobie stąd.

Becky silnym kopnięciem odepchnęła krzesło do tyłu, aż zgrzytnęło po podłodze i walnęło w najbliższe szafki. Potem okręciła się na pięcie i ruszyła do drzwi wyjściowych. Były zamknięte na klucz. Uderzyła w nie raz czy dwa pięścią, po czym, czując na sobie ich oczy, jak reflektory samochodowe, zawróciła, dopadła drzwi do holu i pomknęła na górę. Za sobą usłyszała, jak ojciec mówi ze złością: „Po kiego diabła to powiedziałaś?”, a potem ktoś zatrzasnął drzwi i słyszała już tylko niewyraźny gwar i zamieszanie.

Otworzyła drzwi swojego i Clare pokoju i rzuciła się na łóżko Clare, które stało bliżej. Wcisnęła twarz w kołdrę i wgrzyzła się w materiał, tak mocno, że niemal poczuła, że stykają się jej zęby. Potem zbokowała poduszkę Clare i skopała niezdarnie ścianę nogami w butach. Głupia krowa, powtarzała sobie, głupia krowa z tą swoją pieprzoną pracą. Jak ona śmie? Jak ona śmie wymachiwać nam przed oczami tą swoją pieprzoną pracą, jakby chciała, żebyśmy ją za to poklepalili po plecach? Jak ona śmie? A zresztą, co mnie to obchodzi, co mnie to w ogóle ob-

chodzi, co się z nią dzieje, teraz czy kiedy indziej? Co mnie obchodzi ona, to jej całe gotowanie, sprzątanie i krygowanie się, tej pani Porządnickiej? Becky uniosła poduszkę Clare i cisnęła nią w przeciwną stronę, gdzie poduszka zaczęła się o róg obrazka i zwała go z hukiem z haczyka na podłogę.

Becky usiadła. Nie zapaliła światła, kiedy wchodziła do pokoju, ale przy resztkach światła dziennego dostrzegła odłamki i okruchy szkła leżące i mrugające na dywanie. Był to obrazek, który zawsze chciała mieć, reprodukcja dzieła Klimta przedstawiająca egzotyczną, niebezpieczną, wężowatą kobietę, ale powiesiła ją tam dla niej Josie, a tym samym pozbawiła wszelkiego uroku. Prezenty Josie były natręctwem, naruszeniem prywatności, protekcyjną obelgą. Tak samo jak te wszystkie posiłki, wszystko, co Josie robiła dla domu, wszystko, czego - ostrożnie - nie mówiła.

Becky postawiła obcas na leżącym najbliżej kawałku rozbitego szkła i zgniotła go. Potem podciągnęła kolana, ukryła za nimi twarz i otoczyła ramionami.

Czuję się świetnie, mówiła codziennie Nadine, czy Becky pytała, czy nie. Jej głos był często sztucznie wesoły i teatralny. Naprawdę. Świetnie. Pracuje nad swoimi garnkami; Tim szuka jej pieca do wypalania; ma do towarzystwa radio.

A co u was?, pytała. To chcę naprawdę wiedzieć. Co u was? Dostajecie dość jedzenia? W szkole w porządku? Powiedz mi, co porabiasz. Opowiedz mi wszystko.

Becky powoli uniosła głowę. Z dołu słyszała jazgot telewizora. Może Rory go włączył. Prawie każdego wieczoru włączał go od razu, kiedy tylko mógł, i nastawiał tak głośno, że kiedy Josie chciała, żeby odbył swoją kolejkę przy sprzątaniu, musiała krzyżeć, żeby ją usłyszał. Potem zaczął dzwonić telefon. Na jego dźwięk Becky poczuła, że żołądek jej się ściska, a następnie wypełnia wolno i równo nowym gniewem, gniewem tak silnym, że czuła, jak podchodzi jej do gardła, dławi. Wstała niepewnie. Szkło leżało u jej stóp, połyskując złowrogo. Zaczęła podnosić na przemian nogi, niezgrabnie, i deptać potłuczone kawałki. Ktoś musi za to zapłacić, ktoś musi odcierpieć za tę niesprawiedliwość, tę presję, to napięcie, to potworne rozczarowanie i ból. Ktoś, myślała Becky, depcząc i depcząc, musi zostać ukarany.

Matthew pozwalał Clare odrabiać lekcje w swojej pracowni na strychu. Przesiadywała tam godzinami. Czasami, kiedy wracał ze szkoły - zawsze o wiele później niż pozostali - siedziała na górze od chwili, kie-

dy wróciła do domu. Przychodziła prosto ze szkoły, mijała Josie, zwykle nic nie mówiąc, i szła od razu na strych, gdzie siadała na krześle Matthew, a czasem nakładała jego sweter. Kiedy wchodził, biegła do niego i próbowała usiąść mu na kolanach, a kiedy Josie coś do niej mówiła, Clare odpowiadała: „Nie jesteś moją prawdziwą matką” i obejmowała Matthew.

Becky jej kazała tak mówić.

- Ona nie jest twoją prawdziwą matką. Nie może cię do niczego zmusić. Powiedz jej to.

Jeżeli była sama z Josie, Clare nie miała odwagi tego mówić, ale siedząc na kolanach Matthew, mogła powiedzieć wszystko.

- Ona wie, że nie jest - mówił Matthew, starając się to zbagatelizować. - Biedna Josie, ma z wami tyle kłopotów. Coś okropnego.

- Nie chcę nią być - mówiła Josie. - Nie staram się nią być.

- Ale robi takie rzeczy, jak matka - odpowiadała Clare. - Prawda?

- A proponujesz, żeby kto je robił?

- Nasza prawdziwa mama - mówiła Clare. Obejmowała mocno Matthew. Jeżeli obejmowała go dość mocno, nie musiała myśleć o Nadine, o domu na wsi i o ubikacji w szopie. Jeżeli o tym wszystkim myślała, ogarniała ją rozpacz, a najlepszym miejscem do uciekania od tych myśli, oprócz kolan Matthew, był strych Matthew, na którym znajdowało się tak dużo rzeczy z dzieciństwa Clare, że czasami mogła tam udawać, iż nic się nie zmieniło, nic się nie rozpadło. Policzyła zdjęcia. Było dokładnie tyle samo zdjęć całej ich trójki, jej, Rory'ego i Becky. Ale nie było żadnych zdjęć Nadine. Prawdę mówiąc, kiedy Clare przyjrzała się dokładnie, zobaczyła, że jedno czy dwa zdjęcia mają dziwne brzegi, jakby kawałek został odcięty. Kiedy patrzyła na te obcięte zdjęcia, przypominała sobie, co Nadine mówiła o Matthew, co on zrobił, jak się zachował, a te wspomnienia sprawiały, że Clare nie mogła zejść ze strychu, nawet kiedy Josie ją wołała, nie mogła się poruszyć, dopóki jej ojciec we własnej osobie nie pojawił się na drabinie i nie znalazł jej tam, na swoim krześle, w swoim swetrze.

- Nie powinna się tak ciebie czepiać - usłyszała Clare. - Nie powinieneś jej pozwalać.

- Ma dopiero dziesięć lat...

- To nie kwestia wieku, Matt. To nastawienie.

Clare nie wiedziała, co to znaczy nastawienie, ale najwyraźniej nie był to komplement. Widocznie robiła coś, co nie podobało się Josie, coś mającego związek z ojcem. Becky namawiała Clare, żeby zachowywała się wobec Josie tak wyzywająco, jak umie, dla zasady, ale chociaż

Clare słuchała, tak samo jak z odrabianiem lekcji, niezupełnie rozumiała, o co Becky chodzi. Nie siadała na kolanach Matthew po to, żeby zachować się bezczelnie wobec Josie, robiła to, ponieważ chciała, musiała. Nie odmawiała zjadania kolacji po to, żeby dokuczyć Josie; odmawiała, ponieważ te posiłki, tak sprawnie przyrządzone, takie zdrowe, przejmowały ją poczuciem winy wobec Nadine, jakby jedzenie było zdradą. Jeżeli Josie tego nie rozumiała, Clare nie mogła na to nic poradzić, podobnie jak nie mogła nic poradzić na ogarniające ją uczucie zachłannej ulgi, kiedy Matthew wracał do domu.

Spojrzała z bezpiecznego miejsca na kolanach Matthew na Josie, która sortowała pranie na podłodze kuchni.

- Nie chcę, żebyś prała mój dres - powiedziała Clare.

Josie leżała na łóżku. Była całkowicie ubrana. Leżała zupełnie nieruchomo, z rękami splecionymi na brzuchu, i patrzyła w okno, gdzie gasnące światło i ostry pomarańczowy odbłask z ulicznych latarni dawały efekt, który nie był ani ładny, ani naturalny. W sypialni było cicho, dostatecznie cicho, żeby słyszeć odgłosy z dołu, szmer telewizora, hałasy w kuchni, gdzie Matthew, najwyraźniej bez specjalnych problemów, nakłonił młodsze dzieci do pozmywania. Becky siedziała w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Była tam od szóstej, od czasu, kiedy dzwoniła jej matka.

Tym razem Nadine dzwoniła w sprawie pieniędzy. Rozmawiała najpierw z Becky, a potem uparła się, że chce mówić z Matthew. Josie, trąc ser w kuchni, słyszała, jak Matthew mówi:

- Ale teraz ja płacę na dzieci, musi ci wystarczyć, musi. - Rozmowa ciągnęła się długo i kiedy Matthew wreszcie odłożył słuchawkę, Josie usłyszała, jak Becky mówi z mieszaniną lęku i wściekłości:

- Nie możesz pozwolić jej głodować!

- Nie głoduje, tylko wydała wszystko, co miała na ten miesiąc, i chce więcej - odparł Matthew.

- Więc powinienes jej dać.

- Daję jej tyle, ile mogę - powiedział Matthew. Słyszac jego głos, Josie pomyślała, że jest bardzo zmęczony. - Teraz tylko o siebie musi się troszczyć.

- Właśnie! - krzyknęła Becky. - Właśnie! A czyja to wina?

Josie usłyszała kroki Matthew zbliżające się do drzwi kuchni. Pochyliła się nad tarką.

- Nie będę z tobą o tym rozmawiał - powiedział. Otworzył drzwi kuchni. - To nie twoja sprawa.

Becky precyzyjnie się obok niego. Zatrzymała się na moment w kuchni i popatrzyła z nienawiścią na Josie. Ręka Josie ześliznęła się na tarkę i na jej palcu wskazującym ukazał się jasny koralik krwi. Włożyła go do ust.

- Nam niczego tu nie brakuje - powiedziała sarkastycznie Becky, wciąż patrząc z nienawiścią. - Prawda?

- Cicho bądź - rzekł Matthew. Popatrzył na Josie. - Wszystko w porządku?

Skinęła głową, wciąż trzymając palec w ustach. Becky prychnęła i pomaszerowała do drzwi.

- Nie chcę kolacji.

- Doskonale - powiedział Matthew.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem za Becky. Matthew zbliżył się do Josie i objął ją ramieniem.

- Przepraszam.

Wtuliła twarz w jego szyję.

- Nie szkodzi.

- Josie...

- Tak?

- Będę musiał znów dawać jej więcej pieniędzy. Wiem, że nie powinienem. Wiem, że mamy tu dzieci...

- Co? - powiedziała Josie, sztywniejąc.

- Właśnie mówię. Będę musiał znów wysłać Nadine więcej pieniędzy. Dawałem jej mniej, bo dzieci są tutaj, ale będę musiał zwiększyć sumę.

- Bo córka ci każe?

Matthew westchnął.

- Pewnie częściowo tak. Jeżeli mam być szczery. A skoro ty pracujesz...

Josie wysunęła się z jego objęć.

- Nie wierzę w to.

- W co...

Chwyliła się brzegu zlewu i patrzyła na krew sączącą się wolno z palca.

- Mówisz mi, że moje pieniądze pomogą utrzymywać twoje dzieci, żebyś mógł dawać więcej twojej byłej żonie, która nie chce iść do pracy.

- Utrzymałbym Rufusa, gdyby to było konieczne - powiedział Matthew.

Josie odkręciła kurek z zimną wodą i podstawiła palec pod jej strumień. Drżała.

- Nie proszę cię, żebyś dał choćby pensa dla Rufusa.
- Wiem.
- Poza tym on jest dla ciebie grzeczny. Jest miły. Wiesz, że jest. Podczas gdy...
- Przystań - powiedział Matthew. Objął ją od tyłu. Przycisnęła się do zlewu.
- Proszę, nie dotykaj mnie.
Zabrał ramiona.
- Muszę zachowywać się przyzwoicie - powiedział Matthew. - Muszę zonglować tymi wszystkimi wymaganiami i starać się je spełniać najlepiej jak potrafię.
- Nie biorąc mnie pod uwagę - odparła Josie. Zakręciła kurek i owinęła palec kawałkiem papierowego ręcznika. - Ja nie stawiam żadnych wymagań. Więc nic nie dostaję. Robię wszystko dla wszystkich i nikt nawet nie pomyśli, że mam jakieś potrzeby, że coś mnie boli.
- Ja myślę.
- No, nic w związku z tym nie robisz. Oczekujesz tylko, żebym cię żałowała, oczekujesz, żebym sobie wyobrażała, jak się z tym wszystkim czujesz, ale sam nigdy, nawet przez sekundę nie próbujesz sobie wyobrazić, jak ja się czuję.
- Drzwi kuchni otworzyły się i stanął w nich Rufus. Trzymał swoją książkę do matematyki. Popatrzył na nich.
- O - powiedział.
- Odezwała się Josie:
 - Wejdz, kochanie.
 - Chodzi o matematykę - powiedział Rufus. - Nie umiem zrobić...
- Urwał.
- Matthew odsunął się od Josie.
 - Pomóc ci?
- Rufus spojrział na niego z powątpiewaniem. Matthew usiadł przy kuchennym stole.
 - Daj to tu.
- Rufus zbliżył się wolno do stołu. Położył książkę przed Matthew i cofnął się.
- Nie ugryzę cię - powiedział Matthew. - Przydadę się do matematyki. Przynajmniej do tego.
- Rufus przysunął się odrobinę bliżej. Josie obserwowała ich.
 - Pokaż.
 - Tutaj - powiedział Rufus. Pochylił się, wskazując coś, ramieniem niemal dotykając Matthew. Była to scenka, za jaką tęskniła, scenka,

która być może oznaczała pierwszy cichy, niepozorny krok na drodze do jakiegoś porozumienia między dwoma osobami, które znaczyły dla niej najwięcej na całym świecie - ale teraz nie zrobiła na niej wrażenia. Josie patrzyła na nich i nic nie czuła. Nic. W tej chwili była pozbawiona wszelkich dobrych uczuć, pozbawiona zdolności odczuwania radości, a nawet miłości. Nie było miejsca na te uczucia w obliczu gniewu i rozpacz, które wypełniały ją teraz tak intensywnie.

- Boli mnie głowa - powiedziała Josie.

Ani Rufus, ani Matthew nie zareagowali. Ich głowy były blisko siebie.

- Chyba ustawiłeś te tutaj w złej kolejności - powiedział Matthew.

- Przez to się zaciąłeś.

- Idę na górę, do łóżka - powiedziała Josie. - Jeżeli posypiecie tartym serem to, co jest w tym naczyniu, i wstawicie do piecyka na dziesięć minut, będziecie mieli kolację.

Rufus podniósł na chwilę wzrok i spojrzał z roztargnieniem.

- Dobrze - powiedział.

- Na razie - rzekła Josie. Wyszła z kuchni, na górce minęła zamknięte drzwi pokoju Becky i weszła do sypialni. Położyła się i pozwoliła sobie na płacz.

To musiało być ze dwie godziny temu. Chyba się zdrzemnęła, bo zeszytniała i czuła w ustach kwaśny smak, a łzy zaschły jej na policzkach. Łzy żalu nad sobą - być może, łzy gniewu i bezsilności - na pewno. Polizała zdrowy palec wskazujący i starła ślady łez. Potem obróciła głowę. Na małym stoliku po stronie łóżka, gdzie sypiał Matthew, stał telefon. Mogłaby przetoczyć się po łóżku i podnieść słuchawkę. Mogłaby zadzwonić do matki albo do swojej przyjaciółki Beth, a ona pewnie znalazłaby dla niej czas i cierpliwość. Mogłaby wylać z siebie wszystkie myśli i uczucia, które stały się jej obsesją od chwili, kiedy w jej życiu - w ich życiu - pojawiły się dzieci Matthew.

Nie miałam wyboru, powiedziałyby. Wyobraziła sobie słuchającą tych słów Elaine. Rozumiesz? Nie pytano mnie, czy chcę je przyjąć. To jego wybrałam. I właściwie nie możemy rozmawiać o nich ani o tym, że nie było czasu, żeby się na nie przygotować. Przynajmniej ja nie miałam czasu. Tak się boję być niesprawiedliwa, ale jestem niesprawiedliwa przez cały czas. Kocham Rufusa, ale ich nie kocham. Nie mogę. Jak mogę kochać dzieci, które starają się ze wszystkich sił mnie ignorować albo nienawidzić? Jak można kochać dzieci, które uparły się kochać swoją prawdziwą matkę, chociaż jest taka okropna? Dlaczego się upierają? Dlaczego wciąż manifestują lojalność wobec niej? A teraz -

Josie czuta, jak jej wyobrazony głos podnosi się do krzyku - mam jeszcze pomagać w ich utrzymywaniu! Mam opiekować się nimi jak matka, ale nie, broń Boże!, jak prawdziwa matka, mam łożyć na nie, nie otrzymując nic w zamian? Bo Matthew nie może, Matthew nie chce, bo to są jego dzieci, a on nie chce zrozumieć, jak ja się czuję.

Łzy znów zaczynały płynąć. Josie przewróciła się na bok i wcisnęła twarz w poduszkę. Nie wolno. Nie wolno mi znowu płakać. Dzwonić też nie wolno. Nie wolno mi ukazywać tego wrzącego kotła uczuć, nawet współczującym oczom Elaine, nie mówiąc już o znacznie mniej życzliwym spojrzeniu Beth.

Och, tak mi przykro. Jakież to dla ciebie rozczarowanie - powiedziałaby Beth.

W jej głosie zabrzmiałaby pewna ostra nutka, która nie spodobałaby się Josie, nutka, której Josie przypuszczalnie nie mogłaby znieść, cień triumfu, wyższości. Miałoby to znaczyć: wiedziałaś, że ma dzieci, kiedy za niego wychodziłaś. Elaine by się tylko martwiła.

Może przyjadę, kochanie? Chcesz przyjechać tutaj na parę dni? Czy Rufus się dobrze czuje? Jak się ma Rufus?

Josie sięgnęła po chusteczkę higieniczną z pudełka przy łóżku i mocno wydmuchała nos. Potem usiadła. Czowała się nie tylko zeszywniała i trochę zmarznięta, ale także lepka, skażona, jakby dotknęła czegoś brudnego. Spuściła nogi na podłogę i zrzuciła pantofle. Pójdzie do łazienki, zanim dzieci wrócą na górę, weźmie prysznic, umyje włosy, zejdzie na dół w szlafroku, zrobi herbatę i spróbuje być miła, zwyczajna. Wstała i przeciągnęła się. Becky włączyła w swoim pokoju muzykę, więc przynajmniej wiadomo, że żyje. Josie wyszła do holu. Drzwi pokoju Becky były otwarte, a światło wciąż się paliło. Jednak drzwi łazienki były zamknięte, a dobiegający zza nich jazgot muzyki mieszał się z odgłosem lecącej wody. Becky brała prysznic.

Pod kołdrą Rory przycisnął zapaloną latarkę do dłoni, do ściśniętych palców. Jego ciało przeświecało dziwacznie, czerwono i ogniście. Wyjął latarkę z dłoni i oświetlił nią spod kołdry kawałek ściany, a potem poświecił wyżej, ponad swoimi plakatami piłkarskimi, do sufitu, gdzie przez tynk biegło zygzakiem pęknięcie.

- Rufe? - odezwał się.

Panowała cisza. Przesunął promień latarki dużym łukiem z sufitu i zatrzymał go na łóżku Rufusa, na ciele Rufusa pod kołdrą, na głowie Rufusa z gęstymi, prostymi włosami, które zawsze opadały w tę samą stronę, czy Rufus je czesał, czy nie. Rufus leżał, jak zawsze, tyłem do

Rory'ego; światło latarki wylało jego szyję, ucho i granatowy kołnierz pizamy.

- Spisz?

Cisza. Rory nie wiedział czemu, ale chciał, żeby Rufus nie spał. Może by coś powiedział. Nie wiedział, co, myślał tylko, że chciałby, żeby Rufus też nie spał i leżał odwrotnie, twarzą do niego. Zawsze uważał Rufusa za dzieciaka, za płaksę, ale dziś wieczorem, w kuchni, kiedy jadł kolację tylko z nim, Clare i tatą, był w porządku, był normalny. Wszyscy byli. Wszyscy zwyczajnie zjedli potrawę, którą zostawiła Josie, powygłupiali się trochę, a Matthew, choć wyglądał na znużonego, nie obserwował nikogo, nie pilnował. Dzisiejszy wieczór był inny, bez Becky i Josie miało się wrażenie, że można po prostu gadać, że to, czy się je, czy nie, nie ma wielkiego znaczenia. Więc wszyscy zjedli. Zjedli wszystko, co zostawiła Josie, wszyściutko. Rory i Clare pokłócili się nawet o ostatniego pieczonego kartofla, a kiedy Matthew dał go Rufusowi i Rufus powiedział, że już nie może, Matthew tylko się uśmiechnął i przekroił go na pół dla pozostałych. Potem ochlapywali się wodą przy zmywaniu. Matthew kazał im zetrzeć podłogę i Rory nie miał nic przeciwko temu. Aż trudno w to uwierzyć, ale nie miał nic przeciwko temu, przeciągał tylko tym pieprzonym mopem i starał się zmoczyć stopy Rufusowi, a Rufus darł się i podskakiwał i było widać, że też nie ma nic przeciwko temu, że mu się to podoba. Skończyło się dopiero, kiedy zeszła Josie. Zeszła w szlafroku i z rozpuszczonymi włosami, przy których jej twarz wyglądała jak papier, i była zdenerwowana. Było to po niej widać, jakby się spodziewała, że zaraz coś się stanie, coś, z czym sobie nie poradzi. Matthew pokazał jej puste naczynia, a ona skinęła głową. Nastawiła czajnik i stała z dłonią na uchwycie, tyłem do nich, czekając, aż się zagotuje. W kuchni nagle zrobiło się cicho, zupełnie cicho. I niezręcznie.

Rory przesunął snopem światła latarki wzdłuż ciała Rufusa i z powrotem. Wydawał się rozluźniony, jakby rzeczywiście spał, a nie udawał. Jego mokre buty były wciśnięte pod kaloryfer, a obok nich znajdowała się koszulka Rory'ego z Newcastle United, która całkiem przemokła. Rory zgasił latarkę. Dziwny był ten wieczór, bo był, hm, normalny. Odwrócił się i walnął pięścią w poduszkę. Było fajnie.

Rozdział trzynasty

W supermarkecie Elizabeth kupowała rzeczy, które przypuszczałnie lubił Rufus - różne płatki, herbatniki-paluszki polewane czekoladą, rodzyнки w tekturowym pudełku, miniaturowe serki holenderskie w plastikowej siateczce. Kusily ją też wszystkie rzeczy dla niemowląt i małych dzieci, pasta do zębów o smaku truskawkowym i makaron w kształcie dinozaurów, nie żeby nie zdawała sobie sprawy, że Rufus jest na nie za duży, ale dlatego, że ogromną przyjemność sprawiało jej robienie zakupów z myślą o kimś, a nie pod kątem osoby samotnej. Spędziła także dużo czasu przed słóiczkami z jedzeniem dla niemowląt oraz schludnymi stosikami wacików, chusteczek i jednorazowych pieluszek, pakowanych w nieskazitelną białą folię z nadrukowanymi dzieciennymi symbolami w jaskrawych kolorach. Było to jak zanurzenie się w inny wymiar, tak stać i wyobrazić sobie, że się potrzebuje takich rzeczy na co dzień, to było jak przejście do innego świata. Wzięła do ręki błękitną puszkę z mlekiem w proszku. „Dla dzieci do czterech miesięcy”, głosił napis, a na boku ciemniejszymi niebieskimi literami: „Z dodatkiem wapnia i witamin”.

Jej wózek był przyjemnie pełny, gdy pchała go w stronę wyjścia. Jeszcze nigdy, w całym swoim życiu, nie kupiła tak dużo podczas jednej wyprawy, nigdy nie potrzebowała tak wielkich pak papieru toaletowego ani więcej niż sześciu jabłek czy dwóch artykułów naraz ze stoiska delikatesowego. Oczywiście duże znaczenie miał fakt, że Rufus przyjeżdżał na prawie dziesięć dni, ale o dziwo nawet zakupy dla niej i Toma były ogromne, z powodu wszystkich przedmiotów, które okazywały się potrzebne w domu po to, żeby go utrzymać w czystości, w dobrym stanie, by był żywy i przyjazny. Niektóre przedmioty w wózku, na przykład pudełko kremowych świec, paczka włoskiej kawy do ekspresu, gwarantowane lekarstwo przeciwko przeziębieniu, zostały

kupione, gdyż ktoś inny ich sobie życzył, potrzebował, gdyż zakupy były teraz ćwiczeniem z wyobraźni na rzecz kilku osób, nie tylko praktycznym zadaniem dla zaledwie jednej osoby, której upodobania były Elizabeth tak dobrze znane, że miała ich powyżej uszu.

Zatrzymała wózek przy pustej kasie i zaczęła wyładowywać jego zawartość.

- Pracowity weekend? - zapytała kasjerka, przyglądając się.

Elizabeth skinęła głową, pochyliła ją, żeby ukryć uśmiech. Kobieta wzięła lekarstwo na przeziębienie.

- Przeziębiona pani?

- Nie - odparła Elizabeth, po czym, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu i zachwytowi, dodała: - To dla mojego narzeczonego.

Kobieta przesunęła lekarstwo przed czytnikiem kasy.

- Jeżeli jest coś, czego nie znoszę, to chory mężczyzna - oznajmiła tonem pogawędki.

Dla mnie to nowość, chciała powiedzieć Elizabeth. Nie przeszkadza mi, że Tom sądzi, iż bierze go przeziębienie, nie przeszkadza mi, że kupuję mu kapsułki, które rzekomo mają temu zapobiec; prawdę mówiąc, jestem daleka od wszelkiej obiektywności, sprawia mi to przyjemność, jestem wdzięczna, że poproszono mnie o zrobienie tego, o wybranie kielbasek dla Rufusa, uzupełnienie zapasów mydła, pasty do mebli i wody mineralnej.

- Narzeczonemu, mówi pani? - zapytała kobieta.

- Tak...

Zerknęła na Elizabeth życzliwie i wzięła torbę kartofli.

- Jeszcze się pani nauczy - powiedziała.

Przed domem Toma było miejsce do parkowania i w dodatku dość duże, żeby Elizabeth - która nie była doświadczonym kierowcą i nigdy nie miała potrzeby posiadania samochodu - mogła zaparkować bez trudu. Tom kupił jej ten samochód, tak po prostu, zwyczajnie, że wprowadził ją to w zdumienie.

- Będzie ci potrzebny.

- A le j a nigdy...

- Teraz tak. Zresztą chcę, żebyś miała samochód. Chcę, żebyś miała swobodę.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Pocałował ją.

- Wchodzisz w inny świat. Rodziny mają samochody.

Elizabeth już się to spodobało. Podobał jej się niespodziewany status, jaki dawał samochód, a również niezależność, możliwość wyboru. Nawet w tej chwili, podnosząc tylną klapę, żeby wywlec wypchane torby z zakupami, odczuła lekką dumę, którą się mimo woli napawała, chociaż była zadowolona, że nie widzi jej bardziej doświadczony kierowca. Przeniosła torby na schodki przed drzwiami frontowymi, a następnie zamknęła samochód, starannie sprawdzając, czy zamek centralny na pewno spełnił swoją funkcję. Potem ponownie weszła na schodki i włożyła klucz do drzwi. Nie były zamknięte. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

- Tom?

- To ja - zawołała Dale z kuchni.

Elizabeth zaczerpnęła tchu.

- Och...

Dale stanęła w drzwiach kuchni. Miała na sobie szkarłatny fartuch zawiązany na czarnym podkoszulku i džinsach.

- Byłaś na zakupach?

- T a k .

Dale podeszła bliżej.

- Pomogę ci wnieść.

- Od dawna tu jesteś?

- Jakaś godzinę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- C o ?

- Powiedzieć, że przyjedziesz. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

Dale schyliła się, żeby podnieść najbliższą stojącą torbę.

- Proszę, zostaw to - powiedziała Elizabeth. - Proszę, zostaw to i odpowiedz na moje pytanie.

Dale wyprostowała się powoli.

- Nie muszę dzwonić.

- Teraz musisz - powiedziała Elizabeth.

- To jest mój dom...

- Mój też, teraz. Jesteś zawsze mile widziana, zawsze, z dowolnego powodu, ale nie bez zapowiedzi. Muszę wiedzieć.

Dale wlepiła w nią wzrok.

- Dlaczego?

- Chodzi o prywatność - odparła Elizabeth. - Nie sekrety, ale prywatność.

- To był mój dom przez dwadzieścia pięć lat, zanim mój ojciec w ogóle cię poznał! - zachnęła się Dale.

Elizabeth pochyliła się, żeby podnieść dwie torby stojące najbliżej jej stóp.

- Nie możemy prowadzić tej rozmowy w progę...
- Sama ją zaczęłaś.
- Nie. To ty ją wywołałaś, wchodząc do domu pod naszą nieobecność i nie uprzedziwszy nas.
- To jest mój dom! - krzyknęła Dale.

Odwróciła się tyłem do Elizabeth i pomaszerowała do kuchni. Elizabeth przeniosła torby z zakupami z progu do holu, po czym zamknęła drzwi. Poszła za Dale do kuchni. Połowa szafek była pootwierana, a stół zastawiony paczkami i słoikami.

- Co robisz?
- A jak myślisz? - odparła niegrzecznie Dale. Naciągnęła żółte gumowe rękawice. - Wiosenne porządki. Zawsze je robię dla taty.
- Zawsze?
- No, od roku czy dwóch...

Elizabeth zdjęła żakiet i powiesiła go na najbliższym krześle.

- Teraz to moje zadanie, Dale. To są moje szafki i moja kuchnia. Mam zostać, żeby użyć staroświeckiego wyrażenia, panią tego domu.

Dale walnęła w stół pięścią w żółtej rękawicy. Powiedziała z wściekłością:

- Och, to widać, okazujesz to wyraźnie, mnie nie musisz mówić.
- O co ci chodzi?
- Zdjęcia mojej matki! Portrety mojej matki! Co zrobiłaś ze wszystkimi jej zdjęciami? - krzyczała Dale.
- Byłaś w salonie... - powiedziała spokojnie Elizabeth.
- T a k !
- I gdzie jeszcze? Gdzie jeszcze byłaś? W naszej sypialni?

Dale patrzyła z nienawiścią.

- W naszej sypialni?
- Tylko przez chwilę...
- Przez chwilę! Spodziewam się, że wystarczająco długo, by zauważyć, że zdjęcie twojej matki jest tam, gdzie zawsze było?

Dale oddychała szybko. Zdarła gumowe rękawice i trzasnęła nimi o pobliski blat.

- Salon był jej!
- Zdjęcia są całkowicie bezpieczne. Owinięte i zapakowane w karton po winie, dla ciebie i Lucasa. Portret twojej matki jest w salonie i pozostanie tam. Niczego nie zacieram, zostawiam tylko swój ślad, obok.

- To był jej pokój, ona go urządziła, ona wszystko wybierała, była pierwszą żoną taty, była naszą matką... - powiedziała gwałtownie Dale.

- Wiem o tym. Wiem.

Dale opadła na najbliższe krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Elizabeth obeszła stół i stanęła przy niej. Spojrzała w dół na lśniące ciemne włosy, tak gładko zaczesane i ściągnięte aksamitną gumką.

- Dale...

Dale nie odezwała się.

- Posłuchaj - powiedziała Elizabeth, starając się mówić łagodnie. - Posłuchaj, jesteś dorosła, jesteś dorosłą kobietą, musisz się trochę posłużyć swoją wyobraźnią i dojrzałością. Nie mogę się dostosowywać do ducha, Dale, naprawdę nie mogę. Nie mogę rywalizować z kimś wyidealizowanym, a ty nie powinnaś tego ode mnie żądać. Poza tym...

Dale odjęła ręce z twarzy.

- C o ?

- Czy nie jesteś trochę za dorosła na to, by wierzyć, że twoja matka była święta?

Dale patrzyła przed siebie.

- Nie znałaś jej. Nie wiesz, o czym mówisz.

- Ty też jej nie znałaś zbyt dobrze - odparła Elizabeth. - Byłaś tylko dzieckiem.

Dale zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

- Na jej pogrzebie były setki ludzi! Całe setki! Przyjechali z całej Anglii, z całego świata.

Elizabeth zamknęła na chwilę oczy.

- Nie wątpię.

- Właśnie że tak!

- Nie wątpię, że twoja matka była wspaniałym człowiekiem, i że kochała ją wielu ludzi. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że na nieszczęście ona nie żyje, i w związku z tym, chociaż jest z miłością wspomiana, nie może mieć wpływu na to, jak my, którzy wciąż żyjemy, chcemy przeżyć nasze życie. Kiedy ona tu mieszkała, to był jej dom i urządziła go zgodnie ze swoimi upodobaniami. Teraz będzie to dom mój i twojego ojca, i będziemy chcieli w nim żyć całkiem inaczej.

Dale pochyliła głowę i przytknęła grzbiet ręki do oczu. Płakała.

- Och, Dale - powiedziała Elizabeth z odcieniem rozpacz. - Och, Dale, kochana, postaraj się trochę dorosnąć. Nie jestem jakimś intruzem, z którym musisz się targować.

Dale odwróciła się z impetem i urwała kawałek papierowego ręcznika z rolki leżącej na pobliskim blacie. Gwałtownie wydmuchała nos.

- Chcesz nas stąd wyrzucić!

- Nie - powiedziała Elizabeth. - To ostatnie, czego chcę. Chcę tylko, żebyś szanowała moją prywatność i niezależność, tak jak ja szanuję twoją.

Dale ponownie wyczyściła nos.

- Nie szanujesz mojej przeszłości!

- Szanuję - powiedziała Elizabeth. Chwyliła się tyłu krzesła i oparła o nie. - Trudności pojawiają się wtedy, kiedy ty próbujesz się upierać, że przeszłość jest ważniejsza i bardziej znacząca od teraźniejszości czy przyszłości.

- Jeszcze się nauczysz - powiedziała Dale z goryczą. Odwiązała taśmki szkarłatnego fartucha, wyplątała z niego głowę i rzuciła fartuch na stół, między pudła i butelki.

- Co to ma znaczyć?

Dale naciągała kurtkę.

- Nie możesz tknąć tego, co mamy i tego, co mamy z powodu tego, co kiedyś mieliśmy...

- Wiem o tym...

- Nie wiesz! - zawołała Dale. - Nie wiesz i nigdy się nie dowiesz. Myślisz, że możesz sobie tu przyjść ze swoim schludnym urzędniczym umysłem i poukładać nas ładnie w pudełkach, żeby nie było żadnego bałaganu, nic prawdziwego, ludzkiego i potężnego. No więc nie możesz. To, co przeżyliśmy, zawsze będzie nasze i nie możesz tego tknąć. Nigdy nas nie zrozumiesz, bo nie potrafisz, bo nie umiesz czuć tego, co myśmy czuli, nie znasz tego, co myśmy poznali, nigdy nie staniesz się jedną z nas. Możesz próbować zmienić tatę na zewnątrz, nikt cię od tego nie powstrzyma, ale nigdy nie zmienisz go od środka, bo nie masz tego w sobie. On był tam, gdzie ty nigdy nie dojdiesz.

Elizabeth zdjęła ręce z krzesła i przyłożyła sobie do uszu.

- Przestań...

- Idę - powiedziała Dale. Jej głos brzmiał, tak jakby zabrakło jej tchu. Grzebała w torebce, szukając kluczyków do samochodu. - Idę, ale wrócę. Wrócę, kiedy zechcę, ponieważ to jest mój dom, tutaj przynależę, moje miejsce jest tutaj i zawsze będzie.

Elizabeth nic nie powiedziała. Przesunęła ręce z uszu do oczu i zasłoniła je. Usłyszała odgłos zamykania torby Dale.

- Byłoby dobrze - powiedziała Dale - gdybyś nie mówiła o tym taście. Ale sądzę, że powiesz. A skoro ty powiesz, ja też będę musiała. - Przerwała, po czym dodała z naciskiem: - Czyż nie?

A potem wyszła przez drzwi kuchenne i frontowe, trzaskając jednymi i drugimi.

- Co się dzieje? - spytał Tom.

Stał w drzwiach sypialni i wpatrywał się z natężeniem w półmrok. Elizabeth leżała na łóżku, od kilku godzin zresztą, przy zaciągniętych zasłonach.

- Jesteś chora?

- N i e .

Zbliżył się.

- Co się stało, skarbie?

- Widziałeś - powiedziała Elizabeth, nie ruszając się.

- Widziałem niezły kocioł w kuchni, to na pewno. I zakupy walające się po podłodze w całym holu. Nawiasem mówiąc, Basil znalazł masło. Myślałem, że nie czujesz się dobrze...

- Zgadza się.

Tom przysiadł na brzegu łóżka i położył rękę na jej czole.

- Boli cię głowa?

- N i e .

- Więc co...

Elizabeth leżała na boku, wciąż ubrana, pod kocem. Powiedziała, patrząc przed siebie, a nie na Toma:

- Przyszła Dale.

- T a k ?

- Była tu, kiedy wróciłam z zakupów. Właśnie wywaląla zawartość szafek kuchennych na stół.

Tom zdjął rękę z czoła Elizabeth.

- O j e j .

- Pokłóciłyśmy się - powiedziała Elizabeth. Przewróciła się na plecy i spojrzała na Toma. - Powiedziałam jej, że teraz nie wolno jej wchodzić do domu, kiedy jej się podoba, i zaczęła się awantura.

Tom nie patrzył Elizabeth prosto w oczy.

- I jak się skończyło?

- Dale powiedziała, że będzie sobie otwierać drzwi, kiedy zechce, ponieważ to jest jej dom i zawsze będzie.

Tom powoli wstał z łóżka i podszedł do okna, odsuwając zasłony, żeby na powrót wpuścić spokojne światło pochmurnego popołudnia.

- Pauline też była w to wmieszana?

- O tak - odparła Elizabeth. - Jak zawsze.

- Co powiedziałaś?

- O Pauline? Że nie mogę się dostosowywać do ducha. Że Dale jest za dorosła, żeby nadal wierzyć, iż jej matka była święta.

- Nie była - powiedział Tom. Stał tyłem do Elizabeth. Obróciła głowę, żeby spojrzeć na jego sylwetkę odcinającą się na tle okna.

- Miło mi słyszeć, że to mówisz...

- Pod pewnymi względami była bardzo podobna do Dale, ale bardziej opanowana. - Odwrócił się do Elizabeth. - Skarbie. Tak mi przykro.

- T a k .

- Jesteś tu, odkąd ona wyszła?

- T a k .

- Biedne kochanie. Biedna Elizabeth.

Elizabeth podciągnęła się do pozycji półsiedzącej, opierając się ramionami o wyściełane wezglowie łóżka.

- T o m .

- Słucham?

- Co zamierzasz zrobić?

Wrócił do łóżka i usiadł przy Elizabeth.

- Co chcesz, żebym zrobił?

Zamknęła oczy.

- To nie tak.

- Nie rozumiem...

- Nie chodzi o to, co ja chcę, lecz o to, co ty sam chcesz zrobić, nie tylko ze względu na mnie, ale ze względu na naszą wspólną przyszłość, ze względu na małżeństwo, które planujemy.

- Nie tryskasz entuzjazmem...

- Nie odczuwam braku entuzjazmu - powiedziała Elizabeth - tylko strach.

- Strach?

Ujęła skraj koca, którym była przykryta, i zaczęła go składać w harmonijkę między palcami.

- Strach przed czym? - zapytał Tom.

- Przed Dale.

Tom pochylił się i oparł głowę na rękach.

- O Boże.

- Nie potrafisz sobie tego wyobrazić? - powiedziała Elizabeth, walcząc z nagłymi łzami. - Będziemy próbowali żyć tu jak małżeństwo, nasłuchując zgrzytu jej klucza w zamku?

- Nie byłoby tak...

- Mogłoby! - zawołała Elizabeth, siadając i wypuszczając koc. -

Gdyby się czymś zdenerwowała albo poczuła zazdrosna czy samotna, mogłaby przychodzić cały czas, o każdej porze, żądając twojej uwagi, upierając się przy swoim prawie powrotu do domu, informując mnie, tak jak dzisiaj, że nigdy nie stanę się częścią rodziny, choćbym się nie wiem jak starała, bo nie mam tego, co macie wy wszyscy, co mieliście, nie mam tego, czego potrzeba, żeby cię uszczęśliwić!

Tom odjął ręce od twarzy i otoczył ramionami Elizabeth. Powiedział żarliwym szeptem w jej włosy:

- Tak mi przykro, tak mi przykro...

Elizabeth nic nie powiedziała. Odwróciła twarz tak, że ich policzki się stykały, a potem, po kilku chwilach, łagodnie, ale stanowczo uwolniła się.

- Pomóż mi - powiedział Tom. - Pomóż mi postanowić, co zrobić.

Elizabeth zaczęła wyplątywać się z koca i cał po calu odsuwać się od niego po łóżku.

- Niestety - odparła grzecznie - ta decyzja nie należy do mnie.

- Elizabeth...

- Słucham.

- Nie mogę zmienić zamków w tym domu, by uniemożliwić wchodzenie własnej córce!

Elizabeth dotarła do drugiej strony łóżka i wstała.

- My nie mamy kluczy do mieszkania Dale. Nigdy tam nie chodzimy. Nigdy nie jesteśmy zapraszani.

- Ale Dale prawie się urodziła w tym domu...

- Wiem. To był jeden z powodów, dla których chciałam go sprzedać i przeprowadzić się do innego domu, bez żadnych związków z przeszłością.

- Ale Rufus...

- Wiem o Rufusie. Ten argument do mnie przemawia.

Tom także wstał. Powiedział:

- Pójdę na dół i posprzątam. Może się wykąpiesz?

- Z przyjemnością, ale kąpiel nie zmieni moich uczuć.

- Chcesz, żebym powiedział Dale...

- Nie! - krzyknęła Elizabeth. Podniosła pięści i uderzyła się nimi lekko po bokach głowy. - Nie! Nie to, czego ja chcę! Czego ty chcesz dla nas, dla ciebie i dla mnie, bo widzisz przecież, co się stanie, jeżeli wszystko będzie szło tak jak dotąd!

- Ależ nie będzie. To są problemy okresu ząbkowania, szok nowości. Tyle mamy przed sobą, tak dużo, kochamy się, Rufus cię kocha, Lucas też cię za chwilę pokocha. Musimy widzieć właściwe proporcje.

Dale histeryzuje, wkrótce przyzwyczai się do twojej obecności. Przykro mi, że cię zdenerwowała...

- Zamknij się - powiedziała Elizabeth.

- Co ?

- Przestań mówić. Przestań wygadywać te bzdury.

- Staram ci się wytłumaczyć... - powiedział Tom ze złością.

- Nie, nieprawda, starasz się gadaniem wymigać od zmierzenia się z prawdziwym problemem.

- A mianowicie?

Elizabeth zrobiła parę kroków w stronę drzwi. Następnie wzięła oddech.

- Dale jest neurotycznie niepewna i zaborcza, a jeżeli nie zrobisz czegoś w tej sprawie, będziesz ją miał na karku przez całe życie.

- Dzieci zawsze się ma na karku przez całe życie - powiedział Tom ostro.

Elizabeth spojrzała na niego. Pod światło trudno było dostrzec wyraz jego twarzy, ale jego poza była zdecydowana, nawet zuchwała, jakby wyzywał ją, żeby się wypowiedziała z większą wiedzą niż on o sferze życia, której nigdy nie zaznała, a on tak. Już miała zapytać, czy powyższe oświadczenie dotyczy także trzecich żon, ale poczuła, że duma nie pozwoli jej nigdy zadać takiego pytania. Wyszła z taką godnością, na jaką mogła się zdobyć, do łazienki obok, zamykając za sobą drzwi.

- Bardzo miło z twojej strony, że zgodziłaś się ze mną spotkać - rzekła Amy.

- Nie ma o czym mówić, to dla mnie przyjemność...

- Nie byłam w Londynie od wieków, nie tylko od miesięcy, ale trafiła się ta rozmowa o pracę i pomyślałam sobie, że skoro już tu będę, a ty nie miałabyś nic przeciwko temu...

- Nie mam - powiedziała Elizabeth. - Cieszę się, że cię widzę.

Amy rozejrzała się po salonie.

- Śliczne mieszkanie. Ogromne.

- Myślałam, że będę tu urządzać przyjęcia. Ale nie złożyło się...

- Mogłabyś zorganizować tu wesele. Nie sądzisz? Ten pokój świetnie by się nadawał.

Elizabeth przeszła obok Amy do małej kuchni, która przylegała do saloniku. Zawołała stamtąd:

- Białe wino?

- Właściwie nie piję - powiedziała Amy.

- Wobec tego kawa, herbata...
- Poproszę herbatę. Maczankę w kubku. Lucas uważa, że to strasznie pospolite, ale taką właśnie lubię. - Podeszła i zajrzała przez drzwi do kuchni. - Nigdy dotąd nie widziałam cię w kostiumie.
- To moje wcielenie kobiety pracującej.
- Pasuje do ciebie - orzekła Amy. - Wyglądasz bardzo władczo. Elizabeth włączyła czajnik.
- Właśnie tak chcę wyglądać. To ukrywa niezliczone grzechy. O jaką pracę się starałaś?
- W filmie - odparła Amy. - Coś o średniowieczu. Musimy ich oblepiać błotem i pilnować, żeby jednocześnie wyglądali seksownie. Nie wiem, czy ją dostanę, ale warto spróbować.
- Nie jesteś związana umową z telewizją?
- Tylko na trzy miesiące - powiedziała Amy. - Trzy miesiące za jednym razem. Nie można nic planować, ale wszyscy teraz tak pracują.
- Elizabeth wyjęła małą butelkę białego wina z lodówki i odwinęła folię z szyjki. Zobaczyła, że Amy się przygląda.
- Zawsze kupuję połówki, od zawsze. Mój ojciec się ze mną przekonarza, nazywa je „Pociechą Starej Panny”. Powinien się cieszyć, że to nie dżin.
- Nie lubisz dżinu?
- Niezbyt.
- Ja się po nim krztuszę - powiedziała Amy. - Lucas pije wódkę. Obecnie stara się wcale nie pić. - Przerwała, po czym dodała z odrobiną jadu: - J e g o siostrze też by nie zaszkodziło spróbować.
- Elizabeth włożyła torebkę z herbatą do kubka i zalała wrzątkiem.
- Mocną?
- Bardzo - powiedziała Amy.. Weszła do kuchni, wzięła łyżeczkę i wycisnęła torebkę o bok kubka. - Prawdziwa herbata robotnika.
- Mój ojciec pije taką.
- Rufus polubił twojego ojca - powiedziała Amy.
- Elizabeth naląła sobie wina.
- Z wzajemnością.
- Otworzyła lodówkę i podała Amy kartonik z mlekiem.
- Cukier?
- Amy potrząsnęła głową: Naląła mleka do kubka i zamieszała energicznie.
- Otóż to. Idealnie. - Wyciągnęła torebeczkę. - Gdzie masz kosz na śmieci?
- Tam...

- Tu jest taki porządek. Musisz być niezwykle schludną kucharką.
- Nie gotuję zbyt często.
- U nas najczęściej gotuje Lucas. Jest lepszym kucharzem niż ja, bardziej wyrafinowanym. Kłopot w tym, że teraz prawie go nie ma w domu, więc żywię się w pracy kanapkami, a w domu chipsami.

Elizabeth przeszła obok niej do salonu, niosąc swój kieliszek z winem.

- Weź herbatę i chodź usiąść.

Amy przysiadła na brzeżku kanapy, przytrzymując kubek na kolanach. Była ubrana w bardzo krótką spódniczkę w kratę i czarną marynarkę, a włosy ujarzmiła za pomocą opaski.

- Właściwie nie wiem, po co tu przyszedłam. To znaczy wiem, ale teraz, kiedy już tu jestem, nie wiem, jak zacząć...

Elizabeth napiła się wina.

- Chodzi o Dale?

- Skąd wiesz?

- Po prostu zgadłam...

Amy pochyliła się w przód.

- Lubisz ją? Lubisz Dale?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie - odparła Elizabeth.

- J a k t o ?

- Ona jest tak przytłaczającą, tak skomplikowaną, tak silną osobowością, że lubienie czy nie lubienie jej nie wchodzi chyba w rachubę.

Amy wpatrywała się w swoją herbatę.

- Ja wiem, co myślę.

Elizabeth czekała. Patrzyła na zgrabne nóżki Amy w gładkich czarnych rajstopach i jej zręczne, małe dłonie obejmujące kubek.

- Kiedyś tak nam było dobrze, Lucasowi i mnie - mówiła Amy. - Tak wesoło. Ciągłe się śmialiśmy. Mogłam się z nim droczyć, droczyć przez cały dzień, a on zawsze chciał jeszcze, zawsze wracał. I wszystko było w porządku, kiedy miała tego chłopaka. Trochę zadzierał nosa, ale był mądry, radził sobie z nią. Ale odkąd odszedł, zrobiło się okropnie. Ona nie daje Lucasowi spokoju, a jemu jest jej żal; mówi, że to jego siostra, że ona naprawdę walczy ze sobą i że powinnam jej współczuć, zamiast dogryzać. Ale jak ja mogę jej współczuć, jak, skoro ona kradnie całą uwagę Lucasa? Próbowalam nie reagować, ale nic na tym nie zyskałam, bo Lucas nawet nie zauważył mojego wysiłku, który mnie omal nie zabił. - Urwała raptownie, łyknęła herbaty, po czym dodała: - Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak wyszło.

- Zawsze tak wychodzi - powiedziała Elizabeth. Podniosła swój kieliszek i znów go odstawiła. - Po co do mnie przyszedłeś?

- Bo ty wiesz - powiedziała Amy. - Ty sobie radzisz.

- Co o ?

- Widziałeś Dale w akcji. Przebywałaś z nią, wiesz, co jest grane. Ale potrafisz, umiesz nad tym zapanować.

- Och...

- Lucas mi powiedział, że skoro ty potrafisz sobie poradzić, to ja też potrafię. Mówił, że ty po prostu żyjesz, z Dale czy bez Dale, więc dla czego ja nie mogę. Mówił, że sama dopuszczam, żeby mnie to przygnębiało, a nie muszę, wystarczy spojrzeć na ciebie, ty nie jesteś przygnębiona.

- Amy... Chciałabym, żeby to było takie proste.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widzisz... wszystko się pokomplikowało. Stosunki są dość napięte - powiedziała Elizabeth ostrożnie.

Amy pochyliła się w przód nad herbatą.

- Pokłóciłaś się z Dale?

Elizabeth wygładziła spódniczkę na kolanach.

- Ona ma klucz do domu Toma. Sama sobie otwiera drzwi.

- Zrobiłaś jej awanturę?

- Poprosiłam, żeby więcej tego nie robiła.

Amy wypuściła oddech.

- Ojej.

- Nie chciałabym wydać się sztywna, ale chyba nie mogę o tym za dużo mówić. Tom uważa... - Urwała.

- Co o ?

- Myśli, jak sądzę, to samo co Lucas. Myśli, że Dale jest wciąż rozbita po zerwaniu z chłopakiem i że to się nieszczęśliwie zbiegło w czasie z moim pojawieniem się na scenie, co spowodowało przyływ wspomnień o stracie matki, i że wszyscy musimy być bardzo cierpliwi i poczekać, aż minie dość czasu, żeby Dale poczuła się znów spokojna.

- Ach tak - powiedziała Amy. Wstała, obciążając jedną ręką spódniczkę. - Zgodzisz się na to?

Elizabeth się zawahała. Przypomniała sobie, jak siedziała przy stole w kuchni u Toma, następnego wieczoru po tym, kiedy znalazł ją zrozpaczoną w sypialni, jadła cudowne risotto, które przyrządził, i wkładała całą energię, jaka jej pozostała, w próbę zrozumienia i uwierzenia w pojednawcze słowa jego wyjaśnień. Tak chciała mu wierzyć; mówiła sobie, że jest mu to winna. Chciała wierzyć, ponieważ jemu tak bar-

dzo na tym zależało, więc pod koniec wieczoru zapowiedziała sobie surowo, stojąc przed lustrem w łazience, że zrobi to - dla Toma, dla siebie samej, dla nich obojga. Przynajmniej spróbuje. Spojrzała teraz na Amy.

- Tak - powiedziała.

Kiedy Amy wyszła, żeby zdążyć na autobus National Express do Bath, Elizabeth usmażyła sobie jajecznicę i zjadła ją prosto z patelni, łyżką, której używała do mieszania, stojąc przy kuchence. Potem zjadła jabłko i herbatnika i zrobiła sobie kubek rozpuszczalnej kawy, który zanosła do salonu. Kieliszek z winem, wciąż prawie pełny, stał przy krześle, na którym siedziała, rozmawiając z Amy. Amy wcale nie miała ochoty wychodzić, Elizabeth widziała to po jej twarzy. Amy poczuła, że właśnie do czegoś dochodzi, że nieoczekiwanie dostrzegła złoto, ale zdała sobie sprawę, że musi iść, a Elizabeth się nie otworzy, nie powie jej wszystkiego, nie wygada się.

Elizabeth usiadła, trzymając kubek i opierając na jego brzegu podbródek. Czowała parę osiadającą jej na policzkach. Po drodze z pracy do domu wstąpiła do gabinetu w pobliżu Harley Street, gdzie wcześniej wykonała badania ginekologiczne u lekarza, który był mężem jej koleżanki. Dzisiejszego wieczoru dowiedziała się, że nie tylko wszystko jest w porządku, ale także że nadal ma owulacje.

- Oczywiście miałyby pani większą szansę poczęcia, gdyby wybrała pani krzepkiego dwudziestodwuletniego chłopaka - powiedział ginekolog. - Ale w tych sprawach to nie my wybieramy, prawda? Jesteśmy wybierani. W każdym razie powodzenia.

Jadąc taksówką z Harley Street do swojego mieszkania, Elizabeth siedziała z jedną ręką przyciśniętą do brzucha, jakby jego na nowo uświadomiony potencjał sprawił, że stał się czymś godnym ochrony, czymś zasługującym na szacunek. Czowała spokojną radość, jakby ktoś jej pogratulował osiągnięcia albo jakby wygrała małą nagrodę, i pomyślała z wdzięcznością, nieskierowaną do żadnej konkretnej osoby, że ta nowa wiedza zdołała nadać nieprzyjemnym wydarzeniom weekendu inną, o wiele mniej groźną perspektywę. Potem wróciła do domu, znalazła wiadomość od Amy na automatycznej sekretarce, a zaraz potem przyjscie Amy uniemożliwiło jej dzwonicie do kogokolwiek z radosną wieścią, że biorąc pod uwagę jej i Toma wiek, jest wciąż płodna, wciąż ma szansę przynajmniej na poczęcie dziecka.

Ale teraz, siedząc z kubkiem kawy, dziwiła się temu pragnieniu telefonowania. Do kogo miałyby dzwonić? Do Toma? Do ojca? Co miałyby powiedzieć? Nie uwierzysz, ale nie jestem za stara, żeby mieć

dziecko! I co oni by odpowiedzieli? Prawdopodobnie obaj, każdy z innych powodów, byliby niemile zaskoczeni. Ojciec, ponieważ dzieci nie przychodziły mu na myśl nawet jako idea, dopóki nie podetknięto mu pod nos dzidziusia, żeby się nim zachwycił, a Tom, ponieważ nie rozmawiała z nim jeszcze o dzieciach, a dwie poprzednie żony dały mu już troje, ponieważ jego myśli były w tej chwili tak pełne - boleśnie pełne - Dale, że oderwanie go od nich czymś tak osobistym mogłoby się wydać zwyczajną prowokacją. Pomyślała o Amy. Czy Amy wyobrażała sobie, że urodzi dzieci Lucasa, czy Dale chciała mieć dzieci Neila? Kiedy kobieta chce mieć dziecko, czy mężczyzna, który ma być ojcem - o ile ten czynnik w ogóle wchodzi w rachubę - dowiaduje się o tym jako pierwszy, czy jako ostatni? Elizabeth łyknęła kawy. Może nie powinna mówić nikomu? Ostatecznie kto musi o tym wiedzieć poza nią? Tak jak nikt nie musiał wiedzieć o jej tajemnym zachwycie dla rodzinnych zakupów w supermarkecie, dla posiadania samochodu, dla możliwości rzucania nonszalancko „mój narzeczony”, kiedy miała na myśli Toma, tak też nikt nie musiał wiedzieć o tej nowej, nadzwyczajnej możliwości. Napila się jeszcze kawy i postawiła kubek obok kieliszka. Powiedziała Tomowi, że postara się w sprawie Dale być cierpliwa. Mówiła to poważnie. Postara się. Położyła lekko, ale stanowczo ręce na brzuchu i zatrzymała je tam. Oczywiście, że się postara. Teraz może sobie na to pozwolić. Nieprawdaż?

Rozdział czternasty

Karen, siostra Matthew, czekała przy bramie szkoły, gdzie, jak donosiła poczta pantoflowa Sedgebury, uczyła teraz Josie. Również pocztą pantoflową Karen dowiedziała się, że dzieci Matthew wróciły do Sedgebury, by zamieszkać z Matthew i Josie. Krążyły też plotki, że Nadine znalazła się w szpitalu po próbie samobójstwa oraz że Matthew porwał dzieci ze szkoły, wykorzystując swoje stanowisko zastępcy dyrektora. Peggy, matka Karen i Matthew, skłonna była wierzyć w obie wersje, uznając drugą za konsekwencję pierwszej.

- Nie bądź niemądra, mamo - mówiła Karen. - Po co Matthew miałby robić coś, co pogorszyłoby i tak trudną sytuację dzieciaków?

Peggy spojrzała ze złością.

- Wszyscy wiedzą, czyja to wina.

- Nie znasz jej - powiedziała Karen. - Nawet jej nie widziałas.

- Nie potrzebuję.

- Racja - potwierdziła Karen z naciskiem. - Cholerna racja. Nie potrzebujesz niczego poza swoim wypaczonym umysłem, żeby zmienić każdego we wroga numer jeden.

Peggy oświadczyła, że natychmiast idzie na Barrat Road, by zażądać spotkania z wnukami. Karen zauważyła, że matka ostatnio często mówi w podobny sposób, domagając się swoich domniemanych praw jako konsument, użytkownik komunikacji miejskiej, podatnik, żona, babcia, zdaniem Karen, nie miało to specjalnego znaczenia, tak samo jak obelgi, którymi przez te wszystkie lata matka obrzucała Nadine. Był to jedynie sposób na zaznaczenie swojego istnienia, na okazanie, że nawet jeśli życie przydzieliło jej bardzo kiepskie karty, ona nie zamierza kłaść uszu po sobie. W gruncie rzeczy, dochodziła do wniosku Karen, matka uwielbiała zmartwienia, czuła, że przydawały jej znaczenia. Gdyby ojciec Karen padł nagle trupem, całe powietrze uszłoby natychmiast

z balonu matki, pozbawionej, tym gestem ostatecznej niesprawiedliwości, przyczyny wszelkiego zła w swym życiu, wszelkiego zła od czterdziestu pięciu lat.

- Ja pójdę - powiedziała Karen ze znużeniem.
- Gdzie pójdziesz?
- Pójdę zobaczyć, czy dzieci rzeczywiście wróciły...

Peggy prychnęła.

- Nie ma sensu pytać twojego brata...
- Nie mam takiego zamiaru.
- Więc kogo?
- Kogoś, kto będzie wiedział.
- Chyba nie ją?
- Nie twój interes, mamó, kogo zapytam - powiedziała Karen. - Te dzieciaki to moje bratanice i bratanek, tak samo jak twoje wnuki. - Spojrzała na Peggy. - Nie dzwoń do Nadine.
- Będę dzwonić, do kogo zechcę.

Karen zawahała się. Wiedziała, że Nadine odrzuciła jej matkę, i wydawało się jej, że to odrzucenie było ciężkim ciosem, wyzulo z podniecenia nową emocjonalną kampanię.

- W porządku.
- Co w porządku?
- Dzwon, do kogo chcesz. Tylko pamiętaj, że kiedy zaczniesz siac zamieszanie, ucierpią na tym dzieci.

Teraz, stojąc przed bramą szkoły, z rękami w kieszeniach i torbą przewieszoną przez ramię, Karen zastanawiała się, co powiedzieć. Rozpozna Josie bez trudu - nie można się pomylić co do tych włosów - jednak zamieniła z nią tylko jakieś dziesięć słów na ślubie, a nie wiadomo właściwie, jak zgodnie z etykietą powinno się rozmawiać z kimś, kogo się prawie nie zna, ale kto teraz należy do rodziny. Przyszło jej do głowy, żeby pójść poszukać Matthew, który był w końcu jej bratem, ale Matthew na pozycji obronnej był kimś, bez kogo Karen świetnie się obywatela od czasu, kiedy byli małymi dziećmi. Zresztą nie miała nic przeciwko Josie, niezależnie od tego, co czuła do Nadine. Mimo że Nadine posiadała ekscentryczną żywotność, z jaką Karen nie spotkała się u nikogo innego, widać było po dzieciach, po biednym, poczciwym Matcie, że życie z nią to domowy odpowiednik ciągłego nalotu bombowego. Poczta pantoflowa, która przyniosła nowiny o pracy Josie i powrocie dzieci Matthew, mówiła też o zauważalnej regularności życia domowego.

Josie wyszła ze szkoły jako jedna z ostatnich. Prowadziła rower i rozmawiała z dwoma dziewczynkami, które miały włosy związane

w identyczne kucyki opadające nad uszami. Karen zbliżyła się nieco i przystanęła w bramie.

- Pewnie mnie nie pamiętasz...

Josie zatrzymała się, a dziewczynki, wyczuwając, że sprawy dorosłych natychmiast odwrócą od nich uwagę Josie, ustąpiły przed Karen i wybiegły na ulicę.

- Jestem Karen. Siostra Matthew.

Josie przyjrzała się jej. Miała na sobie czarne spodnie i dżinsową kurtkę. Na ślubie była ubrana na zielono i miała kapelusz, którym chyba nie była zachwycona, bo prawie natychmiast się go pozbyła.

- Oczywiście - powiedziała Josie.

- Nie chciałam na ciebie napadać...

- To nie to. Po prostu nie spodziewałam się...

- Tak, wiem. Przepraszam.

- Słuchaj. Niestety nie mogę się zatrzymać. Za dziesięć minut muszę czekać na Rufusa przed jego szkołą - powiedziała Josie.

- Mogę pójść z tobą?

- Może będę musiała podjechać, jeżeli zrobi się mało czasu.

- Oczywiście. Czy możemy chociaż kawałek przejść razem?

Josie zawróciła rower i zaczęła szybko iść chodnikiem wzdłuż szkoły.

- Zdawało mi się, że wszyscy mnie unikacie.

- Bo tak jest. A przynajmniej mama cię unika. Ale nie znasz mamy. Kiedy ją poznasz, zobaczysz, że to nie ma wielkiego znaczenia. Ja, prawdę mówiąc, czekałam. A potem - no cóż, dotarły do nas plotki.

- Jakie?

- Że dzieci wróciły.

Josie zatrzymała się na krawężniku i przycisnęła guzik zielonego światła na przejściu dla pieszych.

- Wróciły - potwierdziła krótko.

- Na dobre?

Josie nie patrzyła na nią.

- Na to wygląda. Dopóki...

- Nadine znów nie zmieni zdania?

Josie posłała Karen lekki, przelotny uśmiech.

- Zgadza się.

Światła się zmieniły i Josie energicznie przepchnęła rower przez jezdnię.

- Co u nich słychać? - zapytała Karen, spiesząc obok niej.

- Nie wiem - odparła Josie.

- J a k t o ?

- To znaczy, że nie umiem ci odpowiedzieć. Karmię ich i piorę ich ubrania, ale nie rozmawiam z mną. A już na pewno nie o tym, co u nich słyszę.

Karen położyła rękę na kierownicy, żeby Josie trochę zwolniła.

- Dobrze się czujesz?

- Niespecjalnie - odparła Josie.

- Są trudni?

- Powiem krótko - tak. Są. Nie próbuję bawić się w szczęśliwą rodzinę, ale oni chyba czują potrzebę, żeby się upierać, że tak jest. Prawdę mówiąc, są...

- C o ?

- Dość okrutni.

- Okrutni?! - zawołała Karen.

- O tak. Dzieci potrafią być okrutne. Przecież wiesz. Jeden z wielu stereotypów społecznych głosi, że macochy są okrutne, ale czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że przybrane dzieci potrafią być równie okrutne?

- To wspaniałe dzieciaki... - powiedziała Karen niepewnie.

- Gdybym je uczyła - powiedziała Josie - mogłabym się z tobą zgodzić. Ale mieszkanie z nimi to co innego.

- A co z Mattem, co robi Matt?

- Czeka, aż się polubimy.

- Staje w twojej obronie?

Josie przygryzła wargę. Karen zerknęła na nią szybko. Może i szła jak burza, ale pchała ją siłą woli, niezdrowa energia i dobra kondycja. Wyglądała na śmiertelnie zmęczoną, wyczerpaną. Karen wiedziała, że sama tak wygląda, kiedy schodzi z dyżuru. Nagle przyszło jej do głowy, że skoro Josie odrzuca dzieci Matthew poniekąd w odpowiedzi na ich odrzucenie, może ją prześladować lęk, że z czasem, o ile sytuacja się nie poprawi, Matthew ją też odrzuci, w geście ostatecznej solidarności z dziećmi. Przesunęła rękę, tylko na sekundę, z kierownicy na ramię Josie.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska...

- Nie jesteś. Nie byłaś. Naprawdę się cieszę, że cię widzę, ale nie wiem, co ci powiedzieć oprócz zrelacjonowania faktów. Słuchaj, przykro mi, ale muszę już jechać.

- Czy mogę kiedyś wpaść... - zapytała Karen.

- Na Barrat Road?

- T a k .

- Oczywiście. Będzie nam miło. Mnie - mnie będzie miło...

- Widziałam, jak wyglądało to małżeństwo - powiedziała Karen. - Widziałam je przez całe życie. Nawet jeśli Nadine miała swoje dobre chwile, widziałam, przez co Matt przechodził. I chyba - to znaczy, chyba wiem, czym to musi być dla ciebie.

Josie spojrzała jej w oczy. Potem spuściła wzrok, a jej włosy opadły w przód, zakrywając twarz.

- Właśnie doszłam do wniosku, że wzięłam na siebie więcej, niż sobie wyobrażałam. Byłam już macochą, na litość boską, i było źle, ale teraz jest zupełnie inaczej. I - no cóż, gorzej.

- Dlaczego?

- Bo zależy mi na Matthew tak, jak nigdy nie zależało na Tomie - powiedziała wolno Josie.

Przeprowadziła rower obok Karen na drogę. Potem odwróciła się, stawiając jedną nogę na pedał.

- Dzięki.

- Zadzwoń do ciebie - powiedziała Karen. - Wpadnę.

Patrzyła, jak Josie odjeżdża, pochylona nad kierownicą, jakby chciała dopomóc rowerowi nabrać prędkości. W wyglądzie tych pochylonych pleców było coś takiego, że Karen nagle zrobiło się jej żal, naprawdę żal, tak jak żałowała jej sympatycznego synka na ślubie. Widać było, że Josie walczy, naprawdę walczy, żeby nie dać za wygraną, żeby wszystko się ułożyło, ale nikt nie jest szczerze po jej stronie. Przybrane matki, pomyślała Karen, matki adopcyjne poklepuje się po plecach, wszyscy uważają, że są cudowne, ale one miały przecież czas wybrać, zaplanować, i co więcej, nie próbują w tym samym czasie ułożyć sobie nowego związku. Poza tym jest jeszcze Matt. Zawsze był dobrym ojcem, przyjmował swoją część obowiązków, kiedy dzieci były malutkie, ale ze zrozumiałych względów cierpiał na brak obiektywizmu, jakby chciał je obronić przed wszelką krytyką, ponieważ wiedział, przez co musiały przejść, mając za matkę Nadine. I dlatego właśnie Matt mógł nie dostrzegać, jak ciężko było Josie, szczególnie, że - jeżeli zachowywał się wobec synka Josie z właściwą sobie przyzwoitością - wszyscy wokół mu mówili, jakim to jest wspaniałym ojczymem. Karen westchnęła. Wszyscy oczekiwali od kobiet tak dużo, że można było oszaleć, a jednocześnie od mężczyzn tak mało, że można było oszaleć tym bardziej. Podciągnęła torbę wyżej na ramię. Pomyślała, że bywają chwile, kiedy stan wolny zdaje się nie tylko błogosławieństwem, ale też jedynym sposobem na zachowanie zdrowia psychicznego.

Josie usiadła na niskim murku przed szkołą Rufusa i oparła się o drucianą siatkę otaczającą boisko. Dyrektorka Rufusa zaproponowała jej, żeby poczekała w środku, ale ona wolała zostać na powietrzu.

- To poważna sprawa - powiedziała dyrektorka. - To znaczy, chcę, żeby Rufus potraktował ją poważnie. Pierwszy raz zachował się niegrzecznie wobec nauczycielki i chcę, żeby uświadomił sobie, wykonując tę drobną pracę po szkole, że podobne zachowanie nie będzie tolerowane.

Josie dowiedziała się, że Rufus nazwał swoją wychowawczynię głupią krową, bo trzykrotnie zwróciła mu uwagę, gdy nie uważał i rozpraszal uwagę uczniów siedzących przy jego stole podczas lekcji fizyki. Nie zwrócił uwagi na upomnienia, a kiedy oznajmiono mu, że za karę będzie musiał zostać po szkole, krzyknął: „Nie możesz mnie zmusić, ty głupia krowo!”. Dyrektorka wyjaśniła, że został zatrzymany na trzydzieści minut i wykonuje pewne proste zadanie, które okaże się przydatne dla nauczycielki, wobec której był niegrzeczny.

- Proszę wejść, pani Mitchell. Proszę się rozgościć w pokoju gościnnym.

Josie potrząsnęła głową.

- Dziękuję. Na dworze będzie dobrze.

- Czy przysłać kogoś z filizanką herbaty?

- Nie. Nie, dziękuję. Nic mi nie trzeba. Ja - poczekam na niego.

Odchyliła głowę, oparła ją o siatkę i zamknęła oczy. Było jej tak smutno z powodu Rufusa, że płacz przyniósłby jej ulgę, ale jakoś nie mogła płakać, jakby smutek sięgał zbyt głęboko, był zbyt ciemny i ciężki, żeby dał się tak łatwo ukoić. Biedny Rufus. Biedny mały Rufus, mieszkał w domu, gdzie kłótnie były teraz na porządku dziennym, gdzie utrwalił się wywołujący złość i znużenie zwyczaj wyzywania się, gdzie o każdy drobiazg, każdą próbę życia we wspólnocie staczano bitwy, jakby zależało od tego przetrwanie. To, że Rufus dzisiaj wybuchł, w gruncie rzeczy nie zaskoczyło Josie. Wiedziała, że będzie musiała wytłumaczyć tym życzliwym kobietom, które go uczyły, jaka atmosfera panuje w tej chwili na Barrat Road i dlaczego tak źle wpływa to na Rufusa - jedynaka - przyzwyczajonego do względnie spokojnego i cywilizowanego świata. Ale nie mogła powiedzieć tego teraz, dzisiaj, nie mogła powiedzieć, dopóki sama nie poczuje się odrobinę lepiej, i nie zdziwi jej nic, co może zrobić jej posłuszne, grzeczne dziecko. Odwróciła trochę głowę, żeby ciepłe promienie słońca padały na jej twarz. Jak teraz mogłoby ją cokolwiek zdziwić, skoro sama poprzedniego wieczoru uderzyła Becky?

Nie miała takiego zamiaru. Dopiero na ułamek sekundy przed samym czynem uświadomiła sobie, że to zrobi. Chyba jeszcze nigdy, w całym swoim dorosłym życiu, nikogo nie uderzyła, ale był moment, koszmarny moment w pokoju Becky, kiedy straciwszy panowanie nad sobą, ogarnięta ślełą furią wiedziała, że dosłownie wychodzi z siebie, że zaraz zrobi coś gwałtownego. I zrobiła. Dała krok w chaos i bałagan pokoju Becky i uderzyła ją, mocno, z boku w głowę.

Wieczór od początku nie zapowiadał się dobrze. Matthew, wyczuwając rosnące napięcie, oznajmił, że zabiera Josie do pubu nad nieciekawym małym kanałem w Sedgbury, co najmniej na godzinę, z dała od domu, „od waszej czeredy”. Wtedy rozległ się chóralny sprzeciw, a Becky zdecydowanie odmówiła pozostania z młodszymi dziećmi. Matthew tłumaczył, Becky krzyczała, w końcu Matthew, mimo ogromnej dezaprobaty Josie, zgodził się jej zapłacić. Sprzeczali się o to przez całą drogę do pubu, a kiedy doszli, okazało się, że z powodu dobrej pogody wyszły z domów hordy ludzi, które właśnie wylewały się z pubu na ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału. Josie powiedziała, że zaczeka na dworze.

- Nie - powiedział Matthew. - Nie. Chcę, żebyś była przy mnie.

Chwyił ją za rękę, powlókł do pubu i przez tłum do baru. Uśmiechał się z determinacją, jakby chcąc pokazać Josie, że zamierza zapomnieć o epizodzie z opieką nad dziećmi i dobrze się bawić. Kiedy stali w ścisiku przy barze i czekali na obsługę, Matthew wdał się w zdawkową rozmowę z grubym mężczyzną w średnim wieku, siedzącym na stołku i próbującym poderwać dwie dziewczyny w skąpych, odsłaniających brzuch bluzeczkach, które wyglądały na jakieś czternaście lat i paliły papierosy z niezręcznym pośpiechem wskazującym na brak doświadczenia. W pewnej chwili mężczyzna się rozejrzał i zobaczył Josie. Wskazał na nią kuflem.

- A ile lat ma twoja?

- Trzydzieści osiem - powiedział Matthew.

- Trzydzieści osiem! Lepiej uważaj. Czterdziestka - i koniec pieśni. Zobaczysz. Rozlatują się na kawałki, tylek, cycki, wszystko. Po czterdziestce nie warto ich trzymać.

Josie wyrwała rękę z uścisku Matthew i z wściekłością przepchała się z powrotem na ścieżkę. Matthew natychmiast ruszył za nią.

- Przecież to był tylko żart...

- To było obrzydliwe.

- Tak, ale to nie było na poważnie, on nie mówił poważnie...

- Śmiałeś się!

- Nie dlatego, że się z nim zgadzam, tylko z uprzejmości...

- Nie chcę drinka, Matthew, nie chcę tu zostać, chcę wracać do domu.

W domu, mimo ciepłego wieczoru, zasłony w saloniku były zaciągnięte, a Rory, Clare i Rufus oglądali program o chirurgii plastycznej genitaliów w Hollywood. Becky siedziała u siebie w pokoju, przy ogłuszającej muzyce. Ani nie wstawiła kolacji do piecyka, ani nie nakryła stołu, jak ją proszono.

- Ja pójdę - powiedział Matthew ze znużeniem. - Pójdę jej poszukać.

- Nie - rzekła Josie. Poczwała nagły, niebezpieczny przypływ energii.

- Nie, ja pójdę.

- Proszę cię...

- Nie ma sensu, żebyś ty szedł - powiedziała Josie. - Nie sądzisz?

Nie ma sensu, bo przecież jesteś całkowicie bierny.

Wzruszył ramionami i odwrócił się od niej, otwierając szufladę, w której leżały noże i widelce. Josie wbiegła na schody.

- Becky!

Zabębniła w drzwi pokoju Becky.

- Odwal się! - krzyknęła Becky.

Josie otworzyła drzwi. Pokój był usłany ciuchami, butami i torbami i śmierdział jak szkolna szatnia. Poza tym trząsał się od hałasu.

- Wyłącz to!

Becky, która stała pośrodku pokoju z zabronionym papierosem w ręce, tylko patrzyła. Josie przebiegła obok niej i złapała za magnetofon, szukając na oślep regulatora głośności.

- To moje!

- Nie zepsuję go, chcę tylko słyszeć, co mówię...

Becky sięgnęła i obróciła jakąś gałkę. Natężenie muzyki zmniejszyło się trochę, ale nie do końca. Następnie wyjęła magnetofon z rąk Josie.

- Dziękuję - powiedziała Josie. Drżała lekko. - Becky...

- C o ?

- Nie wstawiłaś kolacji do piecyka. Nie nakryłaś stołu.

- Tata nic nie mówił.

- Nie. Ale ja mówiłam. Prosiłam cię.

Becky weszła na łóżko Clare, wciągnęła w butach, i oparła się o ścianę. Nonszalancko wypuściła z ust pasmo dymu.

- Ty się nie liczysz.

- Mieszkam w tym domu. Prowadzę go. Jestem żoną twojego ojca...

Becky prychnęła z pogardą. Przeszła w buciorach po łóżku Clare, ciężko zeskoczyła na podłogę i zgasiła papierosa na leżącym na dywa-

nie talerzu, na którym wciąż znajdował się kawałek niedojezionej grzanki.

- To ci nie daje żadnych praw - powiedziała Becky. - To nic nie znaczy. - Zerknęła z ukosa na Josie. - Zresztą to nie potrwa długo.

- Co nie potrwa?

- Ta historia z ojcem.

Josie zauważyła, że jej dłonie zacisnęły się w pięści. Otworzyła je i przycisnęła płasko do spódnicy, do boków ud.

- Becky...

Becky coś odburknęła.

- Becky, czy mogę ci coś powiedzieć? Czy mogę ci powiedzieć coś bardzo ważnego, a przy tym prawdziwego? Gdyby ci się udało, Becky, gdyby ci się udało rozbić moje małżeństwo z twoim ojcem, nie cieszyłybyś się. Byłabyś przerażona. Bo to nie byłoby zwycięstwo, tylko strata, kolejna strata, choć tyle już straciłaś.

Becky patrzyła na nią. Patrzyła na nią długo i uparczywie, jakby naprawdę próbowała coś zobaczyć, jakby naprawdę próbowała zrozumieć. Potem odrzuciła głowę w tył i zaczęła się śmiać, zachłystując się głośnym, szyderczym śmiechem, jakby nigdy w życiu nie słyszała czegoś równie idiotycznie, niewiarygodnie żalnego. Przez chwilę Josie patrzyła na nią, patrzyła na odrzuconą w tył głowę, wielkie, otwarte usta i dziką szopę włosów, a potem, nic nie mówiąc, bo wiedziała, że wszystko powiedzą jej ręce, zrobiła krok do przodu i uderzyła Becky, mocno, w prawą stronę twarzy i głowy. Becky wyprostowała się jak struna, z płonącymi oczami.

- Uderzyłaś mnie!

- Tak! - wrzasnęła Josie, nie dbając o to, kto ją usłyszy. - Tak, uderzyłam!

- Czasami wydaje mi się, że mam w tym domu nie czworo dzieci i żonę, tylko pięcioro dzieci. A ty jesteś najmłodszym - powiedział zmęczonym głosem Matthew w jakieś trzy godziny później.

Josie nic nie odpowiedziała, wpatrywała się w półmrok oświetlonej przez uliczną latarnię sypialni. Pragnęła mu wykrzyczeć, że sama często się czuje jak opuszczone dziecko. Czy on tego nie dostrzega? Czy nie może wziąć na to poprawki? Jednak mimo zdenerwowania wyczuwała, że nie był to odpowiedni moment na mówienie takich rzeczy.

- Becky wróciła? - zapytała głosem napiętym z wysiłku, jaki wkładała w panowanie nad sobą.

- Nie - powiedział Matthew. - Ale wróci. Pewnie poszła do koleżanki, żeby mnie nastraszyć, ale wróci.

- A reszta?
- W łózkach.
- Matt...
- Słucham.
- To chyba nie jest moje urojenie, że odgrywiają się na mnie, bo są nieszczęśliwi z powodu Nadine?
- Westchnął.
- Chyba nie. Ale...
- Ale co?
- Wkrótce będziemy normą.
- Jaką normą?
- Przybrane rodziny. W 2010 roku będzie więcej przybranych rodzin niż naturalnych.
- I co z tego?
- To, że musimy sobie z tym poradzić, przyzwyczać się, znaleźć sposób...
- Spróbuj to powiedzieć swojej starszej córce! - krzyknęła Josie. Zapadła cisza. Potem Matthew powiedział:
- Jednak wybuchy wściekłości nie są odpowiedzią. Josie raczej poczuła niż zobaczyła, że Matthew wstaje.
- Gdzie idziesz?
- Popracować.
- Teraz?
- Jakąś godzinkę. Mam... mam szansę na awans. Dyrektor idzie w górę.
- Och - westchnęła Josie słabo. - To dobrze. - Usiłowała powiedzieć coś jeszcze, pogratulować mu, okazać zadowolenie, ale stwierdziła, że przez wstyd i bezradność, jakie ją ogarnęły, nie potrafi. Powiedziała za to: - Rufus...
- Śpi. Rory był przy nim.
- Był przy nim?
- Rory powiedział, że nie pójdzie spać, dopóki Rufus mocno nie zaśnie.
- Josie próbowała nie słyszeć nutki dumy w głosie Matthew.
- A Clare?
- W łóżku. Słucha, jeśli chcesz wiedzieć, „Dźwięku muzyki”.
- Ach tak - powiedziała Josie. Odwróciła się tyłem do ciemnej sylwetki Matthew stojącego po drugiej stronie pokoju. Szepnęła: - Ach tak. Wszyscy grzeczni, tylko nie ja. Wszyscy sprawują się dobrze, oprócz Becky, która teraz jest oczywiście ofiarą, tylko nie ja.

- Co mówisz?

- N i c .

- Będę na strychu.

- Dobrze.

- Postaraj się zasnąć - powiedział Matthew. Jego głos brzmiał życzliwie, ale bezosobowo.

Nie nie powiedziała. Stuliła winną dłoń, która uderzyła Becky, i włożyła ją pod poduszkę. Potem usłyszała, jak drzwi się cicho otwierają i zamykają za Matthew.

- Już jestem - powiedział Rufus.

Josie otworzyła oczy. Rufus stał o dwie stopy od niej, blady i przyczerwony, w niezwykle symetrycznie zapiętym mundurku, jakby ktoś mu go poprawił, zanim wyszedł z budynku szkoły. Josie wyciągnęła do niego ramiona.

- Och, kochanie...

Wszedł w nie i stanął przy niej, nie opierając się, ale także nie przytulając.

- Nie martw się tym, Rufus, nie martw się, wytłumaczę im...

- N i e .

- Kochanie, oni muszą wiedzieć, że to nie była twoja wina, muszą zrozumieć, co...

- Nie - powtórzył Rufus.

Przytuliła go mocniej. Chciała mu powiedzieć, że to ona czuje się winna, że czuje się odpowiedzialna, że to jej niezdolność do zapanowania nad domem na Barrat Road spowodowała, że zachował się jak nigdy przedtem, niezgodnie ze swoją naturą. Wypaczam cię, chciała zapłakać w jego gładkie, gęste włosy, zmieniam cię, uniemożliwiam ci dzieciństwo, jakie powinieneś mieć, jakie miałeś, zanim poznałam Matthew.

- Rufus...

- Wszystko w porządku - powiedział. - Pani Taylor... - Urwał.

- T a k ?

- Wszystko w porządku - powtórzył. Zrobił lekki ruch, chcąc się uwolnić.

- Była dla ciebie miła? W przyjemny sposób załatwiła tę sprawę? Skrzywił się.

- Była?

Skinął głową.

- Słuchaj - powiedziała Josie. Rozluźniła nieco uścisk, żeby móc patrzeć Rufusowi w twarz. - Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale nie chcę też, żebyś myślał, że to twoja wina. Wiesz, o co mi chodzi?

Spojrzał na nią. Jego oczy były zamglone, niemal puste.

- Czy chcesz zamieszkać z powrotem w Bath? Z tatusem i Elizabeth? - zapytała Josie najłagodniej, jak umiała.

Rufus westchnął. Zrobił krok do tyłu i wysunął się z objęć Josie.

- Nie - odpowiedział. - Ale lubię tam jeździć. Lubię... - Znowu urwał.

- Nie musisz nic więcej mówić. Jesteś głodny?

- Nie wiem...

- Sprawdźmy? Może pójdziemy popatrzeć na pizzę albo hamburgera i zobaczymy, jak się poczujesz?

- Jestem za bardzo zmęczony - powiedział Rufus.

Josie wstała z murka.

- Wobec tego pójdziemy do domu...

- T a k .

- Wrzucić torbę do koszyka na rowerze.

- Poprowadzę go - powiedział Rufus. Położył ręce na kierownicy roweru Josie, a stopę na pedale i zaczął się od niej odpychać.

- Matthew mówił, że wczoraj wieczorem Rory czekał przy tobie, aż zaśniesz - powiedziała, biegnąc za nim.

Rufus zwolnił tempo.

- T a k .

To było naprawdę dziwne, ale i trochę przyjemne. Rory powiedział: „Nie pójde spać, dopóki nie zaśniesz”, a kiedy Rufus się na niego zagapił, dodał: „Jeżeli chcesz”, a Rufus poczuł się zakłopotany i zadowolony i nie wiedział, co powiedzieć, więc szybko wskoczył do łóżka i położył się, jak zawsze, tyłem do Rory'ego, żeby nie widzieć tego osobliwego stróżowania.

- To było miłe, prawda?

- No - powiedział Rufus, a potem dodał: - Nie wolno mi przez tydzień grać w piłkę nożną - i prędko odepchnął się, odjeżdżając od Josie.

Kiedy doszli na Barrat Road, zwolnił i szedł przy niej. Jego twarz była trochę bardziej zarumieniona, niż kiedy wyszedł ze szkoły, a mundurek, na skutek wyczynów rowerowych, przybrał bardziej naturalny, pomięty wygląd. Jeszcze pół godziny, myślała Josie, zanim wrócą Rory i Clare, a przez ten czas będzie mogła przeżywać, a może i ukoić, silny macierzyński niepokój, karmiąc Rufusa gorącymi tostami z masłem oraz prażonymi orzeszkami i powstrzymując się - och, pomyślała, jak długo jeszcze! - od mówienia o jego karze, jej przyczynach, poprzednim wieczorze, sytuacji, która do niego doprowadziła, Rorym, Becky, pani Taylor, o wszystkim, co sprawiłoby ból

Rufusowi, gdyż zmusiłoby go do myślenia o uczuciach, które próbował doprowadzić do ładu.

Ledwie zdążyli wejść na betonowe pasy podjazdu, kiedy otworzyły się drzwi kuchenne i stanął w nich Matthew.

- Matt...

- Dzięki Bogu, że wróciłaś. Gdzie byłaś?

Josie nawet nie spojrzała na Rufusa.

- Coś nas zatrzymało. Widziałam się z twoją siostrą, widziałam się z Karen...

- Becky nie wróciła - powiedział Matthew.

- Nie...

- Nie. Nikt jej nie widział. Nie poszła tam, gdzie sądziłem, nie było jej w szkole...

- O Boże - westchnęła Josie.

- Wejdźcie - powiedział Matthew. - Wejdźcie wreszcie, dobrze? - Odebrał rower Rufusowi. - Jest tu policja. Czekają, żeby z tobą porozmawiać.

Rozdział piętnasty

Nadine odkryła ze zdumieniem, a nawet pewnym rozczarowaniem, że od kiedy dzieci wyjechały, dom przestał wydawać się tak groźnie niepewny. Nie było w nim porządku, którym Nadine gardziła, ani, oczywiście, większych wygód, ale kiedy nie postrzegała domu jako kruchej łupiny, niezdolnej zapewnić bezpieczeństwa jej dziecięcej załodze, okazywał się być po prostu wilgotnym, niewygodnym mieszkaniem na odłudziu i niczym więcej.

W pierwszym tygodniu po wyjeździe dzieci była zdruzgotana. Bezustannie płakała, chodząc z pokoju do pokoju. Narysowała tabelkę na jednej ze ścian w kuchni, żeby móc wykreślać dni, które ją dzieliły od czasu, kiedy będzie mogła zabrać dzieci z powrotem, przynajmniej na część szkolnych wakacji. Krążyła wokół telefonu, pragnąc, żeby do niej zadzwoniły, co robiły rzadko - zapewne dlatego, że im to uniemożliwiano. W przyпіlywie entuzjazmu zawiozła wszystkie kołdry, śpiwory oraz koce do pralni chemicznej, a wielka, zakurzona, różnokolorowa sarta na tylnym siedzeniu samochodu sprawiła, że na krótko poczuła się szczęśliwa i miała poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Potem po łzach i przyпіlywie energii nastąpiło przygnębienie. Siedziała całymi dniami przy kuchennym stole i gapiła się na wilgotne Herefordshire, zalane mlecznym światłem, robiąc filiżanki kawy, której nie wypijała, i czekając jak królowa na wieży na Tima Huntleya, który często przyjeżdżał z nakrytym półmiskiem czegoś, co przygotowała jego matka, i kazał jej to zjeść.

Tim Huntley był linią ratunkową. Jako człowiek reprezentował sobą wszystko, co dla Nadine było niepojęte - był politycznie tradycyjny, społecznie konwencjonalny, nieoczytany, uparty i praktyczny. Postępował z nią podobnie jak ze swymi krowami, traktując Nadine jako żywą istotę, którą należało utrzymywać przy życiu za pomocą regularnych

porcji odpowiedniego pożywienia i kilku prostych, zrozumiałych poleceń, żeby znów nie wypadła z torów i nie wpakowała się w sytuację, z którą sobie nie poradzi, jak krowa na autostradzie. Wcale z nią nie flirtował, chociaż raz czy dwa, widząc jego solidną postać, zajmującą taki obszerny fragment jej kuchni, poczuła, że nawet by miała na to ochotę. Znalazł jej za to, zgodnie z obietnicą, używany piec do wypalania, przyjął za niego tylko dwadzieścia funtów i również zgodnie z obietnicą, pokazał jej drogę do komuny, gdzie około trzydziestu osób, głównie kobiety i dzieci, mieszkowało w organicznej harmonii w prowizorycznie przebudowanej stodole, hodując własne warzywa i tkając koce z walijskiej wełny. Przypominali Nadine nie tyle jej dawne kobiece grupy protestacyjne, ile uczestników marszów pokoju z jej dzieciństwa i wczesnej młodości, wkładających kwiaty w lufy karabinów i kładących się przed ministerstwem obrony w białych podkoszulkach, nieuzbrojonych i niegroźnych. Życzliwym okiem spojrzeli na garnki Nadine i powiedzieli jej, że jest zawsze mile widziana, i żeby koniecznie przyprowadziła dzieci, kiedy tylko przyjadą.

Stopniowo przynębenie się rozproszyło. Odkryła, że jeśli nie pozwała sobie rozmyślać za dużo o dzieciach i - tym bardziej - o sytuacji, w jakiej się teraz znajdowały, pod rządami dwojga architektów jej własnego niesprawiedliwego i skromnego położenia, daje sobie radę, udaje jej się przeżywać kolejne dni. Zauważyła nawet, że nadchodzi wiosna, obserwowała otwierające się listki, kępę małych, pierzastych dzikich żonkili w zaniedbanym ogrodzie za domem. Poszła też na farmę Huntleyów, gdzie zastała panią Huntley w kuchni, karmiącą z butelek ze smoczkami dwa jagniątko. Podziękowała jej za te wszystkie nakryte półmiski.

- To dla mnie nic takiego - powiedziała pani Huntley. - O ile pani to zjada.

- Zjadam...

- A jak sobie radzi chłopak?

Nadine spojrzała na jagnięta. Były zapakowane razem do tekturowego pudła i ssały z butelek z zapalem przypominającym ekstazę.

- Zdaje się, że chodzi do szkoły...

- To już coś.

- Ale jak rozmawiam z nimi przez telefon, nie sprawiają wrażenia zadowolonych, nie podoba im się tam, nie lubią macochy.

Pani Huntley zabrała opróżnioną butelkę jednemu z jagniąt z cichym, gumowym cmoknięciem.

- Zwykła rzecz. Kto by tam lubił przybraną matkę?

- Ono lubi - Nadine wskazała jagnię.

- No, no - powiedziała pani Huntley. - Tylko bez bajek. - Zabrała butelkę drugiemu jagnięciu. - Ma pani ochotę dać im drugą połowę?

Nadine stwierdziła, że jej się to podoba. Nie przepadała za karmieniem piersią własnych dzieci, ale to karmienie było inne, nie wymagało intymności, nie było skomplikowane emocjonalnie. Poza tym jagnięta były takie komiczne i słodkie z tą swoją ślepą obsesją na tle jedzenia. W dwa dni później Tim przyniósł trzecie jagnię do chaty i położył je w pudelku na podłodze jej kuchni.

- Co to jest?

- Coś, czym możesz się zaopiekować. Musi być przez tydzień karmiona z butelki.

- Ale...

- Zrobisz to - powiedział Tim. - Potrafisz.

- A jeżeli coś się stanie?

- Wtedy dzwoń do mnie.

Nadine usiadła na kuchennej podłodze i spojrzała na jagnię.

- Straciła matkę. Bądź dla niej dobra - poprosił Tom.

- Cześć - powiedziała Nadine do owieczki. Położyła rękę na jej twardej, wełnistej główce. - Która z nas ma na tym skorzystać?

- Obie - odrzekł Tim.

Kiedy wyszedł, Nadine zmieszała pokarm, który zostawił, i nakarmiła jagnię. Pierwszą butelkę dała jej w pudle, jak poprzednio na farmie, ale przy drugiej wzięła owieczkę na kolana i trzymała ją tam, czując jej twarde małe kopytka na udach i mięśnie napięte od skupienia. Potem włożyła ją z powrotem do pudła. Owieczka pokręciła się i zabczała.

- Więcej nie ma - powiedziała Nadine. - Nie teraz. Później.

Wyciągnęła rękę, a owieczka chwyciła najbliższy palec i zaczęła ssać, niespodziewanie silnie, chropowatym językiem.

- Nie - powiedziała Nadine. Zabrała rękę. - Niestety jestem tylko twoją przybraną matką.

Zadzwoił telefon. Nadine wstała z klęczek i poszła go odebrać.

- Nadine - odezwał się Matthew.

Odwróciła się, przytrzymując słuchawkę brodą, tak żeby móc widzieć owieczkę, wpatrującą się w nią bystrymi oczkami nad krawędzią pudełka.

- Mam tu owieczkę...

- Co ?

- Mam owieczkę - powiedziała Nadine z dumą. - Tu, w kuchni. Opiekuję się nią.

- Och...

- Dzieci byłyby zachwycone. Jest malutka, zaledwie...
- Nadine - przerwał Matthew. - Dzwonię, żeby ci o czymś powiedzieć.
- O czym?
- Teraz już wszystko jest w porządku, znaleźliśmy ją, ale Becky zginęła...
- Co?! - krzyknęła piskliwie Nadine, odwracając się gwałtownie do ściany, łapiąc za telefon.
- Ona... no cóż, ona uciekła. Uciekła...
- Dlaczego? Dlaczego uciekła? Co się stało, co się jej stało?
- Nieważne, co się stało...
- Jak to nieważne? Oczywiście, że ważne! Może dla ciebie nie ma znaczenia, ale dla mnie ma, z jakiego powodu moja córka ucieka!
- Nadine...
- Coście jej zrobili? - wrzasnęła Nadine.
- Jeżeli nie pozwolisz mi mówić i opowiedzieć, co się stało, odkładam słuchawkę.
- Nie! - zawołała Nadine. - Nie!
- Więc zamknij się i słuchaj.
- Nadine zamknęła oczy. Wplotła palce w sznur od słuchawki i zaciśnęła go mocno, aż jej zbieleła skóra.
- Była kłótnia - powiedział Matthew. - Rodzinna kłótnia, w której Becky brała udział...
- Nie wierzę ci!
- W której Becky brała udział tak jak inni, i w rezultacie której wyszła z domu. Sądziłem, że była u koleżanki...
- Sprawdziłeś? Kiedy wyszła, wyraźnie wzburzona, zadałeś sobie trud, żeby sprawdzić, gdzie może być?
- Myślałem, że u koleżanki, ale potem okazało się, że nie, że nie poszła do nikogo ze znajomych...
- O Boże - powiedziała Nadine. Wyplątała palce i potrząsnęła nimi, żeby przywrócić krążenie. - O Boże, jak mogłeś, jak mogłeś?
- Poszła do klubu - mówił Matthew. - W Sedgbury jest nowy klub i tam właśnie poszła. Nie wiedziałem nawet o jego istnieniu, inaczej poszedłbym jej poszukać. Myślałem, że nie wraca, żeby mnie nastraszyć.
- Założę się, że spałeś kamiennym snem - powiedziała z goryczą Nadine.
- Wcale nie spałem - odparł Matthew. - Nie śpię od paru nocy, mimo że ją znaleźliśmy. To znaczy policja.

- Policja!
- Złapała okazję. Możliwe, że chciała dojechać do Herefordshire, ale znaleziono ją za Stafford, w barze kierowców ciężarówek. Przywieźli ją wczoraj wieczorem. Jest cała i zdrowa.
- Gdzie jest teraz?
- W łóżku.
- Daj mi ją! Daj mi ją do telefonu! Muszę z nią porozmawiać!
- Jest na środkach uspokajających. Czują się dobrze, ale była bardzo zmęczona, więc lekarz jej coś dał...
- Muszę z nią porozmawiać! - krzyknęła Nadine.
- W tej chwili nie możesz. Ma spać, dopóki się nie obudzi.
- Żądam tego! Jestem jej matką!
- Zadzwoń do ciebie zaraz po przebudzeniu.
- Przyjeżdżam. Wsiadam w samochód i przyjeżdżam.
- Nie zrobisz tego.
- Nie możesz mnie powstrzymać, mam do tego prawo, zwłaszcza w obliczu twojego zaniedbania, twojej beztroski, twojej obsesji na tle nowego życia, przez co nie możesz nawet...

Matthew rozłączył się.

- Łajdak! - wrzasnęła Nadine do słuchawki. Potem cisnęła ją na telefon. Owieczka, wciąż wpatrzona w Nadine, zaczęła beczeć.

- Zamknij się! - powiedziała Nadine. Zaczynała się trząść. Niepewną ręką znów podniosła słuchawkę, po czym z trudem wykręciła numer Tima.

- Przyjedź szybko...
- Co się dzieje?
- Przyjedź szybko. Przyjedź i zabierz to jagnię, nie mogę, nie dam rady...
- Już jadę - powiedział Tim Huntley.

Nadine kiwnęła głową. Pozwoliła słuchawce wysłiznąć się z ręki, po czym osunęła się po szafkach kuchennych, o które się opierała, aż usiadła na podłodze.

- Becky, och, Becky, biedna Becky, biedna...

Objęła kolana ramionami i położyła na nich głowę, i, wciąż pilnie obserwowana przez owieczkę, zaczęła drzeć i szeptać do siebie.

- Przepraszam cię - powiedziała Josie.

Siedziała na skraju łóżka Becky, w nogach, jakby czuła, że siedzenie bliżej głowy oznaczało poufność, do której nie miała prawa. Becky leżała całkiem wyprostowana, dokładnie w tej samej pozycji, w której się

obudziła, po przespaniu dziewiętnastu godzin, z głową odwróconą od Josie i spojrzaniem utkwionym w ścianie.

- Naprawdę. Przepraszam bez zastrzeżeń. Niezależnie od tego, co obie mówiłyśmy, nigdy, przenigdy nie powinnam była cię uderzyć i bardzo tego żałuję. Szczerze przepraszam.

Becky nie poruszyła się. Leżała, jakby była całkowicie nieświadoma obecności Josie, jakby Josie po prostu dla niej nie istniała, jakby się w ogóle nie odezwała. Josie popatrzyła na jej twarz - bardzo bladą - i na ciemną plątaninę włosów na poduszce, a potem, ostrożnie, na długi zarys ciała Becky pod kołdrą. Policjanci mówili, że w ciągu tych dwóch dni i trzech nocy swojej nieobecności Becky przeżyła małą szarpaninę, przypuszczalnie z jakimś kierowcą ciężarówki, który ją podwoził, ale że to nic poważnego, Becky nie została skrzywdzona. Lekarka, która podawała jej środek na uspokojenie, powiedziała, że jest lekko posiniaczona na klatce piersiowej i na ramionach, ale poza tym nic jej się nie stało. Becky nic nie mówiła. Odmówiła powtórzenia Matthew albo Josie tego, co wyjawiała policjantom oraz lekarce. Nie wyglądało na to, żeby była zadowolona z powrotu do domu, a jedynie zrezygnowana, jakby z góry zakładała, że w ten sposób zakończy się jej spontaniczny zryw i dlatego nie starała się z całego serca.

- Jesteś głodna? - zapytała Josie. - Chciałabyś coś zjeść?

Becky niemal niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Nie chciało jej się jeść ani pić, odczuwała jedynie dziwny, nieważki, odległy spokój.

- Becky - nalegała Josie - odezwiesz się do mnie? Przyjmiesz chociaż do wiadomości, że naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiłam?

Becky ani się nie poruszyła, ani nie przemówiła. Josie powoli zsunęła się z łóżka i wstała. Powiedziała policji, że uderzyła Becky, a oni zareagowali, jakby bicie po głowie i następujące po nim poszukiwanie dziecka nie było dla nich niczym nadzwyczajnym.

- Zdarza się - powiedział sierżant. - Ciągłe się zdarza. Wystarczy, że dorosły przekroczy granicę i dzieciak zwiewa.

Kiedy to mówił, nie patrzył na Josie, tylko na Matthew. Josie poczuła się zganiona, jako ta, która nie daje sobie rady, nie umie powściągnąć gniewu, nie może polegać na swojej domniemanej dojrzałości. Kiedy zadzwonili z policji, w prawie trzydzieści sześć straszliwych godzin później, i ona odebrała telefon, poprosili Matthew.

- Z panem Mitchellem proszę - powiedzieli - z ojcem młodej damy.

- Ale czy...

- Z panem Mitchellem proszę. Z ojcem Becky Mitchell. Natychmiast, proszę.

Matthew się rozplakał, kiedy się dowiedział, że Becky jest bezpieczna. Josie i Clare też. Rufus i Rory rozwalili się na schodach i kopali w słupki poręczy. Matthew wziął Clare na kolana, a wtedy Rory przelazł nad Rufusem, stanął przy ojcu i siostrze, a Matthew przyciągnął go ku sobie.

Jestem w nielasce, pomyślała Josie. Poszła do kuchni i płakała, trzymając się krawędzi zlewu z blachy nierdzewnej i pozwalając łzom kapać dużymi kroplami, jak deszcz. Rufus przyszedł do kuchni i oparł się o szafkę obok niej.

- Nie zrobiłaś tego specjalnie - powiedział.
- W ostatniej chwili tak. W ostatniej chwili to z całą pewnością było specjalnie...
- Nic nie poradzisz na ostatnią chwilę - powiedział. - Nikt nie poradzi. Josie rzuciła mu szybkie spojrzenie pełne wdzięczności.
- Dziękuję ci.
- To prawda - powiedział.

Do domu odprowadziła Becky policjantka, a potem przyszła lekarka z miejscowej przychodni nieznannej jeszcze Josie. Obie były bardzo rzeczowe. Becky odbyła eskapadę, z której wróciła, nie doznawszy urazu, przynajmniej fizycznego. To wszystko, co chcieli wiedzieć; cała reszta była sprawą Matthew, Becky i, w znacznie mniejszym stopniu, sprawą Josie. Matthew i Rory przenieśli materac z łóżka Clare na miejsce między łóżkami w pokoju chłopców, a Becky w milczeniu wzięła prysznic, po czym połknęła przepisane pigułki nasenne i zamknęła za sobą drzwi. Josie wcześniej nałożyła czystą pościel na jej łóżko - wiedziała, że to pusty gest, cóż mogła teraz zrobić, co nie byłoby pustym gestem - i Becky położyła się, zasnęła i spała bez końca. Przed pójściem do łóżka Josie znalazła Matthew siedzącego na stelażu łóżka Clare i wpatrującego się z natężeniem w śpiącą Becky. Nie przyszło jej na myśl nic, co mogłaby mu powiedzieć, podobnie jak nie wiedziała, co teraz mogłaby powiedzieć Becky.

- Zejdz, kiedy zechcesz - powiedziała Josie. - Albo zostań tutaj. Nieważne. Rób, co chcesz.

Rozejrzała się po pokoju. Buty Becky leżały na podłodze, obok dzieciennego misia Clare ze sztucznego niebieskiego futerka i podartego opakowania po batoniku.

- Przepraszam - powiedziała jeszcze raz Josie.

- Hej - odezwał się Matthew.

Becky bardzo wolno obróciła głowę na poduszce.

- Cześć.

Podszedł i stanął koło łóżka, patrząc na nią. Przez to, że tak długo spała i prawie nic nie jadła, wyglądała delikatnie i krucho. Obok łóżka, na podłodze, stała taca z talerzem zupy i nietkniętą kanapką.

- Widzę, że Josie przyniosła ci lunch.

- Nie chciałam go.

- Ale jesz czekoladę. - Rzucił okiem na opakowania po słodyczach rozrzucone na dywanie.

- I co z tego?

Usiadł na skraju łóżka.

- Jak długo jeszcze masz zamiar tu leżeć?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Nie jesteś chora, Becky.

Nic nie odpowiedziała.

- Nie możemy się dalej tobą opiekować, jakbyś była chora, skoro nie jesteś. Zwłaszcza jeżeli nie chcesz jeść, chociaż Josie zadaje sobie trud, żeby przygotować dla ciebie jedzenie.

Becky westchnęła.

- Josie bierze wolne z pracy - mówił Matthew. - Żeby być przy tobie. Ja nie mogę, ale jej się udało. Zostaje tutaj specjalnie po to, żeby się tobą opiekować.

- Nie prosiłam jej - powiedziała Becky. - Nie musi.

- Ona uważa, że tak.

- To jej problem.

- Nie. To jej poczucie odpowiedzialności. Zaproponowała mi to, żeby mi pomóc, dla mojego spokoju ducha, jak również dla ciebie.

Becky rzuciła krótkie, pogardliwe spojrzenie na tacę z jedzeniem.

- Nie będę tego jadła.

- Więc powiem jej, żeby przestała ci przynosić.

- Jak chcesz - powiedziała Becky.

Matthew położył łokcie na kolanach i oparł się na nich.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Jezu...

- Nie o tym, co się stało. Nigdy cię o to nie zapytam. Jeżeli chcesz mi opowiedzieć, możesz to zrobić, ale nie będę pytać. Dla mnie ważne jest tylko to, że jesteś bezpieczna.

Becky czekała. Ziewnęła. Zebrała włosy w gruby węzeł na czubku głowy, po czym je puściła luzno.

- Kocham Josie - powiedział Matthew.

Becky zamarała.

- Chcę, żebyś wiedziała na pewno. Kocham ją. Chcę, żebyś wiedziała na pewno coś jeszcze. Ciebie też kocham. Cokolwiek się zdarzy, cokolwiek się z nami stanie, to jest pewnik. Jesteś moją córką i kocham cię.

Becky wykrzywiła się.

- Ale? - zapytała słodko.

- Niezupełnie ale.

- Więc co?

- Ty, zdaje się, myślisz - powiedział Matthew, odwracając się, żeby na nią spojrzeć - że muszę wybrać, że muszę wybrać między tobą a nią. Ale nie muszę. Chcę, żebyś wiedziała to na pewno, tak jak to, że cię kocham. Nie muszę wybierać. Mogę zachować oba związki. Z tobą i z nią.

Wpatrywała się w niego.

- Nie możesz - powiedziała opryskliwie.

- Mogę - powiedział. Wstał. Nagle wydał się niezwykle wysoki, kiedy tak stał przy jej łóżku. - To ty nie możesz. - Zapadła cisza. Becky nie mogła na niego patrzeć. Spuściła wobec tego wzrok na swoje paznokcie, które polakierowała na odblaskowy niebieski kolor, a potem pooddłubywała. Matthew odsunął się od łóżka i ruszył w stronę drzwi.

- Jeżeli tak postanowisz - dodał, wychodząc.

W domu było bardzo cicho. Becky przypuszczała, że Josie jest na dole, może poprawia zeszyty albo piecze ciasto, jak to idealna mamusia, albo naprawia ubrania. Becky nigdy dotąd nie widziała, żeby ktoś naprawiał ubrania. Nadine nigdy tego nie robiła, nigdy, o ile Becky pamiętała, nie przyszyła nawet guzika. Ale Josie naprawiała. Załatała džinsy Rory'ego i zaszyła długie rozprucie w szwie w disneyowskim dresie Clare. Becky nie rozumiała, jak mogli jej na to pozwolić.

Usiadła na brzegu łóżka. Była ubrana i czuła gwałtowną potrzebę ruchu, ale nie wiedziała, co ze sobą począć. Była również głodna. Mimo polecenia Matthew Josie zaproponowała jej kanapkę w porze lunchu, stojąc u stóp schodów i wołając, ale Becky, przekrzykując muzykę, którą znowu zaczęła puszczać, odpowiedziała, że nie jest głodna. Myśl o kanapce sprawiła, że ślina napłynęła jej do ust. W sypialni chłopców znalazła pół paczki chipsów, a w kieszeniach swojej džinsowej kurtki dwa listki gumy do żucia, i pochłonęła to wszystko. Nie miała papierosów. Ostatni raz paliła tydzień temu, kiedy właściciel baru, do którego

przyjechała policja, dał jej jednego. Dał jej także gorące śniadanie, na wspomnienie którego poleciała jej ślinka.

- Głupia smarkata - powiedział jej. - Jakby ucieczka kiedykolwiek coś rozwiązała.

Ale dał jej fajki i śniadanie, a kiedy przyjechała policja, stał przy jej stoliku, żeby w razie potrzeby ją obronić. Nie było potrzeby. Nikomu się do tego nie przyzna, ale poczuła taką wdzięczność, kiedy zobaczyła wchodzących policjantów, że omal nie pobiegła prosto w ich umundurowane ramiona.

Na dole zaczął dzwonić telefon. Zadzwoił dwa razy, trzy, a potem Josie go odebrała. Becky słyszała szmer jej głosu, ale nie rozumiała, co mówi. Po chwili na dole otworzyły się drzwi saloniku i Josie zawołała:

- Becky? - Jej głos brzmiał dziwnie.

Becky wstała.

- T a k ?

- Becky. Możesz tu przyjść?

Wyszła powoli do holu. Josie stała u stóp schodów.

- Becky, to twoja matka...

- T a k ?

- Ona... ma dziwny głos, jest trochę roztrzęsiona...

Becky z łomotem zbiegła ze schodów, wymijając Josie. Nadine zawsze była roztrzęsiona, szczególnie kiedy musiała dzwonić na Barrat Road, ryzykować, że będzie musiała rozmawiać z Josie. Wzięła słuchawkę.

- Mama?

Nadine płakała.

- Musisz przyjechać...

- Co się stało?

- Musisz, mnie nie wolno przyjeżdżać do was, wasz ojciec mi nie pozwala, a teraz jeszcze to się stało...

- Co takiego?

- Becky, nie mogę, nie daję rady, musisz przyjechać, musisz szybko przyjechać...

- Co się stało? Jesteś chora? Zraniłaś się?

- Nie wiem - mówiła Nadine głosem urywanym od szlochu. - Nie wiem.

- Jezu - jęknęła Becky i przełknęła ślinę. - Brałaś coś? Brałaś jakieś tabletki czy coś?

- Nie. Ale jesteś mi potrzebna. Jesteś mi potrzebna tutaj. Koniecz-

nie musisz przyjechać. Nie widziałam cię, odkąd to wszystko się stało, muszę się z tobą zobaczyć, muszę.

- Dobra - powiedziała Becky. Zauważyła, że jej głos drży, jakby się trzęsła. - Dobra.

- Szybko - powiedziała Nadine.

- T a k .

Becky usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Stała przez chwilę, patrząc na słuchawkę, trzymaną w ręce, po czym też ją odłożyła i weszła powoli do kuchni. Josie siedziała przy stole z otwartą książeczką czekową przed sobą, przygotowując opłaty. Podniosła wzrok, kiedy Becky weszła, i zapytała neutralnym tonem:

- Wszystko w porządku?

Becky zawahała się. Podniosła rękę do ust i zaczęła obgryzać skórki przy paznokciu.

- Nie za bardzo - powiedziała.

Josie odłożyła pióro. Zapytała, już mniej neutralnie:

- Co się stało?

- Płakała - powiedziała Becky. - Miała okropny głos. Bez przerwy mnie prosiła, żebym przyjechała...

- Do niej? Do Herefordshire?

- Powiedziała, że muszę. Mówiła, że jestem jej potrzebna. Mówiła, że coś się stało.

Josie wstała.

- Jest chora?

Becky spojrzała na nią.

- Nie wiem, po prostu była zrozpaczona. Ja... ja muszę jechać, muszę...

- Jak się tam dostaniesz?

Becky przygarbiła się.

- Nie wiem. Może pociągiem, a dalej taksówką...

- Mogłabym cię zawieźć - powiedziała Josie.

- T y . . .

- Mam dzisiaj samochód. Stoi przed domem. Mogę cię zawieźć do matki. Tylko zostawię kartkę dla pozostałych i zadzwonię do Matthew...

- Nie - powiedziała Becky.

- N i e ?

- Nie mów tacie - powiedziała Becky. - Proszę. Po prostu mnie zawieź. Nie mów tacie.

- A czy nie pomyśliś wóczas, że to już drugi nieodpowiedzialny krok, jaki uczyniłam w związku z tobą w ciągu jednego tygodnia? - zapytała Josie, patrząc prosto na Becky.

Becky wiedziała, że jej twarz ma w tej chwili błagalny wyraz, ale jakoś nie mogła nic na to poradzić.

- Powiem mu...

- Co mu powiesz?

- Że zrobiłaś to... - Urwała, z trudem przełknęła ślinę i dokończyła: - Żeby mi pomóc.

Josie podeszła do lodówki.

- Jeżeli mamy jechać do Herefordshire, musisz coś zjeść.

- Nie...

- Becky, nie jadłaś nic rozsądnego od tygodnia, a nie wiesz, co cię jeszcze czeka. Jak chcesz pomóc matce, skoro możesz zemdleć u jej stóp?

- Musimy już jechać - powiedziała Becky.

Josie cofnęła się.

- Wyjmij stąd trzy rzeczy do zjedzenia w drodze, a ja w tym czasie wyprowadzę samochód. I zostaw kartkę dla ojca.

- Co mam mu napisać?

Josie przeszła szybko obok niej i zdjęła kluczyki od samochodu z haczyka przy drzwiach wejściowych.

- Nie wiem - powiedziała. - To twoja sprawa.

Rozdział szesnasty

Rufus siedział przy biurku w swoim pokoju i podziwiał nowe zasłony w dużą kremowo-zieloną kratę, z ciemnozielonym pasem biegnącym równoległe do brzegu. Pas był zrobiony z czegoś, co się nazywało plisą, bawełnianą plisą. Rufus zdecydował się na nią po wybraniu kraciastej tkaniny. Przeżywając w myślach swoją pierwszą wyprawę w świat dekoracji wnętrz, czuł wielkie zadowolenie i miałby ochotę pójść teraz trochę dalej, wybrać nową narzutę na łóżko, ponieważ po pojawieniu się nowych zasłon wzór z Batmanem wyglądał dziecinnie. Przydałby się też chodnik. Może czerwony. Zapyta Elizabeth. Ostatecznie to ona zabrała go do sklepu z zasłonami i po prostu pozwoliła mu zdecydować. Otwierała małe, pękate książeczki z kawałkami materiałów i mówiła: „Jak ci się to podoba?” i „Taki odcień zielonego?”, i „Zdaje się, że mówiłeś, że nie chcesz wzorów, tylko linie, prawda?” i zostawiała decyzję jemu. Kiedy sprzedawczyni zwróciła się do Elizabeth jako do matki Rufusa, Elizabeth powiedziała zupełnie normalnym tonem: „Nie jestem matką Rufusa, ale wkrótce zostanę jego macochą”. Potem już do tego nie wracała, oszczędzając mu tym samym głębokiego, niewytłumaczalnego zażenowania. Wiedział, że pod tym względem można na niej polegać; można jej ufać, bo postrzega rzeczy takimi, jakie są, a nie jakie mogą, mogły czy powinny być. Można liczyć na to, że Elizabeth nie będzie robić zamieszania.

- Rufus - odezwała się Dale.

Spojrzał w kierunku drzwi sypialni. Dale opierała się o framugę. Miała na nogach czarne, błyszczące, wysokie buty. Rufus popatrzył na nie.

- Cześć.

- Bardzo eleganckie zasłony - powiedziała Dale.

- Ja je wybrałem.

- Świetny wybór. I biurko ładne.

Rufus przeniósł spojrzenie z nóg Dale na blat biurka. Kopnął w poprzeczkę pod krzesłem. Nigdy nie był do końca pewien swoich uczuć do Dale. Wiedział, że jest jego przyrodnią siostrą, ale właściwie, nie czuł, że jest kimś bliskim. Wiedział, że Dale nie lubi jego matki i to zawsze było trochę niepokojące. Rozumiał, dlaczego niektórzy czasem się złością na jego matkę, ale nielubienie jej było czymś innym, co sprawiało, że nie miał ochoty przebywać z ludźmi, którzy tak myśleli. Prawdę mówiąc, zawsze lubił dom bardziej, kiedy nie było w nim Dale.

Dale podeszła do okna.

- Masz taki ładny widok.

Rufus nic nie odpowiedział. Wziął długopis i zaczął nim pstrykać, góra-dół, góra-dół.

- O wiele ładniejszy niż mój - powiedziała Dale. - Nie wiem, dlaczego nie wybrałam tego pokoju, kiedy byłam mała. Chyba wolałam mój, żeby móc widzieć z okna ulicę i zawsze czekać na rodziców wracających do domu. - Odsunęła się od okna. - Możliwe, że wrócę tu na trochę.

Rufus przestał pstrykać.

- Dlaczego?

- Sprzedałam swoje mieszkanie - powiedziała Dale. - Sprzedałam je bez żadnego problemu, to było zdumiewające. I jeszcze nie kupiłam nowego. Więc myślę, że wrócę na trochę do domu i zamieszkać tu na górze. Mogłabym na przykład urządzić sobie salonik w dawnym pokoju Lucasa.

- Pełno w nim rupieci.

- Mogłabym go wysprzątać. Może dałoby się wstawić część rzeczy tutaj, w pudłach, bo ty przecież nie bywasz tu zbyt często, prawda?

Rufus dziabnął się długopisem w dłoń.

- Bywam.

- No, raz na miesiąc...

- Nie chcę mieć tutaj bałaganu.

- Byłoby porządnie, w pudełkach...

- N i e !

- Dobra - powiedziała Dale. - To tylko propozycja. Znajdę miejsce gdzie indziej.

Rufus zsunął się z krzesła przy biurku. Chciał powiedzieć, że wcale nie chce, żeby Dale tu była, żeby mieszkała z nim na tym samym piętrze, gdzie miał zapewnioną prywatność, nie chce, żeby mieszkała

obok jego pokoju, kiedy on będzie przebywał w domu Matthew. Ale jakoś nie mógł.

- Idę na dół - powiedział.

W kuchni Elizabeth czytała gazetę. Rozpostarła ją na stole, na nosie miała okulary, a obok gazety stał kubek z herbatą. Nie podniosła wzroku, kiedy wszedł, ale powiedziała:

- Jest artykuł o żabach albinosach w West Country. Nie są zielone, tylko pomarańczoworóżowe i białe. Wcale by mi się to nie podobało.

Rufus wskoczył na krzesło naprzeciwko niej.

- Czasami w ogrodzie są ropuchy.

- T a k ?

- Kiedyś zabrałem taką malutką do szkoły, w mokrej szmatce. - Zaczął się bawić brzegiem gazety, rozsuwając strony. Nie kazała mu przestać. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym zapytała:

- Dale jest na górze?

Skinął głową. Elizabeth westchnęła. Zdjęła okulary.

- Gdzie tata? - zapytał.

- W pracowni.

- Dale mówiła, że znów będzie mieszkać w swoim pokoju.

Elizabeth spuściła wzrok na gazetę.

- Wiem.

- Chce wstawić część rupieci z pokoju Lucasa do mojego pokoju.

- Nie może tego zrobić - powiedziała Elizabeth.

- Tata wie?

- T a k .

- Gniewa się?

- Nie - odrzekła Elizabeth. Spojrzała na niego. - Nie martw się. Nikt nie wstawi do twojego pokoju niczego, czego nie chcesz tam mieć.

Rufus zastanowił się, czy powiedzieć, że nie tylko nie chce rupieci, ale nie chce też sąsiedztwa Dale. Zerknął na Elizabeth. Wciąż na niego patrzyła, jakby chcąc go upewnić, że nikt nie powie: „Och, Rufus ma tylko osiem lat, prawie nigdy go tu nie ma i nie będzie miał nic przeciwko temu”.

- Masz ochotę wyjść? - spytała Elizabeth.

- Wyjść?

- Tak. Możemy pójść coś pooglądać, odwiedzić mojego ojca albo iść na spacer.

- Moglibyśmy kupić chodnik?

- Chodnik?

- Do mojego pokoju. Czerwony.

- Czemu nie. Chciałbyś też zobaczyć się z moim ojcem?

Rufus kiwnął głową. Elizabeth wstała.

- Może więc pójdziesz powiedzieć tatusiowi, że wychodzimy?

Rufus zawałał się.

- A ty nie?

- Nie - powiedziała Elizabeth. - Ja nie.

Rufus zsunął się z krzesła.

- Długo nas nie będzie?

- Możliwe. Może zechcemy zjeść po drodze lunch.

- A lunch dla tatusia?

Elizabeth wzięła torebkę i otworzyła ją, żeby schować okulary.

- Dale może go przygotować.

Rufus podszedł do drzwi kuchni i zatrzymał się.

- Tatus się gniewa? - zapytał znowu.

Elizabeth wyjęła szminkę z torebki.

- Nie - powiedziała. - To nie tatuś się gniewa. To raczej ja się gniewam.

Lucas leżał wygodnie, z zamkniętymi oczami na jednej z kanap w swoim mieszkaniu. Jazz - Stan Getz - sączył się delikatnie z odtwarzacza płyt kompaktowych, lecz poza tym w mieszkaniu panował spokój, błogi spokój, ponieważ Amy poszła z koleżanką do kina, a Dale miała przyjść, ale zmieniła zamiar, bo była zaabsorbowana planem wprowadzenia się do domu Toma, zamieszkania w swoim starym pokoju, dopóki nie znajdzie nowego mieszkania.

- Tylko dopóki nie znajdę... - zapewniła Lucasa. - Na kilka tygodni.

Potrząsnął wtedy głową.

- Nie powinnaś...

- Dlaczego? Dlaczego nie powinnam? Ze względu na nią? Ze względu na nią i tatę i - jej głos pogrubiał złowrogo - na ich prywatność?

- Nie - odparł Lucas. - Ze względu na siebie.

- Co masz na myśli?

- To, że nigdy nie pójdziesz do przodu, skoro ciągle się cofasz.

- Nieprawda - powiedziała Dale. - Jestem po prostu rozsądna.

- Ona nie wie, co to słowo znaczy - mówiła później Amy. - Wszystko, co robi, musi być podminowane emocjonalną bombą. Wszystko, co robi, to jedno wielkie zawracanie głowy - nawet gdy odbiera pranie, robi z tego dramat w trzech aktach.

Lucas nic nie odpowiedział. Amy mówiła ze złością i złamała zasady niełatwego zawieszenia broni, jakie istniało między nimi od czasu

ostatniej wielkiej kłótni o Dale. Odbyła się ona późno w nocy, tej nocy, kiedy Amy była w Londynie w sprawie pracy w filmie, której nie dostała. Lucas już prawie spał, a Amy go obudziła, żeby mu wykrzyczeć wszystko, co kiedykolwiek myślała o Dale, wymienić wszystkie elementy w zachowaniu Dale, których nie mogła znieść. Usiłował ją uspokoić, usiłował jej powiedzieć, że doskonale zna różnicę między kochaniem siostry a kochaniem przyszłej żony, ale ona krzyczała, że on nie wie, o czym mówi, że ktoś, kto nazywa swoją siostrę „cukiereczkiem” i „kwiatuśkiem”, jak jakaś postać z trzeciorzędnej amerykańskiej opery mydlanej, ma poważny problem z niedorozwojem emocjonalnym, a może nawet z czymś gorszym, znacznie gorszym, po czym trzaskając drzwiami wybiegła z sypialni i spędziła resztę nocy tu, gdzie teraz leżał, na kanapie.

Rano nastąpiło pełne oporów pojednanie. Zastał ją, kiedy robiła herbatę, wciąż w ubraniu z poprzedniego dnia, objął ramionami i powiedział, że przeprasza, że nie chciał jej zdenerwować.

- To nie ty - powiedziała. - To ona. I może twój stosunek do niej.
- Wobec tego nie będziemy o niej rozmawiać.
- Musimy!
- Wcale nie. Dlaczego?
- Żeby to wyjaśnić...
- Nie ma nic do wyjaśniania - powiedział Lucas. - Musimy pogodzić się z faktem, że ona jest moją siostrą i ani ja, ani ty nie możemy tego zmienić. Proponuję więc, żebyśmy o niej nie rozmawiali. Po prostu przestajemy i koniec.

I rzeczywiście, nie było to dla niego trudne. Dale istniała, ale nie musiała stanowić części jego całego życia, tylko jedynie tej części, która dotyczyła rodziny. Zajmowała go, kiedy sprawiała kłopoty, podobnie jak inne sprawy, podobnie jak zajmowała go teraz praca, z którą wiązało się mnóstwo elementów niepewnych, jak to zwykle bywa w stacji radiowej, która jest sprzedawana innej firmie. Wątpił, aby kiedykolwiek miał zupełny spokój w związku z Dale, jednak nie zamierzał pozwalać, aby ona i jej problemy rozsnuwały się i wypełniały sobą całą przestrzeń w jego sercu i myślach. Kochał ją, oczywiście, ale nie jako najważniejszą osobę w życiu, nie ponad wszystko. Odkrył, że najlepszy sposób na zredukowanie problemu Dale i jej wymagań do rozsądnych rozmiarów to nie myśleć o niej za dużo i mówić jeszcze mniej. Ale okazało się, że Amy tego nie potrafi, Amy nie może wypchnąć Dale z pierwszego planu w tło. Uczucia Amy wobec Dale były jak lawa, kłębiły się pod powierzchnią, ledwo powstrzymywane, i raz na jakiś czas coś płynnego, rozpalonego do czer-

woności, wybuchalo w powietrze, parząc ich oboje. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy bywały chwile, kiedy Lucas miał ochotę odejść, porzucając natłok nieokiełznanych emocji dla prostego, fizycznego, anonimowego życia na placu budowy, przy kładzeniu drogi czy nawet w fabryce. Jednak nie zrobił tego. Mówił sobie, że nie zrobił tego, bo wie, iż ciężar bagażu emocjonalnego nie zależy od geografii, tylko od podejścia, ale w głębi serca wiedział, że nie odszedł, ponieważ jeszcze nie osiągnął punktu, w którym musiałby to zrobić po prostu po to, żeby przeżyć. Może nigdy go nie osiągnie. Może - a tego obawiał się najbardziej - będzie się bał pochwycić ten moment, kiedy już nadejdzie.

Otworzył oczy i wgapił się w sufit. Sam go pomalował, kiedy zamieszkali razem z Amy, zrobił też półki i wycyklinował podłogi. Miał zręczne ręce. Podniósł je i przyjrzał się im. Wspomniał wszystko, co zrobiły, wszystkie powierzchnie, których dotykały, wszystkie funkcje, jakich od nich wymagał, nie prosząc o to świadomie. Miały, jak mówił ojciec, taki sam kształt jak ręce matki, karnację, kolor oczu i włosów też odziedziczył po niej, a nie po ojcu. Nie myślał teraz często o matce. Był okres, kiedy w sekrecie myślał o niej przez cały czas i prowadził z nią długie, gniewne, samotne, jednostronne rozmowy, ale wreszcie zdał sobie sprawę, że prowadzi te rozmowy z kimś, kogo sobie raczej wyobraża niż pamięta, i potrzeba rozmawiania osłabła. A potem zorientował się, że wspomnienia o Pauline powierza Dale, po części dlatego, że Dale tak bardzo ich pragnęła, ale po części, ponieważ on ich nie potrzebował. Często sobie myślał, jak by to było cudownie, gdyby Pauline żyła, jak inne byłoby ich życie, ale tylko tak myślał, nie próbował za tym tęsknić. Ostatecznie jego ojciec był wspaniałym ojcem, poza tym nie miał nic przeciwko pierwszej macosze - z wyjątkiem bólu, który spowodowała swoim odejściem - i nie zamierzał protestować przeciwko drugiej. W tej chwili martwiła go tylko niepewna sytuacja w pracy, brak harmonii, który zasnuwał chmurą jego związek z Amy, oraz niepokój, że gdyby wszystko się rozsypało i zwróciłby się do ojca o pomoc, ojciec nie zauważyłby go, ponieważ był odwrócony w drugą stronę, wpatrzony w Elizabeth.

Na drugim końcu pokoju, brzydko kontrastując ze Stanem Getzem, zaczął dzwonić telefon. Lucas usiadł powoli i przeciągnął się. Potem poczłapał po deskach podłogi, którą sam cyklinował i woskował, i podniósł słuchawkę.

- Halo?
- Lucas? - odezwała się Elizabeth.
- Och - powiedział. - Cześć.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam...
- Nie - odparł - wcale. Właściwie nic nie robiłem.

Usiadł na krześle przy telefonie i oparł kostkę jednej nogi na kolanie drugiej.

- W czym mogę ci pomóc?
- Jestem w kropce... - powiedziała Elizabeth z lekkim wahaniem.
- T a k ?

- Pewnie wiesz, że Dale planuje wprowadzić się z powrotem do swojego dawnego pokoju?

- T a k .
- Bardzo bym chciała dowiedzieć się, co ty o tym sądzisz.
- Co ja sądzę...
- T a k .

Lucas zaczął kręcić stopą opartą na kolanie, dookoła, powolutku.

- A co sądzi tata?

Na chwilę zapadła cisza, po czym Elizabeth powiedziała:

- Bardzo mi zależy, żeby postąpić właściwie.
- Nie rozumiem cię.
- Kiedy kilka miesięcy temu zaproponowałam Dale mój dom, wasz ojciec uważał, że nie powinnam, bo to niedobry pomysł, żebyśmy my i Dale mieszkali tak blisko siebie. Ale teraz, kiedy ona zamierza wprowadzić się z powrotem do tego domu, on widzi to chyba zupełnie inaczej.

- Rozmawiałaś z nim o tym?

- Tak - odparła Elizabeth.

- I co powiedział?

- Powiedział, że to tylko na parę tygodni i że muszę zachować poczucie proporcji.

- Rozumiem - powiedział Lucas. Opuścił zataczającą kółka stopę na podłogę i podniósł drugą, żeby oprzeć ją na kolanie. - Więc dlaczego do mnie dzwonicz?

- Dowiedzieć się, czy istnieje jakiś kawałek układanki, który prze-gapiłam, coś oczywistego, czego nie dostrzegam...

- Nie chcesz, żeby Dale się wprowadziła?

- Nie - powiedziała cicho Elizabeth.

Lucas zamknął oczy. Pomyślał o odwiecznym oddaniu ojca dla Dale, o Amy, o swojej niepewnej przyszłości i o niewygodnym nasyceniu emocjonalnym terażniejszości. Znów otworzył oczy. Lubił Elizabeth, naprawdę lubił, ale będzie musiała sama znaleźć wyjście z lasu, w przeciwnym razie znów zostanie do niego wciągnięta i zgubi się ostatecznie.

- Przykro mi - powiedział Lucas.

- C o ?

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Nie mogę nic zrobić.

Zdawało mu się, że usłyszał ciche westchnienie.

- Oczywiście - powiedziała Elizabeth.

Lucas uśmiechnął się w słuchawkę, żeby w jego głosie zabrzmiało jak najwięcej serdeczności.

- Do zobaczenia - powiedział. - Na razie.

Duncan Brown zrobił sobie zupę w kubku. Uważał, że to naprawdę niezwykle sprytne, iż lekko nakrapiany, kremowy proszek, w małej foliowej paczuszce, po dodaniu wrzątku zamieniał się w zupę grzybową, pełną małych ciemnych kawałeczków prawdziwych grzybów. Pomieszał ją w zamyśleniu. Jego zmarła żona, matka Elizabeth, zawsze przykładnie gotowała zupę grzybową w rondlu, zaczynając od grzybów, mąki i masła, kończąc na wywarze z kości i mleku; cały proces wymagał czasu, uwagi i zmywania. Zmartwiłaby się, widząc foliowe paczuszki Duncana, chociaż może by jej nie zdziwiły. „Och, Duncan”, powiedziała by tonem, który byłby jednocześnie pełen irytacji i pobłażliwości.

- Czy ja jestem podobna do matki? - spytała go dziś Elizabeth.

- Tylko z wyglądu, prawdę mówiąc. Dlaczego pytasz?

- J a k o ś nie pamiętam, żeby była szczególnie macierzyńska...

- Bo nie była.

- A ja tak bardzo chcę mieć dziecko! - zawołała nagle Elizabeth i wybuchła płaczem.

Duncan zaniósł swój kubek z zupą i na wpół zjedzoną paczkę sucharków do dużego pokoju. W powietrzu unosił się lekki zapach cynamonu, skutek użycia przez Shane'a preparatu w sprayu, który rzekomo zapobiegał osiadaniu kurzu. Duncan podszedł do swojego ulubionego krzesła i usiadł na nim, trzymając ostrożnie kubek z zupą i kładąc paczkę sucharków na pobliskim stosie książek. Elizabeth siedziała na małej kanapce z połamanymi sprężynami naprzeciwko, kiedy powiedziała - dość gwałtownie, jak na nią - że tak bardzo chce dziecka.

- Dlaczego miałabyś nie mieć dziecka? - zapytał Duncan.

Elizabeth mocno wydmuchała nos.

- Tom nie chce.

- A h a .

- Ma już troje. Mówi, że jest za stary. Chyba nie rozumie, że ja bardzo chcę dziecka i że cudownym zrzędzeniem losu wcale nie jestem za stara, że mam jeszcze szansę urodzić.

Duncan wstał i nalał dwie okazałe miarki sherry do dwóch różowych marokańskich szklaneczek do herbaty. Podał jedną Elizabeth.

- Dziękuję - powiedziała. - Ale ja właściwie nie lubię sherry.

- Wiem, że nie. Ale mimo to wypij. Jest taka mocna, że odwraca uwagę.

- Czuję się, jakbym rozmawiała z głuchym - mówiła Elizabeth. - Najpierw Dale, a teraz to. Nie, mówi, z uśmiechem, uprzejmie i niewzruszenie, nie. Żadnego dziecka. Nie potrzebujemy dziecka, mamy siebie, mamy Rufusa, którego oboje uwielbiamy - to prawda - i nie potrzebujemy dziecka. - Łyknęła sherry, po czym dodała z większą zaciętością: - Ale ja potrzebuję! Pragnę domowego ogniska i dziecka!

Duncan obracał szklaneczkę w palcach.

- Wyobrażasz sobie obecne trudności z Dale...

- Och, nawet o nich nie mów - powiedziała Elizabeth, wydmuchując znów nos. - Nie wyobrażasz sobie, nie masz pojęcia, jaka ona jest wymagająca, a jaki on wydaje mi się bierny! Ja muszę się zachowywać tak nienagannie, muszę być opanowana, ostrożna, uprzejma, taktowna i nigdy nie okazywać moich prawdziwych uczuć, podczas gdy Dale podtyka nam swoje pod nos, bo zawsze tak robiła, nikt jej nigdy nie powiedział, żeby się pohamowała, uważa, że ma prawo narzucać swoje potrzeby i pragnienia wszystkim dookoła i żądać naszego współczucia, przez cały czas, we wszystkim, ponieważ dawno, dawno temu straciła matkę, której zaczynam nie znosić tak mocno, że aż mnie to zdumiewa.

- Wielkie nieba - powiedział Duncan.

Elizabeth znowu łyknęła sherry i skrzywiła się.

- To taka ulga móc to powiedzieć.

- A brat?

- Dzwoniłam do niego. Pewnie nie powinnam, ale byłam u kresu wytrzymałości i wpadłam na szalony pomysł, że go poproszę, żeby stanął po mojej stronie w sprawie wprowadzania się Dale. Ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłam go poprosić, nie mogłam powiedzieć. On...

- C o ?

- Dał mi do zrozumienia, że muszę sama rozwiązać ten problem, i oczywiście ma rację.

- Ale czy ty potrafisz? - zapytał Duncan. - Potrafisz to wszystko rozplatać, jeżeli Tom nie może ci pomóc?

Elizabeth westchnęła. Wyciągnęła rękę i postawiła szklaneczkę, wciąż do połowy wypełnioną sherry, na egzemplarzu słownika „Chambers's Twentieth Century Dictionary”, którego Duncan używał do rozwiązywania krzyżówek z gazet.

- Kocham go - powiedziała Elizabeth. - Widzę, jak mu ciężko, widzę, jaki jest rozdarty, widzę, jak go przygniata poczucie tej odpowiedzialności, która na nim ciąży od czasu, kiedy Pauline umarła. Zastanawiam się tylko, czy on widzi, że mnie też jest ciężko.

- Przypuszczam, że tak - zapewnił Duncan. - I nie wie, co z tym począć.

Spojrzała na niego.

- Ty tak robiłeś? Z mamą?

Uśmiechnął się.

- Dlaczego ją ciągle w to mieszasz?

- Bo ciągle się zastanawiam, jak by postąpiła na moim miejscu, co by mi radziła zrobić.

Duncan przyglądał się jej. Blask, który bił od niej w Boże Narodzenie, ozlaczając ją jak aureola, troszeczkę już przybladł.

- Powiedziałam Tomowi - mówiła Elizabeth głosem leciutko zachrypniętym, jakby powstrzymując łzy - powiedziałam: „Nie widzisz, że wszyscy jesteśmy trochę samotni w tej naszej niedoszłej rodzinie? W pewnym sensie wszyscy jesteśmy z czegoś wyłączeni, a w innym sensie bezsilni, żeby coś zmienić. Ale musimy próbować, musimy zostawić przeszłość za sobą i próbować”.

- I co on na to?

Elizabeth znów podniosła różową szklaneczkę.

- Powiedział, że nie można zmienić przeszłości, ale przeszłość ma wpływ na wszystko, co przychodzi później. Coś się wydarza, a potem następują konsekwencje. Dał mi do zrozumienia... - Urwała, przygryzła wargę, po czym dokończyła: - Że wiodłam życie pod kloszem, więc nie mam o tym pojęcia.

- To chyba zabrzmiało trochę protekcyjnie.

- Ale i prawdziwie. Byłam jak książka na półce, której nikt nie chciał zdjąć i przeczytać od deski do deski, aż do teraz.

- Elizabeth - powiedział Duncan.

- T a k ?

- Jesteś przyparta do muru, prawda? Zapędziłaś się w ślepy zaułek...

- T a k .

- Moja droga. Co zamierzasz zrobić?

Podniosła szklaneczkę i wysuszyła całą sherry dwoma haustami. Następnie odstawiła pustą szklaneczkę na słownik.

- Poproszę go - powiedziała - poproszę, żeby stanął po mojej stronie.

Rozdział siedemnasty

Czerwona farma Huntleyów wyrastała z czerwonej ziemi Herefordshire, jakby w ciągu stuleci stopniowo się z niej wyłaniała. Była zbudowana na skarpie, otaczały ją bezładnie rozrzucone budynki gospodarcze, zaś między nią a drogą płynął strumień, na którym Tim ułożył prymitywny mostek ze starych podkładów kolejowych. Kiedy Becky przechodziła przez mostek, dwa psy pasterskie uwiązane na długich, brzęczących łańcuchach tuż u wejścia do najbliższej stodoły wybiegły naprzód, szczerząc się i podskakując. Nie mogły jej dosięgnąć, dzieliło je od niej kilka jardów, ale mimo to Becky trzymała się dalszej strony mostku i prędko przeszła do furki wiodącej do małego ogródka. Nie lubiła psów.

Drzwi domu otworzyły się, zanim do nich doszła. Pani Huntley, której dotąd nie poznała, stanęła w drzwiach i przyglądała się jej bez uśmiechu.

- Zastanawialiśmy się, kiedy przyjdiesz.

Becky przełknęła ślinę. Podniosła rękę i odgarnęła włosy z twarzy.

- Opiekowałam się mamą.

Pani Huntley zmierzyła ją wzrokiem. Popatrzyła na jej zmierzwiłone włosy, dzinsową kurtkę, długą, wybrudzoną spódnice i niewyczyszczone buty. Powiedziała, jakby wyrażając niechętnie przyzwolenie:

- Wejź do środka.

Becky poszła za nią. Kuchnia była niska, mała, skromna i czysta. Na przykrytym ceratą stole koło okna leżało kilka pojemników na jajka, zawierających dziwnie kielkujące ziemniaki, a po drugiej stronie siedział Tim Huntley w skarpetkach, jedząc coś z parującego talerza. Zaledwie rzucił na Becky okiem i wskazał jej krzesło naprzeciwko swojego.

- Siadaj.

Becky usiadła. Schowała swoje niebieskie paznokcie w dłoniach i złożyła pięści na kolanach. Pani Huntley nalała do filiżanki herbaty z imbryka stojącego na kuchni i postawiła ją na stole w zasięgu Becky. Becky nie pijała herbaty, nigdy za nią nie przepadała, a ostatnio postanowiła, że nie będzie jej pić w ogóle, z przekory.

- Dziękuję - powiedziała.

- No - odezwał się Tim. - Co masz nam do powiedzenia?

Becky spojrzała na herbatę. Miała ochotę wziąć coś w ręce, ale nie była pewna, czy może wystawić je na spojrzenia Huntleyów, bo mogą drzeć przy podnoszeniu filiżanki. Powiedziała:

- Ja... ja nie wiem, co się stało.

- A co mówiła twoja matka? - zapytała pani Huntley.

Becky zawahała się. Nadine nie potrafiła jej opowiedzieć dokładnie, ale rzucała mnóstwo aluzji. Mówiła, że szalenie się zdenerwowała, słysząc o ucieczce Becky, a potem była oburzona, kiedy Matthew zabronił jej przyjechać...

- Nie zabronił - powiedziała ze znużeniem Becky.

- Właśnie że tak, zabronił mi!

... a potem Tim przyniósł jej jagnię i zdawało się jej, że da radę, a potem dowiedziała się o Becky i zadzwoniła do Tima, przyjechał, ona wpadła w histerię, więc on ją uderzył w twarz i zawlókł na górę do łóżka, a potem...

- Co? - zapytała Becky.

- Nie mogę ci powiedzieć - odparła Nadine.

- Próbował czegoś? Zaczął cię obmacywać?

- Nie wiem - powiedziała Nadine - nie pamiętam, wiem tylko, że mnie przeraził, był brutalny, nie wiedziałam, co się dalej stanie.

Becky uciekła teraz wzrokiem od spojrzenia Tima i pani Huntley.

- Ona... nie wyraża się jasno.

Tim prychnął.

- Nie chcemy żadnych bzdur - powiedziała pani Huntley: - Nie mamy nic przeciwko temu, żeby się nią zająć, trochę jedzenia i tak dalej, ale nie chcemy żadnych kłopotów.

- Przyszłam - powiedziała Becky głośno, zanim opuściła ją odwaga - żeby państwu za to podziękować, podziękować za sprowadzenie lekarza.

Tim wzruszył ramionami.

- Wpadła w histerię.

Becky nic nie powiedziała.

Włożył jedzenie w usta, przez chwilę przeżuwał, po czym powiedział:

- Była na podłodze, kiedy tam przyjechałem, a kiedy próbowałem ją podnieść, rzuciła się na mnie. Więc ją uderzyłem. Uderzyłem, żeby się zamknęła. - Napił się herbaty. - Potem zaniósłem ją na górę. Darła się przez całą drogę. - Obdarzył Becky spokojnym spojrzeniem. - Położyłem ją na łóżku. Potem zszedłem na dół i zadzwoniłem po lekarza.

Becky spojrzała na swoją filiżankę herbaty. Była mocna, z mlekiem, brązowa. Powiedziała:

- Czuje się już lepiej.
- To dobrze.
- Dzwoniła do ciebie? - zapytała pani Huntley.
- Tak...
- Kto cię przywiózł? Widzieliśmy samochód, czerwony samochód...
- Moja... Moja macocha.
- To uprzejmie z jej strony - powiedziała pani Huntley.

Becky kiwnęła głową. To rzeczywiście było uprzejme z jej strony. Było też bardzo niezręczne, nie tyle sama podróż z niepokojącą bliskością, wymuszoną wspólnym przebywaniem w samochodzie, ile moment, kiedy dojechały i Josie zaproponowała, że wejdzie z nią do domu.

- Nie - powiedziała. - Nie, nie trzeba.
 - Ale...
 - Wyjdę - przerwała Becky. - Wyjdę, jeżeli coś...
- Josie popatrzyła na nią z okna samochodu.
- Poczekam tutaj.

Becky skinęła głową. Położyła rękę na przekrzywionej, chwiejącej się furtce i poczuła, że nie może iść dalej. Stała tam, z pochyloną głową, patrząc na swoją dłoń na furtce. Tak bardzo chciała odwrócić się i powiedzieć do Josie: „Chodź ze mną, proszę cię, chodź”, ale zwalczyła to pragnienie. Przemogła się. Zajęło jej to trochę czasu, ale przemogła się. Ruszyła ścieżką do tylnych drzwi chaty, następnie przez kuchnię weszła do środka, pokonała schody, stopień za stopniem, i znalazła Nadine leżącą w łóżku z zamkniętymi oczami. Dopiero wtedy zaczęła krzyczeć, bo przyznała przed samą sobą, że znalazła to, co bała się znaleźć - martwą Nadine w łóżku, dlatego, że nie dotarła do niej dostatecznie szybko, bo mieszkała z kimś innym zamiast tutaj w chacie, ponieważ Nadine już wiedziała, że w Becky zaczyna się budzić męczące niedowierzanie w słowa matki, we wszystkie słowa i czyny, o które Nadine oskarżała innych, żeby ją zranić i wytrącić z równowagi.

Potem zrobiło się okropnie. Nadine otworzyła oczy i coś powiedziała, ale Becky nie mogła przestać krzyczeć, jej krzyk sprowadził Josie,

która pędem przybiegła z samochodu, zaś na widok Josie Nadine po prostu wpadła w szal i wywiązała się obrzydliwa szarpanina z krzykami, która przyprawiła Becky o takie mdłości, taki wstyd, że w jednej sekundzie od krzyku przeszła do zupełnego milczenia. Josie zdołała się wreszcie wyswobodzić i Becky poszła za nią, mimo żądań i błagań Nadine, żeby nie szła. Stały drżące przy samochodzie.

- Lepiej będzie, jak wrócisz ze mną - powiedziała Josie.

Becky potrząsnęła głową. Wymamrotała coś.

- C o ?

- Nie mogę.

- Słuchaj - powiedziała Josie. Opierała się o samochód, jakby nie mogła stać o własnych siłach. - Wiem, że każda uwaga, jaką zrobię, zabrmi jak krytyka twojej matki, ale czy będziesz bezpieczna?

- O tak - odparła Becky. Odwróciła twarz. - Ona... ona nigdy dotąd nie zrobiła czegoś takiego. - Uniosła rękę i ściągnęła pasmo włosów.

- Nie mogę cię tak tutaj zostawić, tylko z nią. Muszę sprowadzić lekarza czy coś.

- Dobrze - powiedziała Becky. Jej ramiona lekko się przygarbiły.

- Jutro jest sobota. Może tata będzie mógł przyjechać... - Urwała.

- Zadzwoń - powiedziała Becky. - Zadzwoń i powiem wam.

- Kupię ci coś do jedzenia...

- N i e .

- Dlaczego?

- Ona tego nie zje - powiedziała Becky. - Nie od... - Zamilkła, a potem powiedziała: - Mamy dobrych sąsiadów.

Josie wyprostowała się powoli.

- Ale pozwolisz mi sprowadzić lekarza?

- Tak - powiedziała Becky.

Stała na drodze, patrząc, jak Josie odjeżdża. Jechała bardzo wolno, jakby szok i niepokój prawie jej uniemożliwiały prowadzenie samochodu. Kiedy w końcu znikła z zasięgu wzroku za zakrętem na drodze, Becky odwróciła się i weszła z powrotem do domu. Nadine stała przy stole kuchennym z założonymi rękami.

Powiedziała, bardzo wyraźnie, jakby sobie to zaplanowała:

- Bardzo przepraszam.

Becky nic nie odpowiedziała. Przeszła obok Nadine do zlewu i sięgnęła nad nim, żeby utworzyć okno.

- Za wszystko - dodała Nadine.

Becky wciągnęła w płuca powietrze wpadające z zewnątrz.

- Zaraz przyjdzie lekarz.

- Nie potrzebuję lekarza - powiedziała Nadine. - Już tu była lekarzka. Tim ją sprowadził. Dostałam leki antydepresyjne i tabletki nasenne. Wzięłam je, zanim przyjechałaś.

- Typowe...

- Co takiego?

Becky odwróciła się.

- Że dzwonicz do mnie, a potem bierzesz tabletki nasenne, które zresztą są przeznaczone na noc.

Nadine wpatrywała się w nią.

- Mówiłam, że przepraszam. Naprawdę. Bardzo przepraszam.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała Becky.

Podeszła do lodówki i otworzyła drzwiczki. W środku było kilka rzeczy w brązowych papierowych torbach, pęknięte jajko na spodeczku i karton soku jabłkowego o przedłużonej trwałości.

- Co teraz zrobisz? - spytała Nadine.

Becky zatrzasnęła drzwi lodówki.

- Jeszcze nie postanowiłam.

- Zostaniesz? - spytała Nadine. W jej głosie brzmiała nutka prawdziwego niepokoju. - **Zostaniesz**, żeby mi dotrzymać towarzystwa?

Becky zerknęła na nią. Dotknęła górnej kieszeni dzinsowej kurtki i zatrzymała tam na chwilę rękę. W drodze Josie zatrzymała się, żeby nabrać benzyny, a kiedy po zapłaceniu wróciła do samochodu, wręczyła Becky paczkę marlboro lights. Nic nie powiedziała. Becky też nie.

- Wychodzę - oznajmiła Becky.

- Dokąd?

- Nie wiem. Może na spacer.

- Długo cię nie będzie?

- Nie - odparła Becky.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała Nadine. - Musimy to wszystko omówić.

- Przykro mi - powiedziała Becky. Przeszła przez kuchnię do drzwi wyjściowych. - Zostanę, dopóki się nie poczujesz lepiej. Powiedziałam, że zostanę. Ale nie mówiłam, że będę rozmawiać.

- Jesteś tu od tygodnia - powiedziała teraz pani Huntley.

- Wiem.

- A co z twoją szkołą?

- Dzisiaj był koniec semestru. Zresztą i tak opuszczałam lekcje...

Tim Huntley rzucił kawałek chleba na swój opróżniony talerz i zaczął go przesuwać widelcem.

- Może pomógłby tu twój tata?

- Nie może.

- Dlaczego?

Becky spojrzała wprost na niego.

- Ona mu nie pozwoli.

Włożył kawałek chleba do ust.

- Więc wszystko spada na ciebie?

Becky wzruszyła ramionami. Wstała, przytrzymując się krawędzi stołu.

- To nie w porządku - orzekła pani Huntley. Spojrzała na Becky. - Ty musisz myśleć o szkole.

- Chyba już pójdę - powiedziała Becky.

Tim Huntley też wstał.

- Dzwon do nas. W każdej chwili.

- Dziękuję - powiedziała Becky.

Wyszła z domu, obserwowana przez nich, a potem minęła w bezpiecznej odległości szczekające psy i przeszła po mostku z podkładów kolejowych na drogę. Poziom wody w strumieniu był wysoki za sprawą zimowych deszczy przychodzących z gór, jak twierdził listonosz - i płynęła naprawdę wartko, a głogowy żywopłot stał nieruchomo. Jego jasnozielone listki wyglądały, jakby były starannie wycięte ząbkowanymi nożyczkami do haftów. Becky wyjęła papierosy z kieszeni i włożyła jednego do ust. Był to przedostatni z paczki, którą tydzień temu dała jej Josie. Przerwała na chwilę swoją włóczkę, żeby zapalić, a potem ruszyła dalej, tupiąc ciężko butami, wydmuchując niebieski dym w czyste powietrze nad strumieniem i głogowym żywopłotem.

Nadine siedziała na trawie w ogrodzie przy chacie, pod niemal uschniętą jabłonią. Miała na nosie okulary, a na kolanach stos samouczków do greckiego, które znalazła w miejscowym sklepie ze starzyzną. Podniosła wzrok, kiedy Becky wchodziła przez furtkę.

- Jak było?

- W porządku - powiedziała Becky.

- Opowiesz mi?

- Nie ma nic do opowiadania - powiedziała Becky. - Tim jadł i pytali mnie, jak się czujesz.

Nadine zdjęła okulary.

- Czuję się świetnie.

- Na razie - powiedziała Becky. Położyła rękę na kieszeni kurtki. Został jeden. Lepiej go zachować na później. Osunęła się po drzewie i usiadła, opierając się o nie plecami i obejmując kolana.

- Nie, teraz już naprawdę będę zdrowa. Naprawdę. Obiecuję. Idzie lato...

- Nie powinnaś mieszkać sama - powiedziała Becky.

- Co ?

- Słyszałaś. Nie powinnaś mieszkać sama. Nie dajesz sobie rady.

Nadine zwróciła na nią spojrzenie pełne niepokoju.

- Och, Becky...

- Nie dajesz - powtórzyła Becky. Spojrzała w górę na niebo, poprzez czarne, powykręcane gałęzie jabłoni. - A... - Urwała.

- A co? - zapytała niespokojnie Nadine.

- A ja nie mogę z tobą dłużej mieszkać. Nie na stałe. Ja też nie dam sobie z tobą rady - powiedziała Becky ze wzrokiem wciąż utkwionym w niebo.

- Nie dostałem - powiedział Matthew.

Josie odwróciła się. Stał oparty o framugę drzwi kuchennych, wciąż w marynarce i krawacie, ale krawat był przekrzywiony i rozluźniony.

- Wygłaszali długą mowę - mówił Matthew. - Taką, co ma sprawić, żeby człowiek się nie domyślił, iż prawda jest ostatnią rzeczą, jaką mają zamiar powiedzieć.

Wolno wszedł do kuchni, odciągnął krzesło od stołu i usiadł. Josie przysunęła do niego drugie krzesło i też usiadła. Ujęła jego rękę.

- Och, Matt.

- Powiedzieli, że chociaż - posiadam wymagane doświadczenie i wszelkie kwalifikacje, wydaje im się, że z powodu sytuacji rodzinnej nie jest to dobry moment w moim życiu, żeby brać na siebie dodatkowe obowiązki. Powtórzyli to kilka razy na różne sposoby, aż poczułem się taki niezdatny do niczego, że ledwo mogłem prosto usiedzieć. Co za niesprawiedliwość.

- Wiem.

- Niesprawiedliwość nie w tym sensie, że nie dali mi tego stanowiska. Chodzi mi o podstępny insynuację, że moja sytuacja rodzinna mnie przerasta, podczas kiedy dawniej było o wiele gorzej. I co za tchórzostwo, nie zdobyli się, żeby mi powiedzieć, że po prostu się nie nadają.

Josie podniosła jego rękę, którą trzymała, i przyłożyła do swojej twarzy.

- Nikt tego nie robi, chyba że sadysta. Nikt tego nie lubi.

Spojrzał na nią.

- Nie mogę znieść tego, że pierwsza próba dokonania czegoś po ślubie z tobą zakończyła się porażką.

Nachylił się i pocałował ją.

- Ten awans był nam potrzebny - powiedział. - Potrzebne nam było jakieś pozytywne wydarzenie, coś, co by nas przekonało, że najgorsze już za nami. - Delikatnie zabrał rękę z jej dłoni. - Gdzie są dzieci?

- Wyszły - powiedziała Josie. - Clare i Rory są u sąsiadów, a Becky poszła do koleżanki.

- Czy... czy jest lepiej, od kiedy Becky wróciła?

- Jest spokojniej - odparła Josie.

- Tylko tyle?

Popatrzyła w dół na swoje ręce. Podczas tej podróży powrotnej z Herefordshire zaczęła zastanawiać się nad czymś, ale jeszcze nie była gotowa porozmawiać o tym z Matthew. Zaczęła nagle inaczej postrzegać jego dzieci, ale na razie chciała to zachować dla siebie. Rozmyślała bardzo często o twarzy Becky, kiedy dziewczyna wysiadła z samochodu przed domem Nadine, o postaci Becky niknącej w lusterku wstecznym, kiedy ona odjeżdżała po tej wstrętnej scenie. Nie spodziewała się, że Nadine jest taka brutalna. Ani tego, że tak pięknie wygląda. Ani - i to było najbardziej zdumiewające ze wszystkiego - nie spodziewała się, że zarówno ona, jak i Becky będą odczuwały rzeczywistość, namacalną niechęć przed rozstaniem. Można by podać tuzin powodów tej niechęci, tłumaczyć ją w sposób, który wcale nie umniejszyłby antagonizmu między nimi, ale i tak po wszystkich wyjaśnieniach pozostawało uporczywe wrażenie, że przy chwilowym opuszczeniu tarcz zamigotał słaby promyk nadziei.

- Josie? - odezwał się Matthew.

Podniosła na niego wzrok.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała.

- Wiem. Mnie też. - Wstał. - Czuję tylko...

- Proszę - przerwała mu Josie - proszę cię, nie mów nic więcej. Proszę cię. Owszem, to rozczarowanie, ale nic ponadto, nie jest tak źle, jak bywało.

Uśmiechnął się do niej słabo.

- Może.

Wyszedł z kuchni. Usłyszała jego kroki na schodach, a potem odgłos otwieranej szuflady, kiedy szukał w sypialni swetra. Następnie rozległ się tupot nóg w holu i grzechot ściągnięcia składanej drabinki, która prowadziła na strych.

Josie popatrzyła na stół w kuchni. Leżały na nim okruchy oraz plastikowa teczka z plikiem szkolnych zestawień ocen z poprzedniego semestru, z którymi się opóźniła z powodu opieki nad Becky. Było też

pudełko po płatkach, pozostawione przez któreś z dzieci, oraz pocztówka od Rufusa do Rory'ego ze zdjęciem łaźni rzymskich w Bath. Pisał, że dostał łyżworolki i że często pada deszcz. Jego pismo było drobne i ściśle. Pozdrowienia od Rufusa, napisał na dole. Kiedy Clare wzięła kartkę, żeby ją przeczytać, Rory wyrwał jej ją. „No!”, powiedział, przyciskając kartkę do piersi. „Kto ci powiedział, że wolno czytać?” Josie spojrzała na nią teraz. Rufus miał łyżworolki. Może kupiła mu je ta miła Elizabeth, uczyła go jeździć po szerokich, jasnych chodnikach podczas weekendów, kiedy przyjeżdżała z pracy w Londynie i przejmowała władzę nad domem, Tomem, Basilem i Rufusem, gładko mknąc na małych kółkach, nieskazitelna, nieporuszona.

Otworzyły się drzwi. Weszła Becky, niosąc małą torbę ze sklepu muzycznego. Josie podniosła wzrok.

- Cześć.

Becky kiwnęła głową. Podeszła do zlewu i nalała wody do kubka.

- Widziałam, że tata wrócił.

- Jest na gorze - powiedziała Josie.

Becky głośno łyknęła wodę i odstawiła kubek, nieopłukany, na suszarkę.

- Idę na górę...

- Becky, czy mogłabyś najpierw coś dla mnie zrobić?

Becky zmierzyła ją wzrokiem.

- Co o?

- Czy mogłabyś przyprowadzić resztę dzieci od sąsiadów?

- Po co?

- Mam powód - powiedziała Josie. - Nie prosiłabym cię o to, gdybym nie miała.

Becky zatrzymała się niepewnie na chwilę, po czym wyszła z kuchni i Josie usłyszała ciężkie tupanie jej butów na podjeździe. Wstała i przejrzała się w lusterku, które Matthew powiesił jej przy drzwiach - „żebyś mogła sprawdzić, czy nie masz szminki na zębach”. Wyglądała lepiej, pomyślała, nie cudownie, ale lepiej, mniej zagoniona, mniej wycieńczona, już nie jak ćma przyszpilona do tablicy. Wyjęła sztywną opaskę z włosów i wstrząsnęła nimi. Przypomniało jej się, że kiedy była mniej więcej w wieku Becky, ufarbowała włosy na czarno, na kruczą czerń. Elaine przeraził wygląd Josie, ale ona była zachwycona przynajmniej przez tydzień, zachwycona natychmiastową zwyczajnością, jaką zyskała dzięki włosom, uwolniona od przymusu wyróżniania się jako rudzielec.

Drzwi zewnętrzne znów się otworzyły z trzaskiem. Josie odsunęła się od lusterka i zbliżyła do stołu.

- Dziękuję, że wróciliście.

Wszyscy troje spojrzeli na nią.

- To nie potrwa długo - powiedziała Josie. - Nie zatrzymam was długo.

Rory schylił się, żeby zawiązać wlokące się sznurowadła adidasów.

- Właściwie mam dwie sprawy - powiedziała Josie. Odsunęła krzesło, które zwykle zajmował Matthew, u szczytu stołu, i usiadła na nim. - Chcecie też usiąść?

Becky zamknęła drzwi i oparła się o nie, chowając ręce za plecy. Rory został na miejscu, kucając nad sznurówkami. Clare podeszła i usiadła po przeciwległej stronie stołu, trzymając swój magnetofon.

- Nie wiem, czy to odpowiednia chwila, żeby mówić o tym, co zamierzam powiedzieć - rzekła Josie. - Ale w ogóle nie wiem, co to jest ta odpowiednia chwila. Wydaje mi się, że ta jest całkiem dobra. Rufusa nie ma i chociaż to, co mam do powiedzenia, jego również dotyczy, was dotyczy bardziej. - Oparła się o stół, kładąc dłonie płasko przed sobą. Potem powiedziała: - Niestety wasz tata nie dostał awansu.

Gapili się na nią. Spodziewała się, że Clare zacznie płakać, Becky powie, że to i tak nie Josie sprawa, a Rory popędzi na górę szukać Matthew. Jednak nic takiego nie zrobili; nie poruszyli się nawet.

- Nie muszę wam mówić, jak się czuje. A co on wam powie i co wy mu powiecie, to w końcu wasza sprawa. Ale to daje mi szansę powiedzenia paru rzeczy, których może nie mogłabym powiedzieć, gdyby nic się nie stało.

Rory wstał powolutku i usiadł na krześle koło Clare.

- Chodzi o to, że... - powiedziała Josie i urwała. Założyła włosy za uszy i powiedziała gwałtownie: - Nasze wspólne życie nie musi być katastrofą. Naprawdę.

Rory palcem wskazującym zaczął popychać po stole okruchy. Jego twarz była nieruchoma.

Josie mówiła pospiesznie:

- Przecież ciągle rozpadają się jakieś rodziny. Na przykład ktoś umiera albo ktoś odchodzi i już, rozpadło się. To jest okropne, to zawsze jest okropne. Nie ma co udawać, że to nie jest okropne, nikt nie twierdzi, że to nie jest smutne, ciężkie i trudne. Dlatego właśnie chce się, żeby przeszłość wróciła, nieważne, że była zła, ponieważ była lepsza. Albo wydaje się, że była.

Przestała mówić. Becky wciąż się w nią wpatrywała. Josie odwzajemniła spojrzenie.

- Nie wiem dokładnie, przez co przeszliście. Oczywiście, że nie

wiem. Tyle że - cóż, tyle że mój tata zwiął, kiedy miałam siedem lat, i od tamtej pory go nie widziałam.

Niebieskie spojrzenie Becky opadło. Palec Rory'ego zatrzymał się w trakcie robienia malutkiej góry z okruszków. Josie ponownie rozłożyła dłonie płasko na stole i popatrzyła na nie, na kilka piegów na grzbietach, których zawsze nienawidziła, na ślubną obrączkę.

- Może mamy teraz jakąś szansę. Może moglibyśmy zacząć naprawiać szkody po tym rozpadzie. Jeśli przestaniemy bać się bycia przybraną rodziną. - Zwinęła prawą rękę na obrączce. - Wiem, że nie jestem waszą matką. Nigdy nie będę. Ale mogłabym być waszą przyjaciółką, podporą, sponsorem. Prawda? Czasami trudności wychodzą ludziom na dobre, ponieważ trzeba zrobić wysiłek, żeby je pokonać. - Zamilkła. - Przepraszam - powiedziała. - Nie chcę wam prawić kazania. - Zdjęła ręce ze stołu i położyła je na kolanach. - Chcę tylko powiedzieć, że chociaż jesteście rodziną nietypową, nie musimy być gorszą od innych. Zgadzacie się?

Becky odsunęła się od drzwi. Zrobiła tylko kilka kroków, żeby stanąć za Clare.

- A co z mamą? - spytała, wyrzucając z siebie pojedyncze słowa.

Josie wzięła oddech.

- Będzie musiała się pogodzić. Tak jak i my. Ze sobą nawzajem.

Wstała powoli. Nie patrzyli na nią. Rory uderzył rękami na płasko o stół i jego stos okruszków rozsypał się na wszystkie strony.

- Powiniście iść do Matthew - powiedziała Josie. - To on jest teraz w potrzebie.

- Dobra - powiedział Rory. - Dobra, dobra.

Zerwał się, przemknął obok niej i gwałtownie otworzył drzwi do holu. Clare poleciała za nim i ich stopy zatupały na schodach. Becky patrzyła za nimi. Została na miejscu, za krzesłem, gdzie siedziała Clare, patrząc na pusty hol, gdzie przed chwilą byli jej brat i siostra. Potem zerknęła na Josie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i znów je zamknęła.

Następnie przemówiła, wskazując niezgrabnie na czajnik:

- Zrobić ci kawy?

Rozdział osiemnasty

Rzeczy Dale pokrywały niemal całą podłogę korytarza na piętrze. Były to bardzo porządne, opatrzone napisami pudła, torby i plastikowe reklamówki, starannie poukładane i ustawione według wielkości przy ścianach między drzwiami. Drzwi pokoju Rufusa były otwarte, a w środku, na podłodze, stał telewizor i wideo Dale, a między łóżkiem a biurkiem leżał pagórek rzeczy z pokoju Lucasa. Drzwi pokoju Lucasa też otwarto na oścież i widać było, że pokój został na wpeł uprzątnięty, żeby zrobić miejsce dla kanapy z mieszkania Dale, niskiego stolika, lamp, plakatów i stosu reprodukcji z wystaw sztuki w antyramach. Drzwi pokoju Dale pozostawały zamknięte na klucz.

To wszystko zdarzyło się w ciągu pięciu dni. Elizabeth, jak zwykle, pojechała do Londynu w niedzielę wieczorem, i jak zwykle, rozmawiała z Tomem kilkakrotnie w ciągu dnia przez cały roboczy tydzień. Nie mówił nic o Dale ani o jej rzeczach. Elizabeth wcale to nie dziwiło. Po długiej, trudnej i nerwowej rozmowie na temat Dale ustalili, że Tom wreszcie coś zrobi w jej sprawie, ale musi mieć spokój i móc to zrobić, cokolwiek by to było, samodzielnie.

- Nie mogę rozmawiać z Dale, jeżeli czuję, że muszę ci wszystko dokładnie relacjonować - tłumaczył Tom.

- Ale mnie to też dotyczy! Ponieważ dotyczy nas...

Zmarszczył się. Przyglądała mu się uważnie, próbując odgadnąć, co naprawdę myśli, czego się naprawdę obawia.

- Muszę mieć spokój - powiedział. - Muszę załatwić to z Dale tak jak zawsze, sam. Jeżeli mi nie zaufa, nic nie wskóram, a nie zaufa mi, jeżeli będzie myślała, że wszystko przekazuję tobie.

W piątek wieczorem Elizabeth wróciła do Bath. Tom, jak zwykle, wyszedł po nią na stację. Wyglądał na zmęczonego. Zachowywał się, jakby coś ukrywał.

- Obawiam się, że nie idzie mi najlepiej. Ale to tylko kwestia czasu - powiedział, siląc się na żartobliwy ton.

- Co masz na myśli?

- Zobaczysz - odpowiedział.

Poszła prosto na górę, kiedy dotarli do domu, prościutko, nie zatrzymując się nawet, żeby przełożyć torbę z ramienia na słupek poręczy schodów. Wiedziała, co znajdzie po dojściu na górę, i rzeczywiście to znalazła, tyle że większe, niż się spodziewała, a porządek emanował większą pewnością siebie, niż zakładała, był bardziej stabilny, bardziej niewzruszony. Stała, lekko zdyszana, i patrzyła z uczuciem, w którym mieściła się zarówno wściekłość, jak i rozpacz, na jawny, nieomylny dowód zamiarów Dale.

Spojrzała na pokój Rufusa. Narty i kijki Lucasa oraz jego rakietę tenisową były rzucone na łóżko, a nowego czerwonego chodnika Rufusa prawie nie było widać spod bezładnej kupy wypchanych toreb i rozwalających się pudeł. Na porządek, który panował wśród rzeczy Dale, najwyraźniej nie zasługiwały rzeczy innych osób. Upuszczając torbę na podłogę, Elizabeth wbiegła do pokoju Rufusa i wywlokła telewizor z wideo, mimo ich nieporęczności i ciężaru, na niewielki obszar korytarza, który pozostał pusty. Potem zaczęła chwytac torby i pudła jak leci i uwijała się, zadyszana, wynosząc je z pokoju Rufusa i rzucając byle gdzie, byle jak, wśród symetrycznych stosów w holu. Zaczęła rzucać rzeczy, ciskać przez drzwi, pozwalając, by z hałasem ześlizgiwały się i spadały na podłogę, obrazy i książki, plastikowe worki z ubraniami i pościelą, pudełko po butach pełne starych kaset, kij do hokeja, składany stojak na butelki wina, zestaw kręgli w zielonym tekturowym pudle. Następnie zgarnęła narty, kijki i raketę tenisową w jedno wielkie, niezgrabne naręcze i potykając się wybiegła z nim z pokoju, po czym cisnęła je z hukiem i łoskotem w dół schodów.

- Co się tam, u diabła, dzieje? - zapytał Tom.

Stał u podnóża schodów i patrzył w górę. Elizabeth puściła ostatnią poduszkę.

- A jak myślisz, do cholery?

Tom przelazł nad raketą tenisową i przesunął nartę z miejsca, gdzie leżała, zaklinowana w poprzek schodów.

- Najdroższa...

- Co z Rufusem? - krzyknęła Elizabeth. - Nie potrafisz zatroszczyć się o mnie, ale spodziewałam się przynajmniej, że zatroszczysz się o niego!

- Skarbie, Rufusa tu nie ma...

- Nie nazywaj mnie skarbem! - wrzasnęła Elizabeth.

Tom zatrzymał się na schodach.

- Dale tu nie mieszka - powiedział. - Proszę, nie zachowuj się jak bohaterka melodramatu. Ona tu nie mieszka. Mieszka u koleżanki. Po prostu nie ma gdzie przechowywać rzeczy, dopóki nie znajdzie mieszkania, więc powiedziałem...

- Och! - zawołała Elizabeth z irytacją. - Och, nie mów mi, co powiedziałeś! Mogę sobie to dokładnie wyobrazić! Powiedziałeś wszystkie te rozsądne, uspokajające, ugodowe rzeczy, które mówisz Dale od dwudziestu lat, z takim katastrofalnym skutkiem. Jak to rozumiesz, że ona tu nie mieszka?

- Nie mieszka.

Elizabeth wskazała dziko na drzwi pokoju Lucasa.

- Ale będzie!

- Nie, mieszka u...

- Więc dlaczego urządza tu salonik? Dlaczego robi dokładnie to, czego Rufus nie chciał, gdy tylko zniknął na chwilę z pola widzenia? Dlaczego trzyma swoje drzwi zamknięte na klucz? Dlaczego zachowuje się tak wyraźnie, cholernie prowokacyjnie, skoro rzekomo nie zamierza się tu wprowadzić i obserwować nas jak jastrząb?

- Elizabeth - powiedział Tom. Zamknął na moment oczy, jakby zbierając siły, żeby dojść do ładu z tym nieracjonalnym zachowaniem, chociaż nie powinno się tego wymagać od żadnego cywilizowanego człowieka. - Elizabeth. Czy możesz mnie wysłuchać? Rozmawiałem z Dale, tak jak sobie życzyłaś...

- Jak się umówiliśmy!

- Jak sobie życzyłaś, i zapytała, czy może tu przechować swoje rzeczy przez kilka tygodni, dopóki nie znajdzie mieszkania. Mieszka u koleżanki imieniem Ruth, która ma dwójkę małych dzieci, w Bristolu. W tym tygodniu oglądała trzy mieszkania, a w sobotę, jutro, będzie oglądać dwa następne. Rozumiem życzenia Rufusa równie dobrze jak ty, ale wtargnięcie do jego pokoju, które tak cię poruszyło, jest tylko chwilowe. Zostanie całkowicie przywrócony do stanu poprzedniego, zanim go będzie potrzebował.

- Ha - powiedziała Elizabeth.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć ha, Tomie Carver. Chcę powiedzieć, że jesteś głupcem, jeżeli w to wszystko uwierzyłeś. A do tego jesteś cholernie słaby. - Podniosła głos. - Słyszysz? Słyszysz? Dale może z tobą zrobić, co jej się żywnie podoba, bo jesteś kompletnie, żałośnie słaby!

Podniósł na nią wzrok. Jego wyraz twarzy nie był przyjazny ani nieprzyjazny, raczej obojętny, jakby Tom jej nie rozpoznawał, jakby jej obelgi nic dla niego nie znaczyły, bo w gruncie rzeczy są sobie całkowicie obcy. Następnie odwrócił się, wyswobodzając się z rupieci leżących wokół nóg, i z godnością poszedł na dół. Elizabeth patrzyła za nim, a kiedy zniknął jej z oczu, zaczęła na odgłos tego samego miarowego kroku przechodzącego przez hol na parterze. Spojrzała pod nogi. Jej torba leżała tam, gdzie ją porzuciła. Otworzyła się i wypadły z niej klucze, książeczka czekowa i mała butelka wody mineralnej. Elizabeth schyliła się automatycznie, żeby pozbierać rozsypane rzeczy, posprzątać. Zaraz jednak wyprostowała się i przelażąc nad torbą, leżącymi bezładnie kablami od telewizora, rozrzuconą zawartością różnych toreb i pudeł, dotarła do łóżka Rufusa, położyła się na nim, twarzą do narzuty z Batmanem, którą tak gorąco pragnął wymienić na coś bardziej wyszukanego, i chwyciła się jej jak liny ratunkowej.

- Przepraszam - powiedział Tom.

Nakrył dla dwóch osób naprzeciw siebie, przy stole kuchennym, i zapalił świece. Była też otwarta butelka wina i rozchodził się ciepły, maślany zapach. Wziął Elizabeth w ramiona.

- Bardzo przepraszam.

Wtuliła twarz w jego ramię, w ciemnoniebieską wełnę jego swetra. Spodziewała się, że zaraz usłyszy siebie mówiącą „Ja też”. Do tego jednak nie doszło.

- To było niewybaczalne z mojej strony - mówił Tom. - Szczególnie w piątek wieczorem, kiedy ty jesteś zmęczona, a ja zły na siebie samego.

Elizabeth westchnęła. Popatrzyła na miękkie światło płomieni świec, na kieliszki i czarny włoski młynek do pieprzu, który można było przekręcać, żeby mleć grubo lub drobno.

- Jak to się stało?

- Kiedy mnie nie było - powiedział Tom. - W środę. Byłem na spotkaniu z klientem, który chce przerobić na dom osiemnastowieczną kaplicę, a po powrocie znalazłem kartkę. Następnego dnia przyjechała, trochę tu uporządkowała i opowiedziała mi o Ruth.

Elizabeth wyplątała się z objęć Toma. Powiedziała ze zmęczeniem:

- Nie wierzę w Ruth.

- Ona istnieje.

- W to wierzę.

- Usiądź - powiedział Tom.

Wyciągnął krzesło po tej stronie stołu, gdzie Elizabeth zazwyczaj siedziała, i delikatnie zmusił ją, żeby usiadła.

- Kupiłem flądrę. Wiem, że je lubisz.
- Rzeczywiście.
- Dobry miałaś tydzień? W pracy?
- Dziękuję, bez wydarzeń - odparła Elizabeth grzecznie.

Tom postawił na stole miskę z sałatką i żółty fajansowy półmisek z młodymi ziemniakami. Ziemniaki były posypane pietruszką. Elizabeth spojrzała na nie, zastanawiając się z pewną obojętnością, czy to normalne, żeby pamiętać o przybraniu ziemniaków pietruszką. Czy, zwłaszcza dzisiaj wieczoru, ma to szczególne znaczenie, stanowi subtelny przekaz od tego, kto pietruszkę siekał, dla tego, kto ją będzie zjadał. Może chodzi o starania i o wszystko, co się z tym wiąże, o wyrażanie miłości w praktycznych szczegółach, ponieważ czasami nie można wyrazić jej bardziej bezpośrednio. Czy Tom, kiedy gotował - co robił często i doskonale - zawsze pamiętał o pietruszce?

Postawił przed nią talerz. Flądra połyskiwała ciemno, obok ćwiartki cytryny.

- Zajadaj.
- Dziękuję - powiedziała Elizabeth. - Wygląda wyśmienicie.

Usiadł naprzeciw niej.

- Wyglądasz na taką zmęczoną.

Wzięła nóż i widelec.

- To od płaczu.

Powiedział z żarem:

- Jesteś cudowna, jeśli chodzi o Rufusa.

- To nic trudnego.

- A jednak...

- Tom - powiedziała, rozkrawając delikatnie rybę - nie rozmawiajmy o nim. Nie rozmawiajmy o dzieciach, o żadnych dzieciach.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście - powiedział. Wziął butelkę wina i sięgnął przez świecę, żeby napełnić jej kieliszek. - Ta kaplica, którą widziałem, ta, którą oglądałem w tym tygodniu, jest fascynująca. Projekt klasyczny, fronton i tak dalej, a została zbudowana przez gorliwą, ale niewątpliwie pomyloną arystokratkę, dla pewnej sekty, która wierzyła w wyłączną duchowość kobiet.

- Brawo.

- Oczywiście została założona przez mężczyznę.

- Oczywiście.

- Nie dopuszczał żadnych innych mężczyzn. Przekonał Lady Jakjejtam, że potrzebuje jego fizycznej i duchowej siły, żeby nie ulec trującym wpływom innych mężczyzn. To śliczny budynek, pełen światła, wykładany szarym i białym kamieniem. Oczywiście bardzo zniszczony.

Elizabeth wzięła sobie dwa ziemniaki z żółtego półmiska.

- Mogę go obejrzeć?

- Oczywiście. Bardzo bym chciał ci go pokazać. Jest na liście zabytków, więc będziemy musieli zrobić pokoje z zakrystii i pomieszczeń na zapleczu, a samą kaplicę zaadaptować bez zmian, jako przestrzeń mieszkalną.

- Musi być dekonsekrowana?

- Nie sądzę, żeby Bóg bywał tam częstym gościem - powiedział Tom, biorąc kieliszek z winem. - Przypuszczam, że założyciel sekty pilnował, żeby nikt z nim nie dzielił głównej sceny. Bardzo bym chciał wiedzieć, co się tam naprawdę działo.

Elizabeth nagle podniosła oczy.

- Co to było?

- Co...

- Coś - powiedziała Elizabeth. - Drzwi wejściowe...

Tom uniósł się nieco na krześle. W holu rozległy się szybkie kroki, a następnie otworzyły się drzwi kuchni.

- Cześć! - powiedziała Dale.

Uśmiechała się. W jednej ręce miała torebkę i klucze, a w drugiej bukiet lilii. Płosem okrążyła stół i wepchnęła kwiaty Elizabeth.

- Dla ciebie.

Elizabeth zaczerpnęła tchu.

- Och...

Tom stał już prosto.

- Kochanie...

- Cześć, tatusiu - powiedziała Dale. Ponownie okrążyła stół i pocałowała go.

- Nie mówiłaś, że przyjedziesz...

- Nie wiedziałam - odparła Dale. Mrugnęła do Elizabeth. - Nie wiedziałam, że przyjadę, dopóki nie wróciłam, by stwierdzić, że przystojniak Ruth z wczorajszej randki ciągle jest w domu, ubrany wyłącznie w prześcieradło kąpielowe. Ruth właściwie nie powiedziała, że mam spadać, ale nie musiała. O, nie przeszkadzajcie sobie w kolacji. - Pochyliła się przelotnie nad talerzem Elizabeth i powąchała zachłannie. - Pachnie cudownie. Co to jest?

- Flądra - powiedziała Elizabeth.

- Dale - odezwał się Tom. - Jemy razem kolację, Elizabeth i ja...
- Dale nachyliła się i podniosła lilie z kolan Elizabeth.
- Wstawię ci je do wody.
- Elizabeth zamknęła oczy.
- Dale z hałasem puszczała wodę do zlewu.
- Nie chcę wam przeszkadzać - powiedziała. - Naprawdę. Jadłam zupę, nic mi nie trzeba, a na górze jest przecież huk roboty.
- Dzisiaj? - spytał Tom. - Teraz?
- Odwróciła się od zlewu z ociekającymi wodą liliami w rękach.
- Ależ tatusiu. Widziałeś, jak to wygląda? Mówię ci, samo przygotowanie jakiegoś miejsca do spania zajmie mi kilka godzin.

Amy nie zapaliła świateł. Siedziała skulona na jednej z jasnych kanapek w saloniku, z nogami na niskim stole, podtrzymując na brzuchu kubek z herbatą i przyglądając się, jak światło dnia dogasa na dachach domów naprzeciw. Za chwilę, może zaledwie za parę minut, zapalą się latarnie uliczne, a niebo przez kontrast momentalnie pociemnieje, jakby się obrazilo, że zostaje zaćmione. Kubek herbaty na brzuchu Amy był już trzecim z kolei. Piła je długo i ze smakiem, jeden po drugim, przesuując usta wokół brzegu kubka, aż powstało pełne kółko ze śladów jej szminki, jak rzucik namalowany na ścianie.

Pijając herbatę i wpatrując się w niebo, Amy rozmyślała. A raczej leżała i pozwalała myślom przepływać przez umysł, czy też krążyć wokół niego, zaś sama się im przyglądała. Po chwili uświadomiła sobie, że najczęściej powraca myśl, że jest zmęczona, nie zmęczona fizycznie, ale emocjonalnie, znużona napięciem, frustracją i okropnym znużeniem, które ogarnęło ją, gdy sobie zdała sprawę, że ludzie w istocie się nie zmieniają, i że jeżeli ma zamiar kochać jednego z nich, musi się nauczyć kochać w nim rzeczy, których nigdy by się nie podjęła kochać w kim innym. Wsypany cukier do trzeciej herbaty, gdy dotarło do niej - powodując raczej ulgę niż wstrząs - że wcale jej się nie chce.

- Jestem zmęczona miłością - powiedziała swojemu odbiciu w czajniku, po czym, w następnej sekundzie, nabrawszy odwagi po słodkim, gorącym łyku herbaty, dodała: - Jestem zmęczona usiłowaniem kochania Lucasa.

Ta myśl wyparła poprzednie myśli o znużeniu. Amy wróciła na kanapę, umieściła nogi już nie tylko na stoliku, ale również na drogocennym albumie Lucasa ze zdjęciami świątyn Angkor Wat. Wraz z wpływem energii przyszła myśl, że sam pomysł odejścia od Lucasa sprawił, iż poczuła się inaczej, lepiej, mniej beznadziejnie. Poczuła też

smutek, bez wątpienia, dostateczny smutek, żeby do oczu napłynęły jej łzy, z powodu wszystkiego, co włożyła w ich związek, z powodu wszystkich wspólnych nadziei, z powodu - przede wszystkim - daru Lucasa do budzenia miłości. Jednak mimo smutku było także wrażenie zachwytu, olśnienie, że odrobina nowej nadziei kryje się w decyzji, która skutecznie przywróci jej własne życie, umieści ją na powrót w sercu spraw, po tych wszystkich miesiącach krążenia niesłyszalnie, jak jej się często zdawało, niewidzialnie, po obrzeżach.

Latarnie uliczne za oknem zapaliły się i widok z dachami zmienił się nagle z rzeczywistego w teatralny. Amy usiadła, postawiła kubek na stoliku i spuściła nogi na podłogę. Jedna dziewczyna z pracy wyjeżdżała do Manchesteru; mówiła, że na północy jest dużo możliwości, ponieważ tak wiele ludzi wciąż chce się przenieść na południe, wierząc, że ze światka mediów energia uchodzi już na północ od Birmingham. Mogłaby przecież to zrobić. Mogłaby pojechać na północ i rozpocząć nowe życie, którym sama by kierowała. Oczywiście może na początku czuć się samotna, ale i teraz była samotna, mieszkając z Lucasem, który zawsze wydawał się nieobecny, zajęty czymś, co nie było nią. Mówiła mu wiele razy, że nie potrzebuje całej jego uwagi, ale czuła, że jako jego przyszła żona ma prawo przynajmniej do jej części.

Spojrzała na lewą dłoń. Pierścionek zaręczynowy, rżnięty cytryn w nowoczesnej oprawie z białego złota, zdawał się tkwić na palcu, jakby nie czuł się tam całkiem na miejscu. Może zawsze tak wyglądał; może zawsze wiedziała, nie uświadamiając sobie tego, że do niej nie pasuje. Lucas go wybrał. Dziewczyny w pracy podzieliły się krzykliwie na te, które uznały to za romantyczny gest, i na te, które uważały, że jest to zupełnie wbrew regułom nowoczesnego związku. Sama Amy czuła trochę tak i trochę tak, ale pozwoliła, żeby przeważało dobre wychowanie i chęć zadowolenia Lucasa. Teraz zsunęła pierścionek i położyła na dłoni. Wyglądał, jak zawsze, stylowo i bezosobowo. Położyła go na stole, obok kubka, po czym wyciągnęła przed siebie nagą dłoń. Wyglądała dobrze - może zbyt dobrze, jak na dłoń należącą do kogoś, kto właśnie podjął jednostronną decyzję o zerwaniu zaręczyn.

Wstała i przeciągnęła się. Lucas wróci około północy, zmęczony, ale w stanie lekkiego pobudzenia, w jakim był zawsze po trzech godzinach prowadzenia programu radiowego na żywo. Miała jakieś trzy godziny do jego powrotu, trzy godziny na postanowienie, co mu powiedzieć i jak to powiedzieć; albo trzy godziny na spakowanie ubrań oraz najbardziej osobistych drobiazgów i wyniesienie się do koleżanki, Carole, po

uprzednim pozostawieniu pierścionka z cytrynem i listu na stoliku, gdzie znajdzie je Lucas.

Dale śpiewała. Elizabeth słyszała ją wyraźnie w kuchni, dwa piętra niżej. Miała dobry głos, niezbyt mocny, ale czysty i słodki. Śpiewała w chórze z płytą z „Evity”, a dźwięki schodziły spiralnie w dół, przelewając się przez otwarte drzwi, wpływając wszędzie. Dzisiejszy śpiew był dokładnym przeciwieństwem dźwięku, który Dale wydała z siebie poprzedniego wieczoru, kiedy odkryła spustoszenia, jakich dokonała Elizabeth na górze. To było straszne; krzyki i ryki wściekłości i rozpacz, tupot stóp na schodach, kaskady gniewnych łez. Elizabeth siedziała na swoim miejscu przy stole i nie reagowała, z milczącym uporem nie zgodziła się mieć w ogóle do czynienia z tym, co się działo. To Tom zareagował, Tom usiłował ułagodzić Dale, Tom poszedł z nią na górę pomóc jej uporządkować bałagan, przywrócić jej prawa. Elizabeth zastanawiała się, czy Tom słyszy ten śpiew w piwnicy. Był tam już od trzech godzin, od czwartej czy piątej rano, kiedy zrezygnował z prób zaśnięcia i wysliznął się z łóżka, starając się nie obudzić Elizabeth, która już nie spała, ale udawała, że śpi, żeby nie musieć się odzywać.

Około ósmej zaniósł mu na dół kawę. Siedział w szlafroku przy desce kreślarskiej i patrzył na rysunki kaplicy. Wziął kawę, a drugim ramieniem ją objął, wciąż patrząc na rysunki.

- Nadal chcesz to zobaczyć?

- Oczywiście - powiedziała.

Napił się kawy.

- Boję się ciebie - powiedział. - Boję się tego, co myślisz.

Wysunęła się łagodnie z jego uścisku.

- Ja też się boję.

- Czy może pójdziemy ją obejrzeć dzisiaj?

- Tak - powiedziała Elizabeth.

Na sekundę ujął ją za rękę.

- To dobrze.

Pół godziny później przyszedł do kuchni, żeby zostawić swój pusty kubek po drodze na górę, gdzie szedł się ogolić i ubrać. Elizabeth siedziała przy stole, już ubrana, czytając dodatek kulturalny z poprzedniego tygodnia. Tom pochylił się, kiedy ją mijał, i pocałował we włosy.

- Śniadanie? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Potrzebuję jeszcze około pół godziny na dole, zanim pójdziemy. Możesz poczekać?

- T a k .

- Nie masz nic przeciwko czekaniu?

- Nie - odparła Elizabeth.

Posprzątała w kuchni, podlała doniczki z pietruszką oraz cytrynową werbeną na parapecie i dała Basilowi jego małą puszkę z przy-smakiem, który błyskawicznie pochłonął. Potem wdrapał się na krzesło, skąd mógł patrzeć znacząco na dzbanek z mlekiem i maselniczkę. Właśnie wtedy rozpoczęło się śpiewanie. Elizabeth akurat się schylała, żeby pobłażliwie powiedzieć Basilowi, że jest najbardziej żarłoczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkała, kiedy ze schodów spłynęła lekko pierwsza fala dźwięków. Elizabeth wyprostowała się.

- To Dale...

Basil wydawał się całkowicie obojętny. Oparł swoje podbródki o krawędź stołu i mrucał dźwięcznie do masła.

- Ona śpiewa - powiedziała na głos zdumiona Elizabeth. - Obudziła się, stwierdziła, że znajduje się dokładnie tam, gdzie zamierzała, i śpiewa. Z triumfem.

Basil położył ogromną łapę na stole, tuż przy pyszczku. Elizabeth uklękła przy nim. Przyłożyła czoło do jego futrzastego, wibrującego boku.

- Nie mogę tego wytrzymać. Nie mogę. - Zamknęła oczy. - Chyba zwariuję...

Z zaskakującą zwinnością Basil wskoczył z krzesła na stół. Elizabeth zerwała się i złapała go.

- Nie...

Nie walczył. Leżał na grzbiecie w jej ramionach, przyglądał się jej wielkimi, żółtymi oczami i nieprzerwanie mrucał. Wtuliła twarz w miękki, nakrapiany bezmiar jego brzucha.

- Co - wyszeptala - mam zrobić?

- Kochanie... - odezwał się Tom stojący przy drzwiach.

Podniosła wzrok. Basil obrócił się z łatwością w jej ramionach i zesliznął się z powrotem na krzesło.

- Jesteś gotowa? - spytał Tom. - Możemy iść?

Kaplica stała w bocznej ulicy w północnej części miasta, utrzymując niepewnie równowagę na wzgórzu, między krótkim szeregiem sklepów a rzędem zaniedbanych domów szeregowych, w większości podzielonych na mieszkania. Przed kaplicą, oddzielony od ulicy żelaznymi sztachetami i żelazną bramką, znajdował się prostokąt źle

utrzymanej trawy. Za nią i po bokach, mówił Tom - i właśnie to tak zaczęło nabywców - były skrawki ziemi, które pierwotni właściciele, sekta, przeznaczyci na swój prywatny cmentarz, gdzie groby miały być ułożone jak szprychy koła wokół neoklasycystycznego pomnika ojca założyciela. Z tych planów nigdy nic nie wyszło. Arystokratyczna dobrodziejka została wydojona ze wszystkich pieniędzy, a później nie znaleziono już żadnego innego źródła dochodów. Sekta stopniowo się rozpadła, ojciec założyciel ulotnił się do Francji, zabierając z sobą dwie najładniejsze akolitki i wszystkie pozostałe fundusze, a grunty wokół kaplicy zostały porzucone razem z budynkiem i stopniowo opanowane przez olszynę, koty oraz wierzbówki.

Kaplica miała piękne podwójne drzwi pod szlachetnym frontonem. Tom włożył klucz do zamka i przekręcił go.

- Proszę.

Elizabeth zajrzała do środka. W obu równoległych ścianach były okna, a drugi ich rząd biegł ponad wdzięczną, pomalowaną na szaro galerię. Przestrzeń nawy była pusta, z wyjątkiem śmieci i niewielkiego skupiska sosnowych ławek pod wspaniałym rzeźbionym pulpitem, czekających pokornie, zdawało się, na kolejne słowo dla zbawienia dusz.

Elizabeth weszła, pod jej stopami zazgrzytał żwir i odpadający ze ścian tynk.

- Jest piękna.

- Przypuszczałem, że tak pomyślisz.

- Czy z tego nie będzie bardzo dziwny dom?

Zrównał się z nią.

- Właśnie o to im chodzi.

Oparła się o tył jednej z sosnowych ławek.

- Czy czujesz się podniecony za każdym razem, kiedy dostajesz nowe zlecenie, za każdym razem, kiedy patrzysz na coś takiego, co możesz uratować?

Przeszedł obok niej i fachowym gestem poklepał rzeźbienia pulpitu.

- Nie tak, jak kiedyś.

- Ponieważ nadal chcesz być lekarzem?

- To chyba zbyt wspaniałomyślne wyjaśnienie.

Elizabeth przesuwała ręce w tę i z powrotem wzdłuż oparcia ławki. Było śliskie od lakieru, brzydkie w takim wytwornym miejscu.

- Tom.

Nie odwrócił się od pulpitu.

- T a k ?

- Nie mogę za ciebie wyjść.

Pochylił się w przód i oparł czołem o pulpit, z jedną ręką wciąż spoczywającą na rzeźbieniach.

- Wiesz, dlaczego - powiedziała Elizabeth.

Zapadła długa, skomplikowana cisza, po czym Tom powiedział niewyraźnie:

- Ostrzegałem cię przed Dale.

Elizabeth złączyła dłonie na oparciu ławki i wpatrywała się w nie przez chwilę. Następnie podniosła oczyma Toma.

- Tak - powiedziała - rzeczywiście. Mówiłeś, żebym nie proponowała jej domu. Ostrzegałeś, że może próbować mnie zdominować, zdominować nas. Ale... - Urwała, a potem dokończyła bardzo łagodnie: - Nigdy mnie nie ostrzegłeś, że nie zrobisz nic, żeby jej w tym przeszkodzić.

Tom bardzo wolno oderwał głowę i rękę od pulpitu i odwrócił się twarzą do niej.

- Kocham cię - powiedział.

Skinęła głową.

- Nie wiedziałem - powiedział Tom. - Nie śmiałem nawet mieć nadziei, że znów będę mógł kogoś tak pokochać. Ale pokochałem. Kocham. Zdaje mi się, że kocham cię bardziej, niż kochałem jakąkolwiek kobietę.

Elizabeth powiedziała smutno:

- Wierzę ci...

- Ale Dale...

- Nie - powiedziała Elizabeth. - Nie. Nie Dale. Nie ma już nic do powiedzenia o Dale. Ty wiesz o Dale, Tom. Wiesz.

Podszedł bliżej i ukląkł w sąsiedniej ławce, ale twarzą do niej.

- A Rufus?

Elizabeth zacisnęła oczy.

- Przestań...

- Złamiesz mu serce...

- Sobie też.

- J a k możesz? - krzyknął nagle Tom. - Jak możesz pozwolić, żeby ta jedna sprawa tak cię dotknęła?

- To nie jest jedna sprawa - powiedziała Elizabeth spokojnie. - To rzecz zasadnicza. Zabarwia wszystko i ty o tym wiesz. Zabarwia i będzie zabarwiać przyszłość.

- I mnie za to winisz?

Spojrzała na niego.

- Myślę, że trochę rozumiem twoje położenie, ale myślę też, że nikt poza tobą nie może zmienić sytuacji.

Pochylił się ku niej nad oparciem ławki. Na jego twarzy malowała się żarliwa determinacja.

- Zmienię ją!

- J a k ?

- Przeprowadzimy się, zrobimy to, czego chciałaś, inny dom, inne miasto, nawet dziecko, zaczniemy od nowa, oddalimy się, fizycznie oddalimy, od przeszłości...

Elizabeth potrząsnęła głową. Powiedziała niepewnie:

- To się nie odbywa w ten sposób.

- J a k t o ?

- Nie można odrzucić przeszłości, po prostu się przeprowadzając. Ona idzie za człowiekiem. Problemy rozwiązuje się tylko wtedy, kiedy staje się z nimi twarzą w twarz, a nie ustępuje się im, godzi z nimi...

- Więc zrobię to! - zawołał Tom. Wyciągnął do niej ramiona. - Zrobię! Zrobię wszystko!

- Tom - powiedziała Elizabeth.

- C o ?

- J e s t j e s z c z e c o ś .

Opuścił ramiona.

- T a k ?

Obeszła powoli ławkę, o którą się opierała, aż dzieliła ją od niego zaledwie stopa. Nie próbował jej dotykać. Wtedy ona wyciągnęła dłoń, ujęła jego twarz i pocałowała go spokojnie w usta.

- Za późno - powiedziała.

Rozdział dziewiętnasty

- Po prostu do mnie mów - powiedziała Elizabeth.

Leżała z zamkniętymi oczami na kanapie z połamanymi sprężynami. Duncan wstał, żeby odrobinę przesunąć zasłonę, chcąc ocienić jej twarz przed popołudniowym słońcem.

- O czym?

- O byle czym - powiedziała Elizabeth. - O czymkolwiek. Muszę cię słyszeć, słyszeć, jak mówisz.

Duncan popatrzył na nią.

- Zdaje mi się, że nie spałaś zbyt dużo ostatniej nocy. Obawiam się, że to łóżko wcale nie jest wygodne.

- To nie ma znaczenia. Nigdzie nie mogłabym spać. Nie mogłabym zasnąć na dwudziestu puchowych materacach. - Otworzyła oczy. - Och, tato...

- Moja kochana.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Co ja źle zrobiłam?

Wziął ją za rękę i usadowił się na brzegu kanapy obok niej.

- Nic nie zrobiłaś źle.

- Musiałam...

Ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Nie. Nie źle. Mogłaś coś zrobić z nieświadomości albo braku doświadczenia, ale nic takiego, co byś musiała sobie wyrzucać.

Elizabeth odwróciła od niego wzrok i spojrzała przez okno o wielkich szybach - lśniących czystością po działaniach Shane'a - na jasne, letnie niebo.

- Na pewno nie wiedziałam o Dale.

- T a k .

- On się jej boi - powiedziała Elizabeth. Zwróciła twarz ku Dunca-

nowi. - Możesz sobie to wyobrazić? Jest jej ojcem, a boi się jej. A raczej boi się, co się z nią stanie, jeżeli się jej sprzeciwi. Sądzi, że jeżeli jej uświadomi jej własne niszczyielskie działanie, z kolei on zniszczy ją. Powiedział mi: „Nie mogę ryzykować, że wpędzę ją w chorobę umysłową. Ona jest moją córką”. Więc tkwi w pułapce. Albo mu się tak wydaje. W każdym razie ona wygrała - zawyrokowała Elizabeth z nutą goryczy w głosie.

Duncan bardzo łagodnie wypuścił dłoń Elizabeth ze swoich rąk.

- Wiesz, tu chyba nie chodzi wyłącznie o Dale. Ani wyłącznie o jej humory. To chyba nie jest jedyny powód.

- Nie?

Westchnął. Wyjął okulary do czytania z kieszonki swojej podstarzałej kraciastej koszuli i zaczął w zamyśleniu pocierać kciukami wokół krzywizny soczewek.

- Myślę, że może chodzić także o mit macochy. Niewidzialne siły, powodujące nią, wpływające na ciebie, wpływające na Toma, na wszystkich.

Elizabeth przewróciła się na bok, podkładając rękę pod policzek.

- Wytłumacz mi.

- Za historiami o złej macosze musi się coś kryć - powiedział Duncan. - Musi istnieć jakiś pierwotny lęk albo potrzeba, która sprawia, że przez wieki macochy wszędzie odmalowywano w takich czarnych barwach. Przypuszczam, że są czynniki oczywiste, które sprawiają, iż całe kręgi społeczeństwa podchodzą do nich niechętnie, ponieważ z rozwodami wiążą się skojarzenia o porażce, ponieważ być może drugie żony są uważane za coś gorszego, a w pewnym stopniu jednocześnie za zagrożenie mitu szczęśliwej rodziny. Ale myślę, że jest coś jeszcze głębszego.

Elizabeth czekała. Duncan nałożył okulary, znowu je zdjął i schował z powrotem do kieszonki koszuli. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach.

- Dorastałem wierząc, że moje dzieciństwo jest szczęśliwe. Wierzyłem i zachęcano mnie, bym wierzył, że twoja babcia jest doskonałą matką, godną podziwu kobietą, że kojące rytuały mojego życia, które tak kochałem, dzieją się jakoś za jej sprawą, pod jej wpływem. Dopiero kiedy byłem znacznie starszy, dostrzegłem, że wcale tak nie jest, że moja matka, która uwielbiała towarzystwo i którą nudziły dzieci oraz życie domowe, prawie całkowicie pozostawiła moje wychowanie niani Moffat. Pamiętasz nianię Moffat? Otóż niania Moffat rzeczywiście była doskonała i godna podziwu.

- Miała zarost na brodzie - powiedziała Elizabeth.
- Co w żaden sposób nie umniejszało jej doskonałości. Ale kiedy sobie to uświadomiłem, kiedy zrozumiałem, że szczęśliwa stabilizacja mojego dzieciństwa istniała w rzeczywistości dzięki niani Moffat, a nie twojej babci, przeżyłem okropny wstrząs. Pamiętam to dokładnie. Byliśmy na wakacjach, na Norfolk Broads. Miałem chyba jakieś czternaście, piętnaście lat. Nie byłem już dzieckiem. Towarzyszyłem ojcu do kościoła w Stiffkey - był wielkim miłośnikiem kościołów - i siedziałem na trawie na cmentarzu parafialnym, podczas kiedy on odczytywał napisy na nagrobkach, kiedy nagle przyłapałem się na myśli, że moja matka pozwoliła mi, a nawet zachęcała mnie przez te wszystkie lata, żebym wierzył i polegał na jej walorach macierzyńskich, które po prostu nie istniały. Jeszcze teraz czuję tę chwilę, kiedy siedziałem w tej wilgotnej trawie pośród nagrobków, wprost zdruzgotany poczuciem najgłębszej zdrady.

- Och, tato...

- Zastanawiam się, czy macochy mają coś wspólnego z takim uczuciem?

Elizabeth podciągnęła się powoli i oparta na łokciu.

- Ja nie...

- Tak jakby - mówił Duncan odwracając się, żeby spojrzeć prosto na nią - tak jakby macochy uosabiały wszystko to, o co się straszliwie boimy, żeby nie zostało wypaczone w macierzyństwie. Matki są nam tak bardzo, tak głęboko potrzebne, że idea nienaturalnej matki jest w dosłownym sensie potworna. Więc przyjmujemy macochę za cel tych wszystkich lęków - ona ponosi winę za złe macierzyństwo. Wiesz, jeżeli się uważa macochę za niedobrą, wtedy nie ma potrzeby czuć się winnym czy złym wobec prawdziwej matki, którą tak rozpaczliwie chcemy postrzegać jako dobrą.

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

- T a k .

- I wyolbrzymiamy złe cechy macochy, żeby usprawiedliwić, na luzdki, wykoślawiony sposób, to, że jesteście tacy niesprawiedliwi.

Elizabeth odwróciła się i usiadła, obejmując ramionami zgięte kolana i opierając się barkiem o Duncana.

- Uważam, że to wszystko jest bardzo przekonywające.

- Serio?

- Tak. Tylko że natychmiast przychodzi mi do głowy wyjątek.

- Naprawdę?

- Rufus - powiedziała Elizabeth.

- Och, moja kochana...

- Wiesz, kiedy zdarza się coś takiego, coś nie do zniesienia boleśnego i smutnego, człowiek sobie powtarza: „Czy to już najgorsze? Czy to najczarniejsza godzina? Czy to już dno otchłani?”.

- T a k .

Poruszyła się lekko.

- Robiłam to przez całą noc. Przypuszczam, że będę to robić przez wiele następnych nocy. I ciągle musiałam przyznawać sama przed sobą, że chociaż było bardzo ciężko, to najgorsze, prawie najgorsze, jeszcze przede mną. - Ukryła twarz w obręczy ramion i powiedziała szeptem: - J e s z c z e muszę powiedzieć Rufusowi.

Pub był pełny. Połowa klientów wysypała się na chodnik i wygrzewała na słońcu, opierając się o zaparkowane samochody, siadając sobie na kolanach na tych kilku krzesłach, jakie wystawiono. Tom zauważył Lucasa prawie natychmiast. Górował nad większością klientów i stojąc przy barze z zaabsorbowaną miną, wyciągał banknot dwudziestofuntowy nad głowami ludzi stojących przed nim.

- Dżin z tonikiem? - spytał Toma, prawie się nie odwracając.

- Podwójny - powiedział Tom. Lucas spojrzął na niego.

- Podwójny w pubie to prawie nic - wyjaśnił Tom.

- Dwa podwójne dżiny z tonikiem - powiedział głośno Lucas do barmana.

- Myślałem, że pijesz wódkę...

- Tak jak i ty, teraz mógłbym pić cokolwiek. W dowolnych ilościach.

- To miło z twojej strony, że tak mi współczujesz... - powiedział Tom.

- Obawiam się, że to nie tylko współczucie.

Barman wręczył mu dwie szklanki z dżinem i dwie butelki toniku, które trzymał za szyjki.

- Lód?

- Nie, dziękuję.

- Cytryna?

- J a s n e .

- Wezmę je gdzieś - powiedział Tom. - A ty poczekaj na resztę.

Wziął szklanki i butelki od barmana i trzymając je wysoko nad głową, przecisnął się ku zaciemnionej tylnej części pubu. W rogu, pod lustrem reklamującym absynt ozdobnymi literami w stylu art deco, stała niska ława.

- Dlaczego nie mogliśmy się spotkać w domu? - zapytał Lucas, dochodząc do niego i wpychając drobne byle jak do kieszeni dżinsów.

Tom podał mu szklankę i butelkę toniku.

- Wiesz, dlaczego.

- Nie pojechała do pracy?

- Na ten tydzień wzięła urlop.

- Aha - powiedział Lucas. Wlał cały tonik do szklanki i postawił butelkę pod ławą. - Podkreśla swoje prawa. - Łyknął ze szklanki. - Wobec tego będę jej musiał powiedzieć oddzielnie.

- Co powiedzieć?

- Amy ode mnie odeszła - rzucił Lucas.

Tom zagapił się na niego.

- Chyba nie mówisz poważnie...

Lucas wykrzywił się.

- Zupełnie jak w operze mydlanej. Pierścionek i „Drogi Johnie” na stole.

Tom postawił swojego drinka na podłodze koło nóg. Nachylił się i otoczył Lucasa ramionami.

- Och, drogi chłopcze, drogi Lucasie, biedaku...

Lucas na moment wsparł głowę o głowę ojca.

- To nie była niespodzianka.

- Nie?

- To był szok - nie chcę powiedzieć, że tego nie odczułem, czuję się okropnie, czuję się po prostu parszywie, ale nie mogę udawać, że nie widziałem, że to się zbliża. - Uwolnił się delikatnie z uścisku Toma. - Nie stawiałem jej na pierwszym miejscu. Ani tak naprawdę na drugim, jeżeli mam być szczery.

- Tak mi przykro...

- Tak - powiedział Lucas. - Dzięki. - Rzucił na Toma szybkie spojrzenie z ukosa. - Więc jedziemy na tym samym wózku.

Na twarzy Toma odmalował się wyraz wielkiego bólu. Schylił się po drinka.

- Możliwe - zamilkł, a potem spytał: - Czy Amy winiła Dale?

- Winiła mój stosunek do Dale.

- Tak.

- Nie tylko to, ale to było dość ważne.

Tom powiedział z wahaniem:

- Elizabeth mówiła... - a potem urwał.

- Co powiedziała?

- Że nasze postępowanie nie służy dobru Dale.

Lucas zaśmiał się krótko, niewesołym, szczekliwym śmiechem.

- Nie mamy wielkiego wyboru.

Tom pochylił się ku niemu i powiedział z żarem:

- Ale czy to przez Dale? Czy to tylko przez Dale?

Lucas pociągnął kolejny łyk drinka.

- Przypuszczam, że tak, ale tylko Dale jest wystarczająco uczciwa, żeby zdawać sobie sprawę, że nie ma sensu, by szukała miłości gdziekolwiek indziej. My obaj przecież tego próbowaliśmy i ja doszedłem do wniosku, że tutaj jej nie znajdę; w pobliżu Dale jakoś nie mogę. Dlatego wyjeżdżam do Kanady.

Szklanka Toma drgnęła nagle w jego dłoni.

- Do Kanady!

- Tak - powiedział Lucas. - Przykro mi.

- Dlaczego Kanada?

- Nowa firma, która wykupiła stację radiową, posiada stacje w Kanadzie. Pytali, czy pojadę, ponieważ nie mogą mnie nadal zatrudniać w Anglii, a ja najpierw odmówiłem, ale teraz się zgodzę.

- Dokąd?

- Do Edmonton - powiedział Lucas.

Tom zakrył wolną ręką oczy.

- Przykro mi - powiedział znowu Lucas.

- Nie, nie...

- To odejście Amy ostatecznie mnie skłoniło. Oraz wrażenie, że wszyscy się w jakiś sposób cofamy, wracamy gdzieś, skąd już dawno powinniśmy odejść, by pójść naprzód.

Tom odjął rękę od oczu i otrząsnął się lekko. Powiedział odrobinę niepewnie:

- Powodzenia.

- Dzięki.

- Naprawdę. Chciałbym... - zamilkł.

- Nie możesz, tato - powiedział Lucas. - Jest jeszcze Rufus.

- Wiem. Nie chciałem tego powiedzieć. Tylko przez chwilę, przez jedną szaloną, króciutką chwilę...

- T a k .

Tom spojrział na Lucasa.

- Dokąd pojechała Amy?

- Do Manchesteru. Zamierza tam rozpocząć nowe życie.

- Może ma rację.

- Myślę, że Amy miała rację w wielu sprawach - powiedział ze smutkiem Lucas.

Tom opuścił oczy na drinka.

- Elizabeth też - dodał cicho.

- Co ona planuje?

- Wraca do Londynu. Kupi dom zamiast mieszkania. Awansuje i dostanie się na sam szczyt hierarchii w służbie państwowej.

- Wyprowadziła się już?

Tom uśmiechnął się leciutko.

- Nie było prawie nic do wyprowadzania. Nigdy nie spotkałeś nikogo mniej narzucającego się innym. Zostawiła samochód zaparkowany przed domem, z bakiem pełnym benzyny, a kluczyki na haczyku, gdzie je zawsze wieszała. Przyłapuję się...

- C o ?

- Przyłapuję się na tym, że rozpaczliwie szukam jej śladów. Czegokolwiek, chusteczek higienicznych w koszu na śmieci, czasopism, które kupowała, kubka, z którego lubiła pić...

- Przestań, tato.

Tom otrząsnął się lekko.

- Racja. To okropnie nie w porządku, mówić o takich rzeczach właśnie tobie.

- Sądzę, że nie byliśmy w tej samej lidze miłości - powiedział Lucas łagodnie.

- Rzeczywiście. Chyba nie.

- Zobaczysz się z nią jeszcze?

Tom podniósł szklankę i wysuszył ją, jakby pił wodę.

- W przyszłym tygodniu. Kiedy wróci Rufus.

- Rufus...

- Tak - powiedział Tom. Postawił szklankę pod lawą i wstał. - Tak. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu, żeby się zobaczyć z Rufusem. Chce sama mu o tym powiedzieć.

Dale przyrządzała osso bucco. Miała przed sobą „Włoską kuchnię” Elizabeth David, opartą ostentacyjnie o ekspres do kawy, i siekała czosnek, pietruszkę oraz cytrynę nożem o długim ostrzu, jak to podpatrzyła u kucharzy w telewizji. Zapach był cudowny. Miała nadzieję, że kiedy Tom wróci z tego tajemniczego drinka z Lucasem, powie, że zapach jest cudowny. Przez kilka ostatnich dni nie zwracał uwagi na jej wysiłki, chociaż starała się mu okazać współczucie. Naprawdę mu współczuła, powiedziała sobie, siekając zawzięcie, oczywiście, że współczuła. To było okropne widzieć go znowu zranionym, prawdę mówiąc, rozdzierające. Jakby uszło z niego powietrze, energia, żywotność. Ale to wróci, oczywiście, że wróci, kiedy sobie przypomni, kiedy zostanie mu przypomniane. Usłyszała jego klucz w zamku i zaczęła siekać szybciej.

Drzwi kuchni otworzyły się.

- Cześć! - powiedziała, nie podnosząc oczu.

Tom podszedł powoli do stołu i z brzękiem upuścił na niego klucze.

- Co u Luke'a?

- Wiesz doskonale - powiedział Tom.

Dale na sekundę przerwała siekanie.

- Chodzi ci o Amy - powiedziała spokojnie.

- T a k .

- Właściwie... to może dobrze, że tak się stało?

Tom odciągnął krzesło od stołu i usiadł na nim ciężko.

- Odłóż ten nóż.

- C o ?

- Słyszałaś, co mówię.

Dale delikatnie położyła nóż obok zielonej, pierzastej kupki na desce do krojenia. Spojrzała na Toma. Po chwili podniósł głowę i popatrzył na nią z wyrazem, jakiego nigdy dotąd nie widziała.

- Zadowolona? - zapytał Tom.

Była szczerze zaskoczona.

- Słucham?

- Pytałem, czy jesteś zadowolona - powiedział Tom.

- O co ci chodzi?

Pochylił się w przód.

Powiedział głosem podniesionym prawie do krzyku:

- Wygryzałaś Elizabeth, wygryzałaś Amy. Jesteś wreszcie zadowolona?

Zaparło jej dech.

- To nie ja!

- Nie? Nie? Okazywanie w jawny sposób milej dziewczynie i cudownej kobiecie, że twój brat i ojciec nigdy nie będą należeć do nikogo poza tobą?

Dale była przerażona. Wsparła się rękami o deskę do krojenia, odychając ciężko.

- Ja nie, nigdy...

- A klucze? - naciskał Tom. - Wtargnięcie do tego domu? Drobne oszustwa i podchody? Twoje cholerne rzeczy, które dowodzą twoich praw głośniejsze niż jakiegokolwiek słowa? Doprowadzanie do tego Elizabeth, żeby czuła się zawsze, i na zawsze, kimś z zewnątrz, Amy zresztą też?

- Przestań - wyszeptwała Dale.

Tom wstał, opierając się o swoją stronę stołu i zwracając ku niej twarzą.

- Nie jesteś już dzieckiem - powiedział - chociaż Panu Bogu wiadomo, że twoje zachowanie przyniosłoby wstyd większości dzieci. Jesteś, do cholery, dorosłą kobietą, która nie chce tego przyjąć do wiadomości, która nie chce przyjąć do wiadomości utraty dzieciństwa, potrzeby posiadania własnego domu, własnego życia...

- Proszę - powiedziała Dale. - Proszę.

Lzy zaczynały ściekać po bokach jej twarzy i kapać na deskę.

- A ponieważ nie chcesz tego przyjąć do wiadomości, chcesz zmusić mnie i Lucasa, żebyśmy przeżywali z tobą przeszłość, nieważne, ile nas to kosztuje, nieważne, że cierpimy, nieważne, że straciłem przypuszczalnie kogoś najlepszego - słyszysz, najlepszego - w swoim życiu, nieważne, nieważne, o ile ty, Dale, masz to, czego, jak ci się zdaje, pragniesz.

Dale zaczęła się osuwać za stół, opadając miękko na podłogę, ramiionami objawszy głowę, otuliwszy, jakby chcąc ją utrzymać na miejscu.

- Proszę cię, tatusiu, przestań, przestań, wcale nie chciałam...

- Więc czego chciałaś?

- Nie chciałam niczego - powiedziała Dale niepewnie. - Chciałam tylko nie utonąć. Nie chciałam nikogo zranić, uwierz mi, uwierz...

- Ale zraniłaś! - krzyknął Tom. - Spowodowałaś straszne, umyślne zniszczenia. Popatrz, co zrobiłaś!

Dale opuściła ramiona i oparła się o nogę stołu. Jej włosy wymknęły się z aksamitnego ściągacza i rozsypały po twarzy, przylepiając się tu i ówdzie do wilgotnej skóry.

- Nie robiłam tego po to - powiedziała. - Nie robiłam tego, żeby kogoś zranić. Robiłam to, bo nie mogłam się powstrzymać, bo inaczej nie mogłam oddychać. - Usłyszała, jak Tom wzdycha. Powiedziała już pewniejszym głosem: - Nie wiesz, jak to jest, jak to zawsze było. Dla mnie. Nie chcę tego, nigdy nie chciałam. Walczyłam z całych sił, starałam się nie być... - Zamilkła, a potem powiedziała: - Przepraszam.

Zapadła cisza. Zerknęła pod stół i zobaczyła nogi ojca, lekko rozstawione, odcięte w połowie ud przez blat stołu.

- Tatusiu?

- Tak - powiedział Tom. W jego głosie brzmiało zmęczenie.

- To prawda. To prawda, co mówię o sobie, o tym, czego się boję, co próbowałam robić.

- Tak - powiedział Tom znowu.

Dale przełknęła ślinę.

- Przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam.

Tom znów wydal westchnienie, ciężkie, głośne westchnienie, po czym jego nogi wyszły poza jej pole widzenia i przeszły przez kuchnię do okna wychodzącego na ulicę.

- Och, Dale...

Powoli uklękła i złapała się brzegu stołu, podciągając się, patrząc nad nim.

- Nie chciałam doprowadzić do twojego zerwania z Elizabeth. Po prostu nie mogłam znieść...

- Proszę, nie mów o tym.

Patrzyła na niego. Stał tyłem do niej, z rękami w kieszeniach.

- Tatusiu?

Tak.

Ścisnęła mocno brzeg stołu i wyszeptwała żarliwie ponad nim:

- Nie opuszczaj mnie.

Rufus usiadł w łóżku. Zdziwił się trochę, kiedy po przyjeździe zobaczył, że Elizabeth nie ma w domu. Tom wyjaśnił, że Elizabeth musi czasem w piątki pracować do późna i wtedy przyjeżdża późniejszym pociągiem. Bardzo niemiłym zaskoczeniem okazała się obecność Dale. Dale była w kuchni, gdzie spodziewał się zastać Elizabeth. Miała na sobie sukienkę, którą uznał za zbyt krótką, i smażyła kielbaski. Powiedziała, że kielbaski są dla niego. Powiedziała to bardzo wesołym, podnieconym głosem, jakby powinien odczuwać zadowolenie i wdzięczność, a następnie go pocałowała i pozostawiła na nim zapach swoich perfum, który nadal czuł, mimo że szorował to miejsce szczoteczką do rąk. Po zjedzeniu kielbasek - okropnych, z ziołami i innym paskudztwem - Tom zaproponował mu grę w szachy, co było bardzo niezwykle i dość wymuszone. Pograli trochę w szachy, ale jakoś nie było to przyjemne, a potem Dale wróciła w płaschach, pachnąc jeszcze silniej perfumami, i oznajmiła znaczącym tonem, że wychodzi i wróci bardzo, bardzo późno.

Kiedy wyszła, zrobiło się lepiej. Tom nalał sobie kieliszek wina i dał troszeczkę Rufusowi, a Basil zdołał wgramolić się na szachownicę i porozwalał wszystkie figury. Rufus ciągle ziewał. Jakoś nie mógł przestać, ziewanie nachodziło go nieustannie, jak czasami na zebraniu w szkole. Po jakimś czasie Tom zapytał, czy nie wolałby poczekać na Elizabeth w łóżku, na co on, chociaż dla zasady lubił się bronić przed łóżkiem jak najdłużej, kiwnął głową, poszedł na górę i umył się bez przypominania, używając pasty do zębów Dale, co było jednym małym gestem buntu, i nie zakręcając tubki, co było drugim. Potem włożył do

łóżka, oparł się o wezglowie, i zastanawiał się, z żalem, który go zirytował, dlaczego kontemplowanie nowych zasłon i nowego czerwonego dywanika wcale nie napełnia go zadowoleniem.

Zdawało mu się, że upłynęły wieki, zanim Elizabeth przyjechała. Usłyszał otwieranie i zamykanie frontowych drzwi, a potem szmer głosów. Wyobrażał sobie, jak Tom zabiera od Elizabeth jej bagaże, może także jej żakiet, i proponuje kieliszek wina albo coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie pójdą do kuchni trochę porozmawiać, podczas kiedy Tom zabierze się za kolację - nie przygotował nic, kiedy Rufus był na dole - a potem Elizabeth wbiegnie po schodach, usiądzie na jego łóżku, a on nareszcie będzie mógł wspomnieć mimochodem o niektórych sprawach, które go nurtowały, o tym, że zastał tu Dale, o atmosferze panującej w domu, o dziwnym zachowaniu ojca. Wziął do ręki komiks, który przedtem odłożył na kódrę. Tom nie lubił, kiedy czytał komiksy, mówił, że nie poszerzają umysłu, ale Rufusowi czasami się wydawało, że jego umysł wcale nie chce być poszerzany; chce być traktowany jak mały umysł-dzidziuś, który nie musi się niczym martwić.

- Cześć - powiedziała Elizabeth.

Stała w otwartych drzwiach jego pokoju, ubrana w granatowy kostium.

- Nie słyszałem cię - powiedział Rufus.

- Może to są ciche buty...

Spojrzał na nie. Były takie nijakie, że z pewnością powinny być ciche. Elizabeth podeszła i usiadła na brzegu jego łóżka. Nie pocałowała go, nigdy się nie całowali, chociaż Rufus myślał, że może któregoś dnia to się zmieni.

- Przepraszam, że jestem tak późno.

- Bez przerwy ziewałem - powiedział Rufus - więc myślałem, że mi się chce spać, ale mi się nie chce.

Pod marynarką miała coś białego, a na szyi perły, które nosiła prawie zawsze, te, które, jak mówiła, podarował jej jej ojciec. Mikroskop, który jej ojciec podarował Rufusowi, stał na jego biurku w czarnej torbie z materiału. Rufus obiecał zabrać go do domu Matthew, żeby pokazać Rory'emu.

- Co słychać?

Rufus zastanowił się. Zwykle odpowiadał „Dobrze”, żeby zniechęcić do dalszych pytań, ale dzisiaj czuł, że pytania sprawiłyby mu prawie przyjemność. Rzucił głową w kierunku ściany za sobą.

- Dale tu mieszka.

- Wiem.

Westchnął.

- Czy ona musi być moją siostrą?

- Obawiam się, że tak. Jest córką tatusia, tak jak ty jesteś jego synem.

- Ale to takie dziwne uczucie...

- Wiem - powiedziała znowu Elizabeth.

Rufus zaczął przerzucać kartki swojego komiksu.

- Czy to na długo?

- Dale tutaj? Myślę, że to możliwe. Zdaje mi się, że ona nie lubi mieszkać sama.

- A ja - powiedział Rufus z naciskiem - nie lubię mieszkać z nią. - Zerknął na Elizabeth. Jej twarz była nieruchoma, jakby przychodziło jej do głowy więcej, niż mówiła. - Co będziecie jeść na kolację?

- Nie wiem...

- Tatuś nie gotuje?

- Nie - odparła Elizabeth. - Proponował, ale idę do Duncana.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ nie zostaję tutaj.

Rufus przestał kartkować komiks.

- Dlaczego?

Elizabeth splótła ręce na kolanach i Rufus zauważył, że zaciska je tak mocno, że skóra na kłykciach nabrała zielonkawobiałego odcienia, jakby kości spod spodu chciały wyskoczyć na powierzchnię.

- Rufus...

Czekał. Patrzył na ocienioną kapturem twarz Batmana, rozciągającą się na jego kolanach.

- Rufus, nie chcę ci tego mówić, nie chcę cię ranić ani ranić siebie i tatusia, ani nikogo, ale obawiam się, że jednak nie będę mogła wyjść za twojego tatę.

Rufus przełknął ślinę. Przypomniał mu się przelotnie urząd stanu cywilnego z zeszłego roku, urzędniczka ze złotymi kolczykami i portret królowej.

- Och - powiedział.

- Chciałabym ci wszystko wyjaśnić - mówiła Elizabeth. - Chciałabym, żebyś znał wszystkie powody, ale po pierwsze, to by było nieuczciwe, a po drugie, przypuszczam, że większość z nich możesz odgadnąć sam.

Rufus skinął głową.

- To nie ma znaczenia - powiedział życzliwie.

- Nie ma...

- W szkole są ludzie, których rodzice nie mają ślubu. To nie ma znaczenia.

Elizabeth zadygotała. Przez sekundę myślał, że może zacznie płakać, ale ona znalazła w kieszeni chusteczkę higieniczną i tylko wydmuchwała nos.

- Tak mi przykro...

Czekał.

- Tak mi przykro - powiedziała, a jej głos był niepewny. - Tak mi przykro, Rufus, ale ja nawet nie zostaję, nie będę tu już mieszkać. Wyjeżdżam. Nie wychodzę za tatusia i muszę wyjechać.

Wpatrywał się w nią. Nagle wydała mu się bardzo mała, jak jakaś rzecz oglądana przez odwrócony teleskop.

Usłyszał swój własny głos, mówiący głośno:

- Nie możesz.

- Nie mogę...

- Nie możesz odejść - powiedział Rufus, równie głośno. - Nie możesz. Ja cię znam.

Ponownie wydmuchwała nos.

- Tak. A ja znam ciebie.

- Dokąd wyjeżdżasz? - dopytywał się Rufus. Gardło miał ściśnięte i kłuło go pod powiekami.

- O, tylko do Londynu - odparła. Ręce jej się trzęsły. - Pewnie kupię dom z ogrodem i wtedy mój ojciec będzie mógł przyjeżdżać na weekendy.

- Czy ja też mogę przyjechać?

Łzy spływały teraz po twarzy Elizabeth, wręcz spływały, tworząc mokre linie.

- Raczej nie...

- Dlaczego?

- Bo to by nie było w porządku - wobec tatusia, a również wobec ciebie...

- Byłoby! - krzyknął Rufus. Cisnął komiks w kierunku czarnej sylwetki mikroskopu. - Byłoby! Byłoby!

- Nie - powiedziała Elizabeth. Grzebała po kieszeniach, szukając chusteczek. - Nie byłoby. Mógłbyś zacząć myśleć, że coś się zdarzy, kiedy to niemożliwe. Teraz jest okropnie, wiem, ale przynajmniej wiesz, a zawsze jest lepiej wiedzieć.

- Nie jest - powiedział z uporem. Weisnął pięści do oczu, jak małe dziecko. - Nie jest!

Poczuł, że Elizabeth wstaje z łóżka. Myślał, że patrzy na niego, i nie mógł tego wytrzymać, skoro ona wyjeżdża do Londynu, a jemu nie chce pozwolić tam przyjechać.

- Idź sobie! - krzyknął, wciskając pięści w oczy. - Idź sobie!

Oczekiwał, że ona powie „Dobrze” albo „Zegnaj, Rufus”, ale nie powiedziała. W jednej chwili stała przy jego łóżku, a w następnej wyszła i usłyszał jej ciche buty schodzące szybko po schodach, zaś zaledwie w kilka sekund później odgłos zatraskiwanych drzwi frontowych, jak wtedy, kiedy wychodziła Dale.

Powoli i sztywno Rufus odjął pięści od oczu i zsunął się na łóżko, na bok, gapiąc się w ścianę. Czuł się zmarznięty, mimo że było lato, i zesztynniały, jakby nie mógł się zginać. Ściana miała kolor kremowy, od wieków ten sam, a na niej Rufus dostrzegał miejsce, gdzie kiedyś ją pobazgrał czarną świecową kredką; Josie szorowała bazgrały proszkiem do czyszczenia i była na niego zła, przede wszystkim za to, że porysował ścianę, ale także za to, że nie zdobył się na porządny rysunek albo porządne słowo, tylko głupie, nic nieznaczące bazgrały. Na myśl o Josie łyły, które zbierały mu w gardle, zaczęły wyciekać, spływając po nosie i policzkach w poduszkę; a z nimi przyszła gwałtowna, niepohamowana tęsknota, żeby znaleźć się z powrotem w swoim pokoju z Rorym, w domu Matthew.

Josie przyjechała po Rufusa aż do Bath. Sama się zaoferowała, prawie jakby Tom był inwalidą, kiedy się dowiedziała o odejściu Elizabeth.

- Przyjadę - powiedziała. - To żaden kłopot. Ostatnia rzecz, jakiej ci teraz potrzeba, to ta okropna zatoka przy szosie.

Pozwolił jej. Był wdzięczny. Przyjechała ze swoim pasierbem, nieopierzonym trzynastolatkiem, przy którym Rufus zrobił się nagle bardzo hałaśliwy, jakby był niezmiernie zadowolony ze spotkania i nie mógł tego powiedzieć. Poszli razem na górę, do pokoju Rufusa, Rory z Basilem w ramionach.

- On jest świetny - powiedział Rory do Josie. - Prawda? Dlaczego my nie możemy mieć kota?

- Przypuszczam, że możemy...

- Niedługo, od razu...

- Może...

- Po powrocie - powiedział Rory. - Możemy? Kociaka.

- Dwa kociaki - dodał Rufus.

- Dajcie mi spokój - powiedziała Josie, potrząsając głową, ale się śmiała. Tom zrobił jej kawy. Była dla niego bardzo miła, okazywała współczucie, ale w jej współczuciu brzmiała nutka obojętności.

- Nie chcę, żebyś się nade mną litowała...
- Nie lituję się - odparła - ale przykro mi, że to się stało, żal mi Rufusa.

Tom drgnął lekko. Nie mógł powiedzieć, jakie to było okropne, nie mógł się przyznać przed Josie, jak Rufus wyczekiwał jej przyjazdu, spakowawszy torbę na dwadzieścia cztery godziny przedtem, owinawszy mikroskop w liczne warstwy folii z pęcherzykami powietrza. A Josie nie wypytywała go zbyt. Nie wiedział, czy powoduje nią takt, czy odgadła tak dużo, że nie musi pytać. Rozejrzała się po kuchni, ale tylko pobieżnie, nie zaś taksująco, jak ktoś, kto koniecznie chce zauważyć każdą zmianę, każdy strzępek dowodu na obecność kogoś innego. Była miła, ale trochę na dystans, i dopiero na koniec, kiedy wsiadała do samochodu, a chłopcy razem z rzeczami Rufusa byli już zapakowani do środka, powiedziała, jakby w poczuciu koleżeństwa:

- Nie ludy się. Nic nie jest tak łatwe, jak wygląda.

Kiedy ich samochód odjechał, wrócił do kuchni i popatrzył na kubki po kawie i puste puszki po coca- Coli, które zostawili chłopcy. Rufus pożegnał się pośpiesznie - z miłością, ale pośpiesznie, jakby tę chwilę trzeba było mieć jak najprędzej za sobą, z powodu wszystkich nieszczęśliwych, nieprzyjemnych rzeczy, które ją poprzedziły. Nie mówił dużo o króciutkich odwiedzinach Elizabeth; właściwie nawet odpiął ostrożne próby wybadania jego uczuć, pozostawiając Toma z wyraźnym i pełnym żalu wrazeniem, że Rufus obarcza go przynajmniej częściową odpowiedzialnością, ale unika otwartego oskarżania, po prostu nie poruszając tematu.

Tom usiadł przy stole. Dale postawiła na jego środku dzban chabrów, chabrów i jakichś stokrotkopodobnych kwiatków, o lśniących żółtych płatkach. Ustawiła też lilie w salonie, a na komodzie w sypialni Toma maki. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem miał kwiaty w swoim pokoju, i sprawiły, że poczuł się nieswojo - a może to intencja Dale, kiedy je tam stawiała, wywoływała to dziwne wrazenie. Były przy tym bardzo jaskrawe, różowe i szkarłatne, o sterczących czarnych pręcikach. Z ulgą zauważył, że już gubią swoje cienkie płatki. Może Dale, po tym pierwszym, pełnym szczęścia zachłyśnięciu się poczuciem pewności, nie uzna za konieczne zastąpić je świeżymi kwiatami, żeby mu po raz kolejny okazać, co on i wszystko - co sobą reprezentuje, dla niej znaczy. Może niezagrożona **uspokoi** się znowu na tyle, że odważy się zaryzykować romans z kimś, kto potrafi ją okiełznać, potrafi wreszcie umiejętnie przekształcić jej gwałtowne potrzeby retro-spekcji w apetyt na przeszłość.

- Do tego czasu - powiedział Tom Elizabeth - jestem odpowiedzialny. Muszę być.

Nic nie odpowiedziała. Rzuciła mu swoje szybkie spojrzenie, ale nie przemówiła. Nie miała już, okazywała to wyraźnie, współczucia dla jego uporczywego poczucia winy wobec Dale, dla jego przekonania, że nie tylko brzemień Dale z natury rzeczy ciąży nad nim, jako jej ojcem, ale że jeżeli chce być całkiem uczciwy, nie może zwalić go na kogoś innego, kto sam czynnie, z miłością, nie zechce go od tego brzemienia uwolnić.

Wstał, wzdychając. Basil, rozciągnięty tam, gdzie zostawił go Rory, na kanapę pod oknem, uniósł lekko głowę, żeby zobaczyć, czy Tom robi coś interesującego, i pozwolił jej znów opaść. Tom wolno przeszedł przez kuchnię, mijając kanapę i krzesła, gdzie w różnych okresach siadywały albo rozkładały się wszystkie jego dzieci, gdzie Josie zrzucała pantofle, gdzie Elizabeth siadała z podwiniętymi nogami, z kubkiem w dłoni, w okularach na nosie, żeby poczytać gazetę. Drzwi do ogrodu były otwarte, a na górnym stopniu żelaznych schodków stała donica z terakoty, w której Elizabeth zasadziła zwisające pelargonie, różowe i białe. Tom omiół je spojrzeniem, a potem popatrzył na ogród.

Była tam Dale. Skuliła się za posągami dziewczynki z gołębiem na ręku, przykucnęła, obejmując kolana ramionami. Czekąca, tak jak niegdyś Pauline, żeby ją odszukał.

Rozdział dwudziesty

Karen szła powoli w górę Barrat Road. Po pierwsze, było gorąco, a po drugie, zaferowała się, że odbierze pranie z pralni chemicznej dla Josie. Nie było wprawdzie ciężkie, lecz nieporęczne do niesienia, plastikowe torby wyślizgiwały się jej z uchwytu albo przylepiały do skóry, tworząc na niej nieprzyjemne, wilgotne od potu placki. Poza tym nie mogła przewidzieć, że samochód znowu jej się zepsuje i będzie musiał spędzić trzy kosztowne dni w warsztacie, co zmuszało ją do jeżdżenia do pracy autobusem i chodzenia piechotą wszędzie indziej. Przypomniało jej to czasy, kiedy oboje z Matthew byli mali, a jedynym samochodem, jaki mieli rodzice, był służbowy samochód ojca, którego nie chciał brać na rodzinne wycieczki, po tym jak raz rozchorowała się na tylnym siedzeniu z nadmiaru upału, lodów i złości.

Teraz nie wpadała w złość prawie nigdy. Josie to zauważyła, zwróciła uwagę, jaka jest opanowana. Możliwe, że to była prawda. Możliwe, że zdała sobie sprawę, mieszkając ze swoją matką, iż złość nigdy nie daje wiele temu, kto w nią wpada, oprócz tej pierwszej, krótkiej fali podniecenia, kiedy się otwiera usta, żeby zacząć. Ostatnio dość dużo opowiadała Josie o swojej i Matthew matce, jak również o swojej pracy i o mieszaninie miłości i nienawiści, jaką do niej żywiła, i o Robie, dentyście z Australii, nowo przybyłym do Sedgebury, który okazywał jej zainteresowanie, jakiego nikt od dawna jej nie okazał. Odkryła, że z Josie się bardzo łatwo rozmawia, znacznie łatwiej niż kiedyś.

A do tego ścięła włosy. Karen była zdumiona. Ciężka, miedziana grzywa, która zdawała się być znakiem rozpoznawczym Josie, nagle zniknęła.

- Jak mogłaś?

- Musiałam - powiedziała Josie. - Po prostu musiałam. Teraz, kiedy już to zrobiłam, jest mi z nimi okropnie nieswojo, ale musiałam.

- A co Matt o tym sądzi?
- Chyba mu się podoba.
- Wyglądasz na jakieś czternaście lat.
- Nie dlatego to zrobiłam...
- Nie, wiem. Co powiedziały dzieci?
- Nic - odparła Josie. - Tylko się gapiły, jakby mi wyrosła druga głowa. Rufus zapytał, gdzie się podziały te wszystkie włosy, a ja odpowiedziałam, że w śmietniku u fryzjera. Ciągłe na mnie zerkają ukradkiem. Zwłaszcza Becky.

W dwa tygodnie później Becky zrobiła to samo. O ile Karen była zdumiona włosami Josie, na widok Becky wręcz zaniemówiła.

- Czy to ma być komplement pod twoim adresem? - spytała Karen Josie.

- Nie wiem. Staram się nie zgadywać w takich sprawach, bo zawsze dochodzę do złych wniosków. Ale wygląda dobrze, prawda?

- Tak - powiedziała Karen. Patrzyła przez okno w kuchni na kwadratowy splachetek wyłysiałej trawy, która uchodziła za trawnik, gdzie Becky bawiła się z nowymi kociakami piłką do golfa uwiązaną na długim kawałku włóczki. - Tak - przyznała.

- Może tak jak i ja czuła, że z włosami może odejść wiele rzeczy... - rzekła Josie.

- Mówiłaś, że nie myślisz w ten sposób.

- Wiem - powiedziała Josie. - Ale czasami nie mogę się powstrzymać. Nie mogę się przestać dziwić, jak nam się układa.

Układa im się dobrze, pomyślała Karen, szczególnie jeśli się porównało obecną sytuację z tym, co było zaledwie trzy miesiące wcześniej. Josie z pewnością rozluźniła się trochę, przestała prasować każdą sztukę bielizny, sprzątać po wszystkich i ostentacyjnie poświęcać czas na gotowanie. Dom, który zresztą był dla nich wszystkich za mały, wydawał się całkowicie zamieszkany, czasem aż za bardzo, ale do dzieci przychodzili teraz koledzy i koleżanki i jeździli razem wte i wewte po pochyłym podjeździe na deskorolkach albo kopali piłkę o ścianę garażu, albo też leżeli w pokoju dziewczynek przy zaciągniętych zasłonach i przy muzyce. Matthew wkopał na końcu ogródka pustą puszkę i uczył chłopców brać zamach kijami golfowymi, które podarował im jego ojciec. Karen obserwowała swojego ojca z pewnym rozbawieniem. Kiedy wracała z Barrat Road, zawsze brał ją w krzyżowy ogień pytań.

- No i jak się miewają?

- Kto?

- Matthew i spółka. Dzieciaki. No wiesz.

Karen udawała, że szuka czegoś w torbie.

- W porządku.
- Zapracowani? Chodzą do szkoły? Nie wagarują?
- Nie mam pojęcia.
- A ten mały chłopiec, rudzielec. Zgadza się z nimi?
- Zdaje się, że tak.
- A ona. Żona Matthew. Co u niej, jak sobie radzi?
- Tato - mówiła Karen - posłuchaj. Jeżeli chcesz wiedzieć, co u nich słysząc, idź i zobacz sam.

I w końcu poszedł. Najpierw posłał kije do golfa, a potem, kiedy się dowiedział, że Nadine kupiła sobie dużą, używaną przyczepę kempingową, zaparkowała ją w jakiejś komunie w pobliżu swojej chaty i pomaga jej członkom hodować warzywa, jakby poczuł, że został wypuszczony z klatki, że nie wiąże go już przymus lojalności. Poszedł na Barrat Road, mówiąc, że wróci za dziesięć minut, a wrócił po ponad godzinie. Opowiadał, że udzielił chłopcom lekcji golfa, a Josie poczęstowała go herbatą. Kiedy matka Karen naskoczyła na niego, że w ogóle tam poszedł, powiedział: - Skoro nie idziesz, to tylko twoja strata, Peg, i niczyja więcej - i wyszedł z pokoju.

Teraz, myślała Karen, można by przypuszczać, że nie miał żadnych oporów. Naprawiał Josie rzeczy, na które Matthew nie miał czasu, obiecał Becky sto funtów na Gwiazdkę, jeżeli przestanie palić, i obiecał chłopcom, że w następnym sezonie zrobi ich członkami ligi juniorów w Klubie Piłkarskim Sedgebury. Zaczął opowiadać Karen różne rzeczy, jakby wiedział o nich więcej niż ona, o tym, że Matthew spotkał się z nowo mianowanym dyrektorem, który okazał się sympatyczny, o tym, że ojciec Rufusa planuje go zabrać do Legolandu w Danii, w drugiej części wakacji, bo zaistniały jakieś domowe komplikacje, o tym, że Becky mówiła, że spędzi tydzień w komunie z matką, ale nie zgadza się obiecać nic więcej, dopóki nie zobaczy, jak tam jest.

- Nadine ciągle dzwoni - powiedział Derek. - Dzwoni cały czas.
- Z przyczepy?
- Ma telefon komórkowy. Dzwoni z komórkowego.

I, myślała Karen, niewątpliwie zawsze będzie wydzwaniac. Nie można też liczyć na to, że komuna zainteresuje ją na długo. Będzie jak ze wszystkim innym do tej pory. Nie ma sensu wierzyć w to, że Nadine kiedykolwiek naprawdę się zmieni, kiedykolwiek będzie zdolna polubić miejsce, w którym się znajduje, to, co robi, czy nawet samą siebie. Josie mówiła, że nigdy nie rozmawia o Nadine z dziećmi, chyba że same zaczną o niej mówić, jednak ostatnio zauważyła, że kiedy Nadine teraz

dzwoni, w powietrzu unosi się namacalna niechęć przed rozmową z matką.

- Mówię im wtedy: „Musicie. To wasza matka” - powiedziała Josie. Karen puściła do niej oko.

- Ależ się ładnie zachowujemy...

- To łatwiejsze, kiedy człowiek się tak mocno nie stara.

- Ale niełatwe...

- Nie - rzekła Josie. - Niełatwe. Nie niemożliwe, ale łatwe też nie.

Karen poprawiła torby z praniem, odlepiając je od jednego nagiego ramienia i przekładając na drugie. Czasami się zastanawiała, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Matthew, jak mocno wspierał Josie, a także swoje dzieci, jak ciężko było mu odrzucić stary nawyk ustępowania Nadine, żeby kupić chociaż kilka chwil spokoju. Josie nie rozmawiała o tym z Karen. Była bardzo otwarta w większości spraw, mówiąc o sobie, o Rufusie, o dzieciach Matthew, o swoim pierwszym małżeństwie, o skomplikowanym poczuciu winy, że nie robiła nic, żeby pomóc kobiecie, która prawie została macochą Rufusa...

- Ale co mogłaś zrobić?

- Prawdopodobnie nic. Ale chciałabym, żeby wiedziała, że to nie była jej wina, i że Rufus naprawdę ją kochał.

... Jednak nigdy nie mówiła o swoim związku z Matthew. Karen rozumiała to. Ona sama z przyjemnością wzięłaby udział w dyskusji o swoim bracie, ale ponad tą dość przyziemną ciekawością widziała jasno, że jeżeli się chciało budować jakikolwiek związek w małym domu, w którym raczej brakowało ogólnego *esprit de corps*, trzeba go chronić, jak to tylko możliwe, żeby móc mieć nadzieję na sukces. Obserwując ich, Karen pomyślała, że układa im się wcale nie najgorzej. Podążali w tę samą stronę, to na pewno, a jeżeli ich ścieżki jeszcze nie całkiem się połączyły, czuła, że w końcu się zejdą, ponieważ oni tego chcą.

Gdy Karen dumiała nad tym wszystkim, przychodziła jej do głowy myśl, jaka jeszcze przed rokiem by się nie pojawiła. Była to tylko przelotna myśl, niemal wrażenie, ale stawała się coraz bardziej natrętna, mimo że istniała dopiero w załączku. Kiedy wchodziła do domu na Barrat Road w zwykły dzień, tak jak miała to zrobić tego zwykłego dnia, i zastawała chaos w kuchni, pranie na sznurku, gadający telewizor, którego nikt nie słuchał, a Josie pośród tego wszystkiego, myślała, że wygląda ona mniej obco niż kiedyś, zwyczajniej, nie tak jakby była wrzuciona w obcy świat. Zaczynała wyglądać, jakby tu było jej miejsce, jakby sama zaczynała czuć, że tu jest jej miejsce, i jakby to wrażenie powoli zmieniano się w rzeczywistość. Przyglądając się Josie, Karen pomyśla-

ła, że z czasem, po upływie godzin, dni i lat, nawet dzieci zaczną czuć, że ona jest tu na swoim miejscu. Ostatni raz Karen przełożyła torby z praniem z jednego ramienia na drugie i skręciła na podjazd, na którym przewrócona do góry nogami deskorolka leżała jak żuk na grzbiecie. Spojrzała na dom. Prawie wszystkie okna były pootwierane. Któregoś dnia, powiedziała sobie, któregoś dnia.